

Prolog

*Central City, Kolorado,
luty 1874*

Arktyczny wiatr wiał od strony gór, ciskając kryształkami zlodowaciałego śniegu o rozświetlone okna bogato, choć tandetnie, ozdobionej budowli, mieszczącej znany w całej okolicy Przybytek Celeste. Jednakże w wyścielonych aksamitem i brokatem pokojach płonący w kominkach ogień rzucał ciepły blask na jedwabną pościel i jasne nagie ciała.

Przybytek Celeste cieszył się opinią najwspanialszego burdelu pomiędzy San Francisco a Chicago. Mężczyźni czasami przyjeżdżali pociągiem z Denver specjalnie po to, by odwiedzić wielki biały dom u szczytu Nevada Gulch. Wszystkie dziewczyny były młode i piękne, piwniczka z winem dobrze zaopatrzona, a na miejscu nawet dyskretnie prowadzone kasyno, gdzie można było wygrać... albo stracić fortunę.

Właścicielka Przybytku Celeste wiedziała wszystko o zdobywaniu i traceniu. Tego wieczoru, przechadzając się wśród bogatych, ustosunkowanych klientów, którzy zapełniali jej salon, flirtując z dziewczętami, Celeste DuBois miała na sobie wysączane klejnotami pantofle, niebieską wieczorową suknię z jedwabiu, a na szyi sznur prawdziwych pereł. Były jednak czas,

gdy Celeste biegła boso, przyodziana w nędzne łańchmany. Były takie czasy...

Celeste nie zaprzętała sobie głowy tego rodzaju wspomnieniami, ale też nic pozwalała sobie o nich zapomnieć. Przypomniały jej bowiem, że nie wolno się pławić w samozadowoleniu, wierząc, że posiada się coś raz na zawsze. Tego wieczoru zresztą nie potrzebowała żadnych przypomnień. Wiedziała, że jeśli Doug Slaughter dopnie swego, ona straci wszystko, nie wyłączając życia. Tego wieczoru.

Zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do kasyna, szukając wzrokiem swego współnika, Jordana Haysa. Ogarnęła przelotnym spojrzeniem swoich gości, właścicieli kopalni i bankierów w opiętych kamizelkach, z wąsami sztywnymi od pomady, by wreszcie skupić wzrok na karcianym stoliku, przy którym dobiegała końca kolejna partia pokera. Widziała, jak siedzący naprzeciw okna ciemnowłosy gracz o wąskich, jakby zmrużonych oczach zgarnia ku sobie imponujący stos żetonów.

Jordan uniósł głowę i przyłapawszy jej wzrok, uśmiechnął się szeroko. Pewnie serce by jej szybciej zabiło, gdyby jeszcze była podatna na wdzięki przystojniaków o czarującym uśmiechu i mrocznej naturze.

- Rozdajcie za mnie - powiedział, cedząc słowa z charakterystycznym wirginijskim akcentem. Odsunął krzesło i

zbliżył się do współniczki powolnym, nieco kołyszącym krokiem. Jego sposób poruszania się sprawiał wrażenie leniwego i dziwnie groźnego zarazem. Zawsze nosił czarne ubranie, od którego odbijała jedynie biel wykrochmalonej koszuli. Nawet skórzane olstro na broń zwisające mu z biodra miało czarny kolor.

I nawet kobieta, znająca mężczyzn tak dobrze, jak diabeł zna grzeszników, musiała podziwiać ten wyjątkowo udany okaz twardej męskiej urody. Był wysoki i szczupły, miał szlachetne arystokratyczne rysy twarzy i kształtne dłonie. Piękne dłonie, tak samo wprawnie obchodzące się z rewolwerem, jak z talią kart. Właśnie z powodu tych dłoni przed dwoma miesiącami Celeste wzięła sobie Jordana Haysa na współnika.

Większość ludzi podejrzewała, że wzięła go sobie również na kochanka, ale tak nie było.

- Jakież kłopoty? - spytał, nachylając się do jej ucha.

- Nie. - Widziała, jak jego spojrzenie przesuwają się od witrażowego obramienia przy drzwiach wejściowych do wykuszowego okna w kasynie. Ciężkie draperie z zielonego aksamitu otulały ściany wdzięcznym łukiem; koronkowe zasłonki w kolorze ecru przesłaniały dolną część okien, lecz wyżej, przez nagie zaszronione szyby widać było anonimową ciemność.

„Postaw na wzgórzu człowieka ze strzelbą, a z łatwością cię wypatrzy”, powiedział jej wcześniej Jordan, kiedy się upierała, by jak zwykle krążyć między gośćmi.

- Nie wierzę, by Slaughter wynajął kogoś, żeby mnie zabił.
- Odwróciła się plecami do niezastłoniętych okien. Myślę, że próbuje mnie tylko przestraszyć, żebym się zgodziła na sprzedaż. Hays pokręcił głową, omiatając wzrokiem tłum zgromadzony w salonie.

- Slaughter wie, że się nie boisz. Gdyby cię można było tak łatwo przestraszyć, już dawno byś mu sprzedała ten dom. Do licha, nie brak ci odwagi, że kręcisz się tutaj, jakby nigdy nic.

- Gdyby mnie tu nie było, żeby prowadzić interes, Slaughter nie musiałby do mnie strzelać. Sama bym splajtowała.

- Nie będziesz mogła prowadzić tego domu, jeśli zginiesz.
- Nie boję się śmierci - odrzekła spokojnie. - Jeśli życie w ogóle czegoś mnie nauczyło, to tego, że śmierć nie jest najgorszym, co może się człowiekowi przydarzyć na tym świecie.

Wyraz zielonych oczu Haysa nie zdradzał żadnych uczuć.

- Bogowie ukrywają przed ludźmi szczęście śmierci, żeby mogli znieść życie - powiedział cicho.

Przytaknęła skinieniem. Choć nigdy o tym nie rozmawiali, oboje wiedzieli, że w tym jednym są do siebie podobni. Oboje żyli z bólem i poczuciem straty sięgającym głęboko w duszę.

Dotknęła koniuszkami palców sznura pereł. Minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy całowała mężczyznę, który po raz pierwszy zapiął jej na szyi ten naszyjnik. Dwadzieścia lat, od czasu gdy trzymała go w ramionach i czuła na policzku jego ciepły oddech.

Dwadzieścia lat...

Nagle Celeste poczuła się starą kobietą, choć wiedziała, że wcale nie jest stara. Lustro mówiło jej, że wciąż jest piękna, wciąż godna pożądania, nadal ma cienką kibić, jędrne piersi, twarz bez śladu zmarszczek, a jasnych włosów jeszcze nie tknął cień siwizny. Ale czuła się stara. Stara i zmęczona. I dziwnie spokojna.

Położyła dłoń na ramieniu Jordana i pochyliła się ku niemu, bo choć był jej współnikiem, nie kochankiem, jednak był mężczyzną, a ona była kobietą znającą wszystkie kobiece sztuczki i wiedzącą, jak je stosować.

- Obiecaj mi coś, Jordanie.

Nakrył jej dłoń swoją mocną, ciemną od opalenizny dłonią i uśmiechnął się. Bruzdy na jego policzkach pogłębiły się, nadając mu trochę łobuzerski wyraz.

- Co tylko w mojej mocy, kochana.

Parsknęła śmiechem. Uwielbiała, kiedy tak się do niej zwracał i kiedy uśmiechał się w taki sposób. Żałowała wówczas, choć tylko przez moment, że nic jest znów młoda i wolna, by móc się w nim zakochać... choć wiedziała, że każda kobieta, która popełni ten błąd, skończy ze złamanym sercem. Ponieważ Jordan Hays nie nadawał się na ukochanego. Był niespokojnym duchem, dręczonym przez widmo śmierci, z kłębkim bólu zamiast serca.

Ale Celeste nie chciała jego serca. Potrzebowała jego szybkich rąk i czujnych oczu oraz niezłomnego poczucia honoru, którego żaden oficer Południa nie umiał się wyzbyć, niezależnie od tego, jak tragiczną miał przeszłość i jak rozwiązałe życie obecnie prowadził.

- Obiecuj, że dopilnujesz, by Gabrielle dostała mój udział w tym domu, gdyby mi się coś przytrafiło - powiedziała.

Większość mężczyzn starałaby się ją uspokoić, mówiąc, by nie zwracała sobie zmartwieniami ślicznej główki, bo nic jej nie grozi. Ale Jordan nigdy nie zachowywał się protekcyjnie.

- Jest twoją córką, Celeste. Już ci mówiłem, że dostanie wszystko, co jej się należy, i zadbam o to, by się nie dowiedziała, skąd to pochodzi, tak jak prosiłaś.

- Nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiał w końcu sprzedać ten dom Slaughterowi?

Jordan zacisnął usta, wzdychając z goryczą.

- Nie będę udawał, że mi się to podoba, ale skoro tego chcesz...

- Chcę tego. To miejsce i ci ludzie są dla mnie ważni, ale nie tak ważni jak moja córka. Chcę, żeby miała te pieniądze.

Znów przeniósł wzrok na zimną czerń nocy za oknem. Widziała, jak zmrużył oczy, choć i tak nic mógł tam nic dojrzeć.

- Chciałbym się kiedyś wreszcie dowiedzieć, skąd ci się wzięła córka nauczycielka w klasztorze w Nowym Orleanie - powiedział.

Nawet po tak wielu latach ból rozłąki z Gabrielle tkwił jak cień głęboko w sercu Celeste.

- Gabrielle wychowała się w tym klasztorze – powiedziała lekko drżącym głosem. - Po wojnie myślałam o tym, żeby ją tu sprowadzić. Ale dom publiczny nie jest odpowiednim miejscem na wychowywanie dziecka. Uwłaszcza dziewczynki.

- Niech noga twoja nie tyka fryzjerskich progów, ręka twoja podwiki, pióro twoje weksłów; a zły duch nic ci nie zrobi - zacytował sucho.

- Brzmi jak biblijna mądrość - stwierdziła.

- Rzeczywiście zaśmiał się. - Ale to Król Lir.

Zawtórowała mu śmiechem w chwili, gdy szyba frontowego okna za jej plecami rozpadła się z brzękiem na kawałki. Coś zimnego trafiło ją w środek pleców z taką siłą, że aż brakło jej tchu.

Usłyszała, jak jakaś kobieta krzyczy. A potem męski głos zawołał:

- O Boże! Została postrzelona!

Celeste zgięła się wpół, rozpaczliwie próbując chwycić oddech, ale w piersiach czuła palący ból, a nogi same się pod nią ugięły. Czuła, jak Jordan obejmuje ją ramieniem, podtrzymuje osuwającą się na miękkim dywan. Widziała nad sobą jego twarz, błysk w zielonych oczach.

Chciała coś powiedzieć, więc pochylił głowę, żeby usłyszeć. Ale brakowało jej powietrza, więc tylko poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie jakieś imię, modlitwę, pozdrowienie.

- Beau...

A potem się uśmiechnęła.

1

*Nowy Orlean, Luizjana.
Kilka tygodni później*

Gabrielle Antoine wbiła ostatni gwóźdź w wieko dużej drewnianej skrzynki, która stała na oplecionej pnączami klasztornej werandzie. Z najniższej gałęzi magnolii, rosnącej w rogu brukowanego dziedzińca, dobiegał śpiew drozda, czysty i donośny w porannym powietrzu. Gabrielle podniosła głowę, szukając ptaka wzrokiem w gęstym listowiu, i natychmiast młotek trafił ją boleśnie w palec.

- Jezus, Maria, Józef i wszyscy święci - mruknęła, wtykając stłuczony kciuk do ust.

- Znowu przeklinasz, Gabrielle? - skarciła ją Julia St. Etienne, podchodząc z szelestem jedwabnych spódnic.

Odwróciwszy głowę. Gabrielle napotkała roześmiane, czarne oczy przyjaciółki.

- Nie przeklinałam, Julio. - Także się uśmiechnęła, nie wypuszczając kciuka z ust. - Modliłam się.

- Oczywiście, *mon amie* - Nie dbając o elegancką różową suknię ozdobioną rzędami kremowych adamszkowych falbanek, Julia podskoczyła i usadowiła się na brzegu kufra. - O co się modliłaś?

- O lepsze oko. - Gabrielle znów uderzyła młotkiem. Tym razem ostrożnie. - I o nagłą, potwornie bolesną śmierć dla każdego cholernego jankeskiego posła w Nowym Orleanie.

- To nie brzmi zbyt świątobliwie.

- Nigdy nic twierdziłam, że jestem świątobliwa.

- Rzeczywiście. Chociaż zawsze sądziłam, że siostry poradziły sobie z tobą lepiej niż ze mną.

- Miały mnie dłużej. - Gabrielle ostatni raz machnęła młotkiem, a potem, oparłszy się biodrem o skrzynkę, popatrzyła na kipiące zielenią ogrody, zapadnięte brukowe ścieżki i stare zabudowania klasztoru, który przez większość swego życia nazywała domem. Miała wrażenie, że coś w niej umiera. Coś cennego i niezbędnego dla poczucia bezpieczeństwa. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że siostry muszą się stąd wynieść.

Julia parsknęła ze złością.

- Dla ciebie i dla mnie to jest klasztor, a dla Jankesów zasobna posiadłość w rękach piętnastu zakonnic praktykujących cnotę ubóstwa. Nic więcej.

- To nie w porządku.

Juda wywróciła oczami, przeczesując palcami obu rąk gęste ciemne włosy.

- Gabrielle, Gabrielle, ile razy mam ci powtarzać, że życie nie jest w porządku?

Gabrielle odpowiedziała smutnym uśmiechem.

- Wiem, że nie jest. Ale powinno być. - Odrzuciła młotek na wieko skrzynki, wzięła przyjaciółkę pod rękę i pociągnęła za sobą przez werandę do jednej z wysokich klas. - Chodź. Powiedziałam

Matce Przełożonej, że postaram się skończyć pakowanie książek dla podstawówki przed obiadem. Skoro tu jesteś, możesz mi pomóc.

- Nie przyszłam tu, żeby ci pomagać przy pakowaniu - obruszyła się Julia, ale opadła na kolana na zniszczonej drewnianej podłodze i sięgnęła po stos wyblakłych starych elementarzy. - Przyszłam wybić ci z głowy ten niedorzeczny plan przeniesienia się razem z siostrami do Mobile.

- Aleja...

- Nie, bądź cicho przez chwilę i posłuchaj mnie- Nie ma żadnego powodu, byś nie mogła zamieszkać ze mną w Beaulieu. Zawsze lubiłaś bywać u mnie w wakacje i podczas ferii świątecznych. Prawda?

Gabrielle nie odrywała wzroku od książek układanych starannie na dnie jednego z pudeł.

- To było co innego, Julio, sama wiesz. To były odwiedziny. A teraz miałabym zamieszkać na stałe. Nie mogę się narzucać twojej rodzinie.

- To żadne narzucanie. I wcale nie na stałe. Spędziłaś zbyt wiele czasu za tymi klasztorowymi murami, *mon amie*. Wrzuciła naręcze książek do sąsiedniego pudła, a potem rozpostarła dłonie przed oczyma Gabrielle, jak magik wykonujący czarodziejską sztuczkę. - Tam, w prawdziwym świecie, kręcą się tajemnicze, niepokojące i fascynujące istoty zwane mężczyznami. Noszą Spodnie i kamizelki i różnią się od nas w dziwny, lecz cudowny sposób, który każe im się zakochiwać w młodych kobietach i żenić się z nimi.

Potrząsnąwszy głową, Gabrielle zaczęła porządkować bałagan w pudle Julii.

- Ale nie z młodymi kobietami biednymi jak myszy kościelne.

- Gabrielle, nie jesteś biedna. Może też nie bogata, ale dziś w Nowym Orleanie jedynie bogacze mają jankeski akcent i szcurze instynkty. Twój fundusz powierniczy... - Urwała, widząc, jak Gabrielle wzdryga się bezwiednie, a potem zastyga w bezruchu. - Gabrielle? Co przede mną ukrywasz?

Gabrielle odchyliła się na piętach, wycierając ręce w fartuch, który chronił przód jej prostej, sięgającej pod szyję szarej sukienki.

- Pamiętasz monsieur Longchamps, tego starego prawnika, zajmującego się funduszem, który miałam otrzymać, kończąc dwadzieścia jeden lat?

Julia przytaknęła skinieniem głowy.

- Cóż, mówiłam ci, że zmarł po Bożym Narodzeniu. Wygląda na to, że po jego śmierci jego partner wyczyścił wszystkie konta klientów, do których miał dostęp, i zniknął. Między innymi moje konto. Byłam w banku, na policji. Nikt nie może nic na to poradzić.

- *Mon Dieu* - szepnęła Julia. - Jak to możliwe?

- Świat nie jest w porządku, czyżbyś zapomniała? – Gabrielle starała się mówić lekkim tonem, ale głos jej drżał.

Julia przysunęła się, żeby ją objąć serdecznie.

- No to sprawa przesadzona. Nie jedziesz do Mobile. Gdybym ci pozwoliła zamieszkać z zakonnkami w Mobile, nigdy byś nie wyszła za mąż.

Gabrielle zachichotała, chwytając ją za rękę.

- Och, Julio. Tak się cieszę, że jesteś moją przyjaciółką. Ale nie mogę się zwalić na głowę twojej rodzinie i zamieszkać w domu na plantacji. Jednak do Mobile także się nie wybieram.

- Nie?

Gabrielle sięgnęła za stanik sukni i wyciągnęła list, mocno wymięty od ciągłego czytania i noszenia blisko ciała przy pakowaniu całego klasztornego dobytku.

- Dostałam to w czwartek. Od człowieka, który się nazywa Jordan Hays. Mieszka w Central City, w Kolorado i donosi mi, że odziedziczyłam tam dom i interes po jakiejś kobiecie, która się nazywała Celeste DuBois.

- Co?

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale sama posłuchaj. - Gabrielle rozłożyła arkusik listu. - Droga Panno Antoine - zaczęła. - Zżółtem muszę Panią poinformować o niedawnej śmierci mojej współpracownicy, panny Celeste DuBois. Choć wiem, że nie znała Pani panny DuBois, jednak była ona osobą z całego serca dbającą o Pani dobro i dlatego przekazała Pani swoje udziały w domu i interesie...

- Gabrielle!

- ...przy Nevada Gulch, który posiadaliśmy do spółki. Jestem przekonany, że nie interesuje Pani nieruchomość jako taka, więc proponuję ją sprzedać i podzielić się zyskiem. Jak zechce Pani podpisać załączone dokumenty, będę mógł niezwłocznie zająć się sprzedażą i prześlę Pani należną część uzyskanej sumy wraz z kilkoma osobistymi pamiątkami i

bizuterią, którą z pewnością pragnie Pani zatrzymać. Z wyrazami oddania, Jordan Hays.

Gabrielle podniosła wzrok znad listu. Musiała czytać te słowa z pięćdziesiąt razy w ciągu ostatnich kilku dni, lecz w jej głosie wciąż słyszało się ton podniecenia, nutę oczekiwania na Jakieś cudowne odkrycie.

- Co o tym sądzisz? - zagadnęła Julię.

- DuBois - powiedziała Julia z namysłem. - Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

Gabrielle pochyliła głowę, skrywając uśmiech. Rodzina St. Etienne popadła w niedostatek, a ich plantacja River Road zmieniała się w ruinę, ale wciąż byli jednym z najstarszych i najlepszych rodów w Nowym Orleanie, a dla ludzi takich jak oni nazwisko było wszystkim.

- O nazwisku Antoine także nikt nie słyszał - przypomniała.

- Ktoś jednak musiał, bo inaczej nie trzymaliby cię w tym klasztorze - zauważyła Julia. - Zadne siostrzyczki od świętej Agnieszki nic biorą pod swoje skrzydła byle kogo.

- To nie było miłe.

- Ale dobrze wiesz, że prawdziwe. - Strzepnęła smugę kurzu z falbanki różowej spódnicy. - Nie wiesz, kim mogła być ta DuBois?

- Nie mam pojęcia. Gdyby żył monsieur Longchamps, może mógłby mi powiedzieć, ale skoro... - Gabrielle wzruszyła ramionami. - Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Julia zastygła z uniesioną ręką.

- Chyba nie zamierzasz sama pojechać do Kolorado? - Przesunęła się po brudnej podłodze ku Gabrielle, tak że zetknęły się kolanami. - Gabrielle? Nie podoba mi się twoja mina. Daj mi ten list.

Wyrwała przyjaciółce kartkę z dłoni i sama przebiegła wzrokiem treść, wykręcając się do światła padającego przez wysokie francuskie okno.

- Czemu on nie pisze, co to za interes, który odziedziczyłaś? Czy to nie dziwne? Jaką kobietą była ta panna DuBois, że posiadała dom na spółkę z mężczyzną, który nie był jej mężem? Interes to jeszcze rozumiem, ale dom? - Julia złożyła list i oddała właścicielce. - Gabrielle, powiedz, że się tam nie wybierasz.

Gabrielle ukryła list z powrotem na piersi.

- Muszę. Nie rozumiesz, Julio? - Gabrielle podniosła się z kolan i potoczyła wzrokiem po na wpół opróżnionej sali lekcyjnej. - Przez całe życie myślałam o moich rodzicach. Kim byli? Dlaczego nikt nie mógł mi nic o nich powiedzieć? Zawsze podejrzewałam, że siostra Claire wie, bo była Matką Przełożoną,

kiedy mnie tu przywieziono. Ale jeśli miała jakieś wiadomości, zabrała je ze sobą do grobu.

- Gabrielle, przecież kimkolwiek była ta Celeste DuBois... cokolwiek wiedziała, także nie żyje.

- Wiem. Co oznacza, że jeśli pozwolę temu Jordanowi Haysowi sprzedać dom i interes i pozbyć się jej rzeczy, pewnie już nigdy się nie dowiem, co mnie z nią łączyło.

Julia głośno westchnęła.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, Gabrielle, że może być jakiś istotny powód, dla którego nie mówiono ci nic o rodzicach? Że ktoś najwyraźniej uznał, iż będzie lepiej, jeśli się nie dowiesz?

Gabrielle stanęła przy otwartych drzwiach prowadzących na dziedziniec. Gardenie i jaśminy kwitły obficie, nasycając ciepłe wilgotne powietrze Nowego Orleanu niepokojącym słodkim aromatem.

- Oczywiście, że o tym myślałam. - Zerknęła na Julię przez ramię i uśmiechnęła się smutno. - Nadal pamiętam moją matkę. Choć słabo. Pamiętam, jak wchodziła po szerokich błyszczących schodach, żeby mnie pocałować na dobranoc. Pamiętam migotanie świec i roześmiane głosy kobiet i mężczyzn. I zapach potpoum. Pamiętam, jaka się czułam bezpieczna w jej ramionach. Czułam się... otoczona jej miłością. Ilekroć ją wspominam, zawsze ma na sobie niebieską jedwabną suknię ze

srebrną koronką. - Głos jej się załamał. - Czy to nie dziwne? Doskonale pamiętam tę suknię, a jej twarz bardzo słabo. Pamiętam tylko, że miała bardzo jasne włosy i że wydawała mi się piękna. Ojca w ogóle nie pamiętam.

- Bo pewnie go tam nie było. - Julia wstała i wzięła przyjaciółkę za rękę. - Przecież wiesz, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, prawda? Że twoja matka pochodziła z dobrej nowoorleańskiej rodziny i popełniła błąd, zadając się z mężczyzną, który nie chciał lub nie mógł się z nią ożenić. Rodzina pewnie pozwoliła jej zatrzymać cię po urodzeniu, ale po jej śmierci przysłała cię tutaj. Żadnej tajemnicy. Tylko... tragedia. I skandal, o którym po dwudziestu jeden latach wszyscy woleliby zapomnieć.

Gabrielle pokręciła głową.

- Nie ja. Ja chcę wiedzieć. A dowiem się, tylko jadąc osobiście do Central City.

Julia jęknęła, przeciskając się obok Gabrielle na werandę.

- *Mon Dieu* - westchnęła, wznosząc ręce ku niebu, jakby prosiła o boską interwencję. - A nie możesz napisać do tego Jordana Haysa i spytać go, co on wie?

- On pewnie nic nie wie. Gdyby wiedział, toby przecież coś napisał. Jadę, Julio. Już zdecydowałam.

Julia objęła ramieniem rzeźbiony słupek werandy i okręciła się wokół niego, żeby spojrzeć na przyjaciółkę.

- I nic, co powiem, nie odwiedzie cię od tego postanowienia? - upewniła się po chwili milczenia.

- Nie - potwierdziła Gabrielle i uśmiechnęła się szeroko.

- Zdajesz sobie sprawę, mon amie, że może ci się nie spodobać to, co odkryjesz?

- Owszem.

- Ale kiedy już odkryjesz to, co jest do odkrycia, wrócisz do Nowego Orleanu, prawda?

- Oczywiście. - Gabrielle dołączyła do Julii na werandzie. - Mam nadzieję, że wystarczy tych pieniędzy, bym mogła otworzyć własną szkołę. Właśnie tak planowałam wykorzystać mój fundusz powierniczy.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała Julia z westchnieniem.

- W ten piątek.

- W piątek? - Julia puściła słupek. - Dobrze, że mam spędzić resztę tygodnia w Nowym Orleanie z moją siostrą. Musimy zrobić mnóstwo zakupów, jeśli masz być gotowa na piątek. - Chwyciwszy Gabrielle za rękę, pociągnęła ją przez dziedziniec w stronę klasztornej bramy.

Gabrielle ze śmiechem próbowała się opierać.

- Julio, zaczekaj chwilę. Pieniędzy wystarczy mi jedynie na opłacenie biletów i dwutygodniowy pobyt w hotelu.

- Masz tylko tyle? - Julia aż przystanąła.

- Tylko tyle. Nie mogę sobie pozwolić na żadne zakupy.

Julia najpierw zmarszczyła brwi w wyrazie zatroskania, a potem rozjaśniła się w nagłym uśmiechu.

- No to już wiem, co ci sprawić na pożegnalny prezent.

- Co?

Biorąc przyjaciółkę pod rękę, Julia znów ruszyła ku bramie.

- Ciepły płaszcz.

Gabrielle roześmiała się serdecznie, dając wyraz ciepłym uczuciom wobec tej pięknej, żywiołowej kobiety, która była jej bliska od czasów dzieciństwa. Pobyty u wesołej, ceniącej uroki życia rodziny St. Etienne w ozdobionym białymi kolumnami domu na plantacji nad Missisipi pomagały uśmierzyć ból samotności, który zawsze Gabrielle doskwierał.

Uśmierzały ból, ale nie zdołały zapełnić dotkliwej luki w jej życiu. Ponieważ tak naprawdę mógł ją zapełnić jedynie własny dom i własna rodzina.

Gabrielle głęboko wciągnęła powietrze tak ostre, że aż raniło płuca. Z zasnutego bielą nieba leciały płatki śniegu. Poczowała ich chłodne dotknięcia na policzkach, kiedy

przystanąła, unosząc głowę, by rozejrzeć się ponad miastem przyklejonym do skrawka ziemi w Clear Creek Canyon i rozchodzącymi się promieniście wąwozami przypominającymi blizny.

Właściwie były dwa miasta ukryte w górach wysoko ponad Denver. Black Hawk, ze stacją kolejową, zajezdnią i rzędem jedno- i dwupiętrowych zabudowań, zajmowało prawie cały wąski pas płaskiej ziemi nad strumieniem. Central City natomiast zbudowane zostało na zboczu góry; domy stały jakby ściśnięte wzdłuż wąskich, stromych uliczek. Obok prymitywnych chat pyszniły się dostatnie drewniane wille, a zbite z surowych desek tancbudy schowane za krzykliwie podmalowanymi fasadami sąsiadowały z neoklasycznymi fasadami banków, biur prawnych i bogatych sklepów ze szklanymi witrynami. Cała ta miejska zabudowa kuliła się zgodnie pod grubą narzutą śnieci, jakby szukała schronienia przed naporem potężnego górskiego masywu.

Wiatr znów uderzył Gabrielle w plecy z taką mocą, że aż się zachwiała. Nic zwalniając kroku, otuliła się tylko mocniej swym nowym płaszczem z irlandzkiej wełny.

Nevada Street, tak nazwał tę zasypaną śniegiem drogę człowiek, który Ją przywiózł na strome zbocze ze stacji w Black Hawk. Był więcej niż chętny zawieźć ją na sam szczyt wąwozu.

Tylko, że kiedy podała dokładny adres, zarówno w zachowaniu woźnicy, jak i pracownika stacji, który zgodził się przechować jej bagaże, pojawiło się coś, co siostry od świętej Agnieszki nazwałyby poufałością. Nie rozumiała tego i poczuła się tak skrępowana, że w końcu postanowiła wysiąść na skrzyżowaniu Nevada Street z główną ulicą.

Nagle stopy Gabrielle rozjechały się na boki; rozpostarła ręce, żeby zachować równowagę. Wcale nie było łatwo brodzić w trzy lub czterocalowej warstwie puchu, która zdążyła zebrać się na chodniku od czasu, gdy ktoś go ostatnio odśnieżał. Czowała, jak wilgoć przesiąka przez cienką podeszwę butów, mocząc pończochy. Uznała, że musi jak najszybciej sprawić sobie odpowiednie zimowe obuwie.

Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, gdy obie nogi uciekły jej do przodu i wylądowała jak długa na plecach.

- Nic się pani nie stało?

Gabrielle zamrugła, strzepując z rzęs śniegowe płatki i podniósłszy wzrok, ujrzała małą dziewczynkę z grubymi blond warkoczami oraz kobietę o pociągłej twarzy w brzydkim czarnym kapeluszu, patrzące na nią z góry. Mina kobiety wyrażała troskę zaprawioną podejrzeniem, ale dziewczynka uśmiechała się szeroko. Gabrielle z trudem złapała oddech.

- Nic. Dziękuję. - Usiadła. - Może mogłybyście mi pomóc? Szukam domu, który należał do Celeste DuBois.

Kobieta aż się zachnęła, z sykiem wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Ladaco - prychnęła. Złapała dziecko za rękę i pociągnęła je za sobą, jakby Gabrielle oznajmiła, że ma tyfus, Gabrielle pozbierała się z ziemi, otrzepała spódnicę i ze zdumieniem patrzyła na oddalającą się szybko parę. Kobieta nie obejrzała się ani razu, ale dziewczynka, wykręcając szyję, przyglądała się Gabrielle z nieukrywaną ciekawością.

- Mama mówi, że w tym wielkim białym domu mieszkają nieprzyzwoite panie. Jesteś nieprzyzwoitą panią?

Kobieta głośno uciszyła dziecko i chwyciła je mocno za ramię zmuszając do szybszego marszu.

Gabrielle spojrzała w stronę jedyne go dużego białego domu w wąwozie. Stał przy samym końcu ulicy, w otoczeniu drzew. Nie mogła uwierzyć, że odziedziczyła udziały w tak wielkiej budowli. Wliczając poddasze, dom miał trzy poziomy, okazałą białą fasadę, wieżyczkę ze stożkowatym dachem i biegnącą dookoła werandę, dosłownie kapiącą od drewnianych rzeźbionych zdobień. Poniżej domu rozciągały się inne zabudowania w postaci stajni, stodoły, jakichś szop, a nieco

wyżej na wzgórzu, wbudowane w strome zbocze, widniały pozostałości czegoś, co wyglądało jak chata poszukiwacza złota.

Ruszyła w dalszą drogę; oblepiony śniegiem brzeg spódnicy i halki ziębił ją w kostki. Palce w namokniętych rękawiczkach boleśnie sztywniały jej z zimna. W środku jednak nie czuła chłodu, ponieważ zaczynał się w niej tlić niepokój. W żaden sposób nic potrafiła sobie wytłumaczyć dziwnego zachowania ludzi za każdym razem, gdy w tym mieście wymieniła nazwisko Celeste DuBois.

Podeszła pod białą budowlę i przystanęła, odczuwając dziwny lęk przed wejściem do środka. Z trudem zmusiła się do otwarcia bramy w płocie oddzielającym zaśnieżone podwórze od ulicy.

Zawiasy skrzypnęły, kiedy puszczone luźno brama zatrzasnęła się i Gabrielle ruszyła świeżo odmiecioną ścieżką ku szerokim drewnianym schodom.

Na szczycie schodów znów przystanęła. Serce trzepotało jej w piersi jak oszalałe. Nie było dzwonka. Uniosła ciężką falową kołatkę umieszczoną pośrodku masywnych drzwi i zastukała.

Cichy stuk zakłócił głęboką, wręcz nienaturalną ciszę uśpionych pod śniegiem wzgórz. Nie było słyhać żadnych kroków, ale kiedy wpatrywała się w czerwone światło zapalone we frontowym oknie, drzwi nagle uchyliły się na parę cali.

W szczelinie ukazał się postawny Chińczyk w długiej pikowanej koszuli wypuszczonej na luźne niebieskie spodnie. Gabrielle uznała go za Chińczyka, ponieważ miał skośne oczy i czarne włosy ściągnięte w warkoczyk. Tylko że jego włosy były lekko kręcone, cera dziwnie ciemna, a poza tym jak na Azjatę wydawał się wyjątkowo rosły. Miał co najmniej sześć stóp i ramiona szerokie jak kowal.

- Pomyliła pani dom? - zapytał bez zainteresowania.

Gabrielle pokręciła głową.

- Nazywam się Gabrielle Antoine. Przyjechałam spotkać się z panem Haysem.

Twarz mężczyzny nadal wyrażała całkowitą obojętność. Gabrielle zganiała się w duchu za niecierpliwość, która kazała jej przyjechać prosto do tego domu. Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Wysłałam mu depezę, więc powinien się mnie spodziewać. Jeśli go w tej chwili nic ma, może mogłabym wejść i poczekać? Okropnie zmarzłam.

Odźwierny zamrugął, a potem skinął głową i szerzej uchylił drzwi.

- Proszę za mną.

Wstrzymując oddech, Gabrielle przestąpiła próg.

Znalazła się w obszernym holu, obitym u dołu boazerią w kolorze burgunda. Resztę ścian pokrywała tapeta w złote wzory, aż po fryz utrzymany w odpowiednio dobranych odcieniach. Z ciężkiego od sztukaterii sufitu zwisał potężny kryształowy żyrandol z jedwabnymi chwostami w kolorze identycznym jak na taflach boazerii. Ściany po obu stronach holu obwieszane były lustrami w złożonych ramach i olejnymi obrazami przedstawiającymi nagie kobiety. Ich blade, niemal przezroczyste ciała odbijały od soczystej zieleni tła. Bogate, nachalne ciepło wnętrza przedziwnie kontrastowało z chłodną, czystą bielą wzgórz na zewnątrz.

Kiedy Gabrielle posłusznie sunęła za olbrzymem po grubym pluszowym dywanie wyściełającym hol, dobiegł ją dźwięk popularnej melodii wygrywanej przez kogoś na fortepianie.

Zaciekawiona spojrzała przez sznury kryształowych koralików wiszących w łukowatym przejściu po prawej stronie i ujrzała piękną kobietę w jedwabnym szlafroku, siedzącą przy instrumencie, także utrzymanym w barwach czerni, burgunda i złota. Obok stała kobieta o kasztanowych włosach i perłowobiałej skórze, odziana jedynie w cienką koszulę i halkę.

Zażenowana Gabrielle spłonęła rumieńcem, szybko odwracając wzrok.

- Proszę tu zaczekać. - Chińczyk otworzył jakieś drzwi, wskazał jej pomieszczenie przypominające gabinet i odszedł.

Stała na środku pokoju, zaciskając nerwowo dłonie. Serce biło jej głośno. Co to za dom? Kim była Celeste DuBois, że zadawała się z kobietami paradującymi w samych halkach, bez skrępowania przed obcymi?

Jej uwagę przyciągnęło tykanie stojącego na półce nad kominkiem niewielkiego zegara w stylu Ludwika XVI. Wkrótce miało zacząć się ściemniać; zimą zmierzch na Północy zapadał bardzo szybko. Postanowiła zaczekać jeszcze pięć minut. Potem musiała wyjść, żeby mieć dość czasu na znalezienie hotelu i sprowadzenie bagaży ze stacji.

Dziwnie niespokojna, ściągnęła rękawiczki i zaczęła się przechadzać po gabinecie, oglądając potężne orzechowe biurko z blatem wyłożonym zieloną skórą, stojące przy nim krzesła, oszklone biblioteczki, elegancki dywan pod stopami. W przeciwieństwie do pozostałej części domu, którą zdążyła obejrzeć, to pomieszczenie wyróżniało się kolorystyką- królował błękit i zieleń - oraz dobrym gustem. Było oazą chłodu w zalewie palącego żaru.

Nagle dostrzegła wiszący na odległej ścianie obok podwójnego okna olejny obraz. Portret młodej kobiety. Pięknej

młodej kobiety o jasnych włosach, w niebieskiej jedwabnej sukni ze srebrną koronką.

Gabrielle nie mogła oderwać oczu od malowidła. Nie rozpoznawała kobiety, ale ta suknia...

- Sądzę, że Celeste musiała być mniej więcej w pani wieku, kiedy powstał ten obraz - rozległ się niski męski głos. – Może trochę młodsza.

2

Gabrielle odwróciła się raptownie. W progu stał jakiś człowiek. Wysoki, szczupły mężczyzna cały w czerni, niczym diabeł - czarny surdut i spodnie, czarna jedwabna kamizelka, czarny krawat. Tylko koszula była biała, z prawie niewidocznym żabotem, który w najmniejszym stopniu nie łagodził surowości stroju. Patrzył na nią z uwagą, bez cienia przychylności.

Odchrząknęła z zakłopotaniem. Czuła się niepewnie sam na sam z tego rodzaju osobnikiem. Gorąco pragnęła, żeby sobie poszedł.

- Czekałam na pana Haysa - powiedziała. - Gdyby pan mógł mu powiedzieć, że tu jestem...

- Ja jestem Jordan Hays.

- Pan? - Wpatrywała się w niego z osłupieniem. Wyobrażała sobie Jordana Haysa jako podstarzałego dżentelmena z siwymi bokobrodami i usposobieniem pocziwego wujaszka. Nawet jej się nie śniło, że może być młody, i onieśmielający.

Podobnie jak jego ubranie, on sam także wydawał się dziwnie mroczny. W słabym świetle śnieżnego popołudnia jego włosy sprawiały wrażenie prawie czarnych. Miał też ciemną

cerę. Pomyślała, że pewnie spędził długie lata, jeżdżąc pod ostrym zachodnim słońcem, skoro nabrał tak głębokiej opalenizny, tylko że...

Trudno jej było wyobrazić go sobie jako kowboja. Nie przypominał żadnego z tych jeźdźców, których widywała na okładkach popularnych powieści. Nieznaczny ruch jego dłoni przyciągnął jej wzrok do broni widocznej na biodrze i natychmiast przyszło jej do głowy, że może być rewolwerowcem. W tej roli łatwiej mogła go sobie wyobrazić. Z całą pewnością było w nim coś niepokojącego. Już sama jego twarz, z wystającymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzonymi oczami, przyciągała uwagę.

Uśmiechnął się nieznacznie pod jej zaciekawionym spojrzeniem.

- Najwyraźniej spodziewała się pani kogoś innego.

Uświadomiła sobie, jak nieuprzejme jest takie gapienie się na rozmówcę. Jej zdziwienie także musiało mu się wydać niezbyt grzeczne.

- Przepraszam, po prostu zakładałam, że jest pan starszym człowiekiem.

Podszedł do stolika na wrzecionowatych nóżkach stojącego przy drzwiach i wziął do ręki kryształową karafkę.

- Wygląda pani na zziębniętą. Może odrobinę brandy?

- Nie, dziękuję.

Wyjął korek i sięgnął po kieliszek. Przy każdym ruchu piękny materiał surduta napinał się na jego barczystych ramionach.

- Ale nie ma pani nic przeciwko temu, że ja się napiję?

Potrząsnęła głową, a on już sobie nalewał. Czysty brząk karafki o szkło kieliszka zabrzmiał niespodziewanie donośnie w cichym pomieszczeniu.

- Po co pani przyjechała? - spytał nagle, odstawiając karafkę na srebrną tacę.

Gabrielle zawahała się. Jak miała wytłumaczyć temu mrocznemu obcemu typowi, co kazało jej jechać przez pół kontynentu na to dzikie, zaspypane śniegiem odludzie? Jak miała to powiedzieć, że choć dorastała w wygodzie i pod dobrą apteką, czuła się samotna i pozbawiona matczynej miłości?

Nawet nie próbowała.

- Nie słyszałam o panie Celeste DuBois, dopóki otrzymałam pańskiego listu. Byłam ciekawa, dlaczego wyceniła mnie w swoim testamencie.

- Ona nie chciała, żeby pani tu przyjeżdżała.

Ciężkie polano osunęło się na palenisku, posyłając snop iskier do komina. Gabrielle zrobiło się duszno; rozpięła trzy górne guziki płaszcza.

- Dlaczego nie chciała, żebym tu przyjeżdżała?

Podniósł kieliszek do ust i pociągnął spory łyk.

- Na pewno chce pani usłyszeć odpowiedź?

Jego słowa przypomniały jej o czymś, co mówiła Julia. Poczowała narastający ucisk w żołądku, który niewątpliwie był rodzącym się lękiem, ale udało jej się zachować spokojny głos.

- Nie przyjeżdżałabym tutaj, gdyby mi na tym nie zależało.

- Na niektóre rzeczy człowiek nigdy nie jest przygotowany - zauważył sentencjonalnie. Gabrielle wydało się, że słyszy w jego słowach echo jakiegoś dawno pogrzebanego cierpienia. - Niektóre rzeczy odmieniają człowiekowi życie, zmieniają jego samego, tak że potem już nic jest tym, kim był wcześniej. Byłoby mądrzej, panno Gabrielle Antoine, natychmiast opuścić ten dom. - Uniósł dłoń, w której trzymał kieliszek, wskazując w stronę wyjścia. - Złapać najbliższy pociąg do Nowego Orleanu i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszała pani o Celeste DuBois. Zapomnieć, że w ogóle widziała pani to miasto i ten dom. Pozwolić mi wszystko sprzedać i przysłać pani pieniądze, tak jak było w planie. - Wykrzywił usta w niemiłym uśmiešku. - A może dlatego właśnie pani przyjechała? Bo sądzi pani, że nie może mi ufać?

- Nie, wcale nie o to chodziło - zaprzeczyła szybko. - Tylko... - Nie chciała wyjawiać prawdy, ale też nie mogła

pozwolić, by sądził, że wątpi w jego uczciwość. - Widzi pan, moja matka umarła, kiedy miałam pięć lat. Wychowałam się w klasztorze, gdzie nikt nic o niej nie wiedział... ani o reszcie mojej rodziny. Pomyślałam, że przyjeżdżając tutaj mogłabym się czegoś dowiedzieć. Cokolwiek byłoby lepsze niż nic.

- Tak pani sądzi? - Pociągnął brandy, obrzucając ją spojrzeniem, pod którym zrobiło jej się nieswojo. Nie była przyzwyczajona, by mężczyzna przyglądał jej się tak... otwarcie. Poczula, że robi jej się nieprzyjemnie gorąco. - A może – mówił dalej, przeciągając sylaby - ludzie, którzy panią wychowywali wiedzieli coś, czego według nich nie powinna się pani nigdy dowiedzieć.

Postanowiła nie zwracać uwagi na ogarniający ją strach.

- Nic lubię pozostawać w nieświadomości. Cokolwiek by to było, chcę wiedzieć. I mam zamiar pytać, dopóki nie znajdę osoby, która mi to powie.

Jednym szybkim ruchem opróżnił kieliszek.

- W porządku, panno Antoine. Sama pani chciała, więc proszę bardzo. - Odwrócił się i odstawił pusty kieliszek. Pani matka nie umarła, kiedy pani miała pięć lat, jak pani sądzi. Umarła w zeszłym miesiącu. Nazywała się Celeste DuBois, a tam na ścianie wisi jej portret.

Gabrielle podążyła wzrokiem za jego skinieniem do obrazu przedstawiającego jasnowłosą kobietę. W uszach jej dzwoniło i miała przedziwne wrażenie, że zapada się w bezdenną otchłań. Wszystko w niej protestowało przeciwko temu, co właśnie usłyszała. Oderwała wreszcie oczy od portretu.

- Nie - wykrztusiła, wolno kręcąc głową na boki. – Nie wierzę panu. Pan kłamie. Nie wiem dlaczego, ale pan kłamie.

- Doprawdy? - Odepchnął się od stolika i zbliżył się do niej dwoma szybkimi krokami. Kładąc jej ręce na ramionach, zmusił ją, by znów spojrzała na malowidło. - Niech pani się dobrze przyjrzy - rozkazał. Słyszała jego ostry głos tuż przy uchu. Jego ręce ciążyły jej na ramionach. - Nawet w klasztorach są lustra, prawda? Proszę mi powiedzieć, że nie widziała pani tych samych szarych oczu. Ilekroć na siebie spojrzała przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Nie.

- Przyznaję, że nie jest pani aż tak podobna, żeby ktoś mógł panią rozpoznać na pierwszy rzut oka. Ma pani odcień włosów bardziej złocisty niż płowy, nie tak prosty nos i twarz nie tak doskonale owalną. Ale widziałem tylko dwie kobiety o takich ustach. Jedną jest pani. Drugą była pani matka.

- Nie! - Wyrwała się z uścisku i stając naprzeciw spojrzała w tę obcą męską twarz, w zielone oczy o zaciętym wyrazie. –

Nie - powtórzyła. Była bliska krzyku i nic na to nie mogła poradzić. - Moja matka nie żyje. Powiedzieli mi, że nie żyje. O Boże, nie rozumie pan? Dlaczego miałyby odejść, zostawiając mnie samą, gdyby żyła? - Głos jej się załamał.

Stał nieruchomo, obserwując ją bez słowa. Zastanawiała się, jak może być tak okrutny i nieczuły.

- Jeszcze się pani nie domyśliła, co? - Prześliznął się po niej wzrokiem. Z bolesną ostrością odczuła swoją młodość, brak doświadczenia, niewiedzę. Ucisk -w piersi utrudniał jej oddychanie.

- Domyśliła czego? - wyszeptała ostrożnie.

- Co to za dom.

„W tym domu mieszkają nieprzyzwoite panie”. Potrząsnęła głową.

- To nie jest zwykły dom, panno Antoine. To interes. Bardzo udany, lukratywny interes, który Celeste i ja prowadziliśmy do spółki. Ja zajmowałem się kasynem. A pani matka kierowała prostytutkami.

- Nie! - Odsunęła się od niego, wciąż potrząsając głową, przecząc jego słowom, przecząc temu wszystkiemu, co wyczuwała, czego nie chciała wiedzieć. - Nie!

- Tak. - Szedł za nią, onieśmielająco męski, z zastygłymi w kamień rysami. -Dlatego zostawiła panią w Nowym Orleanie,

ponieważ nie chciała wychowywać dziecka w burdelu, i dlatego też nie chciała, żeby pani tu przyjeżdżała. Nie chciała, żeby pani to widziała. Nie chciała, żeby jej córka wiedziała, że była prostytutką,

Otwartą dłońią wymierzyła mu policzek, tak głośny i mocny, że aż głowa odskoczyła mu na bok. Wstrzymała oddech, przykładając obie ręce do ust. Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła.

Powoli odwrócił głowę; ich spojrzenia znów się spotkały.

- Sama pani pytała.

Odwróciła się do niego tyłem, owładnięta uczuciami, których ani nie rozumiała, ani w żaden sposób nie umiała opanować. Miała wrażenie, że coś stoi jej w gardle i puchnie. Chciała go przeprosić za to, że go uderzyła, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Słyszała, że przeszedł przez gabinet do stolika z trunkami. Słyszała bulgotanie płynu nalewanego do kieliszka, głośny stuk odstawianej karafki. Podeszedł do niej tak blisko, że czuła żar bijący od męskiego ciała.

- Proszę to wypić. Podał jej kieliszek w połowie wypełniony napojem o cierpkim zapachu.

Pokręciła głową.

- Nie. Nie mogę. Nie pijam alkoholu - odmówiła.

- Proszę wypić - nalegał. Potrzebuje pani tego.

Patrzyła na jego długie, opalone palce, zaciśnięte na drogim kryształowym kieliszku. Czuła się dziwnie odurzona i zdezorientowana, jakby przez pomyłkę wkroczyła w cudze życie. Wzięła od niego kieliszek i ostrożnie pociągnęła łyk bursztynowego napoju. Poczowała przyjemny chłód na języku, ale gdy ośmielona przełknęła, strumień ognia sparzył jej gardło.

Zaniosła się gwałtownym kaszlem. Brandy niebezpiecznie zachlupotała w kieliszku.

- Proszę mi to dać, zanim pani wyleje. - Wyjął jej kieliszek z ręki. - Czyżby pani nigdy w życiu nie piła alkoholu?

- Nie. Tylko wino.

- Powinienem był się spodziewać.

Ciągle wstrząsał nią kaszel.

- Nic pani nie jest? - spytał, ściągając czarne brwi w wyrazie zatroskania.

- Nic - wychrypiała, ocierając załzawione oczy. - Muszę przyznać, że istotnie mocno działa.

- Prawie tak mocno jak policzek.

Znieruchomiała; dopiero po chwili zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- Jestem panu winna przeprosiny. Prosiłam, żeby mi pan powiedział prawdę. Nie powinnam była wyładowywać na panu złości i żalu z powodu tego, co pan miał do powiedzenia.

- Rozumiem. - Słowa zabrzmiały niespodziewana współczująco, choć ton nadal był chłodny i bezosobowy.

Jeszcze nigdy nie spotkała nikogo podobnego. Przyglądała się z niepokojem temu przystojnemu mężczyźnie, który nosił broń tak, jakby była nieodłączną częścią jego ciała. Który prowadził jaskinie hazardu i mieszkał w przybytku rozpusty. Przypomniał jej się fragment tragedii *Ryszarda* ///; niepokojące słowa, które natrętnie dźwięczały jej w mózgu niczym ponure ostrzeżenie. *Strzeż się go, książę, uciekaj od niego. Grzech, śmierć i piekło stemplem go swym znaczy*.

Zdjęta nagłym lękiem, zapragnęła natychmiast znaleźć się jak najdalej od tego domu. Od tego człowieka.

Wzdrygnęła się, kiedy zastukała kołatka u drzwi wejściowych. Zaraz potem rozległ się wysoki dźwięk dzwonka, a następnie piskliwy kobiecy głos.

Oboje równocześnie zwrócili się w stronę, skąd dochodziły odgłosy, jakby ożywił ich nagle ten sam strumień energii, dotąd zastygły.

- Nie powinna pani tu być - odezwał się Hays, ruszając do drzwi, skutecznie zasłaniając jej widok na hol swą potężną sylwetką. - Powiem, żeby Wing Tsue sprowadził sanie, i odwiozę panią do hotelu Teller House.

- Ale... - zaczęła Gabrielle, lecz jej słaby głos utonął w rubasznym męskim rechocie.

- Chodź do tatusia, Jill Dziecinko - buczał głośny baryton. - Ty mała nienasycona pożeraczko mężczyzn.

Gabrielle bezwiednie pisnęła, zszokowana.

- To musi być Jaff Hogan - oznajmił Hays z lekkim uśmiechem rozbawienia. - Zawsze, kiedy tu przychodzi, domaga się towarzystwa Jill. Lepiej niech pani tu poczeka.

Gabrielle przytaknęła skinieniem. Jednak kiedy Hays wychodził, udało jej się dojrzeć postawnego mężczyznę w czerwonej koszuli z rudymi włosami opadającymi na ramiona. Kręcił się dookoła, trzymając za ręce roześmianą dziewczynę o pszenicznych włosach, odzianą jedynie w czarny gorset, czerwone buty na wysokich obcasach i pończochy podtrzymywane czerwonymi podwiązkami.

Gabrielle wycofała się w głąb gabinetu, stając oko w oko z portretem na ścianie. Uświadomiła sobie, że cała drży. Nie z zimna bynajmniej, lecz z gorącej, nieposkromionej wściekłości, jaką wzbudzał w niej widok tej kobiety. Celeste DuBois. Jej matki. Jej matki, która najwyraźniej złamała te wszystkie zasady, jakie wpajano młodym dziewczętom, takim jak Gabrielle. Zasady, które miały szanować i stosować. Matka, która kiedyś dała Gabrielle poczucie bezpieczeństwa i miłości.

A potem ją porzuciła, zostawiła pod opieką obcych ludzi, zapewniając jej dostatnie, lecz żałośnie samotne życie.

Łukowato wygięte płozy sań z cichym szumem cięły zaśnieżoną drogę. Zasnute chmurami niebo stopniowo gasło, temperatura spadała. Przy każdym oddechu Gabrielle z jej ust wydobywał się mroźny biały obłoczek.

Zerknęła na człowieka siedzącego obok niej na skórzanej kanapie błyszczących fioletowych sań. Patrzył prosto przed siebie spod ronda nisko zsuniętego na oczy kapelusza, usta miał zaciśnięte w wąską linię. Odniosła wrażenie, jakby się od niej oddalił, wycofał duchem w jakieś dalekie, sobie tylko znane miejsce. Nie mogła jednak zapomnieć o jego niepokojącej fizycznej bliskości, podobnie jak o rozmowie, którą odbyli w domu.

Domyślała się, że niełatwo mu było mówić jej o matce. Jednakże, choć miała świadomość, że nie powinna go winić, bo to niesprawiedliwe, czuła do niego tylko złość. Złość i niechęć.

Trzymając się krawędzi siedziska, odwróciła głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na wielki biały dom u szczytu wąwozu. Z kilku kominów unosiły się smugi sinego drzewnego dymu, a okna lśniły złotawo w chłodnej poświacie zapadającego

zmierzchu. Najwyraźniej jednak widać było światło czerwonej latami.

Gabrielle wpatrywała się w to niesławne czerwone światło, dopóki zmęczony wzrok nie zaszedł jej mgłą. Zdawało jej się, że jest przygotowana na najgorsze. Uważała, że starczy jej sił, żeby znieść wszystko, co może ją spotkać. Ale świadczyło to jedynie o jej błogiej naiwności. Bo nigdy sobie nie wyobrażała aż tak strasznej prawdy i nie śniło jej się nawet, że przyjemne, bezpieczne iluzje, z jakimi dotąd żyła, mogą się rozwiać w mgnieniu oka, stawiając ją w obliczu świata grzechu i nieprawości, które z trudem potrafiła zrozumieć.

Gabrielle po raz pierwszy usłyszała o burdelach od Julii St. Etienne. Julia, która pojawiła się w klasztorze w wieku trzynastu lat, niczym powiew świeżego powietrza z szerokiego świata, szybko wzięła się do prostowania tego, co uznała za rażące niedomówienia w życiu Gabrielle.

- Te stare zakonnice trzymają cię tu pod kloszem i założę się, że nawet nic wiesz, kto to jest nierządnicą – powiedziała Julia któregoś gorącego sierpniowego dnia, kiedy siedziały ramię w ramię, bełtając bosymi stopami mętłą wodę rzeki przepływającej majestatycznie obok plantacji St. Etienne'ów.

- Oczywiście, że wiem - obruszyła się Gabrielle, odrzucając dumnie głowę. - To osoba, która niczym nie rządzi.

Julia padła na plecy, zanosząc się piskliwym śmiechem.

- Nie, głupia. Nierządnicą to kobieta... królowa nocy. - Przetoczyła się na brzuch, podpierając głowę na łokciach. – Louis wszystko mi powiedział. - Louis był bratem Julii i czasami nie dość uważał na to, co mówi przy swej młodszej siostrzyczce. - On mówi, że inaczej nazywają się prostytutkami. Mieszkają w domach zwanych burdelami i sprzedają swoje ciała każdemu mężczyźnie, który jest w stanie im zapłacić.

- Ludzi już się nie sprzedaje - zauważyła Gabrielle, dumna, że wie coś, o czym Julia najwidoczniej nie ma pojęcia. – Jankesi zrobili z tym porządek.

- One nie są sprzedawane jako niewolnice, głupia. One pozwalają mężczyznom używać swego ciała za pieniądze. I nie na stałe. Na jedną noc albo tylko na godzinę, albo jak tam długo u zajmie.

Gabrielle wyciągnęła się na boku, z zaciekawieniem wpatrując się w przyjaciółkę.

- Dlaczego jakiś mężczyzna miałby kupować ciało kobiety? Żeby co z nim zrobić?

- Chcesz powiedzieć, że tego też nie wiesz?

Gabrielle potrząsnęła głową.

Więc Julia jej opowiedziała. Z detalami.

- W życiu nie słyszałam czegoś tak obrzydliwego - prychnęła Gabrielle. Usiadła wyprostowana, zaciskając mocno kolana, jakby ta straszna rzecz mogła zaraz jej samej się przydarzyć. - Nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby jakiś mężczyzna mi to zrobił.

Julia zmarszczyła nos.

- To brzmi okropnie, prawda? Może dlatego prostytutki są tak pogardzane. Louis mówi, że to rozwiązłe istoty, całkowicie pozbawione wstydu. Niegodne szacunku.

Zimny wiatr spłynął z gór, podrywając tumany śniegu z zasp na poboczach drogi. Gabrielle odwróciła się, wbijając wzrok w swoje dłonie w rękawiczkach, zaciśnięte na kolanach. Zastanawiała się, co Julia i jej kulturalna rodzina pomyśleliby o niej teraz, odkrywszy prawdę? St. Etienne'owie, z takim namaszczeniem podchodzący do nazwisk i rodzinnych koligacji. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale głos uwiązł jej w gardle i zakłuł w piersi. Uzmysłowała sobie, że to wcale nie był śmiech.

Zerknęła w bok na mocne, obciążone skórzanymi rękawicami dłonie trzymające lejce. Ręce szulera i rewolwerowca. Nie mogła uwierzyć, że siedzi w saniach z takim człowiekiem; na moment ogarnęła ją panika, gdy wydało jej się, że ze swego dobrze znanego życia wpadła w coś mrocznego i niebezpiecznego.

- Mam wejść z panią do hotelu? - odezwał się pierwszy, przerywając długie milczenie.

- Nie, dziękuję - odparła, choć nigdy przed wyjazdem z Nowego Orleanu nie mieszkała w hotelu.

- Co pani zrobiła z bagażami?

- Zostawiłam na stacji. Bagażowy zaoferował, że ich przypilnuje.

- Mam nadzieję, że mu pani nie wyjawiała, dokąd się wybiera.

Gabrielle poczuła ogień na policzkach, przypomniawszy sobie zachowanie pracownika stacji, kiedy spytała, jak się dostać do domu Celeste DuBois.

- Obawiam się, że powiedziałam.

Widziała, jak mu się napinają mięśnie szczęki i wokół ust powstają niewielkie bruzdy. Przyszło jej na myśl, że takie zmarszczki tworzą się zwykle przy uśmiechu, ale nie widziała go przecież uśmiechniętego.

- Chyba pani rozumie, że musiał panią uznać za prostytutkę? - zapytał.

Pokiwała tylko głową; nie miała odwagi się odezwać. Dotarło do niej wszystko po kolei, kiedy czekała w gabinecie, aż sianie zostaną przygotowane do jazdy. Zjawiło się jeszcze dwóch klientów. Zamknęła drzwi, odgradzając się od nich, od ich

rubasznych, na wpeł zrozumiałych słów, od nieznanym, przerażających dźwięków.

Odgradzając się od prawdy,

- Tylko dwa rodzaje kobiet miały jakieś sprawy do Celeste DuBois - mówił dalej, niezrażony jej milczeniem. - Stare Azjatki, które przychodzą codziennie do sprząwania i prania. No i prostytutki. - Czwała na sobie jego palący wzrok, choć była odwrócona w drugą stronę. - A pani nic wygląda na sprzątaczkę.

- Nic wyglądam też na... - Wciągnęła głęboko powietrze i zacisnęła usta. Nie potrafiła się zmusić do wypowiedzenia tego słowa.

- Nie w tym stroju. Ale na tyle przypomina pani matkę, że Wing Tsue dostrzegł podobieństwo, kiedy się pani uśmiechnęła.

Domyślała się, że Wing Tsue to ten wielki, śniadoskóry Azjata, który jej otworzył drzwi, ale nie chciała pytać dla pewności, ponieważ wcale nie chciała wiedzieć. Nie chciała wiedzieć nic więcej na temat tego domu ponad to, czego już się dowiedziała.

- Jeśli wyglądam tak jak ona tylko wtedy, kiedy się uśmiecham, to wątpię, by ktoś z miasta mógł mnie rozpoznać - zauważyła cierpko. - Nie jest mi specjalnie do śmiechu. - Właściwie trudno jej było uwierzyć, że w ogóle jeszcze kiedyś będzie się uśmiechać.

Za to on parsknął śmiechem tak głośnym, że spojrzała na niego zaskoczona.

- Wcale się nie dziwię. - Ich spojrzenia się spotkały; Gabrielle miała wrażenie, że dostrzegła w jego oczach jakiś nowy błysk, który jednak szybko zgasł. Skrzywił się lekko. - Chyba teraz pani rozumie, że powinna była od razu wyjść z tego domu, tak jak radziłem.

- Nic mogłam.

- No tak, pewnie. - Dotarli do miejsca, gdzie Nevada Street łączyła się z główną ulicą. Hays skupił uwagę na mlecznobiałej kłaczy ciągnącej sanie, kierując ją na lewo. - Gdyby się pani chciała dowiedzieć czegoś więcej o matce - zaczął po chwili, nie patrząc na Gabrielle - mógłbym...

- Nie, dziękuję - przerwała mu szybko i wpatrzyła się w rząd obwieszonych soplami, bliźniaczo do siebie podobnych drewnianych budynków. Wysoko na wzgórzu widać było miejski cmentarz; ponure, oblepione śniegiem konary osik zdawały się drapać ciemniejące niebo. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce. Te przytłaczające góry i tego groźnego człowieka, który wyjawiał jej brzydką, brutalną prawdę. Czuła się zdruzgotana, zraniona, pusta w środku. Nie była w stanie słuchać niczego więcej.

- Nie, dziękuję - powtórzyła. - Zamierzam wyjechać zaraz z rana. - Z ironią pomyślała o tym, jak spieszno jej było tu przyjechać. Teraz tak samo niecierpliwie paliła się do wyjazdu.

Zatrzymał sanie przed wielkim ceglanym hotelem, wyraźnie górującym nad sąsiednimi, drewnianymi zabudowaniami. W fasadzie znajdowało się kilka par podwójnych drzwi; jedne były otwarte i ukazywały gruby czerwony dywan, elegancki połysk polerowanego drewna i nadszpiegowanie bujną zieleń doniczkowych palm.

Patrząc na brokatowe zasłony i koronkowe firany w oknach, Gabrielle pomyślała, że hotel Teller House musi być drogi. Dobrze, że miała się w nim zatrzymać tylko na jedną noc. Nazajutrz zamierzała wyruszyć z powrotem do Nowego Orleanu, ku swej niepewnej przyszłości.

- Będę potrzebował podpisu na dokumentach sprzedaży domu, zanim pani wyjedzie - powiedział, oplątując lejce na metalowej barierce.

- Tak, oczywiście. Przywiozłam je ze sobą. Zostawię je w recepcji.

- Przyjadę po nie rano. Mogę wtedy przywieźć biżuterię pani matki, jeśli pani sobie życzy. I jeśli coś jeszcze chciałaby pani zatrzymać...

- Nie, nic nie chcę - wtrąciła pośpiesznie.

Przyjrzał jej się uważnie, a potem wysiadł i obszedł sanie dookoła, żeby jej pomóc. Na chodniku wciąż leżała gruba warstwa śniegu. Zauważyła, że stanął na szeroko rozstawionych nogach dla lepszego zachowania równowagi.

Podawała mu rękę i ostrożnie wysiadła z sań. Kiedy mocno zacisnął palce na jej dłoni, poczuła bijącą od niego energię, która nie wiedzieć czemu wzbudziła w niej lęk. Ostatecznie nie było nic nadzwyczajnego w tym, że mężczyzna pomaga kobiecie wysiadać z sań. Mimo to jego gest wydał jej się dziwnie nieprzyzwoity, być może dlatego, że wiedziała, z kim ma do czynienia, i miała świadomość, co się dzieje w domu, który właśnie opuścili.

Była zadowolona, kiedy ją puścił i był gotów odjechać.

- Wstąpię na stację i każę tu przysłać pani rzeczy - powiedział, sadowiąc się w saniach, z lejcami w dłoniach.

- Dziękuję. To bardzo miło z pana strony.

Zaśmiał się, wykrzywiając usta w szczególny sposób. Pomyślała, że ten człowiek często musi się śmiać z życia i z otaczającego go świata. Przyszło jej też do głowy, że jego śmiech pewnie pochodzi bardziej z głowy niż z serca.

Uśmiech powoli zamarł.

- Miło? Nic, nie jestem miły. - Ściągnął rękawicę z lewej ręki i niespodziewanie leciutko dotknął palcami jej ust. – Niech

pani stąd wyjedzie - powiedział cicho, z twarzą znów zaciętą i nieodgadnioną. - Najszybciej jak może. I nigdy nie wraca.

Mogła cofnąć głowę, ale tego nic zrobiła. Stała nieruchomo i patrzyła na niego. Patrzyła, jak szarpnął lejcami i sanie szybko ruszyły. Potem, uświadomiwszy sobie, co zaszło, rozejrzała się niespokojnie w obawie, że ktoś ją widział z tym człowiekiem.

Z człowiekiem, który się trudził hazardem i mieszkał z kobietami oddającymi swoje ciała obcym za pieniądze. I któremu najwyraźniej wcale nie ciążyła broń u pasa.

Niepokojący fragment z Ryszarda III znów zadudnił jej echem w głowie. Grzech, śmierć i piekło stemplem go swym znaczą.

Grzech i piekło, pomyślała.

Grzech, śmierć i piekło.

Zimą w Colorado Rockies szybko zapadała ciemność.

Nim Jordan dostarczył Gabrielle bagaże ze stacji i odjechał spod hotelu, zapadła noc zimna, okrutna i piękna.

- No, wspinaj się, mała! - zawołał do białej klaczy ciągnącej sanie. - Zimno jak diabli. - Klacz parsknęła, zatrzęsła łbem i wydychając kłęby pary, mocniej napała na chomąto, spiesząc do ciepłej stajni i pełnego żłobu. Jordan lekko trzymał lejce między palcami, pozwalając, by koń sam prowadził do domu.

Do domu. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że myśli o Przybytku Celeste jako o swoim domu. Zaskoczyło go to i zmartwiło zarazem.

Niektórzy mężczyźni szukali w życiu miejsca na zapuszczenie korzeni. Jordan Hays do nich nie należał. Przemieszczał się, żeby nigdzie dłużej nie zagrzeć miejsca. Wszystkie ziemskie sprawy, o jakie ludzie zwykle zabiegali, były dla niego przeszłością. Przeszłością, która zakończyła się jakieś dziewięć lat temu, tamtego strasznego wiosennego dnia pod Appomattox, kiedy zostawił za sobą poczerniałe, zarosłe zielskiem ruiny niegdyś ukochanego życia i wyruszył na zachód.

Słodki ból ścisnął go w piersi, pozbawiając tchu, jak zawsze, gdy myślał o Sophie. Swej pięknej, kochającej żonie Sophie. Pamiętał ostatni raz, kiedy ją widział, stojącą przed wejściem do domu, z jedną ręką wzniesioną w geście pożegnania, drugą wspartą na wydatnym brzuchu, gdzie nosiła jego dziecko...

Odegnął natrętne myśli. Obrazy Sophie roześmianej, wyciągającej do niego ramiona, Sophie leżącej pod nim, z ustami rozchylonymi ze szczęścia. Wspomnienia zbyt bolesne do zniesienia, marzenia rozbite na zbyt drobne kawałki, by można je było jeszcze kiedyś odtworzyć.

Zmrożony śnieg skrzypiał pod płozami, kiedy sanie ostro skręciły w Nevada Street, szarpnięciem przywołując go do rzeczywistości. Nie było jeszcze późno, ale ziąb wypłoszył przechodniów i po pustych cichych ulicach snuł się jedynie zapach dymu z palonego drewna.

Podniósł wzrok na potężne, lśniące bielą zbocza górujące nad skromną zabudową miasta. Próbował sobie wyobrazić, jak dziwny i przytłaczający musi się wydawać ten krajobraz dziewczynie wychowanej na gorących równinach Nowego Orleanu. Już samo spotkanie z majestatycznymi górami i surowością górniczego miasta, takiego jak Central City, musiało być dość trudne dla Gabrielle Antoine, nie mówiąc o tym, że musiała tu właśnie wysłuchać przygnębiającej prawdy.

Jednak kiedy ją zostawiał w Teller House, wydawała się względnie spokojna, choć miał świadomość, że pod chłodną powierzchownością musiała szaleć burza emocji.

Pomyślał, że Celeste byłaby zadowolona; siostrzyczki od świętej Agnieszki dobrze wychowały jej córkę. Sytuacja wydawała mu się jednak smutna i zarazem pełna ironii, ponieważ wątpił, by Gabrielle miała kiedykolwiek docenić bezpieczne dzieciństwo i klasztorne wychowanie. Jordan wiedział, że Celeste trzymała się z dala od córki powodowana miłością. Ale sama Gabrielle odbierała to inaczej - uważała, że matka ją porzuciła. Przypomniawszy sobie wyraz jej szarych oczu i

poczuł dziwnie niepokojące ukłucie w sercu. Wcale mu się ono nie podobało.

Nie podobało mu się także fizyczne wrażenie, jakie na nim wywierała, ale to przynajmniej łatwo było zrozumieć. Gabrielle Antoine była urodziwą kobietą, o pięknym słonecznym kolorze włosów i pełnych, zmysłowych ustach, które przywodziły mężczyznom na myśl długie gorące noce wypełnione cielesnymi rozkoszami. Gdyby nie była niewinną dziewczyną... i do tego córką przyjaciółki, długo by się nie zastanawiał. Ale w tej sytuacji...

W tej sytuacji doszedł do wniosku, że jej poranny wyjazd jest najlepszym rozwiązaniem.

Na podwórzu któregoś z domów po lewej stronie drogi zaszczeakał pies; Jordan dostrzegł dwóch mężczyzn przedzierających się przez śnieg pod górę. Jeden z nich spojrzał na niego przez ramię, po czym szturchnął swego kompana, który zszedł z chodnika na ulicę, zastępując drogę saniom. Szybko wyciągnął rękę i chwycił spłoszoną klacz tuż pod wędzidłem.

Zwierzę szarpnęło łbem, prychając ze strachu. Jordan sięgnął po swego kolta. Rękawice i gruby kożuch trochę mu przeszkadzały, ale i tak zdążył wyciągnąć broń z olstra i wymierzyć, nim mężczyzna na chodniku wycelował do niego z winchestera.

- Niepotrzebny ci ten rewolwer, Hays - odezwał się napastnik, w którym Jordan rozpoznał Barta Tuckera, jednego z najbardziej niebezpiecznych zbirów Douga Slaughtera. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, nie? - Sam nie opuszczał strzelby.

Jordan spotkał się już kiedyś z Hartem Tuckerem, szczupłym, lecz silnym i całkiem bystrym, choć dość niskim. Jordan uważał, że Tucker nadrabia niedostatek wzrostu złośliwością. Złośliwością tak wielką, że graniczyła z szaleństwem. A to czyniło go nieobliczalnym.

- Możemy to tak nazwać- zgodził się Jordan, chowając broń. -- Wiem, kim jesteś. Moi przyjaciele zwykle nie mierzą do mnie z winchestera.

- Masz niezłą opinię, Hays - odparł Tucker. – Winchester miał tylko dopomóc, żebyś nas nie zastrzelił na powitanie. - Z wystudiowaną niedbałością oparł lufę na ramieniu.

- Skoro już się przywitaliśmy, może mógłbyś poprosić swojego kolegę, żeby puścił mojego konia?

- Co? Nic znasz Skeetera? To przecież Skeeter McCoy.

Przywitaj się, Skeeter.

- Slaughter chce z tobą gadać - oznajmił Skeeter bez zbędnych wstępów. - Właśnie szliśmy do Celesty, żeby ci to powiedzieć, kiedy Bart zobaczył, jak nadjeżdżasz.

Jordan przeniósł wzrok na osiłka trzymającego klacz. Miał nalaną, tępą twarz i masywny byczy kark. Zapewne miał pięść większą od mózgu, ale też wyglądał na osobnika, który znacznie częściej niż mózgu używa pięści.

Jordan wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że nie znaleziono winnego śmierci Celeste. Szeryf uznał, że zdarzył się wypadek. Ze ktoś poślizgnął się na śniegu, przypadkowo wystrzelił i poszedł dalej swoją drogą, nawet nie wiedząc, że jego ofiara wykrwawia się na śmierć w domu na wzgórzu. Co do plotek, że Slaughter wynajął ostatnio rewolwerowca... szeryf uznał, że prawo nie zabrania, by bogaci obywatele zapewniali sobie ochronę. Poza tym co najmniej trzydziestu ludzi mogło zeznać, że widzieli Barta Tuckera ze Slaughterem stojących razem przy barze w Srebrnej Ostrodze dokładnie w czasie, kiedy Celeste została śmiertelnie postrzelona. Więc musiał to być wypadek.

Ale Jordan nie bardzo wierzył w takie wypadki.

Ściągnął lejce.

- Powiedz Slaughterowi, że spotkam się z nim rano. A teraz, Jeśli zechcecie mi, panowie, wybaczyć...

Skeeter mocniej zacisnął dłoń na uprząży. Przestraszona klacz, rżąc, próbowała się cofnąć; zmrożony śnieg skrzypiał pod kopytami.

- Slaughter mówi, że chce się z tobą widzieć natychmiast - powiedział Skeeter.

- Chodzi o to - zaczął wyjaśniać Bart Tucker, gładząc kolbę strzelby - że Slaughter słyszał paskudne plotki, jakoby córka Celeste przyjechała do miasta. Przyszło mu do głowy, że może zmienić zdanie co do sprzedania mu tego domu. Rozumiesz, to go niepokoi. A Slaughter nie lubi się niepokoić. Powiedział, że jeśli się nie zgodzisz przyjść, to mamy sprowadzić dziewczynę, by mógł ją sam spytać, czego tu szuka.

Jordan zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

- Cóż, chyba nie chcemy, żeby Slaughter się niepokoił, co?
- Znow chwycił lejce, spoglądając wymownie na Skeetera. - Będzie mi łatwiej udać się do pana Slaughtera, żeby go uspokoić, jeśli Skeeter puści mojego konia.

Skeeter spojrział pytająco na swego kompana. Tucker pokiwał ręką, więc w końcu osiłek zszedł z drogi.

Jordan zawrócił niechętnego konia w stronę Lawrence Street.

- Wybacz, mała - mruknął. - Kolacja się trochę opóźni.

Złotawe światło lamp oraz gwar muzyki, śmiechów i donośnych głosów zakłócały spokój zimowej nocy, kiedy Jordan podjechał pod Srebrną Ostrogę na Lawrence Street, gdzie

Slaughter utrzymywał swoje biura. Wskoczywszy z sań, podszedł do klaczy i przez chwilę gładził ją po chrapach, nim wreszcie ruszył do wejścia.

Potężna ciemna postać oderwała się od muru i zastąpiła mu drogę.

- Sprzęt zostaje na zewnątrz - usłyszał Jordan. W powietrzu wykwitł biały obłok o zapachu tytoniu i whisky.

Jordan bez słowa schylił się, żeby odwiązać rzemienie olstra, a następnie odpiąć sprzączkę pasa. Rzucił pas z bronią pod siedzisko sań, potem zdjął rękawice i ciężki barani kozuch, także odrzucając je na sanie, po czym wreszcie pchnął drzwi do saloonu.

Srebrna Ostroga stała o szczebel wyżej od innych knajp w okolicy. Na podłodze lśniły wypolerowane dębowe deski, z sufitu mżył światłem kryształowy żyrandol, wydobywając blask z mosiężnych detali wystroju i luster. Była tam nawet scena okolona aksamitną czerwoną kurtyną, na której wędrowną trupą aktorów przebrana za Tyrolczyków tańczyła i śpiewała *Wiosnę w Alpach* do wtóru akordeonu.

Wymijając zatłoczone stoliki, Jordan dotarł do rzeźbionych schodów prowadzących na piętro. Bezszelestnie wspinał się po stopniach wyścielonych buraczkowym dywanem. Jednak na jego widok chudzielec o ziemistej cerze kręcący się po górnym holu

wypluł zapalną, której używał w charakterze wykałaczki, i wetknął głowę w uchylone drzwi.

- Już tu jest, szefie - powiedział do kogoś w środku.

Jordan usłyszał hurkot odsuwanej krzesła i ostry głos Slaughterera:

- Dawaj go tu!

Jordan pchnął na wpół otwarte drzwi i wszedł do biura.

Nadział się prosto na pięść Douga Slaughterera.

3

Dough Slaughter chrząknął z zadowoleniem, gdy przeciwnik padł na ziemię.

Dough Slaughter był potężnym typem. Dwieście trzydzieści funtów mięśni dopiero zaczynało wiotczeć i obrastać tłuszczem. Nadal dysponował zabójczym ciosem, choć podkręcone sumiaste wąsy i włosy przyklejone do czaszki brylantyną tu i ówdzie srebrzyły się już nitkami siwizny. Wciąż potrafił całkowicie unieszkodliwić przeciwnika jednym uderzeniem, tak jak za czasów, gdy nazywał się Danny O'Sullivan i ciężko zarabiał na życie w boksterskim ringu.

Tamte czasy dawno minęły. Od bardzo dawna nikt nie nazywał go Danny Boy, nikt nie ważył się patrzeć na niego z góry. Na Douga Slaughtera, którym się stał. Szacunek trudniej było zdobyć niż pieniądze, ale też był dwa razy cenniejszy.

Mężczyzna leżący na ziemi podniósł głowę i potrząsnął nią, jakby chciał odzyskać zmysły. Slaughter wprawdzie nadal mógł zabić człowieka, kiedy tego chciał, ale tym razem nie chciał. Wcześniej do niego dotarło, że siły można używać nie tylko po to, by zniszczyć, ale też, by zastraszyć.

Długie lata prowadzenia saloonów, szulemi i burdeli wyrobiły w nim głęboką pogardę dla ludzi, dzięki którym się

wzbogacił. Pijacy, prostytutki, hazardziści, dla niego wszyscy byli tacy sami. Łatwi do zastraszenia, łatwi do wykorzystania. Nie miał powodu sadzić, że ten, którego miał przed sobą, okaże się inny.

Kiedy Hays podnosił się wolno do pozycji siedzącej, a potem stawał na nogi, Slaughter dostrzegł błysk gniewu w jego zmrużonych oczach. Zaraz jednak Hays opuścił głowę, wyjmując z kieszeni chustkę, i Slaughter doszedł do przekonania, że tylko mu się zdawało.

- Za co mnie uderzyłeś? - spytał Hays, ocierając krew płynącą z rozcięcia pod prawym okiem.

- To był tylko przykład.

- Twoich manier?

- Tego, co robić z ludźmi, którzy wchodzą mi w paradę. A ty najwyraźniej nie wiesz, z kim masz do czynienia – warknął Slaughter. Był dumny ze swego niskiego, jakby wychodzącego z brzucha głosu. Niełatwo mu się było pozbyć irlandzkiego akcentu, który piętnował go jako członka narodu nieudaczników. Ale się udało. I jeśli zabierał się za jakieś przedsięwzięcie, jeszcze się nie zdarzyło, by nie zdołał dopiąć celu. A obecnie najbardziej ze wszystkiego chciał dostać w swoje ręce tę posiadłość na końcu wąwozu.

- Powiedziałbym: „*Strzeż się silnego jak wół Ajaxa...*” - Hays odwrócił się, by obejrzeć rozcięcie na twarzy w niewielkim lustrze wiszącym obok antycznego mahoniowego biurka. - ...ale ta epicka aluzja jest trochę nie na miejscu. Niestety, w tej chwili nie przychodzi mi na myśl żaden stosowny cytat z Arystofanesa.

Ogień na kominku poderwał się w górę z głośnym sykiem, napełniając pokój złocistym światłem i tańczącymi cieniami.

Slaughter zmarszczył brwi. Nie bardzo nadażał za swoim rozmówcą.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Hays odwrócił się na pięcie, stając plecami do ściany.

- O greckiej literaturze. A o czym ty chciałbyś rozmawiać?

- O Przybytku Celeste, do cholery! Slaughter oparł zaciśniętą pięść na wypolerowanym blacie, pochylając się ciężko nad biurkiem. Lubił swoje biurko. Był to osiemnastowieczny antyk, sprowadzony aż z Anglii. Niegdyś zdobiło wnętrza książąt Northumbrii. A teraz należało do niego, do Douga Slaughtera, człowieka, który przyszedł na świat w krytej strzechą chacie wyrobnika.

Slaughter lubił o tym myśleć, lubił kłuć ludzi w oczy swoim powodzeniem. Walczył, cierpiał, pocił się i broczył krwią, żeby dotrzeć tu, gdzie był dzisiaj. Był dumny z tego, co osiągnął, i nie

zamierzał pozwolić, żeby jakiś szuler sprzątnął mu sprzed nosa coś, co już uznawał za swoje.

- Mieliliśmy urnowe, Hays! - ryknął zza biurka. - Już ja się postaram, żebyś jej dotrzymał.

- Sądziłem, że postawiłem sprawę jasno: przyjmę twoją ofertę tylko wówczas, jeśli spadkobierczyni panny DuBois ją zaakceptuje.

- Taaak? A czego ona tu, u diabła, szuka?

Twarz Haysa zachowała całkowitą obojętność.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie próbuj mnie nabierać. Wiem wszystko o Gabrielle Antoine. Co to jest? Jakaś zmowa, żeby wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy?

- Osobiście wierzę, że ta młoda dama...

- Mogę podnieść do czterdziestu pięciu tysięcy dolarów. Ani centa więcej.

Slaughter zauważył leciutkie drżenie mięśni na szczęce Haysa.

- Ten interes jest wart więcej i dobrze o tym wiesz.

- Ten dom nie będzie nic wart dla żadnego z was, jeśli będziecie martwi. Powiedz jej to. Czterdzieści pięć tysięcy albo wycieczka w jedną stronę na cmentarz przy Eureka Gulch. Dla ciebie i twojej nowej przyjaciółki. Wybór należy do ciebie.

Hays oparł się o ścianę, z rękami wsuniętymi niedbale w kieszenie czarnego surduta.

- Nie lubię pogróżek.

- Nie? A ja nie lubię ludzi, którzy wycofują się z umów.

Chcę mieć ten dom. I męczy mnie twoje gadanie. Może powinienem tu zawołać paru moich chłopców, żeby cię przekonali, jak ważna jest dla mnie ta sprawa.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. - Jakby cudem w dłoni Haysa pojawił się mały pistolet, z lufą wymierzoną prosto w pierś Slaughtera. - Podnieś ręce i połóż na głowie, grzecznie i szybko. Naprawdę mnie wkurzyłeś, Slaughter. Nie rób niczego, co mogłoby mnie jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi, bo mógłbym cię zastrzelić.

Slaughter z niedowierzaniem wpatrywał się w wylot lufy. Otaczał się uzbrojonymi ludźmi, ale sam nigdy nic nosił broni. Jeśli już miał osobiście kogoś postraszyć czy unieszkodliwić, wolał to robić za pomocą pięści. To mu dawało większe zadowolenie i poczucie władzy. A lubił władzę.

Teraz jednak, trzymany na muszce, czuł się bezradny niczym ubogi irlandzki farmer, jakim był kiedyś.

Gdzieś głęboko w nim eksplodowała mordercza furia i rozchodziła się falami po całym ciele. Znajdując się pod

wpływem gniewu, Slaughter zwykle nie był w stanie jasno myśleć.

Tak samo czuł się tamtej nocy przed laty, kiedy jako wygłodniały i doprowadzony do ostateczności piętnastolatek porwał kamień i cisnął nim w arogancką, szyderczo roześmianą twarz angielskiego pułkownika, którego spotkał na drodze do Dublina.

Slaughter odruchowo postąpił krok do przodu, ale zatrzymał go lodowaty uśmiezek na ustach przeciwnika.

- Właściwie - wycedził Hays - zastrzelenie ciebie dosyć by mi się podobało.

Slaughter znieruchomiał pod wzrokiem Haysa. Spoczywało na nim spojrzenie bezwzględne rewolwerowca, nie szulera: zimne, twarde i nieustępliwe, niczym zima w Kolorado. Slaughterowi przebiegło przez myśl, że powinien był zwrócić na te oczy większą uwagę.

Splótł palce nad głową, szeroko rozstawiając łokcie.

- Dobrze - pochwalił Hays, kiwając pistoletem na boki. - Przysuń się bliżej kominka. Już! - dodał, widząc wahanie Slaughter'a.

Dławiąc się bezsilną wściekłością, Slaughter wypełnił polecenie. Poczul na udzie ciepło bijące od ognia.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię - zaczął Hays, wolno podchodząc do okna. - Jestem cierpliwy i zwykle niełatwo mnie wyprowadzić z równowagi. Ale ty się dziś posunąłeś za daleko, Slaughter. Bardzo mnie wkurzyłeś. Nie lubię być zaczepiany przez najemnych zbirów. Nie lubię, jak ktoś mi próbuje przefasonować twarz. I nie lubię, jak mi się grozi pogrzebem.

Trzymając broń wciąż wycelowaną w Slaughtera, Hays sięgnął za siebie lewą ręką i przekreślił okienną klamkę.

- Masz szczęście, Slaughter. Więcej szczęścia, niż ci się zdaje, ponieważ tak się składa, że nic mam ochoty prowadzić burdelu bez współpracownicy takiej jak Celeste. Ale nie nadużywaj swego szczęścia. Jeszcze raz wejdź mi na odcisk tak jak dzisiaj, a mogę się rozmyślić i zostać przy tym interesie na resztę życia. Tylko po to, żebyś nie dostał tego domu. A teraz odwróć się twarzą do ognia.

- Jeszcze cię dostanę, Hays - mruknął Slaughter, odwracając się posłusznie. Ale nawet w jego własnych uszach pogrożka zabrzmiała żałośnie.

- Nic mi nie zrobisz, jeśli ci zależy na tym domu – ostrzegł Hays. - I lepiej trzymaj się z dala od Gabrielle Antoine.

Zimny podmuch powietrza uderzył Slaughtera w plecy. Odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył, że okno wychodzące na

Lawrence Street stoi otworem, a wiatr brutalnie szarpie eleganckimi muślinowymi firankami.

- Tucker! McCoy! - wrzasnął, podbiegając do okna. – Ruszcie tu swoje leniwe dupy. - Wystawił głowę w zimną ciemność.

Zadymka ustawała; przesuwane się chmury odsłaniały połacie usianego gwiazdami nieba. Skute lodem miasto migotało w świetle księżyca, a na grubej warstwie śniegu pokrywającego dach ganku odcinały się wyraźnie ślady uciekiniera.

Slaughter dopiero po chwili dostrzegł Haysa, zwisającego na rękach z krawędzi dachu wysoko nad ulicą. Na moment zastygł w bezruchu, a potem skoczył, zwinnie jak kot, trafiając prosto w sanie ustawione przed wejściem do Srebrnej Ostrogi.

- Łapcie go, do diabła! - darł się Slaughter do ludzi, którzy powinni byli znajdować się na dole.

Ale Hays już zdążył chwycić lejce.

- No, dalej, mała! - zawołał, poganiając białą klacz. Zwierzę ruszyło z kopyta, wrywając oblodzone płozy sań z głębokich kolein. Po chwili, wzięwszy szerokim ślizgiem zakręt, gnali galopem w stronę Nevada Gulch.

Choć dawno sanie zniknęły mu z oczu, Slaughter wciąż słyszał tętent końskich kopyt bijących o zmarzniętą ziemię.

Gabrielle stała przy wysokim, okolonym satynową zasłoną oknie pokoju w hotelu Teller House i patrzyła na ośnieżone góry, które wychylały się z ciemności, wznosząc się złowrogo nad miastem.

Czuła się zdezorientowana, jakby rozdzielona z osobą, którą dotąd była. Dorastała, nie wiedząc prawie niczego o swojej rodzinie, o sobie samej. A teraz okazywało się, że nawet to, co wiedziała, było kłamstwem. Ponieważ jej matka wcale nie umarła przed laty. Żyła i prowadziła dom, będący siedliskiem grzechu.

Nie powinna była tu przyjeżdżać. Teraz to wiedziała. Bo lepiej nie wiedzieć, w ogóle nie wiedzieć, niż dowiedzieć się... tego.

Znów opanowała ją wściekła, przemożna chęć, żeby uciec z tego miejsca, od paskudnej, nieznośnej prawdy, którą tu odkryła. Ale już wiedziała, że nigdy od tego nie ucieknie. Oczywiście, może wyjechać z miasta jutro, tak jak zaplanowała. Tylko że nie należała do osób, które potrafią odrzucić prawdę, udać, że nie istnieje, żyć dalej, jakby nic się nie zmieniło.

Spotkała ludzi, którzy potrafili się w ten sposób oszukiwać, ale ona nie była jedną z nich. Bez względu na to, ile ją to miało kosztować i jak głęboko zranić, Gabrielle chciała się dowiedzieć wszystkiego.

Absolutnie wszystkiego.

Jordan pomyślał, że widok burdelu w bezlitosnym świetle poranka może być zaiste godny pożałowania.

Zatrzymał się w drzwiach kasyna, wodząc wzrokiem po zasłanych zielonym suknom stolikach, brudnych kieliszkach, rozrzuconych żetonach do pokera, cuchnących porcelanowych spluwaczkach. W przeciwieństwie do innych domów rozrywki, Przybytek Celeste był zbyt wytwornie urządzone i zbyt dobrze utrzymany, żeby sprawiać wrażenie spelunki. Ostre poranne światło nie ukazało nigdzie zatłuszczonej pozłoty, obłazącej farby, przetartego dywanu czy poplamionej tapety. Trudno byłoby jednak zaprzeczyć, że pozbawione dyskretnego oświetlenia i gwaru rozmów to miejsce wydawało się strasznie puste. Wydawało się... opuszczone. I może trochę smutne.

Jordan ziewnął, przeciągając się leniwie. Nagle znieruchomiał, bo coś za oknem przyciągnęło jego uwagę. Wolno opuściwszy ramiona, podszedł do pięknego wykuszowego okna, z którego widać było frontowy ganek, i odciągnął pas koronkowej firanki wiszący pomiędzy ciężkimi zielonymi zasłonami.

Burza śnieżna nękająca okolicę od trzech dni wreszcie na dobre ustała, pozostawiając po sobie nieskazitelnie czyste niebo.

Mrużąc oczy przed blaskiem słońca odbitego od bieli gór, przyglądał się kobiecie stojącej za bramą. Szczupłej, jasnowłosej kobiecie w szarym płaszczu z irlandzkiej wełny i rękawiczkach stanowczo zbyt cienkich na zimę w górach.

Cholera, zaklął w duchu. Miała się przecież szykować na powrót do Nowego Orleanu. Skąd się tu, u licha, wzięła?

Stała z głową lekko przechyloną na bok i wpatrywała się w Przybytek Celeste, jakby ten dom miał jej powiedzieć, czy to, co usłyszała o swojej matce, jest prawdą. A może chciała tylko zrozumieć? Szukała wyjaśnienia, dlaczego Celeste odeszła, zostawiając córkę i skazując ją na dorastanie w samotności.

Z początku sądził, że tylko po to przyszła: jeszcze raz popatrzeć na dom, spróbować pogodzić się z tym, co usłyszała, nim wyjedzie.

Potem zobaczył, jak podchodzi bliżej i sięga ku bramie. Nawet z daleka widział, że ręka jej się trzęsie. Dotknęła klamki i zaraz cofnęła dłoń, jakby zimny metal ją sparzył. Patrząc na nią Jordan zrozumiał, że to, co robiła, było w istocie wkładaniem ręki w ogień. Ogień piekielny.

Do tej pory świat, w którym żyła Gabrielle Antoine, był czysty, nieskomplikowany i nieskażony, jak dziewiczy śnieg na szczytach gór otaczających miasto. A po drugiej stronie bramy...

Po drugiej stronie leżał świat, o którego istnieniu dotąd tylko jej mówiono, zapewne zdyszczanym szeptem, pośród dziewczęcych chichotów. Świat rozpusty i nieprawości. Świat grzechu.

Wczoraj miała okazję się z nim zetknąć, tylko przelotnie i przez przypadek, ale i tak wywarł na niej pewne wrażenie. Gdyby się zdecydowała otworzyć tę bramę i ponownie wejść do tego świata, tym razem świadomie i z rozmysłem, uległaby zakażeniu. Powoli, niechybnie i nieuchronnie.

Widział, jak się cofnęła, i ze zdumieniem odkrył, że wstrzymał oddech.

Nie dbał o nic i o nikogo. Wszystko, w co wierzyła ta dziewczyna, co było dla niej ważne, czego w życiu pragnęła, jak rodzina, dom, miłość, umarło dla niego dawno temu. Może dlatego nagle wydało mu się istotne, żeby dla niej to wszystko pozostało żywe.

No, dalej, Gabrielle, pomyślał. Odwróć się i wracaj skąd przybyłaś. Odejdź od tego domu i jego sekretów... teraz i na zawsze. Zanim będzie za późno.

Ale ona go nie usłuchała. Znów położyła dłoń na klamce; po jej nienaturalnie wyprostowanej sylwetce poznał, że tym razem nie zamierza się wycofać.

Patrzył, jak otwiera bramę i maszeruje po odśnieżonej ścieżce do wejścia. I mimo wszystko poczuł szczerą podziw dla odwagi, jaką musiała w sobie wzbudzić ta kobieta, żeby wykonać pierwszy krok. Musiała sobie zdawać sprawę z tego, że następne mogą ją doprowadzić do zguby.

Kiedy dotarła do drzwi, czekał już na nią w progu.

- Nowy Orlean jest tam - odezwał się, wskazując pokryte śniegiem szczyty, zza których wyłaniało się słońce. - Nikt pani nie powiedział?

Zatrzymała się z jedną nogą na ostatnim stopniu, zadzierając głowę, żeby na niego spojrzeć. Była blada; delikatne rysy jej twarzy sprawiały wrażenie ściągniętych bólem. Widział ruch mięśni na smukłej szyi, kiedy przełykała ślinę.

- Przyszłam dowiedzieć się czegoś więcej o Celeste DuBois. O... mojej matce.

Właśnie skończył się golić, więc miał na sobie tylko czarne spodnie i białą koszulę, do połowy rozpiętą na piersi; szelki zwisały mu luźno na biodrach. Spłoszone spojrzenie Gabrielle zdradzało, że czuje się zakłopotana jego niekompletnym strojem, ale nie podciągnął szelek ani nie zapiął koszuli.

- Wie pani, co się mieści w tym domu.

- Wiem. - Weszła na ganek. - To dom rozpusty. Ale ona tu mieszkała.

Zajrzał jej w oczy, te dziwne szare oczy o srebrzystym odcieniu odziedziczone po matce, i odetchnął głęboko. Przypuszczał, że nie zdoła pojąć, dlaczego przyszła, co sprawiło, że podjęła tak trudną decyzję. Utrata własnej rodziny pozostawiła w sercu Jordana otchłań bólu. Ale wcześniej jego życie wypełniali najbliżsi. Matka, ojciec, bracia. Kochający, śmiejący się, dowodzący, wspierający się nawzajem przez te wszystkie lata, kiedy dorastał. Potrzeba, która kazała Gabrielle wspiąć się na szczyt wąwozu, do tego domu, była dla niego niezrozumiała.

Odsunął się, przepuszczając ją do środka.

Zamknął za nią drzwi. Zauważył, że omiotła szybkim spojrzeniem pokój gier po lewej stronie, a potem ukradkiem zerknęła poprzez sznury koralików do salonu, skąd bogato rzeźbiona balustrada schodów zapraszała do wejścia na górę.

- Mam panią oprowadzić? - podsunął.

Potrząsnęła głową; blade policzki zabarwił ostry rumieniec. Poranne słońce wdzierające się przez szybkę w drzwiach padało prosto na otwartą dziewczęcą twarz. Nie była może klasyczną piękną, jak jej matka, ale miała w sobie jakieś ujmujące ciepło i żywotność, jakąś wewnętrzną radość, której Celeste brakowało. A może kiedyś Celeste była taka sama, pomyślał. Zapewne to życie, jakie prowadziła, wyzuło ją z wszelkiej

naiwności i bezbronności, czyniąc z niej chłodną, wyrachowaną osobę, którą znał.

Zaniepokoił się, że to samo może spotkać córkę Celeste. Ale jeszcze, bardziej go martwiło, że obecność tej dziewczyny porusza w nim jakąś czułą strunę, której istnienia w swej wypalanej duszy już wcale się nie spodziewał.

Odwrócił się od niej.

- Nie będziemy zwiedzać? Więc może pójdzie pani ze mną do kuchni, to poszukam czegoś do jedzenia. Zostając tutaj, byłaby pani narażona na spotkanie z paroma zapóźnionymi klientami. I mogłaby się dowiedzieć o swojej matce i jej życiu więcej, niżby chciała.

Nie odezwawszy się ani słowem, ruszyła za nim długim, wyłożonym boazerią korytarzem, po starannie wypolerowanym parkiecie osłoniętym perskimi dywanami, pośród rzędów ponurych starych obrazów. Nie oglądał się, lecz czuł za plecami jej obecność. Wyczuwał napięcie w jej sztywno wyprostowanym ciele, uniesionej głowie i wbitym przed siebie wzroku, jakby te dwa szybkie spojrzenia na boki ukazały jej więcej tego domu, niż chciałaby zobaczyć.

Ogarnęło go kolejne niechciane uczucie - ni to żal, ni złość. Tej dziewczynie się wydawało, że może tu przyjść, zadać kilka pytań, wysłuchać paru opowieści, a potem odejść, raz na zawsze

odwracając się plecami do tego wszystkiego, o czym nic powinna się była dowiedzieć. Ale Jordan wiedział, jak będzie. Niezależnie od tego, co sądziła, z każdą podjętą decyzją, z każdym poczynionym krokiem coraz bardziej oddalała się od bezpiecznego świata niewinności, w którym dorastała. Równocześnie nieubłaganie i nieuchronnie zbliżała się do grzesznego, niebezpiecznego życia, od którego matka tak rozpaczliwie pragnęła ją chronić.

Rozpaczliwie i na próżno.

4

- **G**łodna? - Jordan oderwał piętke od jednego z bochenków chleba studzących się na kuchennym sosnowym kredensie obok zlewu i podał jej; kształtne śniade palce ścisnęły złocistą skórkę.

Patrząc na jego wyciągniętą rękę, Gabrielle pokręciła odmownie głową. Wprawdzie nie jadła śniadania, ale nie byłaby w stanie przełknąć nawet jednego kęsa.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Z jednej strony bardzo chciała usłyszeć coś więcej o kobiecie, która była jej matką, z drugiej jednak... Poza tym bardzo się bała. Strach ścisnął ją za gardło ciasną obręczą, wręcz utrudniając oddychanie.

Hays wzruszył ramionami i odwrócił się do stołu. Czysta biała koszula napinała się na jego plecach, kiedy kroił ser i nalewał sobie mleka do szklanki z dzbanka stojącego przy oknie. Przyłapała się na tym, że go obserwuje, w napięciu wyczekując, co powie. Zmusiła się do oderwania od niego wzroku i zaczęła się rozglądać po kuchni.

Pomyślała, że tak mogłaby wyglądać kuchnia w każdym dużym domu. W oknach wisiały żółte muślinowe zasłonki, na środku stał porządnie wyszorowany sosnowy stół, a na drewnianym bujanym fotelu przed piecem wylegiwał się rudo

pręgowany kot. W powietrzu unosił się lekko kwaśny zapach świeżo pieczonego chleba i żywiczna woń szczap trzaskających na palenisku. To mogła być kuchnia zwykłego dużego domu.

Ale to nie był zwykły dom.

- Proszę usiąść - zachęcił, wskazując jej krzesło ze szczebelkowym oparciem, jedno z kilku stojących wokół długiego stołu.

Ściągnęła rękawiczki, po czym zdjęła płaszcz i powiesiła go wraz z kapeluszem na haku przy kuchennych drzwiach. Odwróciwszy się, stwierdziła, że Hays przypatruje się jej z dziwnym błyskiem w oczach. Miała na sobie prostą szarą sukienkę zapiętą wysoko pod szyję, ale w jego spojrzeniu było coś takiego, że poczuła się skrępowana. Pożałowała, że ściągnęła płaszcz. Odsunęła krzesło przy końcu stołu, najbliżej pieca i szybko usiadła, krzyżując ramiona na piersi.

- Proszę. To powinno panią rozgrzać. - Postawił przed nią kubek parującego cydru. Słodki zapach jabłek załaskotał ją w nosie.

- Dziękuję. - Przytknęła dłonie do gorącego kubka i patrzyła, jak Hays sadowi się w krześle naprzeciwko niej. Niedopita koszula rozchyliła się, ukazując kawałek gładkiej śniadej piersi. Gabrielle szybko spuściła oczy.

- Poznałem pani matkę zaledwie parę miesięcy temu - zaczął, odgryzając kęs sera. - Nie mogę więc powiedzieć, że ją tak znowu dobrze znałem. - Wbił zęby w następny kawałek, a ona dalej nie mogła od niego oderwać oczu. Patrzyła na ruch mocnych szczęk. Na mięśnie szyi, poruszające się, kiedy przełykał.

Zgodził się z nią rozmawiać z czystej uprzejmości. Miała tego świadomość. Nie wyczuwała w nim żadnej wrażliwości, żadnego współczucia. Jakby miała przed sobą twardą skorupę człowieka. Jakby wszystko, co w nim było miękkie, bezbronne i czułe, dawno umarło. Żałowała, że to właśnie z nim musi rozmawiać, ale nie miała wyboru.

- Odpowiem na każde pani pytanie - obiecał.

Pociągnęła łyk cydru. Był słodki, ale zbyt gorący i sparzyła sobie język. Najbardziej ze wszystkiego chciała wiedzieć, dlaczego matka ją opuściła. Nie mogła się jednak zdobyć na zadanie tak osobistego pytania. Więc zamiast tego spytała:

- Wie pan, dlaczego wyjechała z Nowego Orleanu?

- Właściwie nie. Wiem, że miała tam dom, przed wojną. - Sięgnął po szklanekę z mlekiem i wychylił ją prawie do połowy. - Sądzę, że wpadła w jakieś tarapaty albo z władzami, albo z kimś na tyle potężnym, że wpędził ją w kłopoty.

Ręka Gabrielle zadrżała tak mocno, że omal nie wylała zawartości kubka.

- Chce pan powiedzieć, że prowadziła tam dom taki jak ten? W Nowym Orleanie? - Pomyślała o matce ze swoich wspomnień, pięknej jasnowłosej kobiecie ubranej w satynową suknię z koronkami, pachnącej drogimi perfumami. O kobiecie, która zawsze przychodziła ją całować na dobranoc. Próbowała sobie wyobrazić tę kobietę... wyobrazić sobie siebie w wieku pięciu lat, mieszkającą w domu takim jak ten, w siedlisku rozpusty. I nagle poczuła, jakby coś w niej pękło, jakby coś niezwykle ważnego wymykało się z jej życia.

- Zgadza się - potwierdził Hays, spokojnie jedząc swój chleb z serem. - Miała burdel na Prytania Street. - Spojrzał jej w oczy, a ona odwróciła się do ognia, pragnąc ukryć, jak bardzo jest wstrząśnięta, ukryć to wszystko, co czuła, ale nie chciała, żeby widział. Powtarzała sobie w duchu, że nie powinna go winić za to, że mówi jej takie rzeczy. Ale nie potrafiła w sobie stłumić niechęci.

- Po wyjeździe z Nowego Orleanu - ciągnął tym samym, pozbawionym emocji głosem - Celeste udała się do Kalifornii i pracowała tam w górniczych osadach. A potem, jakieś dziesięć lub dwanaście lat temu, przyjechała tutaj. Na początku miała dom przy Eureka Street. Oczywiście w niczym nie przypominał tego. Domyślam się, że to była raczej buda z drewna i płótna.

Przerwał na chwilę. Nie potrafiła na niego spojrzeć. Siedziała zapatrzona w migoczące płomienie i sama nie była pewna, czy chce, by mówił dalej. Jego słowa dudniły jej w głowie nieznośnym echem. *Celeste pracowała w górniczych osadach*. Celeste DuBois, kobieta, która dała jej życie, jej matka, pracowała jako... Gabrielle nie była w stanie nawet w myślach użyć tego określenia. Próbowwała sobie wyobrazić życie takiej kobiety, rzeczy, które musiała robić, ale nie mogła.

- Czy Celeste DuBois wiedziała, kto jest moim ojcem? - spytała rozdzierającym szeptem.

- Jeśli nawet wiedziała, nigdy tego nie wyjawiała.

- Noszę inne nazwisko. - Gabrielle upierała się rozpaczliwie. - Antoine, nie DuBois. - Miała poczucie, że zrywają się ostatnie nici wiążące ją z osobą, którą kiedyś była. Pokręcił głową.

- Nadała pani swoje panięskie nazwisko. Mnóstwo kobiet zmienia nazwisko, wchodząc do tego interesu. - Odsunął krzesło, żeby móc wyprostować długie nogi i skrzyżować je w kostkach. Wiedziała, że znów jej się przygląda. Wiedziała to, nawet na niego nie patrząc. Wyczuwała to w jakiś dziwny, nieznany wcześniej sposób. Nie odrywała oczu od ognia i jego skrzyżowanych butów. - Niełatwo tego słuchać, prawda? - powiedział niespodziewanie miękkim tonem.

Nie wiedzieć czemu jego nagła łagodność omal nie doprowadziła jej do płaczu. Musiała szybko zamrużyć, żeby powstrzymać łzy palące pod powiekami. Sama przecież domagała się tych informacji. Tego chciała, po to tu przyjechała. Nie czuła jednak podniecenia odkryciem. Nie było spełnienia, jakie miało jej dać poznanie prawdy o matce. Przeciwnie, całkowicie nieoczekiwanie i nader boleśnie przygniatało ją poczucie utraty. Wizerunek matki, jaki latami budowała w marzeniach, rozsypywał się w gruzy. I nie była pewna, czy sobie poradzi z rzeczywistością, która wyrastała na ich miejsce.

- Zauważyłem, że nie spytała pani, dlaczego zostawiła panią w Nowym Orleanie.

Podniosła wzrok i przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. W ciszy, przerywanej jedynie trzaskaniem ognia na palenisku, zdawało jej się, że słyszy pulsowanie krwi w swoim ciele, szmer powietrza wpływającego do płuc i wydychanego z powrotem.

Nie lubiła tego człowieka. Był dla niej uosobieniem podłego, zwyrodniałego świata, który odebrał jej matkę. A jednak nawiązywała się pomiędzy nimi jakaś szczególna, niezrozumiała i wcale przez nią nie chciana więź. Przyjazd do tego miasta, tego domu, odkrycie prawdy o matce, o sobie samej, okazało się najbardziej wstrząsającym i najtrudniejszym doświadczeniem w życiu Gabrielle. I czyjej się to podobało, czy nie przechodziła przez to wszystko prowadzona właśnie przez

tego człowieka. Mrocznego, niebezpiecznego i grzesznego typu, który wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny. I który zdawał się ją rozumieć... może nawet lepiej, niż ona sama siebie rozumiała.

Wstał, żeby odnieść talerz i szklanę do kamiennego zlewu.

- Spytałem Celeste o to, tamtego wieczoru, kiedy umarła. Nie wiem, dlaczego od razu nie zabrała pani do Kalifornii, ale wiem, że o mało po panią nie wróciła po zakończeniu wojny. W ostatniej chwili się rozmyśliła. Nie chciała, żeby jej córka wychowywała się w burdelu.

- Szkoda - powiedziała cicho Gabrielle. - Żałuję, że po mnie nie wróciła.

- Naprawdę? - Odwrócił się gwałtownie, przesywając ją spojrzeniem, w którym nie było śladu współczucia. - Tylko dlatego, że nigdy nie mieszkała pani w burdelu.

Od wejścia dobiegł brzęk szkła; obejrawszy się, Gabrielle ujrzała w progu kobietę dźwigającą wyładowaną tacę. Była młoda i ładna, miała dwadzieścia parę lat, ciemnoblonde włosy i jasnopiwe oczy. Ponadto, co Gabrielle przyjęła ze zgrozą, była w zaawansowanej ciąży.

- Panie, zmiłuj się - westchnęła z teksańskim akcentem, stawiając tacę pełną kieliszków obok zlewu. - Niechby ten

dzieciak się trochę pośpieszył z przyjściem na świat. Od lat tak ciężko nie pracowałam.

Gabrielle dostrzegła, jak pociągła twarz Jordana Haysa marszczy się w łobuzerskim uśmiechu. Takim go jeszcze nie widziała; uśmiech nadawał mu niebezpiecznie czarujący wyraz.

- Co? - zagadnął lekko kpiącym, choć dobrodusznym tonem. - Zbieramy kieliszki i ścielimy łóżka? *Gdyby dni wszystkie roku byty światem, zabawa nudną by laby jak praca* .

Gabrielle natychmiast rozpoznała cytat. Pochodził z *Henryka IV*. Wpatrywała się w Haysa w milczeniu, próbując dopasować tę niespodziewaną znajomość Szekspira do wyobrażenia, jakie dotąd miała o tym człowieku.

- He? - mruknęła niepewnie kobieta, mrużąc oczy. Nieudolnie starała się ukryć, że nie bardzo rozumie. - Tak czy owak, jestem zabawową dziewczyną i nie mogę się doczekać, kiedy do tego wrócę.

Odwróciła się do wyjścia, ale jej wzrok padł na Gabrielle siedzącą przy ogniu. Przystanęła, kładąc rękę na pękatym brzuchu.

- A ty coś za jedna? - spytała, nic kryjąc ciekawości. – Nie wiedziałam, że przyjmujemy nową dziewczynę.

Gabrielle miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Ja nie jestem... To znaczy, jestem... - dukała bezradnie.

- To córka Celeste - pośpieszył jej z pomocą Hays. – Ona nie jest prostytutką, Crystal.

- Córka Celeste? Z Nowego Orleanu? - Crystal rzuciła się do Haysa i ku zaskoczeniu Gabrielle zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta. - Och, Jordan, jesteś kochany! Wiedziałam, że nie sprzedasz naszego domu Dougowi Slaughterowi. Wiedziałam! Niech no tylko powiem dziewczynom. - Puściła go i odwróciła się, jakby natychmiast chciała biec do koleżanek z dobrą nowiną. Hays przytrzymał ją za ramię.

- Poczekaj. Przyjechała tylko po to, żeby sfinalizować sprawę sprzedaży.

- Sprzedaży? -jęknęła Crystal z rozczarowaniem, opierając się o Haysa, jakby wiadomość ją osłabiła. Gabrielle widziała, jak nagle jej młoda ładna twarz tężeje. Usta nadal rozciągał uśmiech, lecz w piwnych oczach pojawił się błysk wyrachowania. Dziewczyna wsunęła rękę pod rozpiętą koszulę Haysa i zaczęła go bezwstydnie gładzić po piersi. Zażenowana Gabrielle wbiła wzrok w podłogę. - Nie wierzę, że chcesz nas sprzedać temu staremu sukinsynowi. - Ton głosu Crystal współgrał z tym, co robiła jej ręka. - Wiesz, że żadna z nas nie ma ochoty dla niego pracować. Traktuje swoje dziewczyny jak śmiecie.

Gabrielle raptownie odwróciła głowę. Przypuszczała, że ta śliczna ciężarna kobieta pracuje jako sprzątaczką. Teraz już nie była tego taka pewna.

Hays wzruszył ramionami.

- Więc będziecie musiały sobie znaleźć nowy dom.

- Ale to on jest właścicielem prawie wszystkich domów w tym mieście.

- Więc znajdźcie sobie nowe miasto.

Crystal położyła otwartą dłoń na piersi Haysa i lekko go pchnęła.

- Jesteś podłym draniem, Jordanie Hays. -I wybiegła z kuchni.

Gabrielle patrzyła za nią przez chwilę.

- Z tego, co mówił pan wczoraj, odniosłam wrażenie, że kobiety, które tu sprzątaję, są Chinkami - powiedziała wolno.

- Bo są - potwierdził. - Crystal ma przerwę. — Sięgnął po jabłko do koszyka stojącego przy końcu blatu. Wgryzając się w błyszczący czerwony owoc, odsłonił równe białe zęby.

- Nie rozumiem. - Pokręciła głową bezradnie.

Spokojnie jadł jabłko.

- Kiedy dziewczyny nie mogą pracować na górze, pomagają przy gotowaniu i sprzątaniu. Nie lubią tego, ale Celeste uważała, że nie powinna ich żywić za darmo. Uznała, że wówczas

niektóre dziewczyny co tydzień udawałyby, że mają okres i mogłyby się stać nieostrożne w stosowaniu zabezpieczeń.

Gabrielle zrobiło się niedobrze z zakłopotania. W klasztorze siostry miały zwyczaj zamykać drzwi i ściszać głos do szeptu, kiedy przyszło im mówić o sprawach tak wstydlivych jak kobieca bielizna. O comiesięcznych kobiecych przypadłościach w ogóle się nie wspominało, co dopiero w mieszanym towarzystwie. Natomiast o błogosławionym stanie...

Nagle z góry dobiegł podniecony kobiecy głos. Hays skinieniem głowy wskazał na boczne schody.

- Dzięki Crystal za parę minut zleci się do tej kuchni połowa prostytutek mieszkających w tym domu, żeby obejrzeć sobie córkę Celeste - oznajmił sucho. Wyrzucił ogryzek do kubła pod zlewem i zaczął zapinać koszulę.

Gabrielle jeszcze nigdy nie widziała, jak mężczyzna zapina koszulę. Ta w gruncie rzeczy niewinna czynność wydała jej się dziwnie intymna, ale nie potrafiła się zmusić do odwrócenia wzroku.

- Chyba będzie lepiej - ciągnął, zakładając szelki na ramiona - jeśli weźmie pani swój płaszcz i kapelusz i pozwoli, bym ją odwiózł do hotelu.

Wstała i już sięgała po okrycie, kiedy drzwi kuchni otworzyły się z hukiem i do środka wpadło dwoje dzieci, przynosząc ze

sobą powiew rzeńskiego górskiego powietrza i drobinki śniegu na ubraniach.

Śliczna ciemnowłosa dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, pośliznęła się na kuchennej posadzce i ciężko runęła na ziemię.

Chudy płowowłosy chłopiec, który najwyraźniej ją ścigał, wskoczył jej na brzuch i próbował wcisnąć do ust śniegową kulę.

- Odwołaj to, Arabella! - wrzeszczał. - Odwołaj to natychmiast.

Arabella kopała i rzucała głową na boki, ale usta trzymała mocno zaciśnięte.

Jordan Hays pochylił się nad chłopcem i podniósł go za kołnierz.

- Beniaminie Franklin powiedział, stawiając chłopca na nogach i zwalniając uchwyt. - Musisz być naprawdę świetny w czyszczeniu stajni, synu, skoro tak szybko skończyłeś.

Benjamin Franklin spuścił głowę.

- Jeszcze nie skończyłem, proszę pana. - Rzucił wściekłe spojrzenie dziewczynce, która zdążyła się pozbierać z podłogi i przyglądała mu się ze złośliwym uśmiechem. - Ona powiedziała o mojej matce...

Coś w minie Haysa powstrzymało chłopca przed dopowiedzeniem reszty. Benjamin Franklin wytarł nos rękawem i powłócząc nogami skierował się do drzwi.

- Pójdę dokończyć robotę, proszę pana.

Kątem oka Gabrielle dostrzegła, że dziewczynka skrada się ku schodom. Nagle stanęła jak wryta, zatrzymana fałszywie miękkim głosem Haysa.

- Mam kazać, żeby Wing Tsue pogłębił studnię dla George'a?

Mówiąc to, nie patrzył na Arabelle, więc Gabrielle nie od razu się zorientowała, że uwaga jest skierowana do dziewczynki.

Arabelle odwróciła się wolno.

- Słucham?

Zadarł podbródek, żeby dopiąć kołnierzyk pod szyją, podczas gdy dziewczynka czekała, wyraźnie zdenerwowana.

- Wczoraj wieczorem widziałem tu Jeta Hogana – powiedział wreszcie, wygładzając gors koszuli. - Z tego, co wiem, zawsze opłaca towarzystwo Jill.

- Tak, proszę pana.

- Wiem także, że twoim obowiązkiem jest pilnowanie George'a, kiedy jego matka jest zajęta.

- Tak, proszę pana. Tylko że pan Hogan wyszedł dziś wcześniej i Jill zabrała ode mnie dziecko już przeszło godzinę temu. Naprawdę.

- Więc powinnaś być na górze i pomagać mamie przy słaniu łóżek. Poza tym, Arabello - dodał, kiedy zamierzała odejść - żebyś cię więcej nie złapał na dokuczaniu Benjaminowi Franklinowi. Słyszysz?

- Tak, proszę pana. - Rzuciła się po schodach na górę. Chude łydki w czarnych pończochach migwały pod falującą spódnicą.

- Co tu robią te dzieci? - zdumiała się głośno Gabrielle.

- Mieszkają wyjaśnił Hays, wybuchając śmiechem na widok przerażenia, wciąż malującego się na twarzy Gabrielle. - W większości burdeli są dzieci. Kiedy mężczyźni z kobietami robią to, co zwykle robi się w takich miejscach, rezultatem są dzieci, choćby dziewczyny były nie wiem jak ostrożne. Czy nie uczyli o tym w klasztorze?

Gabrielle czuła płomień na policzkach, lecz domyślając się, że Hays umyślnie stara się ją zgorszyć, nie dała się sprowokować.

- Ile dzieci mieszka w tym domu?

- W tej chwili pięcioro. Chociaż nie jestem pewien, czy należy liczyć Benjaminą Franklina, ponieważ jego matka uciekła

z jednym z klientów jakieś półtora roku temu, porzucając chłopca.

Gabrielle z trudem przełknęła ślinę.

- Czy one wiedzą, co się tu dzieje? Mam na myśli... - Zerknęła w stronę schodów. - Ta dziewczynka powiedziała...

Hays parsknął, odpychając się od blatu. Gabrielle odruchowo cofnęła się o krok.

- Oczywiście, że wiedzą - przyznał. - Jak mogłyby nie wiedzieć, mieszkając tutaj? Arabella za parę lat pewnie sama będzie tu pracować.

Gabrielle pokręciła głową z niedowierzaniem i obrzydzeniem zarazem.

- Och, nie... Z pewnością jej matka...

- Jej matką jest Crystal. Sama urodziła się w burdelu w El Paso. Prostytcja to jedyny sposób życia, jaki kiedykolwiek poznała. - Zbliżył się do niej z nieruchomą, zimną i zaciętą twarzą. - Nadal pani żałuje, że nie zamieszkała tu z matką, będąc w wieku Arabelli? Chciałaby pani być na jej miejscu?

Gabrielle zadrzała. Spojrzenie mu w oczy wiele ją kosztowało, ale zdobyła się na to. Miała mętlik w głowie. Wiedziała tylko jedno: że chce jak najszybciej znaleźć się z dala od tego domu. I od tego człowieka.

- Niech mnie pan odwiezie do hotelu - poprosiła.

Po opuszczeniu domu nie zawiózł jej prosto do hotelu.

Pojechali pod górę Eureka Gulch na miejscowy cmentarz.

Nie zdawała sobie sprawy, że tkwi w niej ta potrzeba, pragnienie, by zobaczyć grób matki, dopóki jej tego nie zaproponował. Gdyby to zrobił ktoś inny, uznałaby, że powoduje nim uprzejmość. W przypadku Haysa nawet całkiem zwyczajne gesty zdawały się nosić cechę okrucieństwa. Jakby kierowały nim motywy, których Gabrielle nie potrafiła odgadnąć.

Zostawili sanie na poboczu drogi i pieszo podeszli do kutej cmentarnej bramy.

- Grób Celeste jest tam - powiedział, wskazując na odległą stronę wzgórza.

Przyjrzała mu się ukradkiem. Chłód jakby jeszcze bardziej wyostrzył jego surowe rysy, nadając im groźny, ponury wyraz. Miał na sobie gruby barani kozuch i czarny kapelusz, nasunięty głęboko na oczy. Zauważyła na kapeluszu dziwną opaskę w postaci cienkiego paska kutego srebra, która mogła pochodzić z Meksyku. Przyłapała się na tym, że jest ciekawa, skąd wziął tę ozdobę i dlaczego ją nosi. Tak niewiele o nim wiedziała.

- Ziemia pod śniegiem jest nierówna - ostrzegł, niespodziewanie dotykając jej ramienia. - Proszę uważać, gdzie pani stawia stopę.

To było najłżejsze z możliwych dotknięcie, właściwie tylko muśnięcie palców o łokieć, ale Gabrielle aż zadrżała, bezwiednie wstrzymując oddech. Wytłumaczyła sobie zaraz, że to z obrzydzenia, i pilnowała, by utrzymać odpowiedni dystans, kiedy przedzierali się przez gęsty śnieg pomiędzy rzędami drewnianych krzyży, rdzewiejących barierek i granitowych pomników. Nie chciała ryzykować następnego przypadkowego zetknięcia.

Zimny wiatr pojękiwał żałobnie w koronach sosen, szarpał nagimi gałęziami osik, sterczącymi w górę na tle ciemniejącego nieba. Spojrzała w górę, dziwiąc się, jak szybko przejrzysty błękit poranka znika pod naporem gęstych chmur.

- Wygląda na to, że znów będzie padać - zauważył, podążając za jej wzrokiem. - Lepiej nie zatrzymujmy się tu na długo.

Przystanął obok białej marmurowej kolumny z neoklasyczną rzeźbą płaczącej kobiety. Gabrielle stanęła przy nim i cicho odczytała inskrypcję.

Celeste DuBois
Z domu Gabrielle Marie Antoine
urodzona 16 listopada 1833

zmarła 20 lutego 1874

Niech odpoczywa w spokoju

Gabriele odetchnęła głośno, uświadomiwszy sobie, że od dłuższej chwili wstrzymuje powietrze w płucach.

- Miała zaledwie czterdzieści lat. Młodo umarła.

- Nie wyglądała nawet na trzydzieści - powiedział Hals beznamiętnym tonem. - Chyba nie znałem w życiu piękniejszej kobiety.

Gabrielle ze ściśniętym gardłem wpatrywała się w przysypany śniegiem świeży grób.

- Kiedy byłam mała - zaczęła cicho - zakonnice powiedziały mi, że moja mama poszła do nieba, żeby żyć u boku Jezusa Chrystusa. Dokładnie tak to ujęły. Zapewne myślały, że zrozumie, co mi próbują przekazać, aleja nie rozumiałam. Myślałam, że po prostu żyje w jakimś innym miejscu. Mówiły mi też, że pewnego dnia będzie na mnie czekać, przy Perłowej Bramie. - Głos jej drżał i co chwila musiała przełykać ślinę. - Klasztor miał taką wielką kutą bramę pomalowaną na biało, więc myślałam, że to musi być ta Perłowa Brama, i stałam przy niej godzinami, czekając na przyjście matki. Dużo czasu upłynęło, nim zrozumiałam, że ona już nigdy nie wróci. Zakonnice chciały mi w ten sposób powiedzieć, że moja matka nie żyje.

Nie odezwał się. Stał obok, z rękami wciśniętymi w kieszenie kożucha, patrząc w dal ponad ciągnącymi się w dole rzędami domów.

- Ale ona żyła - powiedziała Gabrielle, znów czując w sobie wzbierającą złość na tę piękną, kochaną kobietę, która odeszła od swej pięcioletniej córki i trzymała się od niej z daleka przez cały okres dorastania. - Aż do teraz.

Uświadomiła sobie, że zaciska pięści i zmusiła się do rozprostowania palców. Nie powinna się złościć na zmarłą, ale też jeszcze nigdy w życiu nie czuła w sobie tyle gniewu. Zdała sobie sprawę, że ma za złe matce nawet to, że umarła. Umarła teraz, nawet nie spotkawszy się ponownie z córką. Nie wyjaśniwszy jej, dlaczego to wszystko się stało.

- Jak umarła? - spytała, spoglądając na Haysa.

Odwrócił ku niej głowę; wysoka szczupła sylwetka odcinała się ciemnym wyraźnym kształtem na tle okrytego śniegiem zbocza.

- Ktoś strzelił jej w plecy.

Gabrielle aż się zachwiała, jakby ktoś ją znenacka uderzył.

- Strze... lił? - wydukała, szeroko otwierając oczy.

- Kula wpadła przez frontowe okno.

Gabrielle z trudem wciągnęła lodowate powietrze.

- Ale... kto to zrobił? Kto ją zastrzelił? I dlaczego?

Potrząsnął głową. Nie była w stanie nic wyczytać z wyrazu jego oczu.

- Szeryf uznał, że to był wypadek.

Spodziewała się usłyszeć coś więcej, ale już nic nie dodał. Odwrócił się do niej plecami, podnosząc kołnierz kożucha dla osłony przed coraz mocniejszym wiatrem. Zrozumiała, że chce ją zostawić na chwilę samą.

Szybko uczyniła znak krzyża i zaczęła się modlić. Wargi bezgłośnie powtarzały odpowiednie słowa, ale patrząc na ośnieżoną mogiłę, Gabrielle była w stanie myśleć tylko jedno: *Dlaczego, mamo? Dlaczego mnie nie chciałaś? Nie kochałaś mnie?* Poczowała łzy wzbierające pod powiekami; niecierpliwie przetarła oczy wierzchem rękawiczki.

- Ona pani wcale nie porzuciła.

Jego słowa tak bardzo odbiegały od toku jej myśli, że z początku miała wrażenie, że tylko je sobie wyobraziła. Ocknęła się dopiero, kiedy mówił dalej:

- Byłoby łatwiej przywieźć dziecko tutaj i pozwolić, by dorastało w Przybytku Celeste, jak Arabella. Znacznie trudniej było tęsknić za córką przez cały ten czas i posyłać pieniądze na utrzymanie w klasztorze, nawet kiedy było o nie bardzo ciężko.

Zimny wiatr rozhulał się na dobre; szarpał połami jej płaszcza, wywiewał włosy spod kapelusza. Chciała uwierzyć w

to, co mówił, rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że pozostawienie jej w klasztorze było dla Celeste aktem poświęcenia, zrodzonym z tego wszystkiego, co szlachetne i wielkoduszne w matczynej miłości. Ale chcieć uwierzyć i wierzyć to nie to samo.

Owinąwszy się mocniej płaszczem, stanęła przodem pod wiatr, tak że zwiął jej z twarzy luźne kosmyki włosów. Nagle w pełni do niej dotarło to, co usłyszała, i palce przytrzymujące płaszcz same zawinęły się w szpony.

- Chce pan powiedzieć - zaczęła z wysiłkiem przez ściśnięte gardło - że pieniądze, za które żyłam przez te wszystkie lata... pieniądze na moim funduszu powierniczym... Że na to wszystko zarabiała w tym domu kobiety sprzedające mężczyznom swoje ciała?

Pokręcił głową, spoglądając na nią spod ronda kapelusza.

- Przeszkadza pani ta świadomość, co?

- Owszem, przeszkadza.

- To przecież nie była pani wina ani nie można na to teraz nic poradzić. Więc po co się dręczyć?

Nie była w stanie mu wytłumaczyć. Poczowała, jak wilgoć przenika przez cienkie podeszwy jej butów. W górze kłębiły się coraz cięższe białe chmury. Przebiegł ją dreszcz.

- Jestem gotowa, możemy już iść.

Ruszyli w kierunku cmentarnej bramy, nie odzywając się do siebie. Gabrielle wsłuchiwała się w chrzęst śniegu pod stopami, w żałobny szum sosen giętych wiatrem pędzącym od wąwozu, wdychała zimne powietrze nasycone zapachem palonego drewna.

- Naprawdę wierzy pan, że moja matka zginęła przez nieszczęśliwy przypadek? - spytała w końcu, kiedy milczenie stało się nie do zniesienia.

- Albo tak było, albo ktoś doskonale posługiwał się bronią - odpowiedział. Patrzył gdzieś ponad wierzchołkami drzew; wiedziała, że nic więcej z niego nic wydobędzie.

- Przeprowadził mnie pan tutaj, żeby mi to powiedzieć, prawda? - spytała, choć intuicja podpowiadała jej, że tak właśnie było.

- Owszem. - Byli już na drodze, niedaleko miejsca, gdzie zostawili sanie.

- Dlaczego? - Przystanąła; przy każdym oddechu otaczał ją obłok pary.

- Myślę, że już czas, by pani stąd wyjechała - rzucił szorstko.

- Mam zamiar wyjechać.

- Kiedy?

- Wkrótce. - Nagle poczuła się nieswojo pod jego uważnym spojrzeniem; odwróciła się, żeby jeszcze raz popatrzeć na usiane grobami wzgórze. - Chcę wyjechać. Tylko wiem, że jeśli wyjadę teraz, nic dowiedziawszy się wszystkiego, będę żałować. Nie rozumie pan? To byłoby jak... - Urwała, szukając w głowie właściwych słów.

- Ucieczka? - podsunął cicho.

Odwróciwszy się gwałtownie, napotkała jego chłodne, przenikliwe spojrzenie. Spodziewała się, że ujrzy na jego twarzy miękkość, taką, jaka pobrzmiwała w głosie, ale nie znalazła ani miękkości, ani śladu współczucia. Przeszło jej przez myśl, że Hays musi być dobrym szulerem. Nigdy nie było po nim nic widać.

- Tak - przyznała. - To byłoby jak ucieczka. A ja nie wierzę w sens ucieczek. Przynajmniej od prawdy.

Wtedy stwierdziła w duchu, że jednak się myli, że czasami jego twarz wcale nie jest taka nieodgadniona. Ponieważ w głębi oczu dostrzegła ciepły błysk, którego z całą pewnością wcześniej tam nie było, oraz leciutkie, dodające urody wygięcie ust w rodzącym się uśmiechu.

- Niektóre prawdy lepiej pozostawić w spokoju i odejść - powiedział cicho. - I tak dowiedziała się pani już więcej, niż Celeste by sobie życzyła, i widziała więcej, niż powinna widzieć

kobieta taka jak pani. Niewinność jest cenna i łatwo ją stracić. - Kiedy wyciągnął rękę, pomyślała, że chce dotknąć jej twarzy, tak jak to zrobił już wcześniej. - Wyjedź stąd, Gabrielle. Zanim będzie za późno.

A potem rzeczywiście jej dotknął, przesuwając leciutko palcami po jej podbródku.

Przebiegł ją dziwny, przyjemny dreszcz. I już wiedziała, że jego dotyk wzbudza w niej wcale nie wstręt, lecz coś zupełnie innego. Coś, od czego robiło jej się gorąco, coś grzesznego i wstydliwego. Opuściła głowę, bojąc się, że mógłby wyczytać z jej oczu zbyt wiele.

Nie rozumiała tego, co się z nią dzieje. Miała przecież do czynienia z podłym grzesznikiem, z człowiekiem, który z pewnością przez całe życie obrażał Boga. Człowiekiem, który ją przerażał i niepokoił. A mimo to... mimo to była nim zafascynowana.

Pomyślała, że w istocie najbardziej przerażające w nim było właśnie to, że ją fascynował.

- Proszę - odezwała się głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Niech mnie pan odwiezie do hotelu.

Szybko wsiadła do sań, nim zdążył podejść, by jej w tym pomóc. Przez całą drogę siedziała sztywno wyprostowana, uważając, by na niego nie patrzeć, a już tym bardziej się o niego

nie otrzeć. Tylko raz pozwoliła sobie na niego spojrzeć, dziękując mu, kiedy odjeżdżał spod hotelu. Miał wówczas twarz tak zamkniętą, tak daleką, że mogłaby pomyśleć, iż wymyśliła sobie tę chwilę wzajemnej bliskości przy cmentarnej bramie. Tylko że...

Tylko że nazwał ją po imieniu.

Stała na chodniku przez hotelem i z zadartą głową patrzyła na białe płatki sypiące się z nieba. Użył jej imienia i zabrzmiało to tak naturalnie, tak na miejscu, że nawet nie przyszło jej do głowy, by zaprotestować przeciw takiej poufałości. A potem dotknął jej twarzy, a ona nawet się nie poruszyła, bo tego także nic miała mu za złe.

Przecież naprawdę chciała, żeby to zrobił. Ta myśl wzbudziła w niej poczucie winy i wstydu, więc szybko opuściła głowę, weszła do hotelu i szerokimi, wyściełanymi czerwonym chodnikiem schodami udała się do swojego pokoju. Chciała, żeby jej dotknął. Chciała jeszcze raz doświadczyć tego dziwnego, przyjemnego i grzesznego uczucia, jakie ją ogarniało wtedy, gdy jej dotykał... a czasami nawet wtedy, kiedy tylko na niego patrzyła.

Targana wyrzutami sumienia wsunęła klucz do zamka i parę razy bez skutku próbowała przekręcić, nim wreszcie się

zorientowała, że nie jest zamknięty. Zaskoczona nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Pokój był duży i jasny, z szerokim łóżkiem nakrytym szydełkową narzutą i dwoma fotelami obitymi różową satyną, stojącymi pod wysokim, podwójnym oknem wychodzącym na ulicę.

W pierwszej chwili Gabrielle pomyślała, że musiała pomylić pokoje, ponieważ na łóżku leżała, wyciągnięta w niedbałej pozie, jakaś kobieta. Piękna kobieta w jedwabnej sukni w jaskrawe zielono-białe pasy, z bufiastymi rękawami lamowanymi koronką i głębokim dekoltem, odsłaniającym prawie całe ramiona i sporo obfitych piersi. Z gęstych rudych włosów upiętych w połowie na czubku głowy, w połowie puszczonej luźnymi kędziorami na ramiona wystawały dwa strusie pióra ufarbowane na zielono, współgrające z barwą sukni.

Druga kobieta, wysoka i zgrabna, o prostych czarnych włosach, śniadej cerze i mocno zarysowanych kościach policzkowych, wskazujących na indiańskie pochodzenie, zajmowała jeden z foteli. W drugim rozpierała się szatynka o miłym uśmiechu, z wielkim okrągłym jak piłka brzuchem sterczącym wyraźnie pod fioletową sukienką, ozdobioną jaskraworóżową wstążką. Była to Crystal z Przybytku Celeste.

- Witamy - odezwała się Crystal; promienny uśmiech nie pasował do nerwowo rozbieganych piwnych oczu. –
Przyszłyśmy uciąć sobie z panią małą pogawędkę.

5

Stojąc w progu, Gabrielle patrzyła na trzy wymalowane kobiety wypełniające jej pokój strusimi piórami, krzykliwie barwnymi jedwabiami i obfitością nagiego ciała.

Miała przed sobą kokoty, nierządnicę. Kościół miał wiele imion dla tych upadłych niewiast, tych grzesznic, a żadne z tych imion nie było ładne. Te służebnice szatana obnosiły się ze swą zmysłowością i pozwalały sobie na niewypowiedzianie, niewyobrażalnie sprośne czyny z mężczyznami w zamian za kilka plugawych monet. Wszystkie one były córami Ewy, narzędziami zła, kusicielkami sprowadzającymi na mężczyznę zgubę i potępienie. To one tkwały całuny z dusz i składały je w urnie wiecznej śmierci.

A jej matka była jedną z tych kobiet.

Gabrielle szybko wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi, nim ktoś idący korytarzem zobaczy te kobiety w jej pokoju. Zobaczy ją z tymi kobietami.

- Czego chcecie? - spytała ostro. Jej głos zabrzmiał tak, jakby należał do kogoś innego. Był stłumiony i wypełniony strachem. Uświadomiła sobie, że te kobiety budzą w niej lęk, choć nie do końca rozumiała dlaczego.

— Tak jak mówiłam - wyjaśniła Crystal, niedbale zarzucając ramię na oparcie fotela. - Chcemy trochę pogawędzić. O naszym domu. To jest Tierney. - Kobieta leżąca na łóżku skinęła głową. - To Sirena. - Kobieta o indiańskiej urodzie wpatrywała się w Gabrielle bez słowa. - A ja jestem Crystal. - Posłała Gabrielle szeroki, zalotny uśmiech. Nawet będąc w szóstym miesiącu ciąży, emanowała dojrzałą zmysłowością, która kojarzyła się Gabrielle z gorącą, parną nocą w Nowym Orleanie, kiedy powietrze jest tak gęste, że trudno oddychać, a własne ciało wydaje się człowiekowi więzieniem.

Odwróciła się, żeby ściągnąć rękawiczki. Pomyślała, że przydałyby się jej cieplejsze, bo w tych, które miała, palce kostniały jej z zimna.

- Jak się tu dostałyście? - spytała, odkładając rękawiczki na marmurowy blat przy umywalce.

Crystal ruchem głowy wskazała kobietę na łóżku.

- Tierney świetnie sobie radzi z zamkami.

- Tata nauczył mnie robić różne rzeczy - pochwaliła się Tierney, wyciągając ramiona nad głowę. - Zanim go powiesili, tam w Londynie. - Leżała wyciągnięta na posłaniu, zjedną nogą zgiętą w kolanie i odchyloną na bok; falbana pasiastej sukienki podjechała w górę, odsłaniając satynową zieloną halkę i cienkie białe pończochy na długich, kształtnych łydkach.

Gabrielle chciała oderwać wzrok, ale jej się to nie udało. Przyłapała się na tym, że próbuje sobie wyobrazić, co ta kobieta czuje, rozkładając się w taki sposób przed obcym mężczyzną. Zastanawiała się, co też ona może myśleć, kiedy ten mężczyzna przygniata ją swoim ciężarem. Co czuje, kiedy dochodzi do połączenia najintymniej szych części ich ciał. Jak to znosi.

Zganiła się za grzeszne, zakazane myśli. Z płonącymi wstydem policzkami odwróciła się, żeby zdjąć płaszcz i kapelusz i odwiesić na hak przy drzwiach.

- Dlaczego tu przyszłyście?

- Bo jest pani córką Celeste - powiedziała wysoka, ciemnowłosa Sirena ze swego miejsca pod oknem. Gabrielle spojrzała na nią z zaciekawieniem. Wyrażała się zaskakująco kulturalnie, pomimo dziwnie gardłowej barwy głosu, współgrającej z ciemną indiańską urodą. Miała na sobie sukienkę z szaroniebieskiego fularu, obramowaną koronką, która odsłaniała nie mniej wdzięków niż stroje dwóch pozostałych dam, a jednak wyglądała mniej wulgarnie.

Gabrielle skrzyżowała ramiona na gorsecie skromnej szarej sukni.

- To nadal nie tłumaczy, dlaczego tu jesteście.

Crystal pochyliła się do przodu, ukazując imponująco głęboki przedziałek między piersiami.

- Jesteśmy tu, ponieważ Jordan sprzedaje dom Dougowi Slaughterowi, żeby panią spłacić, a my tego nie chcemy.

- Dlaczego? - zdziwiła się Gabrielle.

- Bo żadna z nas nie chce pracować dla Slaughtera, dlatego — wyjaśniła Crystal, mrużąc oczy. - Chyba ktoś powinien pani wreszcie powiedzieć, że pani matka do końca swoich dni walczyła, żeby dom nie dostał się w łapy tego typu. Od miesiący namawiał ją na sprzedaż, a kiedy się nie zgodziła, bardzo się rozeźlił i próbował ją zastraszyć. Tylko że pani matka nie była bojaźliwa. I dlatego skończyła w grobie.

Gabrielle poczuła lodowaty dreszcz, który nie miał nic wspólnego ze zbyt cienkimi rękawiczkami czy umocnionym w śniegu brzegiem halki oblepiającej jej kostki.

- Myślałam, że matka zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Tierney wyprostowała się, opuszczając nogi na ziemię, i spojrzała znacząco na swą koleżankę.

- Daj spokój, Crystal, po co tyle gadasz? Wiesz tak samo dobrze jak ja, że szeryf uznał to za wypadek. - Przeszła przez pokój z szelestem jedwabnych falbanek, zatrzymując się przy zastawionej flakonikami toaletce Gabrielle.

- Tak? Dla Slaughtera ten wypadek okazał się bardzo korzystny, nie? - upierała się przy swoim Crystal. - Chciał

zmusić pannę Celeste do sprzedaży, ale mu się nie udało. Wtedy ktoś „przypadkiem” ją zastrzelił i teraz dom będzie należał do niego.

Tierney wzruszyła pięknym nagim ramieniem; miedziane kędziory zakołysały się prowokująco.

- Co z tego? To, że przez wypadek ktoś zyskuje, wcale jeszcze nie znaczy, że to nie był wypadek. - Wcięta do ręki różaniec, który Gabrielle dostała od siostr w prezencie pożegnalnym, i z zainteresowaniem przyglądała się gładkim koralikom.

Sirena szybkim ruchem wyciągnęła rękę, odebrała Tierney różaniec i odłożyła na miejsce. Wyczuwalna iskra wrogości przeskoczyła między tymi dwiema kobietami, choć żadna nie odezwała się ani słowem.

Gabrielle przyjrzała się najpierw jednej, potem drugiej z nich, próbując dostrzec coś więcej pod wymalowanymi ustami i policzkami, wymyślnie upiętymi włosami, z których wystawały strusie pióra i pęki sztucznych kwiatów. Nie mogła przestać myśleć o tym, co te kobiety muszą robić ze swymi klientami w wielkim białym domu na szczycie wąwozu. Wydawało jej się, że to wszystko powinno zostawić na nich jakiś ślad, mocniejszy i bardziej widoczny od zuchwałego wyrazu oczu i sposobu zadzierania podbródka.

Uświadomiła sobie, że wpatrują się w nią wyczekująco.

Odchrząknęła niepewnie.

- Przykro mi, ale nic wiem, jak mogłabym wam pomóc.

- Mogłaby pani powiedzieć Jordanowi, że nie musi sprzedawać domu - podsunęła Crystal ze słodkim uśmiechem, któremu przeczyło czujne spojrzenie. - On sprzedaje tylko dlatego, żeby panią spłacić... no i dlatego, że nie lubi się zajmować niczym innym poza prowadzeniem kasyna. Więc gdyby pani tu została i przejęła prowadzenie reszty zamiast niego...

- Ja? - Gabrielle aż straciła dech.

Crystal uniosła wysokie, starannie podskubane brwi.

- Dlaczego nie? Czyżby pani w Nowym Orleanie miała coś lepszego niż Przybytek Celeste?

- Nie rozumiecie mnie - obruszyła się Gabrielle, patrząc raz na jedną kobietę, raz na drugą. - Po prostu bym nie mogła. Ja nie jestem... nic jestem...

- Chyba próbuje nam powiedzieć, że nie jest prostytutką - włączyła się Tierney, podchodząc do Gabrielle z szumem pasiastego jedwabiu. - Popatrzcie tylko na nią. Widziałyście kiedyś prostytutkę w szarej sukience z kołnierzem, który mógłby udusić nawet księdza przywykłego do koloratki? - Obrzuciła Gabrielle pogardliwym spojrzeniem od gładkiej fryzury po

czubki niemodnych butów wystające spod skromnej sukni. - Przyjrzyjcie jej się naprawdę dokładnie. Jest tak niewinna i czysta, że czuć od niej kadzidło i święconą wodę.

- Dziewica? - zaśmiała się Crystal, odrzucając do tyłu głowę. - Wielkie nieba, Tierney. Ty to masz pomysły.

Gabrielle już otwierała usta, żeby uczciwie potwierdzić, że w istocie jest dziewczyną, ale coś w wyrazie twarzy Sireny powstrzymało ją przed tym wyznaniem. W gwałtownym uniesieniu podbródka i błysku ciemnych oczu było ostrzeżenie. Gabrielle domyśliła się, że Sircne wie o klasztorze. I uznała, że będzie lepiej, jeśli Gabrielle zachowa dla siebie prawdę o swojej przeszłości.

Gabrielle zamknęła usta, nie mówiąc ani słowa. Podejrzewała, że dla tych kobiet dziewictwo jest czymś w rodzaju ułomności, oznacza słabość. A Gabrielle miała świadomość, że nie może sobie pozwolić na okazanie przed nimi choćby cienia słabości.

- Przykro mi - rzuciła szorstko, otwierając drzwi. – Muszę was poprosić, żebyście już poszły.

Crystal wolno podniosła się z fotela.

- Dobrze. - Wzięła aksamitny fioletowy płaszcz podbity futrem. - Na razie dajmy jej spokój. Chodźcie, dziewczyny.

Jej koleżanki pozbierały swoje okrycia, futrzane mufki i rękawiczki, i wyszły na korytarz.

- Ale niech pani o tym pomyśli, złotko - poradziła Crystal, przystając na moment w progu. - Pomyśli o wszystkim, co mówiłam. - Narzuciła sobie płaszcz na ramiona. Nawet przez grube fałdy tkaniny widać było, jak prowokująco kołysze biodrami.

Gabrielle zamknęła drzwi, zadowolona, że wreszcie się pozbyła nieproszonych gości. Jednak wzbudzony nieoczekiwaną wizytą niepokój pozostał, podobnie jak zapach drogich perfum w jej pokoju. A ten niepokój wykraczał daleko poza zwykłe zażenowanie, jakie każda przyzwoita kobieta musiała poczuć w konfrontacji z osobami tego pokroju.

Usłyszała dziwny świszczący odgłos i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to jej własny oddech. Przerazona, z trudem wciągała powietrze. *Niektóre prawdy lepiej zostawić w spokoju i odejść*, mówił Jordan Hays. Jej problem polegał na tym, że nie odeszła dość szybko. I prawda... prawda rozrywała powłokę bezpiecznego kokonu, w którym się wychowała.

Myślała o sobie jako o dorosłej, dojrzałej kobiecie. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że tak naprawdę niewiele wie o życiu, bo dotąd żyła pod kloszem. Dwa ostatnie dni odsłoniły przed jej niewinnymi, szeroko otwartymi ze zdumienia i strachu oczami

cały świat, jakiego w ogóle nie znała. Świat, w którym kobiety były zuchwałe i bezwstydne, nie naiwne i przesadnie skromne jak ona. Gdzie z ciała robiono użytek, zamiast je ukrywać. Gdzie fizyczne przyjemności nie były potępiane jako grzeszne, lecz stanowiły świadomie wybierany cel.

Oparła się plecami o drzwi, jakby to mogło ją odgrodzić od niebezpieczeństw i zła, ochronić przed siłami ciemności. Równocześnie miała wrażenie, jakby coś ją wciągało w ten groźny, przerażający, a przy tym bez wątpienia fascynujący świat, który się przed nią otwierał. Przypomniała sobie, jak drżała, kiedy Jordan Hays dotknął jej twarzy i znów pojawił się ten sam lęk, wzbierający gdzieś w głębi brzucha i rozchodzący się po całym ciele dziwnym, mrowiącym ciepłem. W istocie było to coś więcej niż lęk. Coś niezwykle kuszącego. Coś grzesznego.

Czuła, że nie może pozostać w swoim pokoju.

Narzuciła płaszcz i szybko wyszła. Chmury nadal ciężko wisały nad szczytami gór, ale z nieba sypały się tylko leniwie cienkie pojedyncze płatki.

Wędrowała bez celu ulicami, w poczuciu osamotnienia i obcości. Obce wydawały jej się nie tylko mijane po drodze ośnieżone budynki, zimne, nasycone sosnowym zapachem

powietrze, które wciągała do płuc, twarze brodatych mężczyzn w czerwonych wełnianych koszulach i szarych wytłuszczonych spodniach. Ostatnie dwa dni odcisnęły się na jej życiu tak głęboko, tak bardzo ją odmieniły, że sama sobie wydawała się obcą osobą.

Na ulicach było tak niewiele kobiet, że kiedy spotkała poważną matronę w średnim wieku, ubraną w ciężki czarny płaszcz i prosty, sztywny czepek, choć się nie znały, kobieta skinęła lekko głową i uśmiechnęła się do Gabrielle. Gabrielle odwzajemniła uśmiech, ale natychmiast przyszła jej do głowy spłoszona myśl: *Gdyby tak ona знаła prawdę*. Gdyby wiedziała, że Gabrielle spędziła ostatnie pół godziny w towarzystwie trzech wymalowanych ladacznic... Gdyby wiedziała, że w duszy Gabrielle rodzi się niewybaczalna fascynacja mężczyzną, który nie dość, że był szulerem i nosił broń, to jeszcze zadawał się z upadłymi kobietami.

Gdyby wiedziała o związku Gabrielle z wielkim białym domem przy końcu Nevada Gulch. Gdyby ta stateczna i surowa niewiasta знаła całą prawdę, jak wówczas by się zachowała?

Gabrielle zacisnęła palce na różańcu, który wcisnęła do kieszeni w ostatniej chwili, opuszczając hotelowy pokój. Ostre ramię krzyżyka przebiło cienką skórę rękawiczki i raniło jej dłoń, lecz Gabrielle nie zwolniła uścisku. Jakby mimo bólu

chciała się kurczowo trzymać przeszłości i osoby, którą była kiedyś.

Zabrzęczał dzwonek u jakichś zamykanych w pobliżu drzwi.

Uniósłszy wzrok, Gabrielle spostrzegła, że właśnie mija okno kafejki. W rogu przysłoniętej firanką w czerwonej kratę szyby tkwił ręcznie wypisany szyldzik: „Dziś świeża szarlotka”. Burczenie w brzuchu przypomniało Gabrielle, że jest już prawie pora kolacji, a ona przez cały dzień nic nie jadła. Bez namysłu pchnęła ciężkie drzwi kafejki i weszła do środka.

Tam odnalazł ją Doug Slaughter.

Nalewała właśnie herbatę z pękatego kamionkowego dzbanka do chińskiej filiżanki w różyczki, kiedy jakiś mężczyzna zatrzymał się przy jej stoliku.

- Panna Antoine? - zapytał. Miał niski gardłowy głos i dziwny akcent.

Gabrielle podniosła głowę, zaskoczona, że słyszy swoje nazwisko. Nie знаła tego człowieka. Był potężnej postury, miał niezwykle szerokie ramiona i dość ciekawą twarz ozdobioną schludnie wyczesanym wąsem i bokobrodami. Roztaczał wokół siebie aurę zamożności, z którą współgrał dobrze skrojony płaszcz, brokatowa kamizelka i brylant wielkości grochu

łyskający spośród fałdów jedwabnego krawata. Jednak jego oczy miały twardy połysk i barwę topazów. Gabrielle widywała takie oczy u zwierząt, ale nigdy u człowieka.

- Przepraszam pana - powiedziała grzecznie, lecz tonem pobawionym zachęty. - Czy my się znamy?

- Niezupełnie. - Dziwne oczy o żółtawym odcieniu wpatrywały się w nią natarczywie i niepokojąco. - Jestem Doug Slaughter. Mógłbym się przysiąc? - Nie czekając na odpowiedź, odsunął od stolika dębowe krzesło i opadł na nie ciężko. Nawet w pozycji siedzącej wydawał jej się przytłaczająco wielki; miała ochotę przesunąć trochę własne krzesło, żeby zwiększyć dzielącą ich odległość. - Nic wiem, czy pani o mnie słyszała, ale to właśnie ja kupuję dom.

- Owszem - przyznała Gabrielle, wolno mieszając herbatę. - Słyszałam o panu.

Zabębnił palcami po czerwonym, kratkowanym obrusie.

- Muszę wyznać, że nie spodziewałem się zobaczyć pani tu w Kolorado.

- Doprawdy? - bąknęła obojętnie. Dostrzegła, jak zaciska usta w grymasie złości. Z całą pewnością miała przed sobą człowieka o gwałtownym charakterze.

- Mam nadzieję, że pani obecność tutaj nic oznacza, że waha się pani co do sprzedaży domu. - Mięliste palce jednostajnie wybijały rytm na stoliku.

Gabrielle skupiła się na herbacie. Jakże łatwo byłoby odpowiedzieć po prostu: „Nie, oczywiście, że nie”. Tylko że coś jej się w tym człowieku nie podobało. Nie chodziło bynajmniej o to, co usłyszała tego popołudnia od trzech wymalowanych dziewczyn. Przez ostatnie dwa dni otarła się o wystarczająco wiele spraw urągających przyzwoitości, cuchnących grzechem i rozpustą. Ale tu chodziło o coś innego. Ten człowiek był ucieleśnieniem zła.

Odstawiona filiżanka zagrzechotała o spodeczek. Gabrielle poczuła w żołądku dobrze już znane trzepotanie strachu, ale jakoś zdołała się opanować.

- Prawdę mówiąc, wcale się nie zgodziłam na sprzedaż domu - wyrzuciła z siebie.

Palce na obrusie znieruchomiały, ciężka dłoń spoczęła płasko na blacie. Jej wierzch porośnięty był gęstym ciemnym włosiem.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - warknął głucho Slaughter.

Pochylił się, marszcząc brwi nad nieprzyjemnie zmrużonymi oczami. Gabrielle aż się cofnęła na krześle.

- zaproponowałem pani wspólnikowi za ten dom czterdzieści pięć tysięcy dolarów - wycedził. - Przyznaję, że to duży, ładny dom. Ale oboje wiemy, że nic jest wart takich pieniędzy, więc jeśli się pani kryguje, żeby podbić cenę, nic z tego.

Gabrielle nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że już podjęła decyzję. Po prostu patrząc na złego człowieka o żółtych oczach, siedzącego naprzeciw niej, powiedziała:

- Przykro mi, panie Slaughter. Ten dom nie jest na sprzedaż.

- Co?! - ryknął. Podniósł się z krzesła i pochylił nad nią, jakby zaraz miał ją zmiażdżyć. Nie była przygotowana na coś podobnego. Nie miała żadnego doświadczenia w obcowaniu z ludźmi, którzy posługują się groźnym brzmieniem głosu i fizyczną siłą, żeby grozić i zastraszać. - Coś ci powiem, panienko - zaczął, opadając z powrotem na krzesło. - Mój ojciec był biednym dzierżawcą w Irlandii. Kiedy zmarł, wyrzucono nas z ziemi... wszystkich siedmioro. Mnie, moją matkę, trzech braci i dwie siostry. I wiesz co? Oni wszyscy poumierali. Z głodu. Z zimna. Wszyscy umarli. Wszyscy oprócz mnie. - Zacisnął zęby, aż mięśnie szczęki zadrżały niczym napięte struny. - Ja się nie poddam.

- Panie Slaughter - powtórzyła zeszywniała ze strachu. - Dom nie jest na sprzedaż.

- Wszystko na tym świecie jest na sprzedaż - wycedził, znów pochylony ku niej nad stolikiem. - Wszystko i wszyscy. Nie wyłączając ciebie. To tylko kwestia znalezienia właściwej ceny.

Gabrielle czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Nie wszystkie kobiety są na sprzedaż.

- Nie? — Uśmiechnął się drwiąco, rozciągając obleśnie wilgotne różowe wargi. - No to jeszcze coś ci powiem, panienko. Może się i wychowałaś w jakimś drogim klasztorze w Nowym Orleanie... Tak, tak - dodał, kiedy się wzdrygnęła, zaskoczona. - Wiem o tobie wszystko. Ale to nie ma żadnego znaczenia, gdzie i kto cię wychował, bo przede wszystkim jesteś córką Celeste. A twoja matka była niczym więcej, tylko cholerną kosztowną dziwką.

Słowa zabrzmiały tym bardziej złowrogo, że zostały wypowiedziane cichym, lodowato spokojnym głosem. Nawet para w średnim wieku, zajmująca sąsiedni stolik, nie mogła go usłyszeć.

- Mam pół tuzina domów pełnych kobiet takich jak ty - ciągnął, owiewając ją gorącym oddechem o zapachu tytoniu. -

Mogę je zmusić do robienia wszystkiego, co tylko im każę. Rozumiesz, co mam na myśli? Wszystkiego.

Miała ochotę uciec, koniecznie i natychmiast. Odepchnęła się na krzesło, ale błyskawicznym ruchem chwycił jej rękę i przygwoździł do stolika, tak że nie mogła się ruszyć.

- Jeszcze zobaczysz, panienko. Jeszcze się przekonasz. Nim z tobą skończę, będziesz skomleć naga u moich stóp. – Puścił jej rękę i wstał.

Nie patrzyła za nim, kiedy wychodził. Sięgnęła po dzbanek i udając spokój, także przed sobą samą, dołała sobie herbaty. Jednakże ręka drżała jej tak mocno, że część gorącego płynu zachlapała jaskrawy czerwono-biały obrus. Odruchowo zaczęła wycierać plamy serwetką.

Chłodny powiew od strony otwieranych drzwi poruszył kosmyki włosów na jej czole, ale Gabrielle nie podniosła oczu. Także kiedy drzwi zatrzęsnęły się z brzękiem, nie oderwała wzroku od bezkształtnej brązowej plamy.

Zimne nocne powietrze kłuło Gabrielle w nozdrzach i paliło w płucach przy każdym oddechu. Po zachodzie słońca temperatura gwałtownie spadała, a na śniegu tworzyła się cienka szklista powłoczka lodu, łamiąca się pod stopami przy każdym kroku i utrudniająca chodzenie.

Tyle że Gabrielle nie szła, lecz biegła. Biegła przed siebie, nie zważając na przechodniów, którzy oglądali się za nią zdumieni, gnana jedną jedyną myślą- że musi dotrzeć do białego domu na szczycie wąwozu. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy przyciągał ją sam dom, czy człowiek, którego spodziewała się tam znaleźć. Wiedziała tylko tyle, że nie ma innego miejsca, gdzie mogłaby się zwrócić.

Poza tłocznymi ulicami miasta wiatr wydawał się znacznie silniejszy. Grzechotał nagimi gałęziami osik i jęczał ponuro w koronach sosen, jakby powtarzał echem szloch rozdzierający jej duszę. Szum wiatru i świst zmęczonego oddechu były jedynymi dźwiękami w wieczornej ciszy panującej wokół. Gęsta pierzyna śniegu otulająca domy i zbocza gór tłumiała wszelkie odgłosy. Przed przybyciem w te strony nigdy nie spotkała się z tego rodzaju zjawiskiem, z tą niezmierną ciszą, jaką sprowadza na świat opad śniegu. Zaraz po przyjeździe wydawała jej się kojąca, tej nocy napawała ją grozą.

Przyspieszyła kroku, jedną ręką przytrzymując mocno ściągnięte poły płaszcza, drugą zaciskając na krucyfiksie w kieszeni. Trzymała się różańca, jakby był jej talizmanem. Jakby mógł jej teraz dać oparcie i poczucie bezpieczeństwa, znane z czasów klasztornych. Gdyby się mocno skupiła, mogłaby przywołać w wyobraźni znajome widoki dzielonych na kwatery ogrodów i obrośniętych pnączem ceglanych murów. Ale w

żaden sposób nie była w stanie odzyskać spokoju tamtej niewinnej młodej kobiety, którą niegdyś te mury chroniły przed światem. Bo tamtej kobiety już nie było.

Żałuje... żałuję, że po mnie nie wróciła.

Bo nigdy nie mieszkałaś w burdelu.

Ostry głos Jordana Haysa tłukł się okrutnym echem w jej głowie. Gabrielle uświadomiła sobie, że dopiero dziś, w paskudnych żółtych oczach Douga Slaughtera, ujrzała prawdę, którą próbował jej przekazać Hays.

Dzieciństwo Gabrielle było najwspanialszym prezentem, jaki matka mogła jej dać. Dzieciństwo osłonięte wysokim murem, w otoczeniu zakonnicek, niewinnych tak samo jak dzieci, którymi się opiekowały. Dzieciństwo z dala od niegodziwego świata grzechu i rozpusty, od wymalowanych kobiet i podłych mężczyzn.

Twoja matka była niczym więcej, jak kosztowną dziwką.

Dziwką. Pomyślała o trzech kobietach, które tego popołudnia naszyły ją w hotelu, i zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, jak wygląda ich życie, jakie są one same. Miała do czynienia z trzema różnymi osobami, które łączył tylko sposób zarabiania pieniędzy.

Jednakże wszystko, czego Gabrielle zdołała się dotąd dowiedzieć o Celeste DuBois, także dotyczyło tylko sposobu zarabiania pieniędzy. Był jeszcze portret na ścianie i nagrobny

pomnik na zasypanym śniegiem cmentarzu. Co one mówiły o Celeste DuBois, ojej życiu, ojej świecie? Ten świat wprawdzie budził w Gabrielle odrazę, ale też niepokojąco ją pociągał, właśnie dlatego, że był światem Celeste DuBois. A przecież Celeste DuBois dała Gabrielle życie.

Wielki biały dom wyłonił się wreszcie z cienia. Sama bryła domu łagodnie wtapiała się w zasypane śniegiem zbocze, ale czerwona latarnia nad wejściem lśniła jak diabelskie oko.

Zaskrzypiały zawiasy bramy, kiedy Gabrielle pchnęła ją z rozmachem, a potem zatrzasnęła za sobą. *Ona nie chciała, żebyś tu przyjeżdżała.* Znow odezwał się w niej chłodny głos Jordana Haysa, tym razem do wtóru głosowi Julii St. Etienne. *Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że może ci się nie spodobać to, co odkryjesz.*

Gabrielle przystanąła zdyszana na najwyższym stopniu szerokich schodów. Spomiędzy ciężkich aksamitnych zasłon sączyło się złotawe światło, dobiegał brzęk szkła, odgłosy rozmów i śmiechu. Ktoś grał na fortepianie, żywiłowo i troszkę fałszywie, akompaniując kobiecie śpiewającej schrypniętym kontraltem.

Gabrielle już wyciągnęła rękę do metalowej kołatki, lecz nagle zmieniła zdanie. To w końcu był dom jej matki. Jej dom. Sięgnęła do karbowanej klamki i energicznie otworzyła drzwi.

Stojąc w wielkim, wyłożonym dywanem holu na moment się zawahała. Rozległe połączenie luster odbijały ciepłe, nieco migotliwe światło wielkiego kryształowego żyrandola w górze i podwójnego rzędu lamp naftowych zawieszonych na ścianach. Powietrze, przesycone zapachem świec oraz drogich trunków, było aż gęste od dymu cygar. Z wybitego ciemną boazerią pokoju po lewej stronie dochodził przyciszony szmer rozmów i szelest tasowanych kart. Gabrielle dostrzegła kątem oka, jak ciemne koło ruletki powoli zwalnia i ukazują się czerwone, białe i czarne pola.

- Trzydzieści sześć czerwone, panowie - oznajmił kościsty blondyn stojący obok urządzenia, - Proszę obstawiać.

Głośny wybuch śmiechu zwrócił uwagę Gabrielle na salon za zasłoną z kryształowych paciorków. Kłębiło się tam osobliwie wymieszane męskie towarzystwo: szorstcy górnicy w czerwonych koszulach, panowie w eleganckich wieczorowych strojach i jedwabnych krawatach oraz ranczerzy w wysokich butach i skórzanych kamizelkach. Były też kobiety, piękne kobiety. Niektóre półnagie, inne strojnie odziane w jedwab i satynę, aksamit i koronki, z klejnotami błyszczącymi na białych szyjach i strusimi piórami kołyszącymi się na wymyślnie ufryzowanych głowach.

Gabrielle rozpoznała wysoką ciemnowłosą kobietę, która odwiedziła ją tego popołudnia. Sirena pochyliła się i szepnęła

coś do ucha stojącemu obok mężczyźnie; musiało to być coś zabawnego, bo się roześmiał. Niedaleko za nią urodzona w Anglii Tierney siedziała na kolanach biznesmena w średnim wieku, który całował ją w szyję, trzymając jedną rękę w głęboko wyciętym dekolcie jej żółtej aksamitnej sukni. Na oczach Gabrielle mężczyzna zsunął stanik jeszcze niżej, odsłaniając całą pierś z wyraźnie widoczną cyrkonową brodawką.

Nagle na ramieniu Gabrielle zacisnęły się mocne szczupłe palce. Odwróciła się odruchowo.

- Skąd się tu, u licha, wzięłaś?

Wstrzymała oddech, widząc przed sobą pociemniałą twarz Jordana Haysa. Przyglądał jej się z dziwnym błyskiem w zielonych oczach. Wyobraziła sobie, jak okropnie musi wyglądać z potarganymi włosami i spierzchniętą od zimna twarzą. Próbowwała coś powiedzieć, ale słowa nie mogły się przedrzeć przez ściśnięte gardło.

Hays najwyraźniej domyślił się, że nie jest zdolna do rozmowy, bo nie mówiąc nic więcej, poprowadził ją za sobą, odciągając ją od rozochoconych mężczyzn, wirującej ruletki i roześmianych, na wpół obnażonych kobiet.

Ogień buzował wesoło w kominku, wypełniając gabinet przyjemnym trzaskiem i ciepłem. Jordan patrzył, jak

Gabrielle Antoine podchodzi do tańczących płomieni, żeby ogrzać drżące dłonie. Cokolwiek przygnało ją mimo chłodu i ciemności do tego domu, musiało ją też niezłe wystraszyć.

- Daj mi swój płaszcz. - Podeszedł do niej od tyłu i położył jej ręce na ramionach.

Jego oddech zakołysał luźnym kosmykiem włosów za jej uchem. Widział, jak przebiegł ją dreszcz, ale nie poruszyła się, żeby rozpiąć płaszcz. Sam więc rozpiął pierwszy, potem następny guzik. Przy trzecim guziku przypadkiem musnął palcami jej szyję i poczuł, jak cała sztywnieje. Chwyliła go za rękę, żeby przestał. Na moment ich spojrzenia się spotkały, a zaraz potem spuściła wzrok i powiedziała chrapliwie:

- Sama to zrobię.

Odwrócił się, choć chciał pozostać blisko niej, znowu jej dotknąć. Miał zamiar nalać jej kieliszek brandy, żeby się trochę rozgrzała, ale w końcu nalał sobie i szybko wychylił, obserwując, jak wreszcie ściąga płaszcz i kapelusz.

Wciąż miała na sobie tę samą prostą szarą sukienkę, co rano, zapiętą pod szyję, ozdobioną jedynie wąską falbaną z białej koronki. Piękne jasne włosy gładko zaczesane do tyłu tworzyły luźny węzeł na karku. Jej wygląd świadczył dokładnie o tym, kim była: wychowaną w klasztorze pobożną nauczycielką. A jednak...

A jednak była córką Celeste, a skromny krój sukni zdawał się jeszcze podkreślać smukłą kibić oraz krągłe piersi i biodra. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak wygląda bez ubrania. Co by czuł, mając ją w łóżku pod sobą. Podobnie jak Celeste, poruszała się z przyciągającym wzrok naturalnym wdziękiem. Tyle że Gabrielle kusiła całkiem nieświadomie, co było tym bardziej pociągające.

Powiesiła płaszcz na oparciu krzesła przy kominku i obejrzała się niepewnie przez ramię, jakby wyczuła niebezpieczny kierunek, w którym zmierzały jego myśli. A może rzeczywiście go przejrzała? Wprawdzie spędziła większą część życia w klasztorze, ale przecież była kobietą z krwi i kości.

- Chcesz trochę brandy? - zaproponował, lekko zmieszany swoim podnieceniem.

Spodziewał się, że odmówi, ale go zaskoczyła.

- Tak, proszę.

Napełnił kieliszek bursztynowym płynem na wysokość dwóch palców i podał jej bez słowa. Zauważył, że bardzo uważała, by ich dłonie się nie zetknęły.

- Kilka kobiet z tego domu odwiedziło mnie dziś po południu - zaczęła. Patrzył, jak ściąga usta, ostrożnie pociągając mały łyżeczek. Oczy zrobiły jej się okrągłe i szybko wciągnęła powietrze, ale nie zakaszłała.

Był tak zaabsorbowany obserwowaniem jej, że nie od razu dotarło do niego to, co powiedziała.

- Kilka kobiet? - Odwrócił się, żeby nalać brandy także sobie. - Po co przyszły?

- Nie chcę, żeby dom trafił w ręce Douga Slaughtera.

Wyciągnął korek z karafki.

- Wiem. Ja też nie chcę mu sprzedawać tego domu.

- Więc dlaczego właśnie jemu? - spytała, już śmieiej pociągając kolejny łyk.

Jordan wzruszył ramionami.

- Nie ma innego kupca. Rozgłosił, że ma ochotę na ten dom. Nikt nie zechce się mierzyć z takim typem.

- Poza, jak widać, Celeste DuBois. - Zmarszczyła czoło, wpatrując się w kieliszek. - Crystal chyba podejrzewa, że Slaughter stał za śmiercią mojej matki.

Jordan znieruchomiał; nawet nie odstawił karafki. Rzucił Gabrielle przelotne, lecz czujne spojrzenie. Mógłby przysiąc, że coś przed nim ukrywała. Nie wiedział tylko co.

- Szeryf uznał, że to był wypadek - powiedział.

- Ale ty tak nie uważasz.

Nie odpowiedział. Podniósł tylko brandy do ust i wypił połowę jednym haustem.

W jej oczach nieoczekiwanie błysnął gniew.

- Jak możesz myśleć o sprzedaniu domu temu człowiekowi, jeśli był odpowiedzialny za zastrzelenie mojej matki?

Utkwił w niej chłodne, nieugięte spojrzenie.

- Nie ma dowodów, że Slaughter zabił twoją matkę. Możesz mi wierzyć, że gdyby były, już bym coś zrobił w tej sprawie. A co do własności domu, to Celeste powiedziała mi bardzo wyraźnie, że gdyby jej się coś stało, mam doprowadzić do sprzedaży, choćby nawet kupcem był Slaughter. Najważniejsze dla niej było to, żebyś dostała pieniądze... nie dowiadując się prawdy o tym, skąd pochodzą.

Podeszła do jednego z krzeseł ustawionych przy kominku i ciężko usiadła.

- Nie sądzę, bym mogła przyjąć pieniądze ze sprzedaży tego domu - odezwała się po chwili, zapatrzona w płomienie. - Teraz, kiedy wiem.

- O, naprawdę? - rzucił kwaśno. - Niby dlaczego nie?

Popatrzyła na niego poważnie, zaciskając dłonie na kieliszku.

- Jak mogłabym je wziąć teraz, wiedząc, jak zostały zdobyte? - Wskazała ruchem głowy na frontowy salon. - Od kobiet sprzedających własne ciała. I mężczyzn przepuszczających ciężko zarobioną gotówkę.

- Honorowe sentymenty. - Uniósł kieliszek w ironicznym geście toastu. - Warte trzydzieści tysięcy dolarów? Zgadza się - dodał, widząc jej zdumioną minę. -- Jedna trzecia domu jest moją własnością. Reszta należy do ciebie. Naprawdę cię stać na rezygnację z takich pieniędzy?

Potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, ledwie mi starczy na opłacenie pokoju w hotelu.

Teraz on był zaskoczony. Z tego, co wiedział, Celeste przez długie lata składała na koncie w banku pieniądze dla córki. Był ciekaw, co się z nimi stało. Ale powiedział tylko:

- Więc to chyba nie jest dobry pomysł.

- Czyżby? To chyba zależy od tego, na ile się ceni honor. Dla mnie akurat jest bardzo ważny. - Odchylając głowę na oparcie krzesła, zacytowała: - *Gdy stracą honor, wszystko utraciłem* .

Patrzył na nią już nie tylko zaskoczony, ale i zbity z tropu. Łączyło ich umiłowanie poezji Szekspira.

- *Antoniusz i Kleopatra* - powiedział wolno.

Przytaknęła.

- Dość niezwykła lektura jak na klasztor.

Uroczy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Nie czytałam tego podczas lekcji. - Uśmiech zgasł; delikatne brwi nasunęły się nad oczy w wyrazie zatroskania. – Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego te kobiety nie chcą pracować dla Slaughtera.

Jordan przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej, wyciągając nogi w stronę ognia.

- Slaughter był kiedyś bokserem. W ten sposób zyskał pierwsze pieniądze... i swoją reputację. Teraz zajmuje się interesami, ale nieciekawa reputacja mu pozostała.

- Dlaczego?

Nie miał zamiaru opowiadać tej kobiecie o rzeczach, jakich dopuszczali się ludzie pokroju Slaughtera.

- No... chociażby dlatego, że chrzci swoją whisky.

Zrobiła wielkie oczy.

- Co to znaczy?

- To sposób na pomnożenie zysku. Bierzesz beczkę taniego alkoholu, mieszasz z wodą, palonym cukrem i jakimiś chemikaliami, żeby miała smak bourbona lub koniaku. I sprzedajesz ją jako bourbon lub koniak.

- Jest właścicielem saloonu?

- Saloonów, szulerni, spelunek. To prawdziwy król występku.

- Co to jest spelunka?

Zajrzał w wielkie, niewinne oczy.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Opuściła wzrok na kieliszek. Obserwował ruch mięśni na jej smukłej szyi, kiedy dotknęła ustami szkła i pociągnęła drobny łyk. Przyszło mu na myśl, że takie usta nie pasują do cnotliwej nauczycielki. Wydatne, pełne, kuszące. Miała usta stworzone do grzechu.

Zły na siebie, poderwał się z krzesła, kiedy powiedziała:

- Spotkałam go dzisiaj.

- Kogo? - Zesztywniał w pół kroku.

- Slaughtera. - Mówiła spokojnym głosem, ale jej piękne usta przybrały surowy wyraz, a twarz miała tak bladą jak wtedy, kiedy ją znalazł stojącą w holu. Teraz już wiedział, co ją tak przestraszyło, że przybiegła mimo śniegu i ciemności. – Chciał się upewnić, że mój przyjazd do Kolorado nie przeszkodzi w sprzedaży domu - wyjaśniła.

- I... co mu powiedziałaś? - Patrzył na nią z napięciem, choć z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Bez mrugnięcia wytrzymała jego spojrzenie.

- Powiedziałam mu, że postanowiłam nie sprzedawać tego domu.

6

Gabrielle nie była pewna, kiedy podjęła decyzję. Nie wiedziała, czy zdoła udźwignąć jej konsekwencje, i nie miała pojęcia, czy Jordan Hays się z nią zgodzi.

Wiedziała jedynie, czego sama chce.

Patrzyła, jak wychyla kieliszek i przechadza się po gabinecie.

- Pozwól, że coś ci wytłumaczę - zaczął, stawiając pusty kieliszek obok karafki. - Wprawdzie Celeste i ja byliśmy współnikami, ale dziewczyny należały do jej części interesu. Ja jestem graczem, nie alfonsem, i chociaż mieszkanie w jednym domu z tuzinem prostytutek niejednemu mężczyźnie może się wydawać rajem na ziemi, wierz mi, że rzeczywistość bywa ciężką próbą.

Ja chcę sprzedać ten dom.

Nie wiedziała wprawdzie, kto to jest alfons, ale uznała, że rozsądniej będzie nie pytać.

- Więc gdybym zdobyła piętnaście tysięcy dolarów, zgodziłbyś się odstąpić mi swój udział? - spytała ożywiona, wychylając się z krzesła.

Przyjrzał jej się z niedowierzaniem.

- A czegoż ty byś, na litość boską, szukała w burdelu?

Potrząsnęła głową, jak zwykle skrepowana, gdy ktoś nazwał ten dom po imieniu.

- Nie chcę w nim utrzymywać... siedliska grzechu. Chodzi mi o sam dom. Pragnę pomóc ludziom, którzy tu pracują w znalezieniu innych zajęć... najchętniej jakichś godnych szacunku posad. A potem chcę w tym domu otworzyć szkołę.

Nie była przygotowana na jego reakcję. Przyglądał jej się przez długą chwilę w milczeniu, a potem odchylił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - obruszyła się. – Mówię całkiem poważnie.

Opuścił głowę.

- Wiem. Zresztą, pomijając na razie wszystko inne, coś mnie tu ciekawi. Dopiero co mówiłaś, że jesteś praktycznie bez centa. Więc skąd, u licha, chcesz wziąć pieniądze, żeby wykupić moją część?

- Właśnie się nad tym zastanawiam. - Bezwiednie wygładziła fałdy sukienki na kolanach. - Mogłabym skorzystać z mojej części zysku, jaki przynosi ten dom. Nie podoba mi się takie rozwiązanie, ale w tym wypadku byłoby usprawiedliwione. - Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. - Jak długo musiałabym oszczędzać, żeby cię wykupić?

- Około dziesięciu miesięcy.

Poczuła niemiłe ssanie w żołądku.

- Aż tak długo?

Potwierdził skinieniem. Wpatrywała się z napięciem w jego przystojną śniadą twarz, ale poza cieniem rozbawienia niczego się nie doszukała. Tym bardziej nic była w stanie przejrzeć jego myśli.

Przeszedł przez gabinet i oparł się biodrem o blat wielkiego biurka.

- Jest inny sposób - rzekł z namysłem, krzyżując ramiona na piersi. - Mówiłem ci, że Celeste zostawiła trochę biżuterii. Gdybyś chciała, mogłabyś ją wykorzystać. Nie ma tego tyle co kiedyś, bo sama ostatnio trochę sprzedała. Wyrównywała jakieś stare rachunki z poszukiwaczami złota.

- Chcesz powiedzieć, że moja matka interesowała się wydobywaniem złota?

- W pewnym sensie. Ale nie o to teraz chodzi. Postawmy sprawę jasno. Oddasz mi, powiedzmy, brylantową bransoletkę Celeste i naszyjnik z szafirów, który u niej widziałem, oraz cały dochód przez następne trzy miesiące, a dom będzie twój.

Zaczęła się w niej rodzić nadzieja, ale postanowiła zachować ostrożność.

- Czy to dobry interes? - spytała i natychmiast uświadomiła sobie, że to głupie pytanie, bo przecież musiał potwierdzić.

- Owszem — rzekł i uśmiechnął się szeroko. - Ale nie poprzestawaj na moim słowie. Daj biżuterię do wyceny. I zajrzyj w księgi rachunkowe.

- Dobrze. - Wytrzymała jego kpiące spojrzenie. - Zajmowałam się prowadzeniem ksiąg w klasztorze, kiedy siostra Claire zaczęła tracić wzrok, więc nie myśl sobie, że nie będę wiedziała, na co patrzę.

- No to powinnaś sobie świetnie poradzić - powiedział, nie do końca wyzbywając się kpiącego tonu. - Ostatecznie te klasztorne nie mogą się aż tak bardzo różnić od burdelowych.

Zachnęła się, zgorzozona.

- Nie musi pan być taki wulgarny, panie Hays.

- Panno Antoine, nie jestem wulgarny. Jestem rzeczowy. Ten zwariowany plan może ci się wydawać rozsądny i z pewnością odpowiada temu, co uznajesz za swój święty obowiązek, chrześcijańskie posłannictwo i Bóg wie co jeszcze, ale się nie powiedzie. Tak po prostu. Bo, po pierwsze, jeśli nawet by ci się udało znaleźć kogoś, kto by je zatrudnił, to kobiety z tego domu wcale nie chcą zmieniać zajęcia na bardziej godne szacunku.

- Ale... dlaczego?

Parsknął niewesołym śmiechem.

- Z tego prostego powodu, że żadne godne szacunku zajęcie nie da im nawet połowy tych pieniędzy, jakie zarabiają teraz, za leżenie na plecach i pamiętanie, żeby wzdychać we właściwych momentach.

Poczuła żar wstydu na policzkach, ale wiedziała, że umyślnie ją prowokuje, i postanowiła nie dać się zbić z tropu.

- Zawsze mogę spróbować.

- I modlić się?

- Owszem - przytaknęła z godnością.

Oparł się wygodniej, wyciągając przed siebie długie nogi.

- W porządku, przyjmijmy, że jakimś cudem wszystkie dziewczyny z tego domu nagle zapragną zmienić swoje życie i porzucić lukratywną profesję. Naprawdę sądzisz, że ludzie w tym mieście zechcą posyłać dzieci do szkoły mieszczącej się w byłym burdelu i prowadzonej przez nauczycielkę, którą wszyscy uznają za byłą prostytutkę?

Wyprostowała się sztywno na krześle.

- Odziedziczyłam ten dom, ale to wcale nie znaczy, że w nim pracuję!

- Nie ma żadnej różnicy. W momencie, gdy przekroczysz próg tego domu, dla większości ludzi w tym mieście stajesz się prostytutką.

Wiatr szalejący w wąwozie wdarł się przez komin, wznecając iskry z płonących szczap. Tego nie brała pod uwagę w swym planie. Zapewne dlatego, że miała zbyt naiwne spojrzenie na świat. Żałośnie, niebezpiecznie naiwne.

- Wyjaśnię ludziom z miasta zaistniałą sytuację. A jeśli mi nie uwierzą i stanie się jasne, że to ty miałaś rację i odniosą się nieprzychylnie do mojej szkoły... - wzruszyła ramionami – to wtedy zawsze mogę sprzedać dom, wrócić do Nowego Orleanu i tam otworzyć szkołę.

Westchnął.

- A nie byłoby łatwiej od razu sprzedać dom Slaughterowi i jechać otworzyć szkołę w Nowym Orleanie?

- Rzeczywiście, łatwiej. Ale moralnie nie do przyjęcia.

- Ach, rozumiem. Jeśli sprzedasz dom jako splajtowaną szkołę, a nie jako burdel, będziesz mogła z czystym sumieniem wziąć pieniądze.

Uwaga była tym bardziej uszczypliwa, że zawierała sporo prawdy.

- Nie jestem hipokrytką, panie Hays. Szczerze pragnę, by udało się w tym domu otworzyć szkołę.

Chrząknął znacząco.

- A gdzie właściwie zamierzasz mieszkać przez następne trzy miesiące nim mnie wykupisz?

Odwróciła się do ognia, uciekając przed badawczym spojrzeniem zielonych oczu, które zdawały się przenikać ją na wskroś.

- Pomyślałam, że może mogłabym zająć pokój mojej matki - powiedziała z udawanym spokojem i pewnością siebie. - Tu, w tym domu.

W ciszy, jaka nagle zapadła, usłyszała piosenkę śpiewaną we frontowym salonie. Płomienie w kominku trzaskały wesoło, jakby tańczyły w rytm wesołej melodii. Spodziewała się, że przyjmie jej oświadczenie okrzykiem zdumienia, nie milczeniem. W końcu spłoszona podniosła na niego wzrok. Przyglądał jej się w uwagą. Z jego twarzy znikły wszelkie ślady rozbawienia.

- Dlaczego?

Ostro wypowiedziane słowo zawisło pomiędzy nimi, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź, której nie potrafiła udzielić. Wzięła głęboki oddech.

- Słucham?

Pochylił się, opierając na blacie biurka zaciśnięte dłonie, i patrzył na nią zmrużonymi oczami.

- Nawet nie próbuj mi wmawiać, że dlatego, bo nie stać cię na hotel. Oboje wiemy, że chodzi o coś innego. Możesz mnie

wykupić za cztery miesiące zamiast trzech, wykorzystując różnicę do opłacenia innego lokum.

- To byłoby życie za pieniądze czerpane z grzechu - powiedziała cicho. - Nie mogłabym.

- Ach tak? A nic będziesz żyła za pieniądze czerpane z grzechu mieszkając w tym domu?

Migoczący ogień rzucał dziwne cienie na jego poważną twarz.

- W pewnym sensie chyba tak - bąknęła niepewnie.

- Rozumiem. Chodzi o to, żeby pieniądze czerpane z grzechu wykorzystać na wykupienie mojej części domu. To już będzie w porządku.

- Właśnie.

- Więc według mnie powinnaś się czuć bardziej niż w porządku, wykorzystując pieniądze czerpane z grzechu na opłacenie hotelu przez następnych kilka miesięcy.

Ogarnęła ją złość.

- Chcesz powiedzieć, że mam się trzymać z daleka od tego, co się tu dzieje, jak jakiś faryzeusz, który nie chce się zadawać z Samarytanami? Syn Boży nie okazał wzgardy Marii Magdalenie, pamiętasz? Kimże ja jestem, żeby gardzić tymi kobietami i ich dziećmi? - Czując, jak gniew z niej wyparowuje, dodała prawie szeptem: - *Wszystko dzieje się z łaski Boga.*

Wciąż na nią patrzył. Tak natarczywie, że z trudem mogła usiedzieć w miejscu.

- Chodzi o coś więcej niż znalezienie sobie innego mieszkania, prawda? - odezwał się wreszcie.

- Nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień - powiedziała, wyniośle zadzierając podbródek.

- Nie - przyznał. - Nie jesteś. Ale jeśli chcesz wykupić moje udziały, musisz mi powiedzieć.

Znała go zaledwie od paru dni, ale wystarczająco, by wiedzieć, że nic rzuca stów na wiatr. Podniosła się z krzesła i odstawiła na półkę nad kominkiem prawie nietknięty kieliszek.

- Chodzi o moją matkę - powiedziała, nie patrząc na niego.
- Nie wiem, czy będę umiała to wyjaśnić, bo sama nic do końca rozumiem.

- Spróbuj.

Wciąż omijając go wzrokiem, stanęła za oparciem krzesła.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, lubiłam fantazjować na temat mojej matki i ojca. Wyobrażałam sobie, że byli jak Romeo i Julia albo Robin Hood i Marion. Ale kiedy trochę podrosłam, fantazje przestały mi wystarczać. Chciałam wiedzieć, kim byli moi rodzice, jak wyglądali. Z całych sił próbowałam sobie przypomnieć moje życie sprzed klasztoru.

Wodziła palcami po brokatowej tapicerce, bezwiednie obrysowując fantazyjne niebieskie i zielone wzory.

- Niewiele pamiętałam. Tylko tyle, że mieszkałam w domu z ogromnym holem i dużymi pokojami, a matka nosiła jedwabne suknie i klejnoty. Myślałam, że byłoby to niemożliwe, gdybym nie pochodziła z dobrej rodziny, jak moje koleżanki za szkoły, która uchodziła wówczas za najlepszą w Nowym Orleanie. Wiedziałam, że ktoś płaci za moje utrzymanie, ktoś, kogo stać na ustanowienie funduszu powierniczego, którym zarządzał monsieur Longchamps.

Zamilkła na chwilę, przypominając sobie niskiego pulchnego prawnika, z jego posuwistym chodem, wielkimi krzaczastymi brwiami i lśniącą łysiną otoczoną wianuszkami siwiejących włosów. Jako mała dziewczynka sądziła, że musi być popadłym w niełaskę mnichem, bo jego mizerna fryzura do złudzenia przypominała tonsurę świętego Franciszka z Asyżu, karmiącego ptaszki na obrazku w prostej ramce, który wisiał nad jej łóżkiem.

Później odkryła, że monsieur Longchamps wcale nie jest mnichem, tylko ponurym, gderliwym starym kawalerem, który zawsze irytująco milczał, kiedy próbowała wyciągnąć coś od niego na temat swoich rodziców.

- Więc stworzyłaś sobie w wyobraźni obraz matki - podjął łagodnie. I w tych wyobrażeniach przypominała matki twoich koleżanek?

Gabrielle przytaknęła skinieniem.

- Przyjeżdżając tutaj, zniszczyłam tamten wizerunek. Ale niczym go nie zastąpiłam. Wiesz, w pewnym sensie teraz wiem o mojej matce jeszcze mniej niż wtedy. Znam jej nazwisko i wiem, jak wyglądała, ale nie wiem nic o niej samej. Nic poza tym, że prowadziła ten dom. A dziś sobie uświadomiłam, że właściwie nie wiem, co to znaczy.

Obeszła krzesło dookoła, żeby znów usiąść. Wbiła wzrok w ręce splecione na kolanach.

- Wpojono mi przekonanie, że kobiety, które sprzedają swoje ciała mężczyznom, są... złe, wulgarne, pozbawione czci. Są dziwnymi istotami, o których mówimy szeptem i stanowczo potępiamy. Że nie warto zadawać sobie trudu, by je zrozumieć. Ale teraz...

Spojrzała na niego, choć miała świadomość, że nie zdoła ukryć bólu i zamętu wypełniającego jej duszę.

- Teraz chcę zrozumieć. A może mi się to udać tylko wówczas, jeśli sama zamieszkałam w tym domu.

Nie spuszczał z niej oczu, widział jej cierpienie, lecz pozostał niewzruszony.

- Nie wiesz, co mówisz. Nie masz pojęcia o tym, co się tu dzieje.

- No to się dowiem - odpowiedziała twardo, choć w środku cała się trzęsła.

- Po co? Żeby się ukarać? - Stał przed nią. - Bo właśnie o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Cały ten szalony pomysł jest karą, którą sama sobie wyznaczyłaś za to, że przez te wszystkie lata żyłaś wygodnie i bezpiecznie w klasztorze, podczas gdy twoja matka i te kobiety poniżały się, żyjąc i pracując tutaj.

- Nie.

- Tak. - Położył ręce na krawędzi krzesła i pochylił się nad nią tak nisko, że odruchowo przywarła plecami do oparcia. Znajdował się tak blisko, że widziała drobniutkie zmarszczki rozchodzące się od kącików jego oczu i cień świeżego zarostu na podbródku. - Chcesz wiedzieć, co się dzieje w burdelu? No to ci powiem. Mężczyzna przychodzi, płaci trzy dolary i wybiera sobie dziewczynę, a ona zabiera go ze sobą na górę. Koło łóżka ma klepsydrę do gotowania jajek; ustawia ją natychmiast po wejściu do pokoju. Więc ten mężczyzna ściąga spodnie i wskakuje na nią najszybciej jak potrafi, bo wie, że kiedy piasek się przesypie, jego czas dobiegnie końca i ona zepchnie go z

siebie, a potem splucze to, co zostawił jej między nogami, żeby być gotową na przyjęcie następnego klienta.

Gabrielle zrobiło się słabo z obrzydzenia. Kula w gardle o mało jej nie udusiła. Patrzyła na jego zimną, niemal okrutną twarz, która się nad nią pochylała, i żałowała, że nie może mu kazać zamilknąć. A nie mogła, ponieważ musiała mocno zaciskać usta, żeby nie wymiotować.

- Trzeba jednak przyznać - ciągnął beznamiętnym tonem - że twoja mama wprowadziła tu lepsze, niemal eleganckie zwyczaje. Każdy mężczyzna, który przychodzi po siedemnastej, płaci dziesięć dolarów za sam przywilej wejścia do tego domu. Za te pieniądze dostaje drinka i może się częstować w bufecie wystawionym w jadalni. Może wziąć udział w grze albo pokreślić się wśród znajomych, paląc cygaro, słuchając muzyki i rozmawiając do woli.

Gabrielle przyłapała się na tym, że obserwuje ruch jego ust. Próbowwała się na tym skupić na tyle, by nie słyszeć, co mówi.

- Ale kiedy jest gotów, bierze upatrzoną dziewczynę na górę i to, co się potem dzieje, w niczym nie odbiega od tego, co wyprawiają w najgorszych spelunach. Ona rozkłada nogi, on wtyka w nią swój członek, on sapie, ona jęczy dotąd, aż on się nasyci albo czas minie.

Wiedziała, że specjalnie jest brutalny i okrutny, ale tym razem nie była w stanie opanować drżenia. Głośno chwyciła ustami powietrze.

Widząc jej przerażenie i wstręt, odsłonił zęby w cynicznym uśmiechu.

- Nadal jesteś przekonana, że chcesz tu zamieszkać? Nadal sądzisz, że możesz się tu wprowadzić?

Zaglądając mu w oczy, ujrzała serce twarde jak skała i duszę zasnutą mrokiem.

- Tak - odpowiedziała stanowczo, wkładając w to jedno krótkie słowo całą swoją nienawiść i wstręt do tego człowieka i do sposobu życia, jaki reprezentował.

Stłumił cisnący się na usta okrzyk, odepchnął się od krzesła i stanął przed kominkiem, odwrócony do niej bokiem.

Przyjrzała się jego profilowi: arystokratycznej linii nosa, wydatnym kościom policzkowym, mocno zarysowanym ustom.

- Wiem, co chcesz osiągnąć - powiedziała, z trudem panując nad głosem. - Ale jestem zdecydowana. Zdecydowana nie sprzedawać domu temu podłemu człowiekowi, i nie brać pieniędzy pochodzących z grzechu. Postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc tym kobietom w znalezieniu lepszego życia, a z tego domu uczynić pożyteczne miejsce.

- Wprowadź się tu, a każdy w tym cholernym mieście będzie przekonany, że jesteś prostytutką- wycedził, wpatrując się w płomienie.

- Zaledwie przed chwilą twierdziłeś, że i tak wszyscy wiedzący o moim związku z tym domem są o tym przekonani.

Zerknął na nią z ukosa.

- A co właściwie zamierzasz robić, kiedy już tu zamieszkasz? Organizować modlitewne spotkania i wspólne czytanie Biblii w salonie? To nie najlepiej przysłuży się interesom.

- Nie jestem ewangelickim pastorem. Moja wiara jest moją sprawą osobistą. Obiecuję nie robić niczego, co mogłoby źle wpłynąć na zyski, dopóki dom nie będzie do mnie należał w całości.

- O, doprawdy? Niczego poza plątaniem się po domu w tej siermiężnej sukience, z miną cierpiętnicy, co z pewnością źle wpłynie na nastrój wszystkich, nie wyłączając mnie. - Oparł łokieć na półce nad kominkiem, tuż przy starym zegarze. - Wygląda mi na to, że masz zamiar nie tylko mieszkać i jeść w tym domu za pieniądze czerpane z grzechu, ale też na mój koszt. Nie sądzisz, że powinnaś w jakiś sposób zarabiać na swoje utrzymanie?

Gabrielle się zaciekała. Bez wątpienia miałyby lżejsze sumienie, wiedząc, że zarabia na siebie jakąś uczciwą pracą, nawet w tym otoczeniu.

- Mogę gotować - zaproponowała z nadzieją w głosie. - Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, przyznaję, ale zakonnice uważały, że każda dziewczynka...

- Mam już kucharkę - uciał. - Temperamentną Francuzkę, którą twoja matka przywiozła z Nowego Orleanu. Ale potrzebuję kogoś grającego na fortepianie. Facet, którego ostatnio zatrudniałem, parę tygodni temu uciekł zjedna z dziewczyn. Vanessa jakoś sobie radzi, ale nie jest w tym dobra, a poza tym marnuje talent, który może wykorzystać w inny sposób, za większe pieniądze. - Nie odzywała się, więc spojrział na nią, unosząc pytająco brew. - Domyślam się, że w tym klasztorze uczyli was gry na fortepianie?

Gabrielle gapiła się na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz, żebym przygrywała klientom w... w...

- Burdelu - wymówił powoli i wyraźnie. - To jest burdel. Możesz to miejsce nazywać domem publicznym, miejscem schadzek, przybytkiem rozpusty czy gniazdem rozkoszy. Istnieje mnóstwo określeń na tego rodzaju miejsca. Ale lepiej się nauczyć któreś z nich wymawiać, skoro masz zamiar tu mieszkać.

Poderwała się z miejsca i odeszła w przeciwny kąt gabinetu, jak najdalej od tego człowieka. Obok okna znajdowało się łukowate przejście do następnego pomieszczenia. Bładoniebieska aksamitna kotara była odsunięta na jedną stronę i zaczepiona do ściany hakami w kształcie nagiej kobiety. Przez łukowaty otwór widać było sypialnię. Sypialnię jej matki.

- Możesz grać? - ponaglił niecierpliwy głos za jej plecami. Czy mogła? Gabrielle zastanawiała się gorączkowo. - Umiem grać na fortepianie zaczęła niepewnie. Ale naprawdę nie wiem, czy mogę zrobić to, czego ode mnie oczekujesz.

- Więc nie zrobimy interesu.

Odwróciła się na pięcie. Stał przed kominkiem, mroczny, niebezpieczny i zadowolony z siebie. Domyślała się, że wcale nie chciał, by przygrywała w salonie, że wyszedł z tą propozycją tylko po to, żeby zrezygnowała ze swojego planu. Uniosła dumnie głowę i odetchnąwszy głęboko, oznajmiła:

- Będę grała.

Widziała raptowną zmianę w wyrazie jego twarzy - opuszczone powieki i ściągnięte wargi. Był zły, ale tym razem nawet się nie starał tego ukrywać.

- Mówiłam, że jestem zdecydowana - przypomniała mu twardo. - Zrobię wszystko, co będzie trzeba, w granicach rozsądku, żeby osiągnąć swój cel.

- Tak?

Potrafił włożyć więcej ironii w jedną sylabę niż jakakolwiek inna znana jej osoba. Targnęła nią gwałtowna fala niechęci do tego człowieka.

- A co zrobisz, jeśli któryś z tych mężczyzn uzna, że chce właśnie z tobą pójść na górę? - spytał, kołysząc się lekko na piętach.

Znów poczuła dziwny niepokój w środku. Zerknęła w stronę pokoju matki. Cokolwiek się działo przed laty, z pewnością ostatnio Celeste DuBois nie chodziła już na górę z odwiedzającymi ten dom mężczyznami.

- A co moja matka robiła w takich sytuacjach?

- Twoja matka doskonale radziła sobie z mężczyznami.

Dobrze wiedziała, co robi. W przeciwieństwie do ciebie.

- Mogę się nauczyć.

- Czyżby? - Zbliżył się do niej tym lekko kołyszącym, onieśmielająco męskim krokiem. - Co zrobisz, kiedy jakiś mężczyzna podejdzie do ciebie i chwyci cię w taki sposób? – Jakby nigdy nic położył dłoń na jej lewej piersi.

Zesztywniała pod jego dotknięciem, głośno wciągając powietrze. Nadal się uśmiechał, ale to nie był miły uśmiech, a w spojrzeniu dostrzegła wyzwanie.

Uniósł brwi i uśmiechnął się kpiąco.

- Nic? A kiedy cię przyciśnie do ściany? - Przyparł ją do miękkiej aksamitnej kotary. - Dłoń przestała obejmować pierś i znalazła się w jej włosach, chwytając tak mocno, że Gabrielle musiała odchylić głowę.

- Wystarczy, wiem już wszystko, panie Hays...

- Niezupełnie. - Ciepły oddech owiewał jej skroń.

Próbowała się wyrwać, ale naparł mocniej, zaciskając palce w jej włosach. Miała jego twarz tak blisko, że widziała maleńkie zmarszczki, pozostałość po dawnych uśmiechach, wokół surowo zaciśniętych ust.

- A co pani zrobi, panno Antoine, jeśli panią pocałuje?

On to zrobi, pomyślała w nagłym popłochu. On mnie zaraz pocałuje. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

I stało się. Zgniół jej usta natarczywym pocałunkiem.

Wydała z siebie zduszony pisk. Okładała go zaciśniętymi pięściami po twardych ramionach, próbując go od siebie odepchnąć. Ale był zbyt duży i silny; przygniatał ją swoim ciężarem do ściany, schwytaną w pułapkę i bezradną.

Zakręciło jej się w głowie od jego zapachu. Zapachu drogiego tytoniu, brandy i gorącej męskości. Znieruchomiała, żeby przeczekać sytuację. Ale że wtedy naparł jeszcze mocniej, zmusił ją do rozchylenia ust i wdarł się do środka. Udało mu się przy tym wcisnąć udo pomiędzy jej nogi. Po pierwszym szoku

poczuła się zdominowana, brutalnie pokonana. Wszystkie trzeźwe myśli nagle uleciały jej z głowy, czuła jedynie wilgotny żar jego warg, napór twardego ciała i dzikie szamotanie własnego serca.

A potem nagle oderwał się od niej, tak samo gwałtownie i niespodziewanie, jak zaczął ją całować. Aż się zachwiała i niechybnie by upadła, gdyby jej wciąż nie przyciskał sobą do ściany. Miała zamęt w głowie, czuła dotkliwy chłód pustki na obrzmiałych ustach i gdzieś głęboko w środku.

- Jeśli miałeś nadzieję, że wpadnę w histerię – powiedziała spokojnym, lecz dziwnie zduszonym głosem - to muszę cię rozczarować. Wychowano mnie tak, bym się zachowywała jak dama w każdej sytuacji, nawet bardzo trudnej.

Nadal jej nie puszczał. Położyła mu ręce na ramionach, żeby go od siebie odepchnąć. Spojrzała mu w oczy, pociemniałe i jak zwykle nieodgadnione. Zauważyła jednak, że i na nim pocałunek zrobił pewne wrażenie; jego oddech stał się szybszy i jakby urywany, a rysy twarzy ściągnął wyraz, jakiego wcześniej nie widziała.

- Spróbuj się tam zachowywać jak dama - wskazał ruchem głowy na frontowy salon - to prędzej czy później zostaniesz zgwałcona.

Potrząsnęła głową.

- Dobrze sobie przyswoiłam lekcję, której zechciałeś mi udzielić swoim aktem brutalności. Mam zamiar jak najszybciej wypracować odpowiednią strategię obrony przed takimi niepożądanymi zapędami.

Położyła szczególny nacisk na „niepożądanych zapędach”. Ku jej zaskoczeniu, tylko się roześmiał. I puścił ją.

- Widzę, że naprawdę jesteś zdecydowana?

- Owszem.

Sięgnął po karafkę i napełnił po brzegi jeden kieliszek, nalewając też odrobinę brandy do drugiego.

- Wypijemy za naszą umowę? - Podał jej kieliszek ze skromniejszą porcją trunku; przyjęła go po krótkim wahaniu.

Unosząc brew, podniósł rękę w geście toastu.

- Więc umowa stoi?

Zrobiła to samo co on, znów doznając dziwnego wrażenia, że jest jakąś inną osobą i patrzy z góry na obcą kobietę zamieszkującą jej ciało, pijącą brandy i zawierającą złowieszczy pakt z niebezpiecznym, nieznanym jej człowiekiem.

Kieliszki z brzękiem stuknęły o siebie.

- Umowa stoi - potwierdziła Gabrielle. Spełniając toast, czuła smak jego warg, nie brandy.

Siedział przy oknie w swoim pokoju, w wielkim skórzanym fotelu o barwie burgunda. Od gołych szyb wiało chłodem, ale nie ruszył się, żeby zaciągnąć ciężkie brokatowe zasłony. Za oknem ciemność przesłoniła ośnieżone zbocza; kołysane wiatrem cienie sosen wyglądały jak czające się pod domem duchy.

Wokół panowała cisza. Było późno. Gabrielle z pewnością spała już głębokim, niewinnym snem w swoim pokoju w hotelu Teller House. Pomyślał, że jej niewinność wkrótce przeminie. Jutro rano wprowadzi się do domu swojej matki, wkroczy w życie, jakiego - był tego pewien - nie potrafiła sobie wyobrazić ani tym bardziej zrozumieć. Mogło jej się wydawać, że mieszkając wśród rozwiązłości i grzechu, zachowa swoją niewinność, swoją nieskalaną czystość. Ale Jordan wiedział, że to niemożliwe.

Zdjął szklany klosz naftowej lampy stojącej na stoliku obok fotela. Pstryknął zapałką, zapalił knot i zapatrzył się w płomień. Pomyślał, że to w końcu jej decyzja, jej wybór. Do pewnego stopnia potrafił nawet zrozumieć, co nią kierowało.

To wszystko, czego się dowiedziała o matce, wstrząsnęło jej dotychczasowym światem, zmieniło sposób widzenia samej siebie i napełniło bardziej poczuciem winy niż wstydem. To też potrafił zrozumieć. Nie rozumiał natomiast, dlaczego sam siedzi w środku nocy i rozmyśla o tym, co miała zamiar zrobić.

Ostatnie dni zbudziły w nim uczucia, które dawno uznał za umarłe. Uczucia, których wcale nie chciał już w życiu doświadczać. Nałożył klosz na lampę i sięgnął po cienki tomik poezji, oprawny w wytłaczaną skórę, leżący obok lampy. Okładka była mocno zniszczona i nadpalona z jednej strony - pamiątka po pewnej nocy sprzed wielu lat, kiedy skończyło się wszystko, co nadawało sens jego życiu. Otworzył książkę, opierając ją na kolanie. Jednak zamiast czytać, przeniósł wzrok na ledwie widoczny w mroku zimowy krajobraz za oknem. Odchylił głowę na gładkie oparcie fotela. Po chwili czuł, jak powieki mu opadają i zapada w sen.

We śnie słońce wstało złociste i ciepłe, a trawa rosła zielono i bujnie w wilgotnym upale wirginijskiego lata. Kawaleryjska szabla uderzała go rytmicznie o udo, kiedy szedł w stronę dobrze znanego domu z czerwonej cegły, który rozpościerał się przed nim w oddali dumny i piękny. W cieniu szerokiej werandy czekała na niego kobieta, piękna kobieta o włosach koloru wypolerowanego mahoni. Uśmiechała się, ale to był smutny uśmiech, niesięgający łagodnych piwnych oczu.

Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do swego brzucha, w którym dojrzewało jego dziecko.

- Jordan, wróć do nas, do domu - powiedziała cicho. —
Cokolwiek będzie się działo, pamiętaj, żeby do nas wrócić.

Chciał ją wziąć w ramiona i pocałować, ale chociaż wciąż ją widział, czuł się tak, jakby już go tam nie było i sen się zmienił, jak zawsze. Niebo zasnuło się zimnymi chmurami. Słyszał rubaszne śmiechy. Pijani żołnierze w niebieskich mundurach obijali się o ściany, potykali na schodach prowadzących do ogrodu, ciągnęli za sobą kobietę.

Jordan jęknął. *Sophie. Na litość boską nie. Sophie.* Próbował unieść rękę, próbował ich powstrzymać. Ale nie mógł. Nigdy nie mógł.

Słyszał jej krzyk. Krzyczała i walczyła. Ale było ich tak wielu. Zbyt wielu. Jordanowi wydawało się, że czuje ich szorstkie, brudne ręce ciągnące ją na ziemię. Że czuje gorące, kwaśne oddechy, które owiewały jej twarz, podczas gdy niecierpliwe spocone paluchy szarpały ubranie, rwąc guziki i sprzączki. Zaciśnięta pięść uderzyła w miękką wypukłość jej brzucha, kiedy kopnęła pochylającego się nad nią potwora. Inne ręce chwyciły i rozsunęły jej nogi.

Nie! Wysoki siwowłosy mężczyzna wszedł chwiejnie na werandę. Krew spływała mu z rany na czole; trzymając się poręczy, usiłował zejść po schodach. *Nie!* - zawołał Hannibal Hays. *Przestańcie!*

Jeden z żołnierzy, czekający na swoją kolej, podniósł głowę. Rozległ się huk wystrzału. Ojciec Jordana zgiął się wpół. Upadł. Leżał nieruchomo.

Hałas i ruch utonęły w ciemności. Kobieta leżała samotnie, bez ruchu; jej krew, wymieszana z krwią nienarodzonego dziecka, tworzyła ciemną plamę, odbijającą blask płomieni liżących ściany domu.

Jordan wolno otworzył oczy, lecz zaraz z powrotem znowu je zamknął. Sen miłosiernie dobiegł końca. Tylko że wcale nie był snem. A Jordan był tak bardzo zmęczony życiem wypełnionym tym jednym wspomnieniem.

Nic patrząc, sięgnął do lampy i skrzył knot, na powrót pograżając pokój w ciemności. Gdzieś daleko na zboczu okrytej śniegiem góry zawył wilk. Samotny żałobny zew odbił się echem w wąwozie, wtórując szumowi sosen i ciężkiemu rytmowi serca Jordana.

Nie potrafił panować nad swymi snami, ale panował nad myślami i nieczęsto pozwalał sobie na wspomnianie przeszłości, na dręczenie się beznadziejną tęsknotą za tym, co drogie i kochane, choć dawno bezpowrotnie utraczone.

Jednak raz na jakiś czas nie mógł się oprzeć tej potrzebie. Myślał o swojej ukochanej zmarłej żonie, leciutko gładząc palcami wypukłości skórzanej okładki. Piękna, łagodna Sophie o

błyszczących piwnych oczach i włosach barwy polerowanego mahoni. Jej włosy...

Jordan aż wstrzymał oddech, zaciskając dłoń na cienkim grzbiecie książki. Zdumiony i przestraszony, szeroko otworzył oczy. Tym razem sen, który nawiedzał go co noc, przez długie lata... Tym razem sen był inny.

Och, zaczął się tak samo, z Sophie na werandzie, jej smutnymi oczami, uśmiechem, który bez powodzenia udawał dzielność.

Ale potem... Potem się zmienił.

Oto kobieta walczącą w jego śnie z brutalnymi pijanymi typami... Ta kobieta miała jasne włosy, w kolorze słońca, nie mahoni. A twarz, ściągnięta przerażeniem i bólem, także nie należała do Sophie. Te oczy były srebrzystoszare, nie piwne. Kobieta powoli wykrwawiającą się na śmierć nie była Sophie. To była Gabrielle. Gabrielle Antoine.

7

Słabe, jakby niepewne światło sączyło się przez firanki podwójnego okna, układając delikatny wzór cieni na puszystym dywanie. W pokoju unosił się ledwie wyczuwalny egzotyczny zapach. Zapach jaśminu. Zapach jej matki.

Gabrielle stała w nogach wielkiego łóżka z baldachimem, obejmując dłonią rzeźbioną kolumnę z palisandru. Przez cały ranek poruszała się z dziwnym poczuciem nierzeczywistości, z błogosławioną nieświadomością skutków, jakie mogła pociągnąć za sobą jej decyzja. Teraz jednak stała w tym pokoju, pod nogami miała swój bagaż, jej płaszcz leżał na niebieskiej satynowej narzucie łóżka i nie mogła dłużej zamykać oczu na następstwa kroku, jaki właśnie uczyniła.

Wszystko, co było dla niej ważne, wszystko, czego zawsze pragnęła - małżeństwo, rodzina, własny dom - wszystko to zawisło na włosku przez decyzję o wprowadzeniu się do tego domu- Mogło jej się udać pomóc przynajmniej niektórym z tych kobiet w porzuceniu grzesznego życia dla bezpieczniejszej i lepszej przyszłości. Mogła leż, jakimś cudem, zdołać przekształcić ten dom w szkołę. Ale wydawało jej się mocno wątpliwe, by ludzie z tego miasta zaakceptowali ją jako nauczycielkę. Nie w tej sytuacji.

Gabrielle westchnęła. Wprowadzając się do tego domu, próbując spłacić zobowiązanie, jakie w swym przekonaniu miała wobec tych nieszczęsnych kobiet, sama stawiała się pośród nich. A jednak nie żałowała. Wiedziała, że gdyby tego nie zrobiła, nie potrafiłaby samej siebie znieść.

Pochylając się nad jednym ze swych kufrów, otworzyła zamek i uniosła wieko. Powtarzała sobie w duchu, że jeśli tutejsi ludzie nie uznają jej za porządną kobietę, którą przecież jest, zawsze może wrócić do Nowego Orleanu. W Nowym Orleanie nikt nigdy nic słyszał o Przybytku Celeste, nikt nie będzie wiedział, że spędziła trzy miesiące w takim miejscu. Nikt nie będzie wiedział...

Wyjęła szarą fularową sukienkę z czarną aksamitną falbanką. Potrzęsnęła nią, żeby wygładzić załamania, a potem ułożyła na łóżku i sięgnęła po brązową, z alpaki.

- Jeśli tak wygląda cała twoja garderoba - rozległ się za jej plecami przeciągły męski głos - to będziemy musieli znaleźć ci coś bardziej odpowiedniego na dzisiejszy wieczór. To znaczy, jeśli nadal masz zamiar grać.

Gabrielle odwróciła się szybko, przyciskając do piersi skromną sukienkę.

Jordan Hays stał w łukowatych drzwiach prowadzących z gabinetu. Miał na sobie srebrno-czarną brokatową kamizelkę

oraz, jak zwykle, czarny surdut i czarne spodnie. Stał oparty jedną ręką o framugę; odniosła wrażenie, że znajdował się tam od dłuższego czasu.

- Nadal mam taki zamiar - powiedziała hardo, oblewając się rumieńcem na wspomnienie tego, co się między nimi wydarzyło poprzedniego wieczoru. Wiedziała, że całując ją, kierował się szczególnymi powodami. Jednakże nikt jej dotąd nie dotykał w taki sposób i nie mogła przestać o tym myśleć.

Odepchnął się od framugi i podszedł, żeby otworzyć jedno z trzech drzwi masywnej palisandrowej szafy o zdobionym wężykowatym wzorem frontie i rzeźbionych nóżkach.

- Wygląda na to, że nosisz ten sam rozmiar co twoja matka.
- Przesunął dłonią po rzędzie kolorowych jedwabi, satyn i aksamitów, wiszących na środkowym drążku. Może przymierzysz któryś z jej strojów?

- Nie mogę - powiedziała, kurczowo ściskając prostą brązową suknię.

Na moment zatrzymał dłoń przy kremowej sukni z żorzety, ale zaraz przeszedł do następnej. W klasztorze wieszały swoje ubrania na hakach albo układały schludnie na półkach. A tu, w szafie Celeste DuBois, każda sztuka miała swój osobny wieszak. Wydało jej się to niewiarygodnym luksusem.

- Ta - zdecydował.

Wyjął aksamitną suknię w kolorze czerwonego wina, z dopasowaną górą i lamowanymi satyną rękawami. Patrząc na nią, Gabrielle nieoczekiwanie poczuła zaciekawienie, a nawet cień tęsknoty. Spodziewała się czegoś krzykliwego, prowokująco zmysłowego, czegoś takiego, jak miały na sobie kobiety, które odwiedziły ją w hotelu, la suknia wprawdzie jak na gust i zwyczaje Gabrielle odsłaniała zbyt wiele, lecz z pewnością nie było w niej nic wulgarnego. Każda dama mogła się w niej pokazać bez wstydu. Gabrielle marzyła, by któregoś dnia posiadać taki strój, ale dotąd niczego podobnego nie nosiła.

- Och - westchnęła, nieśmiało dotykając miękkiej tkaniny. - Jest śliczna. — Wzięła od niego suknię, trzymając ją ostrożnie z dala od siebie, żeby się nie zmięła, po czym delikatnie rozłożyła ją na łóżku, podziwiając maleńkie satynowe różyczki przy szyi i w pasie.

Obejrzała się na mężczyznę, który z nieodgadnionym wyrazem twarzy nadal stał przy otwartych drzwiach szaty z wewnętrznym lustrem.

- Nie powinieneś przebywać w moim pokoju. To niewłaściwe.

- To znaczy, że założysz tę suknię? - spytał, jakby się spodziewał, że spotka się ze sprzeciwem.

- Tak, oczywiście. Jest śliczna.

Zacisnął wargi, a zaraz potem rozciągnął je w szerokim uśmiechu, którego nie rozumiała. Zamknął drzwi szafy.

- Uświadomiłem sobie, że jeszcze nie słyszałem, jak grasz. Może nie jesteś na tyle dobra, żeby się prezentować publicznie.

Gabrielle zadarła wyniośle podbródek, nieco urażona.

- Mogę cię zapewnić, że moja gra jest więcej niż poprawna. Ale jeśli chcesz sam się przekonać, nie widzę żadnych przeszkód.

Proszę za mną.

Wyprostowana jak struna, ruszyła w stronę frontowego salonu.

Jeszcze tam nie była. Przy zasłonie z kryształowych koralików zawahała się na moment, lecz zaraz odepchnęła je na bok zdecydowanym ruchem i weszła do środka.

Słyszała, jak kryształki zastukały o siebie dźwięcznie, kiedy przychodził za nią. Dyskretnie rozejrzała się po przestronnym pokoju z bogato wyściełanymi meblami w kolor/c burgunda, ponurymi malowidłami na ścianach i unoszącym się w powietrzu zapachem drogich perfum i drogich cygar. Następnie odsunęła stołek od fortepianu i usiadła.

Przebiegła palcami po klawiaturze w szybkim pasażu, żeby się oswoić z instrumentem. Był to steinway, ostatnio nastrojony przez kogoś, kto bez wątpienia znał się na swojej robocie.

Niemal odruchowo zaczęła od solowej partii koncertu d-moll Mozarta, następnie przeszła do sonaty Haydna. Hays stał oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi, nie spuszczać z niej wzroku.

Skończyła właśnie jeden ze wczesnych utworów Beethovena, kiedy się odezwał:

- Wszystko to bardzo piękne, panno Antoine. Widzę, że siostrzyczki kazały ci dużo ćwiczyć, kiedy byłaś małą dziewczynką. Ale my tu nie dajemy recitali fortepianowych, a większość naszych klientów nie widzi różnicy pomiędzy fugą a sonatą. Jak ci idzie z nieco lżejszym repertuarem?

Wytrzymując bez mrugnięcia jego spojrzenie, zaczęła grać *Dziewczęta z Buffalo*, potem *Mały brązowy dzbanuszek*, *Srebrne nitki pośród złota* i w końcu, ze złośliwym uśmiechem: *Ci nieznośni, nieznośni mężczyźni*. Zakończyła soczystym akordem.

- Zadowolony?

Nie uśmiechnął się, jak oczekiwała. Położył piękną smukłą dłoń na jej prawym nadgarstku; ścisnął tak mocno, że prawie zabolowało.

- Wystarczy. Nie chcę, żebyś to robiła, Gabrielle.

- Wiem, że nie chcesz. - Drżąc, lekko oswobodziła rękę, zamknęła klapę klawiatury i odsunęła się od instrumentu i zarazem od niego. - Niemniej jednak - powiedziała, bezwiednie

pocierając rękę w miejscu, gdzie jej dotykał - w samej grze na fortepianie nie ma nic naganego. W normalnych okolicznościach nie robiłabym tego publicznie, ale te okoliczności nie są normalne. Mam zamiar płacić za swoje utrzymanie, dopóki będę tu mieszkać, a dostarczanie muzycznej rozrywki wydaje się jedynym sposobem, w jaki mogę to robić. Dotąd nieświadomie żyłam z niegodziwych interesów prowadzonych w tym domu, ale nie mam zamiaru godzić się z tym na przyszłość.

- Przygrywanie na fortepianie w takim miejscu nie jest zbyt szacownym zajęciem. Mój Boże, kobieto. Rozejrzyj się wokół siebie.

Chwycił ją za ramiona i siłą odwrócił tak, żeby zobaczyła wystawioną w dobrze widocznym miejscu tablicę. Fantazyjne zawijasy na górze układały się w słowo Menu, a to, co było wypisane poniżej, bynajmniej nie dotyczyło rarytasów przygotowywanych co wieczór przez słynną francuską kucharkę Celeste.

- Płacąc przy wejściu dziesięć dolarów, gość otrzymuje dwa żetony. Żółty może wymienić na szklaneczkę bourbona lub brandy albo na jedną kolejkę ruletki, natomiast czerwony żeton daje dziewczynie, z którą idzie na górę. Jeśli ma ochotę na francuskie sztuczki, potrójny numer albo coś innego, niezwykłego lub lekko zboczonego, też może dostać. Tyle że za

ekstra dopłatą. To właśnie jest wyszczególnione w menu. Przyjrzyj się dobrze, panno Antoine. Bo właśnie to się będzie działo na górze, kiedy ty będziesz siedzieć przy fortepianie.

Wbrew swej woli, przebiegła oczami listę obrzydliwości, wypisaną starannym, ozdobnym pismem. Połowy nie rozumiała, ale wyobraźnia podsunęła jej parę tak wyrazistych obrazów, że aż przebiegł ją dreszcz. Stał za nią, z rękami wciąż opartymi ciężko na jej ramionach. Musiał wyczuć jej drżenie, lecz nie mogła nic na to poradzić.

Pochylił głowę tak nisko, że jego usta znalazły się tuż przy jej uchu; ciepły oddech załaskotał ją w szyję.

- Nie sprzeciwiałem się tak długo, ponieważ myślałem, że jak przyjdzie co do czego, sama się wycofasz. Ale uwierz mi, nie możesz być w tym domu, a już na pewno w tym pokoju, nawet jeśli masz tylko grać na fortepianie.

Odetchnęła głęboko.

- Już ci mówiłam. Jestem zdecydowana znieść wszystko.

- Więc zanim będzie za późno, żeby się wycofać, chyba powinnaś się rozejrzeć tam na górze. Zobaczyć dokładnie, w co się pakujesz.

- Na górze? - Jej głos nie brzmiał już tak spokojnie.

- Na górze - potwierdził chłodno.

Bała się, że sam zechce ją oprowadzić. Ale rzekł tylko:

- Poczekaj tu. - Wbiegł po szerokich schodach, biorąc po dwa stopnie naraz.

Pozostawiona sama we frontowym salonie, Gahrielle rozejrzała się niepewnie po gęsto rozstawionych fotelach o spiralnie toczonych nóżkach i oparciach, wydętych niczym balony, po stolikach z marmurowymi blatami, nakrytych zdobnymi we frędzle serwetami, po ciężkich brokatowych zasłonach odcinających większość dziennego światła. Wiedziała, że dom jest zamknięty. Ze żaden mężczyzna nie zastuka kołatką, szukając kobiety do zaspokojenia tej dziwnej, tajemniczej żądzy, która miała tak niezwykły wpływ na ich życie. Jednak nawet za dnia czuła się w tym pokoju nieswojo, jakby ktoś mógł zniecka wejść i siłą zabrać ją kręconymi schodami na górę, a potem zmusić do niewyobrażalnych rzeczy, o których samo myślenie było grzechem.

Świszczący szept wykwintnej tkaniny kazał jej odwrócić głowę. Obserwowała ją z chłodną uwagą jedna z kobiet, które poprzedniego dnia wdarły się do jej pokoju w hotelu. To była Sirena; wysoka elegancka kobieta o prostych czarnych włosach i mocno zarysowanych kościach policzkowych.

- Więc jednak zdecydowała się pani zostać – powiedziała swoim charakterystycznym, nieco gardłowym kontraltem. Nie okazała nawet śladu aprobaty ani choćby zaskoczenia. Po prostu stwierdziła fakt, przyjmując do wiadomości wybór Gabrielle.

Przyszła od tyłu domu, przez jadalnię i szerokie drzwi łączące frontowy salon z pomieszczeniami znajdującymi się w drugiej części budynku. Podeszła bliżej; turkusowa satynowa spódnica szeleściła wdzięcznie przy każdym kroku. Ze wszystkich kobiet, które Gabrielle widziała w tym domu, Sirena najmniej odpowiadała jej wyobrażeniom o tym, jak może wyglądać prostytutka, chociaż jej satynowa sukienka była wycięta tak głęboko, że prawie całkowicie odsłaniała małe kragłe piersi. Kiedy Sirena stanęła bliżej, Gabrielle stwierdziła, że maluje się podobnie jak reszta dziewczyn, ale czarne kreski wokół jej oczu były cieńsze i staranniej wyrysowane, a cynobrowa szminka naniesiona z umiarem.

- Jordan kazał mi panią oprowadzić - powiedziała Sirena bez uśmiechu. Nie oznaczało to, że była wrogo nastawiona, lecz po prostu niezainteresowana. Skierowała się ku schodom, pozostawiając Gabrielle decyzję, czy chce pójść za nią.

Trzymając się balustrady, Gabrielle podążała za sztywno wyprostowaną swoją przewodniczką. Nie miała ochoty tam iść. Czowała, że w swej naiwności nie jest sobie w stanie do końca wyobrazić tego, co się tam odbywa. Wiedziała, że jest poddawana przez Jordana Haysa kolejnej próbie, podobnej do tych z suknią i muzyką. Z pewnością nie wierzył, że starczy jej hartu ducha, żeby sprostać wszystkim zobowiązaniom, jakie na siebie wzięła.

Ale się mylił.

Powoli, z głośno walącym sercem, Gabrielle wspinała się na piętro. Tak samo jak hol i frontowy salon, klatka schodowa wybita była boazerią w niezwykłym, ciemnoceglastym kolorze. Tu także, jak w holu, lustra w ciężkich złożonych ramach wisiały na przemian z ponurymi obrazami i kinkietami zdobnymi w wisiorce. Tyle że tu lampy były kryształowe, nie z brązu. Przyjrzała się jednemu z malowideł; przedstawiało dwie nagie kobiety wyciągnięte na czerwonym dywanie obok czerwono-białej tureckiej łaźni z marmuru. Gabrielle wyteńczyła wzrok. Kobiety wyglądały jakby... nie mogła uwierzyć, że robiły z sobą coś takiego.

Opuściła szybko głowę; niebiesko-czerwono-złoty deseń dywanu zawirował jej w oczach. Serce jej się tłukło jak oszalałe, policzki płonęły rumieńcem. Uświadomiwszy sobie własne położenie, zmusiła się do uniesienia głowy i obejrzenia każdego mijanego obrazu. Nim dotarły do szerokiego korytarza, który dzielił piętro na dwie części, niemal kręciło jej się w głowie od tego, co zdążyła zobaczyć.

- Większość pokoi jest obecnie pusta - odezwała się Sirena, przystając przed uchylonymi drzwiami na wprost schodów. - Nasze prywatne pokoje znajdują się na drugim piętrze. Te służą do zabawiania klientów. Korzystamy z tego samego pokoju

przez tydzień, a potem się zmieniamy, chociaż każda z nas ma swój ulubiony. Ten nosi nazwę Lido.

Pchnęła uchylone drzwi, otwierając je szeroko. Najwyraźniej ktoś tu wcześniej sprzątał. Obok kominka stało wiadro, szczotka i szufelka, a palenisko było wymiecione do czysta z popiołu. Przez otwarte na oścież okna wpadało mroźne górskie powietrze.

Gabrielle zadrżała. Właściwie nic była pewna, czego się spodziewała. Z pewnością czegoś zaskakującego, może nawet przerażającego. Zamiast tego miała przed oczyma piękny pokój umeblowany w stylu Ludwika XVI, z ogromnym łóżkiem pośrodku. Ściany wymalowane były na kolor jaj drozda, z gipsowym fryzem biegnącym dookoła pod sufitem. Przyjrząwszy się dokładniej odkryła, że fryz przedstawia nagą kobietę, robiącą dziwne rzeczy z łabędziem.

Opuściła trochę nieprzytomny wzrok na łóżko. Bładobłękitna satynowa narzuta była wygnieciona, ale nie ściągnięta. Cokolwiek się działo w tym pokoju, odbywało się na zasianym łóżku, nie w pościeli.

- Dobrze pani zrobiła, nie przyznając się im, że jest dziewicą - powiedziała cicho Sirena. - Tierney i tak się domyśla, ale nie może mieć pewności.

Gabrielle nic miała pojęcia, co odpowiedzieć. Wstrząs doznany na widok malowideł, fryzu i wygniecionego łóżka musiał się wyraźnie malować na jej twarzy. Jednak nie znała przecież tej kobiety i nie miała powodu ufać jej na tyle, by wyznać prawdę. W ogóle się nie odezwała.

Czarnowłosa kobieta uśmiechnęła się pod nosem.

- Milczenie jest chyba najlepszym wyjściem - przyznała. - Zresztą niewiele osób w tym interesie mówi o sobie prawdę. Większość dziewczyn wymyśla sobie przeszłość jako wymówkę dla tego, gdzie są i co robią.

Gabrielle zerknęła ukradkiem na swą przewodniczkę. Miała ochotę spytać Sirenę, jak brzmi jej historia i dlaczego... robi to, co robi. Nie mogła się jednak zdobyć na tak daleko idącą bezpośredniość, wręcz gruboskórność, więc tylko, patrząc na zmiętą satynową narzutę, spytała:

- A jaką wymówkę podaje większość kobiet?

Sirena wzruszyła ramionami.

- Zazwyczaj winią jakiegoś czarującego przystojniaka, który namówił je na ściągnięcie majątek, obiecując ślubny pierścionek, a potem zniknął. Myślę, że czasami to nawet jest prawda. Najczęściej jednak prawda wygląda tak, że własny ojciec zaczął je molestować, gdy tylko wyrosły im piersi, jeśli nic wcześniej. Czasami to był brat albo dziadek, a może wszyscy

trzej. Jakkolwiek by było, skutek jest ten sam. Są przekonane, że nadają się tylko do tego, by leżeć pod mężczyzną i zaspokajać jego chucie. Nie znają innego życia.

Gabrielle nigdy nie słyszała, nigdy nawet sobie nie wyobrażała czegoś równie obrzydliwego - żeby mężczyzna zmuszał dziecko do robienia takich rzeczy. Ale w beznamiętnym tonie Sireny było coś, co ją przekonało, że ta potworność jest możliwa. Nagle żywo stanęła jej przed oczami Tierney, rozciągnięta na jej hotelowym łóżku, mówiąca: „Mój tata nauczył mnie robić różne rzeczy, zanim go powiesili, jeszcze w Londynie”. Czy właśnie to miała na myśli?

Sirena odwróciła się, kiedy niska kobieta o orientalnych rysach, stalowoszarych włosach, twarzy pomarszczonej jak pergamin i zgiętych w pałąk plecach, szurając nogami podeszła do nich od strony holu. Niosła miskę i dzbanek z chińskiej porcelany w śliczny niebieski wzorek. Kiedy szła, jej pantofle ocierały się o siebie, wydając cichy syczący odgłos.

- Dzień dobry, Xin-Huey - zagadnęła ją Sirena.

Xin-Huey pochyliła głowę, mamrocząc coś niezrozumiale, po czym szybko weszła do błękitnego pokoju. Gabrielle patrzyła, jak ustawia dzbanek na marmurowej umywalni. Ale miskę postawiła na podłodze przy drzwiach. Gabrielle wydało się to dziwne, ale nie miała odwagi prosić Sireny o wyjaśnienie.

Kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami kobieta wygładziła narzutę, zebrała naręczce czegoś, co wyglądało jak flanelowe prześcieradła, zabrała wiadro i szczotkę sprzed kominka i pośpiesznie wyszła z powrotem do holu. Kiedy je mijiała, Gabrielle poczuła silny piżmowy zapach bijący od wynoszonej do prania bielizny. Był to ten sam nieznany jej zapach, którego cień unosił się w pokoju mimo otwartych okien, mimo egzotycznego aromatu wschodnich kadzidełek palących się w różnych miejscach domu, mimo flakoników z różanym i lawendowym potpourri na marmurowych blatach stolików rozstawionych w holu. Domyśliła się, że ten zapach musi się jakoś łączyć z tym, co się dzieje w tych pokojach, ale o to także nie śmiała zapytać.

- Chodźmy, pokażę pani kilka innych pokoi – zaproponowała Sirena.

- W drzwiach nie ma zamka - zauważyła Gabrielle, kiedy wychodziły.

- Żaden z pokoi nie jest zamykany. Czasami klient okazuje się draniem, a żadna z nas nie ma ochoty znaleźć się w zamknięciu z wariatem czy zboczeńcem.

Gabrielle zacisnęła usta, postanawiając więcej ich nie otwierać.

Następny pokój utrzymany był w tonacji krwistej czerwieni i umeblowany dębowymi sprzętami w stylu Jakuba I. Dalej znajdował się pokój blad różowy niczym pierwszy blask letniej jutrzynki. Pokoje różniły się kolorystyką i stylem umeblowania. Ale pod pewnym względem wszystkie były jednakowe: w każdym stało olbrzymie łóżko. I prawie wszystkie ściany obwieszane były lustrami. Gabrielle nieco się zdumiała, widząc lustra nawet na sufitach.

- Po co komuś lustro nad łóżkiem? - wyrwało jej się. Natychmiast zawstydzona uciekła wzrokiem na różową jedwabną zasłonę baldachimu.

Usta Sireny wygięły się w lekkim uśmiechu.

— Niektórzy mężczyźni lubią patrzeć, jak to robią.

Mimowolnie Gabrielle wyobraziła sobie mężczyznę i kobietę, nagich, splecionych ze sobą na różowej narzucie; kobieta była jasnowłosa i miękka, mężczyzna ciemny i twardy, zaborczo wodził rękami po jej gładkim ciele, patrząc na nią błyszczącymi oczami, patrząc...

Gabrielle zganiła się w duchu. Rumieniec dosłownie palił jej twarz. Miała wrażenie, że przez ostatnie czterdzieści osiem godzin musiała się zaczerwienić ze wstydu więcej razy niż w całym dotychczasowym życiu. Odczuła nagle nieprzepartą potrzebę samotności.

- Chyba widziałam już dosyć - powiedziała.

Wzruszywszy obojętnie ramionami, Sirena poprowadziła ją tylnymi schodami do kuchni.

Idąc za Sirena, Gabrielle zastanawiała się, dlaczego ze wszystkich kobiet mieszkających w tym domu Jordan Hays wybrał dla niej właśnie tę przewodniczkę.

- Dlaczego to tobie pan Hays kazał mnie oprowadzić po piętze?

Przez chwilę sądziła, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Pewnie dlatego, że nie mówię zbyt wiele - odparła wreszcie.

- I dlatego, że już o mnie wiedziałaś, prawda?

Tym razem rzeczywiście nie było odzewu, ale Gabrielle wiedziała, że ma rację.

- Dlaczego ty wiesz - spytała - kiedy inne nie wiedzą?

Sirena przystanęła z dłonią na prostej drewnianej poręczy biegnącej wzdłuż stromych schodów i spojrzała na Gabrielle przez ramię.

- Czasami, kiedy ty nie mówisz dużo, inni ludzie mówią do ciebie. Moje plemię ma takie porzekadło: „Milcząca góra słyszy więcej niż bulgoczący strumień”.

- Twoje plemię? - powtórzyła Gabrielle.

Twarz Sireny pozostała nieodgadniona, ale Gabrielle dostrzegła błysk dumy w jej oczach. Dumy i czegoś jeszcze, co mogło być cierpieniem.

- Mój ojciec był wojownikiem Apaczów.

- A twoja matka?

- Moja matka nie pochodziła z Apaczów.

Schodząc w milczeniu po schodach, Gabrielle myślała, że to, co usłyszała, wiele wyjaśniało na temat tej kobiety. Wyjaśniało skąd kruczoczarne włosy, wydatne kości policzkowe, powściągliwy sposób bycia. Nie wyjaśniało jednak, skąd Sirena wzięła się w tym domu.

I nie tłumaczyło bólu widocznego w jej oczach.

Dla Gabrielle wieczór nadszedł stanowczo za szybko.

Zamierzała spędzić popołudnie na wypakowaniu swoich ubrań, przejrzeniu rzeczy matki, nauczaniu się czegoś więcej o domu, o kobietach, które w pewnym sensie uznała za swoje podopieczne. Tymczasem siedziała w niebieskim fotelu przy oknie, patrząc, jak wiatr rozrywa ciężkie kłęby chmur wiszących nad górami. Chwilami widziała poszarpane, wybielone śniegiem szczyty, a potem chmury przesunęły się, ciągnąc za sobą coraz gęstsze smugi mgły, aż wreszcie widać było tylko białe pola i białe chmury. Ale góry wciąż tam były, choć niewidoczne.

Podobnie jak pokoje na górze. Ciągle miała przed oczami nieprzyzwoicie szerokie łoża, lustrzane ściany, drzwi bez zamków. Nie tylko to widziała. Wyobraźnia podsuwała jej także inne wizje - mężczyzn i kobiet w łyżkach. Przypominała to, co zobaczyła na malowidłach w złotych ramach. Zmusiła się, żeby je obejrzeć, i teraz nie mogła wymazać z pamięci.

Próbowała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ciało kobiety łączy się z ciałem mężczyzny, ale nie potrafiła. A przecież kobiety żyjące w tym domu właśnie to robiły, noc w noc, z tuzinami mężczyzn. Tuzinami. Zdjęło ją przerażenie, kiedy sobie uświadomiła, co to znaczy. Sirena, Crystal, Tierney... wszystkie pozwalały obcym mężczyznom dotykać swoich ciał, wdzierać się do środka. Niektórzy klienci byli młodzi i przystojni, ale większość wcale taka nie była. Niektórzy musieli być brutalni albo starzy, albo brzydki. Gabrielle nie mogła znieść nawet myśli, że ktoś taki mógłby się do niej zbliżyć.

Jak one mogły to robić? Jak mogło im się to podobać? Przecież musiało im się podobać, bo inaczej by ich tu nie było. W końcu to ich nieokiełznana zmysłowość, ich nienasycone cielesne żądze kazały im wybrać takie życie.

A tego wieczoru Gabrielle miała siedzieć we frontowym salonie i przygrywać na fortepianie do tego, co się tu działo.

Wzdrygnęła się, widząc, jak chmury za oknem przybierają różowy odcień od zachodzącego słońca. Było późno.

W popłochu poderwała się z fotela. Zrobiło jej się niedobrze ze zdenerwowania. Nim zdążyła pomyśleć i zmienić zdanie, podeszła do wielkiej szafy Celeste DuBois i otworzyła drzwi... I westchnęła.

To, co było w środku, mogło stanowić obiekt marzeń każdej młodej kobiety... nawet skromnej młodej kobiety, wychowanej pod osłoną klasztornych murów. Powód, dla którego miała włożyć na siebie jeden z tych strojów, nagle uleciał Gabrielle z głowy. Wzdychając z zachwytu, wodziła dłonią po delikatnych jedwabiach i satynach, po aksamitach i brokatach, podziwiając misterne rysunki koronek i delikatne ścięgi haftów. W końcu wybrała różową wieczorową suknię z baskinką z weneckiej koronki. Dopasowany stanik wykrojony był znacznie skromniej niż w aksamitnej bordowej sukni, którą rano wybrał dla niej Hays, lecz całość mimo to prezentowała się niezwykle elegancko.

Zrzuciła z siebie prostą wełnianą sukienkę i szybko się umyła. Obawy związane z czekającym ją wieczorem chwilowo stłumiła przyjemność oczekiwania, jak też będzie wyglądać w tak pięknym stroju. Przeciągając suknię przez głowę, wstrzymała oddech ze strachu, że rozmiar może na nią nie pasować. Zaraz jednak aż zadrżała z podniecenia, wyglądając

na sobie miękkie fałdy jedwabiu, ponieważ suknia pasowała tak doskonale, jakby była szyta na jej miarę; idealnie opinała szczupłą talię i podkreślała miękką krągłość piersi. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, co powie Jordan Hays, widząc ją w tym stroju.

Palce zajęte spinaniem haftek nagle znieruchomiały, gdy dotarło do niej, w jakim kierunku błądzą jej myśli. Nieczęsto dopuszczała się grzechu próżności, więc wydało jej się tym bardziej naganne, że popełnia go w takich okolicznościach.

Niedawna przyjemność straciła smak, zaprawiona goryczą wstydu. Szybko dopięła ostatnie haftki i nawet nie spojrzawszy w lustro, zaczęła szczotkować włosy.

Spinała je właśnie na czubku głowy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zawołała.

Zamiast odpowiedzi, usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Odwróciwszy się szybko, ujrzała w progu holu męską sylwetkę. Wprawdzie w kominku buzował ogień, ale ponieważ zapaliła tylko kryształową lampę na toalecie, większa część pokoju pozostawała w mroku. Wiedziała jednak, że to Jordan Hays, jeszcze nim się zbliżył. Poznała go po ruchach. Po dziwnym napięciu w powietrzu, jakie czuła zawsze, gdy był w pobliżu.

Przystanął w odległości półtora metra i przyglądał jej się z zainteresowaniem. Jeśli jednak czekała, że powie coś na temat jej wyglądu, musiała się rozczarować. Sprawiał wrażenie raczej rozgniewanego niż zadowolonego.

- Więc naprawdę jesteś gotowa to zrobić?

Uniosła dumnie podbródek.

- Owszem.

Usta Haysa ściągnęły się w wąską linię, w zielonych oczach pojawił się błysk, który wzięła za wyraz gniewu. Jednakże kiedy objął ją drugim, tym razem niespiesznym spojrzeniem, zdała sobie sprawę, że to wcale nie złość, lecz coś o wiele bardziej groźnego.

- Przyniosłem ci to. - Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął pojedynczy sznur wspaniałych pereł, zapinany na brylantową zapinkę. - Należały do twojej matki.

Patrzyła na perły połyskujące leciutko na jego rozpostartej dłoni, ale nie podeszła, żeby wziąć naszyjnik. Nic chciała go dotykać.

- Nie wiem właściwie, od kogo je dostała, ale wiem, że wiele dla niej znaczyły. Odwróć się, to ci je założę.

Nie drgnęła. Chwycił ją za ramiona i delikatnie odwrócił, tak że stanęła naprzeciw lustra. Światło lampy załamywało się na fałdach różowego jedwabiu sukni, nadając tkaninie

szczególny odcień. Próbowwała dojrzeć w lustrze jego twarz, ale widziała tylko cień za sobą. Patrzyła więc na jego ręce, kiedy ostrożnie zapinał na niej naszyjnik.

Perły chłodną gładkością muskały jej skórę, ale dotyk jego palców był gorący, czuły... i przerażający, ponieważ zdawał się budzić do życia każde włókienko nerwów w jej ciele. Jego palce robiły wrażenie jeszcze ciemniejszych na tle jej białej skóry. Przyłapała się na tym, że wyobraża sobie, jak by to było poczuć te dłonie ześlizgujące się niżej. Oglądać w lustrze jak...

Oglądać w lustrze!

Opuścił ręce.

- Gotowe - rzekł cicho. - Jesteś piękna. - Skinął lekko głową; jego odbicie wiernie powtórzyło gest. - Popatrz.

Po raz pierwszy oderwała wzrok od niepokojącego obrazu mężczyzny, który stał za nią, i skupiła się na własnym odbiciu. Patrzyła i nie mogła się napatrzeć; policzki pokraśniały jej z zadowolenia. Miała świadomość, że pozwala sobie na grzeszną próżność. Mimo to... Miał rację, była piękna... albo przynajmniej ładniejsza niż zazwyczaj. Nigdy jej się nawet nie śniło, że mogłaby wyglądać tak elegancko, tak dojrzałe, tak... inaczej.

- Chyba powinienem ci kazać założyć tę brązową sukienkę z alpaki - mruknął. W pierwszej chwili wystraszyła się, że mówi

poważnie, dopóki nie wychwyciła kpiącej nuty w jego tonie. - Albo przynajmniej tę szarą zapinaną pod samą brodę.

Roześmiała się, przygryzając dolną wargę. Zobaczyła w lustrze, że utkwił wzrok w jej ustach. Figlarne iskierki w jego oczach nagle zgasły. A on nadal wpatrywał się w jej usta.

Poczuła, że robi jej się gorąco na całym ciele; z trudem oparła się chęci zwilżenia językiem suchych warg. Przypomniała sobie poprzedni wieczór i niespodziewany pocałunek. Lecz zamiast sprzeciwu i wstrętu, ogarnęło ją niezrozumiałe podniecenie. Wiedziała, że to grzech, ale nic na to nie mogła poradzić. Tak samo jak na to, że znów znajdowała się sam na sam z tym człowiekiem. Tym razem w swojej sypialni.

Cofnął się, znikając z zasięgu lustra. Czar prysnął; wróciła do rzeczywistości. Odwróciła się od toaletki, wygładzając dłonią przód różowej sukni, znów poważna i opanowana.

- Jestem gotowa - skłamała. Nigdy nie mogła być gotowa na to, co miała zrobić.

Czekał na nią przy drzwiach; na jego twarz wrócił zwykły nieodgadniony wyraz.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby zrezygnować, Gabrielle - rzekł cicho. - Zrozumiem.

Stanowczo potrząsnęła głową.

— Mamy umowę, panie Hays. Chcę jej dotrzymać. – Słowa brzmiały dumnie i śmiało, ale Gabrielle wcale tak się nie czuła. W środku cała się trzęsła, niczym osika rosnąca na zboczu za domem.

Wyszła z sypialni do rześkiego oświetlonego holu. Miała bolesną świadomość obecności tego mężczyzny u swego boku, bolesną świadomość potrzeby wsparcia się na jego mocnym ramieniu. Zmusiła się do wyprzedzenia go i ruszenia przodem.

Z frontowego salonu dochodziły basowe męskie śmiechy, przez które przebijał matowy kobiecy głos o południowym akcencie.

Przez zasłonę z kryształków Gabrielle widziała kilku mężczyzn i cztery lub pięć kobiet, z których żadnej nie rozpoznała. Jedna z nich, pulchna ślicznotka o rudozłotych włosach, siedziała na kolanach chudego siwego ranczera w kamizelce z bobrowej skóry. Miała na sobie jedynie pomarańczowy jedwabny szlafrok, koronkowe podwiązki i skąpy gorset, z którego dosłownie wypływały jej ogromne piersi. Siedziała zwrócona twarzą do mężczyzny, oplatając go w pasie nogami. Gabrielle zauważyła, że mężczyzna podrzuca kolanami, a nagie piersi kobiety podskakują niczym piłki, bijąc go po twarzy.

- Dalej, Amy! - ryczał. - Ujeżdżaj go!

Gabrielle zawahała się z ręką uniesioną do odsunięcia zasłony. Palce Jordana Haysa zacisnęły się na jej nadgarstku. Przez moment mierzyli się wzrokiem. Potem Gabrielle pokręciła głową i Jordan Hays ją puścił.

Prostując ramiona, rozepchnęła sznury koralików i weszła do frontowego salonu.

8

Na górze, w swoim pokoju na drugim piętrze, Sirena powoli ubierała się na wieczór.

Jej imię oznaczało czarodziejkę. Dowiedziała się tego od matki, gdy któregoś dnia siedziały razem przed ich tipi. Sirena bawiła się ze swoim młodszym braciszkiem, a matka w tym czasie zaplatała jej włosy. Sirena pamiętała dźwięk głosu matki pośród szumu preriowej trawy i klekotu dzikich kaczek na błękitnym niebie.

Większość dziewczyn z tego domu zmieniła imię, zaczynając pracę w tym interesie. Ale Sirena swoje zachowała. Tylko tyle jej zostało - imię i nóż, który nosiła przytroczony do łydki.

Ludzie zwykle sądzili, że Sirena to indiańskie imię, używane wśród kobiet Apaczów. Ale tak nie było. Według słów matki to imię pochodziło z języka, który był stary już w chwili narodzin Jezusa. Matka Sireny to wiedziała, ponieważ jej ojciec był uczonym w Bostonie, gdzie się wychowała. Daleko od indiańskich tipi, od wojny, od bezkresnych przestrzeni.

Sirena przeciągnęła grzebieniem po prostych czarnych włosach, wbijając wzrok w twarz, która patrzyła na nią z lustra toaletki. Pochyliwszy się bliżej, szukała w swym odbiciu

podobieństwa do tej szczupłej, jasnowłosej kobiety z Nowej Anglii, która była jej matką. Czasami je widziała. Kiedy indziej jednak, tak jak teraz, widziała obcą twarz, nieznaną tej małej dziewczynce, która lubiła siadać przed namiotem ojca i obserwować chmury płynące po szerokim niebie.

Z dołu dobiegł stuk kołatki, a zaraz po nim dźwięk małego metalowego dzwoneczka Wing Tsue. Robiło się późno.

Sirena ściągnęła białą koszulę i majtki z cieniutkiego płótna, ozdobione delikatną, ręcznie dzierganą koronką i założyła inny komplet bielizny. Ten również uszyty był z cienkiego płótna i obramowany czerwoną satynową wstążką, ale nie uważała go za najlepszy. Sirena nigdy nie zakładała swoich najlepszych rzeczy do pracy, tak jak to robiła reszta dziewczyn. To, co najlepsze, zachowywała dla siebie.

Sięgając po czerwony satynowy gorset, wciągnęła brzuch na tyle, że udało jej się zapiąć haftki z przodu bez rozsznurowywania tyłu. Nigdy mocno się nie sznurowała. Jako młoda dziewczyna w ogóle nie nosiła gorsetu i nie sądziła, by kiedyś miała się do niego przyzwycząić. Fiszbinowe usztywnienia kluty ją w żebra, a drelichowe podszycie ocierało skórę, nawet przez delikatny batyst koszuli. Gorset był jednym z ustępstw, jakie poczyniła na rzecz swej profesji. Widok kobiety w gorsecie miał w sobie coś, co niezwykle mocno oddziaływało na mężczyzn.

Nucąc na wpół zapomnianą melodię, usiadła na brzegu wąskiego łóżka nakrytego białą bawełnianą narzutą i wciągnęła pończochy w czerwono-białe paski. Wygładziwszy cieniutki jedwab na kolanach, założyła czerwone podwiązki, a potem uniosła jedną nogę, żeby podziwiać efekt. Pończochy i podwiązki miały działanie podobne do gorsetu: doprowadzały mężczyzn do szaleństwa.

Wybrała czarne jedwabne kimono, haftowane w czerwone, zięjące ogniem smoki. Często schodząc na dół, wkładała suknię, odgrywała zimną i uwodzicielską na przemian, czasami była przekorna, czasami uszczypliwa. Mężczyźni, którzy ją odwiedzali, bardzo to lubili, bo im się zdawało, że ją poskramiają, zdobywają.

Nie mieli pojęcia, że nikt jej nigdy nie zdobył, że to ona ich sobie wybierała. I nawet im się nie śniło, jak bardzo ich nienawidziła, choć się do nich uśmiechała, pieściła ich i udawała rozkosz. Nienawidziła ich i pogardzała nimi. Byli jak wyrośnięte dzieci, chełpili się tym, co mają między nogami, jakby wszyscy inni mężczyźni na ziemi nie mieli tego samego, jakby to był taki sam cud i objawienie dla kobiet, jak dla nich samych. Byli przekonani, że jej się podobają, że nigdy nie ma dość tego ich szczególnego organu i zawsze aż kipi z podniecenia.

Ale Sirena nigdy się nie podniecała i to był jej przez nikogo nie odkryty sekret. Uwielbiała władzę, jaką dawał jej nad nimi

seks. Pożądali jej, aż się pocili i trzęśli, podczas gdy ona pozostawała drwiąca, daleka i nietknięta. Tysiące mężczyzn mogło zgniatać jej piersi, wdzierać się w ciało i składać w niej swe nasienie. A Sirena pozostawała nietknięta. Przywiązywała właśnie nóż do łydki, kiedy usłyszała pierwsze dźwięki fortepianu. Przechylając głowę, wsłuchiwała się w ostre akordy *Wyścigów w Camptown*, wiedząc, że to gra córka Celeste. Wychowana w klasztorze niewinna dziewczyna przygrywała na fortepianie w burdelu swej zmarłej matki.

Niespodziewane i nie do końca zrozumiałe uczucia wezbrały w sercu Sireny. Był wśród nich smutek, podziw i coś jeszcze, co przypominało nadzieję, która wydawała się w tych okolicznościach bezsensowna. Nie pojmowała poczucia winy i obowiązku, które skłoniły Gabrielle Antoine do tego, co robiła. Jednak to nie przeszkadzało Sirenie docenić siłę i odwagę tej młodej kobiety i podziwiać jej oddanie idei, dobrej i szlachetnej, choć z góry skazanej na niepowodzenie.

Problem polegał na tym, że Gabrielle nie zdawała sobie sprawy z płonności swych wysiłków. Wiodła dotąd tak bezpieczne, niewinne życie i niewiele wiedziała o ludzkiej naturze... w istocie niewiele wiedziała o własnej naturze. Zdawało jej się, że może mieszkać w tym domu, nawet grać na fortepianie we frontowym salonie i pozostać nieskażona.

Ale Sirena wiedziała więcej i dlatego była smutna. Z powodu Gabrielle i z powodu siebie samej.

W tym tygodniu Sirena zajmowała pokój urządzonej w stylu Jakuba I. Wstąpiła tam w drodze do salonu, żeby się upewnić, czy na komodzie obok naftowej lampy i klepsydry stoi miseczka masła. Sprawdziła też, czy świeży podkład został rozłożony na łóżku, a zapas kilku innych schowany w dolnej szufladzie.

Napełniła dzbanek na umywalni gorącą wodą z blaszanego zbiornika w holu. Dopiero potem zeszła na dół.

W połowie schodów zmieniła chód na leniwie kołyszący; był takim samym znakiem rozpoznawczym prostytutek, jak szminka na twarzy i wabiący uśmiech. W salonie panował już tłok. Schodząc z kilku ostatnich stopni, dostrzegła jednego ze stałych klientów, właściciela kopalni o nazwisku Sam Cox. Miał na sobie zielony garnitur, purpurowo-zieloną brokatową kamizelkę i purpurowy jedwabny krawat. Na jej widok wciągnął brzuch, wypinając pierś, w czym przypominał jej pawia, rozpościerającego barwny ogon w oczekiwaniu na podziw i uwielbienie wszystkich znajdujących się w pobliżu samic.

Podeszła do niego i pieszczotliwym gestem przesunęła dłonią po jego ramieniu.

- Cześć, przystojniaku - wymruczała, choć trudno go było uznać za przystojnego, zapewne nawet przed piętnastu laty, nim brak ruchu i pociąg do bourbona rozmyły mu rysy twarzy i dodały kilka wałków tłuszczu w pasie. - Szukasz dobrej zabawy?

- Szukałem ciebie, Sireno. - Lubieżny uśmiech nastroszył mu wąsy, kiedy otwartą dłonią poufale klepnął ją w pośladek.

Oparła się o niego, wybuchając zmysłowym śmiechem; na wpół odsłonięte piersi wymownie otarły się o jego tors. Tego wieczoru nie miała ochoty tracić czasu. Woląca od razu przystąpić do rzeczy.

Fortepian za jej plecami zamilkł; Gabrielle skończyła grać *Posłuchaj drozda*. Sirena czuła na sobie jej wzrok, zszokowany i ganiący. Co, u licha, pomyślała. Czegóż ona się spodziewała. Chcąc pokazać, że na niczym jej nie zależy, Sirena odwróciła się i postąpiła Gabrielle szeroki uśmiech, a potem położyła dłoń na wyraźnie zarysowanej przez spodnie twardej męskości Coxa.

Sam Cox, zaskoczony i tym bardziej zachwycony, wypuścił ze świstem oddech. Gabrielle pobladła i wbijając wzrok w klawiaturę, zaczęła przebierać palcami, grając melodię, która nie przypominała Sirenie żadnego z popularnych szlagierów.

- O, *Dla Elizy* Beethovena - powiedział Cox z uśmiechem, odzyskawszy dech. - Podoba mi się wasza nowa pianistka.

Do pierwszej Sirena zdążyła odbyć tuzin wycieczek na górę z tuzinem różnych mężczyzn. Z upływem czasu klienci stawali się coraz bardziej pijani i hałaśliwi, a dziewczyny, wracając na dół, miały na sobie coraz mniej ubrania. Tierney była całkiem naga pod cienkim szlafrokiem, a Jilly miała na sobie jedynie czarny gorset, czarne pończochy i czerwone buty na wysokim obcasie. Tylko Youngmi pozostała do końca w swej czerwonej tunice zapiętej pod szyję. Ale Youngmi nienawidziła swej profesji. Sirena nie mogła zrozumieć, dlaczego miała Chinka trzymać się tego interesu. Miało to coś wspólnego ze wstydem i przeznaczeniem, ale było dla Sireny całkowicie niepojęte, podobnie jak fakt, że dziewczyna taka jak Gabrielle godzi się grać na fortepianie w domu rozpusty.

Sirena spodziewała się, że Gabrielle wytrzyma w salonie jakieś dziesięć minut, a w każdym razie nie więcej niż pół godziny. A tymczasem niedługo mieli zamykać, a ona wciąż tu była. Och, zrobiła sobie kilka przerw, ale zawsze wracała.

Biorąc kieliszek szampana ze srebrnej tacy, Sirena zerknęła na Jordana i nie mogła powstrzymać uśmiechu szczerego rozbawienia.

Zwykle spędzał cały wieczór w sali gier, trzymając na oku swoich krupierów, pilnując, żeby nie oszukiwali ani domu, ani klientów, bo chociaż w Przybytku Celeste grało się ostro, to zawsze uczciwie. Tego wieczoru jednak musiał najwyżej parę

razy zajrzeć do pomieszczeń po drugiej stronie holu, bo ilekroć na niego patrzyła, stał tak jak teraz, oparty plecami o ścianę obok fortepianu, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami i dłońmi zatkniętymi za pas czarnych spodni.

O ile sztywno wyprostowane plecy Gabrielle i jej chłodny sposób bycia mogły nie wystarczyć, by panowie poprzestali na zaciekawionych spojrzeń, mina Jordana i specjalnie odchylona poła jego surduta, odsłaniająca broń na biodrze, skutecznie odstraszały każdego, kto nic był albo pijany, albo głupi.

Sirena wolno pociągnęła łyk szampana, na chwilę zanedbując potężnego górnika z długą brodą i rumianymi policzkami, który zabiegał o jej uwagę. Wiedziała, że Jordan nie był zadowolony z wprowadzenia się córki Celeste do tego domu ani z jej zamiaru przygrywania na fortepianie co wieczór. Byli z Celeste przyjaciółmi, chyba tak bliskimi, jak może być dwoje samotników, nie będąc przy tym kochankami.

Patrząc teraz na Jordana, Sirena nabrała przekonania, że liczy się dla niego nic tyle fakt, że Gabrielle jest córką Celeste, lecz to, że jest piękną, inteligentną młodą kobietą. Niewinną i piękną i - dla mężczyzny takiego jak Jordan - tym bardziej godną pożądania, że zupełnie niezdającą sobie z tego sprawy.

Grzechot kryształowej zasłony zwrócił uwagę Sireny na nowego klienta, który pojawił się w holu, wnosząc ze sobą powiew zimnego górskiego powietrza. Sądząc po kroju ciemnego ubrania oraz gatunku białej koszuli i krawata, był bogatym młodzieńcem. Mógł też uchodzić za przystojnego chłopca ze swą falistą blond czupryną, niebieskimi oczami i regularnymi rysami. Od chwili, gdy przekroczył próg, nie odrywał wzroku od Gabrielle.

Przyjął kieliszek brandy od jednej z dziewczyn, a potem sączył powoli trunek, przysłuchując się i obserwując, jak Gabrielle gra jedną z tych nieznanym Sirenie melodii.

Stał w miejscu przez kilka minut, tylko słuchając i patrząc. Potem jednym ruchem wychylił do dna swoją brandy i odstawił kieliszek na stół. Gabrielle właśnie skończyła grać ostatni kawałek, kiedy podszedł do niej, objął ją za szyję i pochylił się nisko.

- Hej, panienko - zagadnął z szerokim uśmiechem, kiedy Gabrielle aż podskoczyła, odwracając się do niego gwałtownie. - Co powiesz na małą przerwę w zabawie klawiszami, żeby pójść na górę i zagrać na czymś znacznie większym i ciekawszym?

Nawet Sirena była zaskoczona szybkością, z jaką Jordan oderwał się od ściany. Jego ręce spoczywały znacząco na biodrach, gotowe w każdej chwili sięgnąć po broń.

- Pani jest tu po to, by grać na fortepianie – powiedział niskim, śmiertelnie spokojnym głosem. - Zabieraj łapy. Już.

Urodziwy młodzian odskoczył, unosząc dłonie w geście poddania.

- Nie miałem nic złego na myśli, proszę pana. Nic obraźliwego.

- **M**argot? - rzucił Jordan przez ramię, ani na moment nie odrywając świdrującego spojrzenia od nieszczęsnego wielbiciela Gabrielle.

Margot, wysoka czarna kobieta o długich nogach i sterczących piersiach, zjawiała się na zawołanie.

- O, kurczę - westchnęła, oblizując wargi na widok ładnego chłopaka. - Ależ z ciebie łakomy kąsek - dodała, biorąc go pod ramię. - Chciałbyś się dobrze zabawić ze starą Margot?

Młody człowiek wsunął palec między szyję a kołnierzyk koszuli, jakby nagle zrobiło mu się duszno. Zdobył się jednak na nieco wymuszony uśmiech i rzekł:

- Chyba jesteś kobietą w moim typie, Margot.

- Ooo, skarbie, jesteś naprawdę słodki - zaciągnęła śpiwnie Margot, łaszcząc się do niego i potrząsając mu przed nosem nagim biustem. - Chodź, przystojniaczku. Już ja ci zrobię dobrze.

Margot nie zdążyła jeszcze dotrzeć ze swym klientem do połowy schodów, kiedy Gabrielle zerwała się ze stołka przy fortepianie. Sirena była pewna, że Gabrielle zaraz wybuchnie płaczem i ucieknie z salonu. Tymczasem usłyszała, jak zwraca się cicho do Jordana:

- Dziękuję za pomoc, ale przecież ustaliliśmy, że jeśli mam grać w tym domu przez następne trzy miesiące, to muszę sama sobie radzić w tego rodzaju sytuacjach.

Widać było, że jest wstrząśnięta, bo twarz jej pobladła, a oczy wydawały się prawie czarne przez rozszerzone źrenice. Udało jej się jednak zapanować nad głosem. Sirena poczuła mimowolny podziw dla hartu ducha tej młodej kobiety, która miała odwagę wprowadzić się do tego domu i przygrywać na fortepianie w salonie, mimo zasad, jakie jej wpojono podczas klasztornej wychowania.

Sirena spojrzała na Jordana i po jego cierpkim uśmiechu poznała, że myśli to samo, co ona. Ale coś jeszcze zwróciło jej uwagę, coś, co wyzierało gorącym blaskiem z zielonych oczu.

Do licha, pomyślała Sirena. Ktoś powinien ostrzec to niewinne dziewczę, żeby pilnowało swoich majątek, bo Jordan Hays jest uwodzicielem, jakich mało.

Oczywiście nie powiedziała tego głośno. Podeszła do Jordana, wzięła go pod ramię i uśmiechnęła się szelmowsko. Znali się na tyle dobrze, że mogła sobie na to pozwolić.

- Ona ma rację, Jordan. Przecież nie możesz jej pilnować przez cały czas, prawda? Już prędzej ktoś powinien ją nauczyć... - Urwała, widząc, że jego uwagę przykuło coś za nią. Zrobił taką minę, że aż dreszcz grozy przebiegł jej po plecach. Odwróciła się wolno.

I zobaczyła Douga Slaughtera, który wkraczał na scenę zza kurtyny ruchomych kryształków.

Doug Slaughter zatrzymał się tuż za progiem, omiatając salon spojrzeniem. Wprawione w ruch sznury koralików zagrzechotały, opadając na miejsce. Zsunął z czoła rondo kapelusza z bobrowej skóry, przyznając w duchu, że jak na czwartkowy wieczór w salonie tłoczy się całkiem sporo klientów. Ale ostatecznie Przybytek Celeste to zawsze był doskonały interes.

Dostrzegł córkę Celeste stojącą obok fortepianu z Haysem i tą rasową prostytutką, Sireną. Mówiono mu, że Gabrielle Antoine się tu wprowadziła i przygrywała na fortepianie, ale niech go diabli, gdyby w to uwierzył, nie sprawdziwszy na własne oczy.

Teraz już widział i poczuł wzbierający gniew; napreżył mięśnie, dłonie same zwinęły się w pięści. Nie przejął się zbyt wczoraj, kiedy mu powiedziała, że dom nie jest na sprzedaż. Ale dziś potraktował ją już poważnie i przysiągł sobie, że jeszcze tego pożałuje. Nie lubił ludzi, którzy mieli czelność stawać mu na drodze. Nie lubił ludzi, którzy się go nie bali. Z tego powodu właśnie nie lubił rewolwerowców, chyba że byli na jego usługach. Na człowieku sprawnie posługującym się bronią postura i siła Slaughtera nie robiły specjalnego wrażenia, takiego jak na większości ludzi.

Patrzył, jak Jordan Hays odrywa się od grupki przy fortepianie i wolno idzie w jego stronę, z palcami wetkniętymi za pas, z niedbałym uśmiechem na ustach i zimnym błyskiem w oczach.

- Szukasz czegoś, Slaughter? - zagadnął.

Slaughter wymownie rozejrzał się po tłumie zapelniającym salon.

- Ten dom jest pełen mężczyzn szukających trunku i kobiety. Hays, czemu sądzisz, że ze mną jest inaczej?

- Ponieważ nie widzę powodu, by człowiek posiadający pół tuzina własnych burdeli wspinał się na strome zbocze podczas zimy tylko po to, żeby się napić i zabawić z kobietą.

Slaughter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Obiło mi się o uszy, że macie nową pianistkę.

Hays nawet nie mrugnął; nie drgnął żaden mięsień w jego nieprzeniknionej twarzy. A jednak można było wyczuć wzbierające w nim niebezpieczne napięcie.

- Zgadza się.

Slaughter uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zawsze lubiłem muzykę fortepianową.

Nagle rozległ się głośny brzęk szkła, tak nieoczekiwany, że wszyscy w salonie zamilkli. Hays odwrócił się, odruchowo kładąc dłoń na kolcie. Ale to tylko jedna z dziewczyn, drobniutka Chinka, wyglądająca najwyżej na szesnaście lat, upuściła kieliszek. Stała przy podwójnych drzwiach łączących frontowy salon z sąsiednimi pomieszczeniami i patrzyła wystraszona na Douga Slaughtera, jakby w ogóle nieświadoma rozbitego szkła u swoich stóp.

Sirena podeszła do niej i pocieszająco objęła ją ramieniem.

- Nic się nie stało, Youngmi - mruknęła głosem zadziwiająco miękkim jak na kobietę, która nosi nóż przywiązany do łydki, nawet kiedy idzie do łóżka z mężczyzną. Jak na kobietę, o której plotkowano, że zabiła kiedyś paru mężczyzn w Fort Collins.

Gabrielle wstała od fortepianu i podeszła do Haysa.

- Co się stało tej dziewczynie? - spytała cicho.

Hays wskazał ruchem głowy na Slaughtera.

- Youngmi pracowała w jednej z jego spelunek.

Slaughter wzruszył ramionami.

- Dla mnie wszystkie Chinki wyglądają tak samo.

Gabrielle zwróciła na niego swe wielkie srebrzystoszare oczy, a on przyjrzał jej się, pierwszy raz naprawdę dokładnie od chwili, kiedy wszedł do tego domu. I poczuł ożywienie, w którym była nie tylko ciekawość.

Wydała mu się ładna od razu, kiedy ją ujrzał, w tej zgrzebnej szarej sukieneczynie, z włosami uczesanymi gładko w węzeł na karku. Teraz jednak, z wysoko upiętą fryzurą, z białymi ramionami wyzierającymi z różowego jedwabiu, okazała się olśniewającą pięknnością, ukrytą wcześniej pod wyuczoną w klasztorze skromnością i powściągliwością nauczycielki.

Była nieodrodną córką Celeste, kobietą o ciele stworzonym do kuszenia mężczyzny, doprowadzania go do szaleństwa i spełniania jego najbardziej wyuzdanych zachcianek. Miała jaśniejsze włosy niż Celeste, bardziej w odcieniu słonecznego blasku niż srebrzystej poświaty księżyca. Różniła się też od matki rysami twarzy, ale usta miała takie same. Do licha, mógłby zbić fortunę na prostytutce z takimi ustami.

Coś z jego myśli musiało się przedostać na twarz, bo zauważył, że spłoszona podeszła bliżej do Haysa. Zrobiła to instynktownie; wątpił, czy w ogóle zdawała sobie z tego sprawę.

Slaughter uśmiechnął się szeroko.

- Przyszedłem wam powiedzieć, że moja oferta kupna tego domu jest nadal aktualna.

Odpowiedział mu Hays.

- Sądziłem, że panna Antoine powiedziała wczoraj jasno, że domu nie sprzeda.

- Dama zawsze może zmienić zdanie - powiedział Slaughter, nie spuszczając oczu z Gabrielle.

- Nie zmienię - zapewniła krótko.

Wzruszył ramionami.

- Wie pani, gdzie mnie znaleźć, gdyby pani jednak zmieniła. - Nasunął kapelusz głębiej na oczy, a potem skinął Haysowi, który stał obok w milczeniu, mierząc go czujnym wzrokiem. Następnie jednym mocnym ruchem rozgarnął zasłonę z koralików i wyszedł.

Kryształki jak zwykle zagrzechotały, jednak nie na tyle głośno, by nic mógł usłyszeć, jak Gabrielle powtarza:

- Nie zmienię.

Nie wiedział, czy powiedziała to do swego towarzysza, czy do siebie. Kiedy jednak powtórzyła te słowa raz jeszcze,

wiedział, że mówi je do siebie, próbując się utwierdzić w podjętej decyzji.

Slaughter opuścił ciepłe, pachnące perfumami wnętrze domu i wyszedł w zimną górską noc. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Wiedział, że tak czy inaczej będzie miał ten dom. Jeszcze przed nadejściem lata. I panna Gabrielle Antoine także będzie należała do niego.

Choćby nawet musiał w tym celu zabić Jordana Haysa.

Gabrielle usiadła w jednym z głębokich foteli stojących przy kominku w gabinecie. W całym domu zapanowała wreszcie nocna cisza, przerywana jedynie trzaskiem płonących polan szumem wiatru za oknami.

Przed oczami wciąż migały jej obsceniczne sceny z wieczoru, napięte twarze mężczyzn i nagie ciała roześmianych kobiet, połyskujące blado w świetle lamp. Odetchnęła głęboko.

- Było gorzej, niż się spodziewałaś, co? - odezwał się Jordan Hays z drugiego końca pokoju.

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od ognia i nie mówiąc ani słowa. Bała się, że wraz z otwarciem ust uleci z niej siła, dzięki której do tej pory jakoś trzymała się w ryzach.

- Masz dosyć?

Słowa były szorstkie, ale miękki ton, którym je wypowiedział, skłonił ją do uniesienia głowy. Stał przy stole, trzymając w ręce kieliszek brandy, i przyglądał jej się z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Znow spuściła oczy. Nie miała pojęcia, dlaczego przesiaduje tu w jego towarzystwie. Tyle tylko, że nie potrafiłaby w tej chwili znieść samotności, a on zdawał się to wyczuwać.

Podszedł do niej, zostawiając kieliszek na stole. Spodziewała się, że usiądzie na sąsiednim fotelu. Tymczasem przykucnął przed nią i wziął ją za rękę.

- Nadal możemy sprzedać ten dom - powiedział cicho.

Patrzyła na cień płomieni tańczący po jego urodziwej, śniadej twarzy. Doszła do wniosku, że nie jest taki, za jakiego uznała go na początku znajomości. Uważała go za zimnego, bezwzględnego łajdaka. Był zimny i bezwzględny, ale to nie była cała prawda o nim. Odkryła bowiem, że potrafi też być miły. Miły i troskliwy. Zachowywał się tak, jakby mu na nikim nie zależało i być może nawet wierzył, że mu nie zależy, ale zdążyła go już lepiej poznać. Zaczynała w nim widzieć bardziej człowieka niż uosobienie niegodziwości i grzechu, i nie była pewna, czyjej się to podoba.

Opuściła wzrok na jego szczupłe, opalone palce zaciśnięte na jej jasnych dłoniach. Czowała płynącą z nich siłę i ciepło.

- Przyznaję to ze wstydem - powiedziała lekko schrypniętym z przejęcia głosem - ale kusi mnie, by się zgodzić na sprzedaż.

- Wiem.

Poruszyła dłonią. Musiała go o coś spytać, czegoś się dowiedzieć, ale słowa nie chciały jej przejść przez ściśnięte gardło.

- Opowiedz mi o tej Chince. O Youngmi. Dlaczego sam widok Slaughtera tak ją przeraził?

- To nie jest ładna historia - rzekł z wahaniem.

- Mimo to chcę usłyszeć. - Poparzyła mu prosto w oczy. - Muszę usłyszeć.

- W porządku. - Puścił jej dłonie i wyprostował się, opierając łokieć o półkę nad kominkiem. Przez chwilę milczał, wpatrzony w płomienie, a potem zaczął z ciężkim westchnieniem: - Może ci się zdawać, że ten dom jest siedliskiem rozpusty i grzechu. — Stał odwrócony twarzą do paleniska, jakby bardziej przemawiał do ognia niż do niej. - Ale przynajmniej jest czysty i dobrze utrzymany, i głównie dzięki temu kobiety, które tu żyją, zdołały odzyskać odrobinę szacunku do siebie. W innych domach publicznych tego nie ma, ani w budach, gdzie dziewczyny biorą trzy dolary za pięciominutowy numer i godzą się pójść do obskurnej nory na zapleczu z każdym

pijanym kowbojem czy cuchnącym poganiaczem mułów, którego stać na tę cenę.

Urwał na chwilę i Gabrielle miała wrażenie, że te miejsca stanęły mu przed oczyma. Instykt jej podpowiadał, że ten człowiek je znał i sam płacił owe trzy dolary za pięciominutowy numer.

- Spelunki to właśnie określenie takich miejsc? – spytała głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

- W pewnym sensie. Tych najgorszego gatunku. Przypominają... rzędy stajennych boksów. Z zewnątrz widać tylko szereg drzwi otwierających się do małych klitek, tak wąskich, że mieści się w nich jedynie łóżko. Slaughter jest właścicielem dwóch takich, przy Dostał Alley. Warunki w nich są tak złe, że godzą się tam pracować jedynie kobiety uzależnione od opium albo chińskie niewolnice przywiezione z San Francisco.

Gabrielle aż się wzdrygnęła.

- Niewolnice?

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, a ona się zdumiała, jak mogła się w tym człowieku dopatrywać jakiegokolwiek wrażliwości. Jakby się wycofał gdzieś w głąb siebie, w jakąś zimną pustą otchłań, gdzie nikt nie mógł go dotknąć.

- Youngmi właśnie nią była - powiedział beznamiętnie. - Kiedy jej rodzice zmarli w Chinach, ciotka Youngmi sprzedała ją handlarzowi żywym towarem w Szanghaju. To się często zdarza. Jest jedną z setek, może nawet tysięcy Chinek przysyłanych tu co roku. Slaughter sprowadził ją w zeszłym roku, zaniknął w jednej ze swoich spelunek i kazał dla siebie pracować, dopóki tak się nie rozchorowała z zimna, z brudu i z powodu fatalnego traktowania, że uznał ją za umierającą. Więc kazał ją zepchnąć do jednego z szybów na Quartz Hill i tam zostawić.

Gabrielle wpatrywała się w niego z osłupieniem. Poruszała ustami, ale nie wychodziły z nich żadne słowa.

- Jakiś górnik znalazł ją przypadkiem i przywiózł do doktora Collinsa - mówił dalej. - Doktor zrobił, co mógł, ale potrzebowała kogoś, kto by się nią opiekował i karmił. Problem polegał na tym, że niezależnie od tego, kim była w Chinach, tu uchodziła za prostytutkę i żadna przyzwoita kobieta w tym mieście nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Więc twoja matka ją przygarnęła.

Gabrielle wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć, lecz zaraz zacisnęła palce w pięść i cofnęła dłoń.

- Ale jak temu człowiekowi mogło ujść na sucho coś tak potwornego? Mówisz o niewolnictwie, i przecież usiłował popełnić morderstwo.

Posłał jej twarde spojrzenie.

- Jeśli zamierzasz tu mieszkać, choćby przez krótki czas, musisz się czegoś dowiedzieć o górniczych miastach na Zachodzie. Youngmi i większość podobnych do niej dziewcząt są Chinkami, a człowiek, który je tu przywiózł z wybrzeża i sprzedał Slaughterowi, także był Chińczykiem. Większość ludzi uważa, że to nic ich interes.

- Doprawdy? Pomnij, że nikt z nas zbawienia nie znajdzie w sprawiedliwości sadzie nieugiętym - zacytowała z oburzeniem.

Niespodziewanie w jego oczach pojawiły się iskielki wesołości.

- Może oni nigdy nie czytali Kupca weneckiego. Albo uważają, że prowadzą się tak świątobliwie, że nie potrzebują dodatkowo zabiegać o zbawienie.

- Akurat. - Uciekła wzrokiem od jego błyszczących zielonych oczu. - Nic rozumiem, dlaczego Youngmi nadal tu mieszka. - Gabrielle przypomniała sobie jej zapiętą pod szyję tunikę i wyraz pustki na ślicznej młodej twarzy, kiedy mężczyźni, jeden po drugim, wychodzili z nią na górę.

Wzruszył ramionami, stając tyłem do ognia.

- To jej własny wybór.

- Czyżby?

- Większość ludzi nie ma zbyt wielkiego wyboru w życiu. Albo przynajmniej są o tym przekonani. Większość by powiedziała, że nie masz wyboru i musisz sprzedać ten dom Slaughterowi, choćby dlatego, że zatrzymując go, narażasz się na poważne kłopoty.

- Ale ty też nie chcesz sprzedać go Slaughterowi, prawda?

- Nie. Ale to zrobię. Złożyłem twojej matce obietnicę.

- Ze względu na mnie. Tylko że matka mnie nie знаła.

- Nie, a wielka szkoda. Myślała o tobie jak o dziecku, które pamiętała, które trzeba chronić i się nim opiekować. – Wyciągnął rękę i leciutko pogładził ją po policzku. - Byłaby bardzo dumna z kobiety, którą się stałaś.

To był właściwie tylko cień pieśczoły. A jednak długo po tym, jak opuścił rękę, czuła jego dotyk na twarzy i musiała się mocno powstrzymać, żeby nie przyłożyć dłoni do palącego policzka. Piers jej falowała w przyśpieszonym oddechu. Na moment ich spojrzenia się spotkały i Gabrielle odniosła wrażenie, że i on jest dziwnie poruszony.

Zauważyła, że przebiegł go dreszcz. Szybko odwrócił się znów do ognia.

- Myślę, że możesz już zostać sama - powiedział i wyszedł, zostawiając ją siedzącą nieruchomo przed kominkiem.

Poczuła, że wypełnia ją od środka dziwne ciepło, bolesne i budzące lęk. A ponieważ już go przy niej nic było i nie mógł widzieć, przycisnęła dłoń do policzka, którego dotknął.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, dlaczego tak się zachowuje. Wiedziała jedynie, choć to nie znaczy, że do końca rozumiała, że ten człowiek jest dla niej znacznie większym zagrożeniem niż zamieszkanie w tym domu.

Następnego dnia Gabrielle obudziło południowe słońce, wdzierające się przez szparę w ciężkich aksamitnych zasłonach i napełniające pokój odbitym od śniegu światłem.

Ziewając, wyciągnęła ręce nad głowę, aż palce natrafiły na niebiesko-zieloną tapetę pokrywającą ścianę za wezglowiem łóżka. Jeszcze nigdy w życiu nie spała tak długo. Nie wstała jednak, tylko z rękami splecionymi pod głową wpatrywała się w bladobłękitną satynę baldachimu nad palisandrowym łóżem Celeste. Nie było tam lustro.

Zaczęły ją nachodzić i przygniatać swym ciężarem wszystkie te okropne, grzeszne rzeczy, jakie widziała i słyszała przez kilka ostatnich dni. Otrząsnęła się, biorąc głęboki, oczyszczający oddech.

Rozejrzała się niespiesznie po pokoju, myśląc o tym, że należał do jej matki. T nagle przeszył ją dreszcz nieznanego ożywienia. W ostatnich dniach znikło gdzieś poczucie, że zbliża się do znaczącego odkrycia, które towarzyszyło jej od wyjazdu z Nowego Orleanu. Teraz, kiedy była sama w pokoju Celeste i miała przed sobą cały dzień, znowu powróciło, dodając jej energii, przyspieszając bicie serca.

Odrzuciwszy kołdrę, opuściła nogi na zimną podłogę. Ogień na kominku dawno wygasł; szybko wsunęła stopy w pantofle i wzięła się do roboty. Nałożyła podpałki, podbiegła do okna, żeby rozsunąć zasłony, po czym dorzuciła do leniwie wstających płomieni kilka sosnowych szczap.

Niecierpliwie podeszła do wykładanej macicą perłową palisandrowej komody z kulistymi uchwytami u szuflad. To, co zamierzała zrobić, wydawało jej się wścibstwem, naruszeniem prywatności. Koniecznym, być może, lecz mimo to niewypowiedzianie smutnym. I niesprawiedliwym. Bo żyjąca, oddychająca kobieta, która kiedyś była właścicielką tych wszystkich rzeczy, odeszła z tego świata, a jej materialne dobra pozostały nienaruszone.

Otworzywszy szufladę, Gabrielle lekko przejechała palcami po rzędach schludnie poukładanych koszul, staników i pończoch. Wszystko było wykonane z najprzedniejszych materiałów i starannie utrzymane. Następna szuflada zawierała

rzędy torebek, wachlarzy i rękawiczek oraz chustek i apaszek. Odpowiednio dobrane i poukładane świadczyły o dobrym guście swej zamożnej właścicielki i o jej zamiłowaniu do porządku. Nic było żadnych oznak sentymentalizmu, żadnych zasuszonych róż, żadnych ulubionych błyskotek trzymanyh na pamiątkę, kiedy przestały być użyteczne.

Gabrielle z westchnieniem usiadła na podłodze i zamknęła ostatnią szufladę, świadoma niepowodzenia, rozczarowana. Nie wiedziała, czego właściwie szuka; z pewnością nie starej Biblii z drzewem genealogicznym rodziny wyrysowanym na odwrocie okładki ani nawet świadectwa swego urodzenia. Ale cokolwiek by to miało być - nie znalazła, i przeraziła się, że już nigdy nie znajdzie.

Przeniosła spojrzenie na wielką szafę. Postanowiła się ubrać i znaleźć coś do zjedzenia, nim przejdzie do dalszych poszukiwań. Chociaż w istocie wiedziała, co może znaleźć: rzędy pięknych dobrze utrzymanych sukien i płaszczy. Nic osobistego, nic sentymentalnego, nic, czego mogłaby się uczepić.

Prawie całe popołudnie spędziła w sypialni matki. Sporo rzeczy spakowała, robiąc miejsce dla własnych ubrań. Zachowała jednak niektóre przedmioty, jak pięknie malowane wachlarze, rzeźbione kasetki na rękawiczki czy filigranowe

wazoniki na kwiaty, żeby jej przypomniały matkę, której nigdy nie poznała.

Słońce już zachodziło za dzikie poszarpane szczyty, kiedy przeniosła poszukiwania do gabinetu. Nałożyła drewna do kominka, zapaliła naftowe lampy i świece w ściennym świeczniku, po czym zabrała się za wielkie biurko.

Odsunęła górną szufladę od strony okna. W środku znajdowała się talia kart, męski notatnik i srebrna butelka na whisky pomiędzy różnymi innymi przedmiotami. Owiął ją zapach skóry i drogiego tytoniu. Szybko zasunęła szufladę.

Obeszła biurko dookoła i usiadła, czując dziwne ssanie w żołądku. Nie miała pojęcia, że Jordan Hays używał tego biurka, korzystał z tego gabinetu. Patrzyła na portret Celeste DuBois wiszący na przeciwległej ścianie, a w głowie odbijały jej się echem słowa Haysa: *Chyba nie widziałem w życiu piękniejszej kobiety.*

Wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby łączyć matkę z Jordanem Haysem. Zapewne z powodu swej naiwności wyobrażała sobie, że istniała między nimi jedynie wspólnota interesów. A teraz, siedząc tu, w zapadającym zmierzchu, łamała sobie głowę, próbując rozstrzygnąć, czy wcześniej była zbyt naiwna, czy teraz jest zbyt podejrzliwa, i dziwiąc się, dlaczego

myśl o związku matki z Jordanem Haysem budzi w niej taki niepokój.

Odwróciła się, słysząc ciche pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - zawołała.

To była Sirena. Stała w drzwiach; jej suknia o barwie szampana połyskiwała w świetle lampy.

Gabrielle poderwała się z miejsca, odruchowo zerkając na zegar nad kominkiem.

- Wielkie nieba, nie sądziłam, że jest już tak późno.

Sirena weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Pomyślałam sobie, że zechce pani ze mną porozmawiać, nim znowu tam pójdzie.

Gabrielle odpowiedziała wybuchem śmiechu, sama siebie zaskakując.

- O tym, jak sobie radzić z niepożądanymi zalotami?

- Właśnie. - Sirena podeszła do stolika z trunkami i poczęstowała się brandy. - Bo wie pani, według mnie najważniejsze jest zawczasu zdecydować, jak się zachować w danej sytuacji.

Chociaż mimo tego, co się zdarzyło wczoraj wieczorem, nie sądzę, żeby takie sytuacje często się powtarzały.

Gabrielle oparła się o biurko i patrzyła, jak Sirena napełnia sobie kieliszek niemal po brzegi. Intrygowała ją ta kobieta,

spokojna, lecz dumna i śmiała, czasem bezwstydną, posługującą się wyszukany słownictwem przy nieco gardłowym akcencie. Intrygowała i zarazem trochę onieśmiała.

- Postaram się nie traktować tej uwagi jako oceny mojego wyglądu i wdzięków. - Z trudem zdobyła się na lekki ton.

Uśmiech rozbawienia zaokrąglił usta Sireny.

- Wcale nie to miałam na myśli. Chodzi o to, że choć robią wrażenie nieokrzesanych i brutalnych, kiedy przychodzi co do czego, mężczyźni w większości boją się kobiet. Zwłaszcza inteligentnych, dobrze wychowanych kobiet. Oni chcą, żeby ich samice były lekkie, łatwe i chętne.

Gabrielle oparła głowę na dłoniach, zsuwając łokcie blisko siebie.

- Nie wiem, co znaczy lekkie i łatwe, ale wydaje mi się, że przez sam fakt mojego zamieszkiwania w tym domu muszą mnie uważać za chętną.

Sirena wzruszyła ramionami, pociągając długi łyk brandy.

- Normalnie by tak było. Ale wczoraj wieczorem sama pani widziała, jak dziewczyny pracują. Kiedy kobieta jest zainteresowana mężczyzną, widać to w jej oczach. Przyciąga spojrzenie tego wybranego, uśmiecha się do niego zachęcająco, bawi się włosami. Istnieje wiele takich drobnych sygnałów,

które wysyłały, nawet się nad nimi nie zastanawiając. Ale taka kobieta jak pani ich nie wysyła.

- Wczoraj wieczorem musiałam jednak coś takiego zrobić.

Sirena opróżniła kieliszek.

- Nie, to nie chodziło o panią. Niektórzy mężczyźni są albo tak aroganccy, albo po prostu głupi, że nie zwracają uwagi na zachowanie kobiety. Ale tymi nie musi się pani przejmować. To tacy jak ten przystojniaczek. Wystarczy, że im pani grzecznie powie, że nic jest z tych, co chodzą na górę i zaproponuje którąś z dziewczyn, a zwykle przestają się narzucać. Problemem mogą być ci, którzy umyślnie zachowują się złośliwie i niegrzecznie.

Gabrielle nie mogła przestać myśleć o pokojach bez zamków tam na górze.

- Mając do czynienia z tym gatunkom - ciągnęła Sirena, odwracając się, żeby odstawić pusty kieliszek - trzeba mieć do dyspozycji coś więcej niż słowa, żeby ich przekonać, że się mówi poważnie. Pani mama używała pistoletu. Ja używam tego.

- Uniosła falbaniastą spódnicę i kilka warstw halek, pokazując przywiązany do łydki nóż z kościaną rękojeścią w wyszywanej paciorkami skórzanej pochwie.

Gabrielle aż wytrzeszczyła oczy, widząc, jak Sirena wyciąga nóż ze zręcznością i wprawą, jaką inna kobieta mogłaby

się pochwalić najwyżej przy operowaniu igłą do haftu. Światło stojącej na biurku lampy groźnie zamigotało na nagim ostrzu.

- Używasz... tego? Potrafisz?

- Większość ludzi sądzi, że potrzeba dużo siły do posługiwania się nożem, ale to nieprawda - powiedziała Sirena, źle zrozumiawszy pytanie. - Wystarczy wiedzieć, co się robi. Nie należy uderzać z góry... - Zademontrowała mocny cios oburącz. - ...bo w ten sposób trafiasz na żebro, a przecież celujesz w serce. Trzeba ciąć do góry, o tak... - Błyskawicznie zmieniła ułożenie noża w dłoniach i wykonała stosowny gest. — Trzeba wbić dokładnie i miękko.

Gabrielle przeniosła wzrok z połyskującego ostrza na twarz kobiety, która je trzymała. W jej czarnych oczach kryła się jakaś przerażająca dzikość.

- Kogo zabiłaś? - spytała Gabrielle, bezwiednie zniżając głos do szeptu. Natychmiast pożałowała swego pytania, na które wcale nie oczekiwała odpowiedzi.

Ale Sirena odpowiedziała, rozciągając usta w szerokim, mrozącym krew w żyłach uśmiechu.

- Męża mojej matki.

Dopiero po jakimś czasie do Gabrielle dotarło, że powiedziała „męża mojej matki”. Nie powiedziała „mojego ojca”.

Ponieważ ojciec Sireny był wojownikiem Apaczów.

Tego wieczoru Gabrielle włożyła wieczorową suknię swojej matki, z białego tiulu i różowej koronki, z bufiastymi, zsuniętymi z ramion rękawami i półokrągłym, obniżonym stanem. Gotowa do wyjścia, stanęła przed lustrem toaletki i patrzyła na swoje odbicie, próbując dostrzec to, co mogli widzieć mężczyźni.

Wygięła wargi w uśmiechu, zastanawiając się, na czym polega ten szczególny zachęcający wyraz oczu. Wreszcie zniechęcona daremnymi próbami zrobiła grymas, który tylko ją rozśmieszył.

Doszła do wniosku, że jednym z niedostatków klasztornej edukacji jest zupełny brak wiedzy o takich sprawach. Dorastając pod opieką zakonnic, nie miała okazji nauczyć się subtelnych gier, jakie się odbywają pomiędzy mężczyznami i kobietami.

Ale trzy miesiące w tym domu powinny bez wątpienia nadrobić te braki.

Zrobiło jej się mdło na myśl o tym, że znów ma wystąpić w salonie. Osłoniła palenisko kominka i tłumiąc niechęć, wyszła do rzęście oświetlonego holu. Wieczór trwał w najlepsze; w domu kłębił się tłum. Zatrzymała się przy zasłonie z koralików,

żeby drżącą ręką wygładzić suknię... i poczuła na sobie spojrzenie Jordana Haysa. Odwróciła głowę.

Pochylał się nad karcianym stolikiem, zjedną ręką rozpostartą na zielonym suknie, z odchyłoną do tyłu głową. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Gabrielle dostrzegła w jego oczach dziwny błysk, ale nie potrafiła go rozszyfrować. Tak jak nigdy nie potrafiła odgadnąć, co myśli i czuje ten tajemniczy człowiek, który zawsze krył się za nieruchomą maską.

Uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, że w tym uśmiechu nie ma zachęty. Ale ostatecznie nie należała do tego typu kobiet i nigdy nie miała do nich należeć.

Mimo to wyprostował się i podszedł do niej. Zmierzył ją spojrzeniem od nagich ramion po wciętą talię; wiedziała, że patrzy na nią tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę. Dziwny błysk nie zniknął z jego oczu. Błysk, który zaparł jej dech w piersiach i starł uśmiech z twarzy.

Stał u jej boku, kiedy nocną ciszę rozdarł nagle krzyk kobiety, przeraźliwy i wibrujący od strachu.

9

Jordan pędził po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

W szerokim korytarzu roiło się od ludzi. Kobiet, całkiem nagich lub odzianych jedynie w cienkie szlafroki, i mężczyzn w samych kalesonach, pośpiesznie wciągających spodnie lub jedynie wystawiających przez drzwi głowy i gołe owłosione ramiona. Jeden z nich, chudzielec z siwym wiechciem włosów na czaszce i długą szyją, co upodabniało go do strusia, zawołał piskliwie:

- To się nie wlicza do moich piętnastu minut, słyszycie?!

Krzyk się powtórzył, dobiegał z trzeciego pokoju po lewej stronie. Jordan wyjął broń i kopnięciem otworzył drzwi.

Skulona pod ścianą dziewczyna, naga, trzęsła się z przerażenia. Miała na imię Amy i podobała się mężczyznom, którzy lubili pulchne kobiety z dużymi piersiami. Miała długie blond włosy o czerwonym połysku i ładną twarz. Tylko że teraz wcale nie wyglądała ładnie. Zawodziła rozpaczliwie; łzy spływały jej po policzkach, a jej nagość jeszcze potęgowała wrażenie bezbronności. Trzymała się za lewą pierś. Jordan widział jasnoczerwoną krew sączącą się przez palce. Spływała też cienkim strumyczkiem z rozcięcia na ramieniu.

Ogarnawszy sytuację jednym spojrzeniem, odwrócił się do mężczyzny stojącego przy łóżku.

Był to olbrzym, sądząc po wyglądzie górnik, w czerwonej koszuli i wytłuszczonych wełnianych spodniach, z długą, gęstą czarną brodą. Miał przynajmniej sześć stóp i sześć cali wzrostu, szerokie bary, ramiona napęczniałe od mięśni i dzikość w oczach. W mięsistej dłoni trzymał długi, brzydki nóż do skórowania zwierząt, którego błyszczące ostrze spływało krwią.

- Rzuć ten nóż polecił spokojnie Jordan.

Mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie.

- Idź do diabła, zapłaciłem za nią.

- Zapłaciłeś, żeby się z nią pieprzyć. Nie, żeby ją ciąć.

Nagie ostrze ostrzegawczo przeszło powietrze.

- Zapłaciłem za nią. A ty mi przeszkadzasz.

- Rzuć nóż.

- Chcesz go wziąć? - Przechylił głowę, znów odsłaniając pożąłkłe od tytoniu zęby i ukazując dwa dołki w policzkach, zupełnie niepasujące do zbirowatej gęby. — No to ci go dam.

- Nic rób tego! - zawołał Jordan, ale olbrzym już rzucił się naprzód, celując nożem prosto w brzuch Jordana.

Jordan nacisnął spust. Pokój zatrzęsł się od huku eksplozji. Gryzący swąd palonej siarki podrażnił Jordana w nosie. Niektóre

kobiety na korytarzu zaczęły krzyczeć. Jordan wciąż nieruchomo trzymał pistolet wycelowany w przeciwnika.

Brodacz zachwiał się, wymachując bezładnie rękami, jakby był pijany. Pośrodku jego klatki piersiowej ukazała się paskudna, czarna dziura, zalewając czarną plamą czerwoną wełnianą koszulę. Popatrzył na swoją pierś i oczy zrobiły mu się wielkie, jakby zdziwione. A potem uniósł głowę i patrzył na Jordana.

Jordan miał wrażenie, że jego ofiara balansuje na granicy życia i śmierci przez całą wieczność. Zauważył, że ma niebieskie oczy o głębokim błękitnym odcieniu górskiego jeziora. Miał długie, gęste rzęsy, a brwi tak krzaczaste, że niemal schodziły się nad nosem. Jordan i człowiek, którego właśnie zabił, patrzyli na siebie w milczeniu, aż wreszcie górnik padł na twarz i znieruchomiał.

- Przepuście mnie - rozległ się niski, chrapliwy głos.

Mężczyzna w średnim wieku, z rzednącą siwą czupryną, nosem jak przejrzwały pomidor i obwisłym brzuchem, przepychał się przez tłum otaczający drzwi. Szeryf Baites musiał widocznie odwiedzać którąś z dziewczyn, bo pas z bronią miał zapięty na czerwonych kalesonach, a blaszana gwiazda zwisała krzywo z rozchełstanego podkoszulka.

Kiedy przykucał obok zastrzelonego, trzasnęło mu w kolanach; niecodzienny odgłos zabrzmiał jakoś ludzko w

nienaturalnej ciszy, która zapadła w pokoju. Odwrócił ofiarę na plecy. Jedno z potężnych ramion górnika uderzyło o podłogę i leżało wyciągnięte na dywanie. Jordan nie mógł oderwać oczu od poznaczonej odciskami, spracowanej dłoni i podkurczonych grubych palców.

- Zimny trup - stwierdził autorytatywnie szeryf. – Wygląda na to, że dostał w samiotkie serce.

Jordan schował broń. Powietrze było gęste i gorące od dymu, a on był w środku zimny jak głaz i martwy. Tak samo martwy jak mężczyzna rozciągnięty na podłodze.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Gabrielle poszła za nim na górę i weszła do pokoju, dopóki jej nie zobaczył. Stała oparta plecami o drzwi, z przerażonym wzrokiem utkwionym w zmarłego. Widział, jak uczyniła szybko znak krzyża, poruszając ustami w cichej modlitwie.

Kiedy się oderwała od drzwi, sądził, że zamierza odejść. Tymczasem ona zdjęła szlafrok z wieszaka i podała nagiej, szlochającej Amy, skulonej w kącie na podłodze. Widział, że starannie unika widoku martwego ciała, choć musiała przejść tuż obok niego.

- Jesteś poważnie ranna? - spytała nieszczęsną dziewczynę, narzucając jej okrycie na ramiona i przykucając obok niej. Amy

nie odpowiedziała. Z włosami opadającymi na twarz, cała się trzęsła od niepowstrzymanego szlochu.

- Czy ktoś wie, kim był ten człowiek? - Jordan powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn i kobiet zebranych w pobliżu drzwi.

- Nazywał się Cooper - powiedział jakiś górnik. - Od zeszłego lata pracował na działce po drugiej stronie Black Hawk. Czasami go ponosiło. Chociaż takiego jeszcze go nie widziałem.

Szeryf z westchnieniem podniósł się na nogi.

- Chyba kilku z was mogłoby mi pomóc go stąd zabrać?

Dwóch ludzi, którzy też wyglądali na górników, wysunęło się z tłumu, podczas gdy Jordan donośnym głosem oznajmił:

- Nie ma powodu, żeby reszta z was nie miała wrócić Do zabawy. Panienki, dajcie im ekstra kwadrans i po drinku dla każdego. Na koszt domu.

Niektórzy z mężczyzn nie kryli głośnej radości, a kobiety natychmiast przystąpiły do pełnienia obowiązków, wabiąc, dotykając i ciągnąc za sobą swoich klientów. Korytarz zaczął pustoszeć. Jordan obejrzał się w stronę, skąd płynął cichy głos Gabrielle, przemawiającej łagodnie do wystraszonej dziewczyny.

- Już po wszystkim - mówiła. - Już dobrze. Ten człowiek już cię nie skrzywdzi. Jesteś bezpieczna. - Objęła drżące ramiona Amy. - Chodź, pomogę ci się podnieść.

Amy zamachała bezładnie rękami, wydając przy tym z siebie przeraźliwy, niemal zwierzęcy krzyk. Pchnięta łokciem w pierś Gabrielle upadła, zdążywszy jedynie się podeprzeć. Przez cały czas nie odrywała wzroku od dziewczyny.

Amy zrzuciła z siebie szlafrok i z dzikim rykiem zaczęła trząść głową. Splątane rude włosy powiewały w powietrzu, wielkie zakrwawione piersi uderzały o siebie wydając odgłos podobny do klaskania, wykrzywione w dziwacznym grymasie usta odsłaniały zęby. A potem nagle zeszywniała i wywracając oczyma zanosła się szalonym, budzącym dreszcz grozy śmiechem.

- Co, u licha... - odezwał się Jordan, robiąc krok w stronę Amy.

- Zostaw. - Podniósłszy się na nogi, Gabrielle chwyciła dzbanek z wodą stojący na umywalni i chlusnęła całą zawartością w twarz rozhisteryzowanej kobiety.

Woda skapywała z mokrych włosów Amy i płynęła po nagim ciele błyszczącymi strużkami. Dziewczyna zadrżała z zimna, pociągnęła nosem, a jej niesamowite spojrzenie w końcu wróciło do normy i spoczęło na Gabrielle.

- On mnie zranił - chlipnęła Amy, padając Gabrielle w ramiona. Gabrielle mocno przytuliła do siebie mokrą, nagą, trzęsącą się z zimna kobietę.

Jordan podniósł z ziemi szlafrok i okrył nim dziewczynę. Nad jej ramieniem napotkał wzrok Gabrielle. Widział w jej oczach zaskoczenie i lęk, ale dzielnie panowała nad sobą. Pomyślał, że choć młoda i niedoświadczona, jest piekielnie silną kobietą.

- Zaprowadź ją na górę, do jej pokoju, jeśli możesz - poprosił. - Ja pošę Winga Tsue po lekarza. I, Gabrielle... - Prowadziła już cicho pochlipującą Amy do wyjścia, ale przystanąła, rzucając mu przez ramię pytające spojrzenie. Uśmiechnął się do niej krzywo. - Nawet twoja matka nie poradziłaby sobie lepiej.

Miało to zabrzmieć jak komplement, ale coś w jej minie powiedziało mu, że wcale tego tak nie odebrała.

Jordan zaciągnął się mocno papierosem. Z odchyłoną głową wpatrywał się w wielki biały księżyc wiszący na rozgwieżdżonym niebie, ponad ostrymi wierzchołkami gór. Niebo miało barwę granatowego aksamitu, tak piękną, że samo patrzenie przyprawiało człowieka o ból. Wypuścił dym i patrzył,

jak siwa strużka unosi się wolno w górę, przepływając ponad ciemnym podwórzem.

Oparł się biodrami o niski kamienny murek biegnący wzdłuż zabudowań w cieniu stodoły. Z okien domu sączyło się złociste światło lamp, rzucając jasne plamy na śnieg. Nagły wybuch śmiechu we frontowym salonie zakłócił miękki rytm wiatru w koronach sosen i skrzypienia luźnej okiennicy w starej chacie poszukiwaczy złota na wzgórzu. Zaciągnął się jeszcze raz; koniec papierosa zaświecił w czarnej nocy żarem czerwonym jak piekielny ogień.

Odwrócił głowę słysząc, jak otwierają się kuchenne drzwi.

Zobaczył Gabrielle wychodzącą ostrożnie na tylne schody. Przez moment jej szczupła sylwetka rysowała się wyraźnie na tle oświetlonej kuchni, lecz dziewczyna zaraz zamknęła za sobą drzwi i zeszła po stopniach na podwórze.

Ostrzejszy podmuch wdarł jej się pod sukienkę, wydymając lekką tkaninę. Wiatr był ciepły; do innych odgłosów nocy dołączyło jednostajne kapanie topniejących sopli. Ale Gabrielle obejmowała się ramionami, jakby jej było zimno. Zimno od środka.

Znów się zaciągnął i wolno wypuścił dym. Podniosła głowę, jakby wyczuła zapach tytoniu. Stał zbyt daleko, żeby wyraźnie widzieć jej twarz, ale czuł, że rozgląda się w

ciemności. Wiedział, że odczuwa lęk, stojąc samotnie pośród ciemnej, wietrznej nocy.

Znów podniósł papierosa do ust. Czerwony ognek zatoczył w mroku łuk. Opuściwszy ramiona, zaczęła iść ku niemu przez zaśnieżony plac, ślizgając się na niewidocznych koleinach. Patrzył, jak się zbliża, ale nic nie powiedział, nawet kiedy znalazła się tuż obok niego.

Stali naprzeciw siebie w ciepłych, pachnących wiosną podmuchach. Wiatr potargał jej włosy. Posrebrzone światłem księżyca kosmyki opadały jej na smukłą, wdzięcznie wygiętą szyję. Wyciągnął rękę i dotknął jej leciutko tuż za uchem, gdzie skóra jest szczególnie delikatna i wrażliwa. Zadrżała, ale się nie cofnęła.

- Amy już śpi - odezwała się, jakby czując potrzebę wypełnienia panującej między nimi ciszy. - Doktor dał jej środek uspokajający. Powiedział, że jest bardziej wystraszona niż ranna. Cięcia nie są głębokie.

Nic nie mówił, tylko się jej przyglądał, zastanawiając się, dlaczego przyszła. Dlaczego zechciała wyjść z domu i być z nim? I dlaczego on tak się z tego cieszy?

- Widziałam jej synka, Henry'ego - ciągnęła Gabrielle. - Amy płakała tak głośno, że go zbudziła i się przestraszył. Ma dopiero pięć lat. Co by się z nim stało, gdyby ten osiłek ją zabił?

Jordan wzruszył ramionami.

- Codziennie ktoś umiera.

Przesunęła się nieco, wędrując spojrzeniem do zasypanego śniegiem, cichego wąwozu poniżej domu.

- Widziałam kiedyś śmierć człowieka. Przygniótł go wóz z piwem, na ulicy przed klasztorem. Nie patrzył, gdzie idzie, i nagle zboczył na drogę, akurat kiedy konie wypadły zza zakrętu. To był wypadek. Ale ten człowiek, który kierował wozem, tak się trząsał, że o mało się nie rozleciał na kawałki.

Zajrzała Jordanowi w twarz, jakby szukała czegoś, czego - dobrze to wiedział - tam nie było. Sam wyczuwał kamienny chłód i martwość swoich rysów, przeczące człowieczeństwu. Bo w tym momencie jego twarz była dokładnym odbiciem jego duszy. W środku czuł... pustkę. Nawet go nie dziwiła własna obojętność. Widział śmierć tak wielu ludzi na wojnie, że po jakimś czasie przestało mieć znaczenie, czy to on był tym, który ich zabił. Byli po prostu... martwi.

Gabrielle zaczęła niespokojnie przestępować z nogi na nogę; cienkie podeszwy pantofli udeptywały rozmiękły śnieg.

- Sirena powiedziała mi dziś wieczorem, że kiedyś zabiła człowieka.

- Ja słyszałem, że było ich dwóch. - Zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek na śnieg.

Spojrzenie Gabrielle znów błądziło po jego twarzy. Wciąż czegoś szukało.

- I nie została skazana?

- Nie. - Czerwony punkcik zgasł, rozgnieciony czubkiem jego buta. - Chociaż z tego, co wiem, wcale się nie wypierała. Pewnie uznano, że okoliczności usprawiedliwiały to, co zrobiła. Ale nie jestem pewien, jak naprawdę było. To się zdarzyło parę lat temu. Na długo przedtem, nim tu przyjechałem.

- Co robiłeś wcześniej? Mam na myśli, zanim tu przyjechałeś. Do tego domu.

Uśmiechnął się cierpko, odsłaniając zęby.

- Ujmijmy to tak, że niewiele jest rzeczy, których bym nie robił.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- To wojna tak na ciebie podziałała, prawda? – Przeniosła wzrok na pociemniałą dolinę w oddali. - Przypuszczam, że na wojnie człowiek musi się oswoić z widokiem śmierci. Bo inaczej niechybnie popadnie w szaleństwo.

Spojrzał w jej skupioną, słodko niewinną twarz o lekko rozchylonych ustach i zatroskanych oczach. Coś w nim drgnęło, coś, co wcale nie było słodkie i niewinne, tylko gorące, spragnione i niedwuznacznie cielesne. Coś, czego mężczyzna taki jak on nie powinien czuć do kobiety takiej jak ona.

- Najłatwiej zrzucić wszystko na wojnę - powiedział, niemal czując gorycz tych słów na języku. Ale mężczyźni zawsze chodzili na wojnę. Większość z nich wcale nie czerpie z tego radości i chętnie wyrzeka się zabijania, jeśli to tylko możliwe.

- Nie widzę w tobie radości - powiedziała zaskakująco ostrym, raniącym tonem. Blask księżyca ujawnił kropelki wilgoci w kącikach jej oczu.

Wiedział, że nie powinien jej dotykać, ale nie mógł się powstrzymać. Musnął dłonią jej policzek, zawadzając o rzęsy. Nieprzelane łzy zostały mu na palcach.

- Ale nie widzisz też wyrzutów sumienia.

Usłyszał, jak wstrzymuje oddech, jakby coś ją zabolalo.

- Widzę mężczyznę, który ryzykował własne życie, żeby uratować kobietę. Żeby uratować matkę małemu chłopcu.

Wsunął dłoń w jej włosy i przyciągnął ją do siebie, aż stanęła pomiędzy jego rozsuniętymi kolanami, niemal go dotykając. Wydała z siebie cichy okrzyk zdumienia, zaciskając palce na jego nadgarstku. Ale się nie wyrywała.

- Raczej widzisz człowieka, który zabijał małych chłopców - sprostował zimno. - Chłopców niewiele starszych od Henry'ego.

Oczy zrobiły jej się wielkie i okrągłe. Poruszyła głową na boki, jakby w zaprzeczeniu.

- Nie.

- Tak. - Zacisnął mocniej dłoń na jej włosach, przyciągając ją do siebie, dopóki nie znaleźli się twarzą przy twarzy i nie spojrzała mu prosto w oczy. Chciał, żeby zobaczyła w nim tę jałową pustkę. Żeby się go przestraszyła, żeby nabrała odrazy tak wielkiej, by się odtąd trzymać od niego z daleka. Bardzo, bardzo daleka. - Byłem jednym z tych mężczyzn, którzy nie chcieli się wyrzec zabijania - mówił twardo. - Doszedłem do wniosku, że podoba mi się śmierć. Szukałem jej. - To własnej śmierci szukał, ale ona go unikała, lecz tego jej nie powiedział. - Po Appomattox pojechałem na południe i dołączyłem do tej hołoty z Texas Rangers.

Opuściła wzrok, jakby nie mogła znieść rozpaczy bijącej z jego oczu. Zatrzymała spojrzenie na jego ustach.

- Któregoś dnia - ciągnął - wdałem się w strzelaninę z trzema koniokradami, za którymi jechałem w stronę Meksyku. Przyczaili się w górach i zastrzelili pode mną konia. - Przesunął kciukiem po jedwabistej skórze jej karku. Zadrżała, lecz pozostała w miejscu. - Trzymali mnie w pułapce przez całe popołudnie, aż w końcu ich namierzyłem, jednego po drugim.

Dopiero kiedy ich zaszedłem od tyłu, żeby się upewnić, że nie żyją, zobaczyłem, że dwóch z nich było jeszcze dziećmi.

Czuła, jak wzbiera jej w gardle jakiś dziwny dźwięk podobny do zwierzęcego skowytu, ale zdołała go stłumić.

- Musiałem widocznie najpierw zabić ich ojca, bo kiedy tam dotarłem, wyglądał, jakby nie żył już od kilku godzin. Starszy z chłopców umarł jako następny. Mógł mieć jakie jedenaście lat, najwyżej dwanaście. Najmłodszy był umierający, kiedy go znalazłem. Nie mógł mieć więcej niż osiem lat.

- Nie wiedziałeś - szepnęła.

Potrząsnął głową.

- To prawda. Nie wiedziałem. Ale to nie zmienia faktu, że ci chłopcy zginęli.

Spodziewał się, że ucieknie od niego przerażona. Właśnie dlatego opowiadał jej tę historię, żeby się trzymała jak najdalej, ponieważ nie ufał sobie, nie wierzył, że będzie jej unikał. Tymczasem ona położyła mu dłoń na ramieniu. Zamarł w bezruchu.

- Co chcesz mi powiedzieć? - spytała cicho, niczym spowiednik w konfesjonale. - Że czułeś radość z zabicia ich?

Drżała na całym ciele; czuł dreszcz wstrząsający jej drobną postacią. Tego wieczoru widziała, jak zginął człowiek, widziała kobietę w hysterii, nagą i pokrwawioną, którą zaatakowano

nożem. Powinien był spróbować ją pocieszyć, ale nie potrafił. Był martwy w środku. Mógł jedynie starać się, by nie została zarażona tą martwością.

- Radość? - Pokręcił głową. - Nie. Czułem tylko złość. Złość na tego zabitego człowieka, że kazał swoim dzieciom kraść konie i dał im do ręki bron. I złość na samych chłopców. Że do mnie strzelali, zamiast się poddać po tym, jak zabiłem ich ojca. I o to, że nie celowali na tyle dobrze, by mnie zabić, zanim ja ich zabiłem.

Westchnienie rozpaczony wezbrało mu w piersi i wydostało się z chrapliwym świstem. Opuścił ręce na jej biodra, przyciągnął ją do siebie, pomiędzy rozstawione kolana.

A ona mu na to pozwoliła.

Więcej niż pozwoliła. Wsunęła palce w jego włosy, dotykając przegubami policzków. A potem pochyliła głowę i pocałowała go.

A właściwie dotknęła jego ust wargami, miękkimi i suchymi, a jednocześnie ciepłymi i podatnymi. To był nieśmiały, pozbawiony namiętności pocałunek. Pocałunek, który miał dać pociechę i mówił o pragnieniu doznania pociechy. Pocałunek dziecka... młodej kobiety, którą dotąd tylko raz całował mężczyzna, udzielając jej wówczas ostrzegawczej lekcji.

Przywarł do jej ust, zgniótł je, równocześnie przyciągając ją mocniej do siebie, aż poczuł napór młodych, jędrnych piersi. Kiedy zacisnęła palce w jego włosach, ogarnęła go fala męskiego pożądania, tak wielkiego i pierwotnego, że aż zadrżał.

Pragnął jej. Chciał ją całować głęboko, gorąco, długo i namiętnie. Chciał zacisnąć dłoń na jej piersiach i czuć, jak płoną z pragnienia. Miał ochotę przycisnąć ją do tego cholernego muru i wziąć tak, jak mężczyzna bierze kobietę, która doprowadza go do szaleństwa - z zadartą spódnicą, nagimi udami wystawionymi na muśnięcia wiatru. Dobry Boże, jakże bardzo jej pragnął.

Zacisnął dłonie na jej ramionach i odsunął ją.

Patrzyli na siebie. Oddychała ciężko, delikatne nozdrza falowały lekko przy każdym wciągnięciu powietrza, w oczach odbijało się zdumienie i coś jeszcze. Coś, co przypominało błysk pożądania. Być może niezamierzonego, może nawet nierozpoznanego przez nią samą. Ale Jordan je widział.

Musiał rozplaszczyć dłonie na zimnym murze za sobą, żeby ochłonać, żeby znowu po nią nie sięgnąć.

- Lepiej już idź. Zaraz.

Mogła być niewinna, ale to, co zobaczyła w jego twarzy, wystarczyło, żeby natychmiast usłuchała. Bezwiednie podniosła rękę do ust, a potem odwróciła się na pięcie i biegiem ruszyła w

stronę domu, ścigając własny cień, sunący chybotliwie po zaśnieżonym placu.

Patrzył, jak odchodzi. Z południowego zachodu, od strony dzikich pustkowi, wiał ciepły, suchy wiatr. Sosny uczepione skalnych półek miały się żałośnie w porywistych podmuchach.

Poprzez ich szum usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi do kuchni.

Po jej odejściu jeszcze długo pozostał tam, gdzie stał. Towarzyszył mu blednący księżyc, nieskończenie dalekie gwiazdy i dziki wiatr wyjący o samotności, niepokoju, bólu i ciężkim do zniesienia smutku.

Gabrielle słyszała, jak wiatr chłoszcze ściany domu. Ostry podmuch wdarł się przez komin i świszcząc przeciągle zamieszał w kominku. Bezkształtne cienie zatańczyły na dywanie i pokrytych tapetą ścianach sypialni.

Leżała na łóżku, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w misternie plisowane satynowe podszycie baldachimu. Jordan Hays jeszcze nie przyszedł. Wiedziała to, ponieważ zajmował pokój między jej sypialnią a salą gier. Poprzedniej nocy słyszała, jak wrócił i krzątał się u siebie. Teraz w jego pokoju panowała cisza.

Wyobraziła go sobie stojącego na podwórzu, opartego o kamienny murek - ciemny zarys smukłej męskiej sylwetki na tle białego zbocza. Żal ścisnął jej serce, kiedy pomyślała o bezgranicznej samotności, jaką w nim wyczuła tej nocy.

Uważała go za niebezpiecznego niegodziwca, zimnego do granic okrucieństwa i wiedziała, że w istocie był jeszcze gorszy. Ale najbardziej ze wszystkiego lękała się pustki, którą ujrzała w jego twarzy, w oczach i w duszy. Pustki, która tak naprawdę wcale nie była pustką, co uświadomiła sobie dopiero tej nocy. Ponieważ w pustce nie ma bólu, a ona wychwyciła w nim echo cierpienia. Tylko echo.

Jakby to cierpienie było tak wielkie, tak nieznośne, że ukrył je w sobie głęboko, gdzie nikt nie powinien go dostrzec, wyczuć, rozpoznać. Tak głęboko, że już sam zapomniał o jego istnieniu i uwierzył, że jest tylko pustka.

Ale ona, całując go, wydobyła ten ból i chciała ukoić. Jego ból i własny lęk. A jednak... kiedy dotknęła jego ust, zapomniała o bólu i lęku. Zapomniała o wszystkim. Pozostała tylko niespodziewana przyjemność samego pocałunku.

Zawsze jej się zdawało, że jego usta muszą być twarde. A były cudownie miękkie. Miękkie i ciepłe, i tak zaskakująco słodkie, że aż brakło jej tchu.

Przypomniała sobie żar, bijący od jego ciała, dotyk mocnych dłoni na plecach, szum własnej krwi w uszach. I poczuła to wszystko znowu, to dziwne napięcie, jakby łagodny ucisk w dole brzucha. Coś bardzo niepokojącego, cielesnego i bez wątpienia grzesznego.

Tydzień temu pewnie nie miałyby pojęcia, co to za uczucie. Próbowała sobie wmawiać, że przecież może się mylić, ale zbyt wiele widziała i zbyt wiele słyszała od czasu przybycia do tego domu.

Przycisnęła otwartą dłoń do brzucha, jakby w ten sposób mogła uciszyć to nieznane drzenie, ugasić żar zmysłowego pragnienia, coraz mocniej rozchodzący się po ciele. *Jesteś odbiciem swojej matki.* Znaczące słowa przebiegły jej przez głowę, wywołując w piersiach skurcz paniki.

Była córką Celeste DuBois, kobiety upadłej, znanej z ulegania grzesznym pragnieniom. Gabrielle zastanawiała się, czy upadek matki zaczął się tak samo. Od pocałunku i zapierającej dech tęsknoty. Tęsknoty...

Przetoczyła się na łóżku, wciskając twarz w poduszkę. Za oknem wciąż jęczał wiatr, niespokojny i ciepły. A Gabrielle drżała pod satynową kołdrą. Nie z zimna, lecz ze strachu, poczucia zagubienia i świeżo rozbudzonej zmysłowości.

Następnego dnia wąż aż huczał od szumu płynącej wody. Topniał śnieg zebrany na dachach, ociekały wilgocią nagie gałęzie osik, pojedyncze krople łączyły się w strużki, które z kolei wpadały do gulgoczących strumyków, by razem przez wciąż zasypane śniegiem polany i zbocza pędzić do wezbranych potoków.

Jordan przystanął w progu firmy wynajmu koni przy wjeździe na Nevada Street i zadarłszy głowę spojrzął w czyste niebo, z którego uciekały strzępki lekkich białych chmurek. Owiął go ciepły wiatr, wiatr brzemienisty sekretami wilgotnej, ciemnej ziemi rodzącej nowe życie i słodki obietnicą wiosny.

Może to ten wiatr poruszył w nim stary niepokój. Potrzebę zmiany miejsca, ucieczki przed siebie. Wiatr... i wspomnienie tego, co chciał zrobić zeszłej nocy Gabrielle Antoine.

Mimowolnie przypomniał sobie, co czuł, wsuwając palce w jej gęste, puszyste włosy. Nieśmiałe muśnięcie jej słodkich, miękkich ust. Oszłamiający zapach młodego ciała, uległego i drżącego w jego ramionach.

Była taka młoda, taka niewinna, i tak groźnie nieświadoma swej namiętnej natury. Widział, jak na niego patrzyła. Jakże łatwo byłoby ją oczarować, uwieść, zniewolić.

Doprowadzić do zguby.

Ciężkie westchnienie wydarło mu się z piersi. Wiedział, że Gabrielle uważa go za zimnego, twardego drania, ale nie był aż taki.

Minęła go dwukółka, pędząca tak szybko, że spod kół tryskały fontanny błota. Wielkie grudy z mlaśnięciem uderzyły o ścianę stajni. Niespodziewana odwilż sprawiła, że na ulicach już teraz leżała warstwa śniegowej brei, głęboka na dobre 30 centymetrów. Jordan pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, prawdopodobnie będą mieli powódź.

I wtedy ją dostrzegł. Schodziła ze wzgórza, od strony domu, i choć stawiała ostrożnie drobne kroczki, raz po raz się ślizgała. Odrzuciła kaptur płaszcza na plecy, wystawiając na słońce złociste włosy splecione schludnie na karku. Jordan pozwolił sobie trochę dłużej zatrzymać wzrok na lśniącym, całowanym przez słońce warkoczu.

Jeszcze go nie widziała. Szła z opuszczoną głową, z podbródkiem przyciągniętym do piersi, z oczyma utkwionymi w błotnistej mazi pod nogami. Zauważył, że ma płaszcz z boku oblepiony śniegiem, i domyślił się, że musiała upaść, przynajmniej raz.

Oparł się o drzwi stajni, zsuwając kapelusz na tył głowy; usta same wygięły mu się w uśmiechu, gdy pomyślał, co też ona zrobi, kiedy nagle skończy jej się chodnik.

Idąc z pochyloną głową, nie widziała, co ją czeka, dopóki się nie znalazła na wysokości stajni wynajmującej konie. Przystanęła na krawężniku, patrząc bezradnie na rozpościerające się dalej, aż do chodnika po drugiej stronie wjazdu do stajni, cztery metry cuchnącego błota. Przyjrzała się czubkom cienkich miejskich bucików wystających spod płaszcza. Z pewnością się zastanawiała, jak przebrnąć przez niespodziewaną przeszkodę, nie niszcząc przy tym doszczętnie swego eleganckiego obuwia.

W którymś z domów przy drodze trzasnęły drzwi. Obejrzawszy się w tamtą stronę, Gabrielle ujrzała matronę w średnim wieku z koszykiem na zakupy. Kobieta zamknęła za sobą bramę i dziarsko ruszyła przed siebie. Dotarłszy do miejsca, gdzie stała Gabrielle, bez zastanowienia zadarła spódnice i halki, odsłaniając parę mocnych brązowych buciorów na mięsistych łydkach, tylko częściowo osłoniętych czerwonymi flanelowymi pantalonami. Minawszy Gabrielle, sprawnie przepравиła się przez błotną przeszkodę, wdrapała na chodnik po drugiej stronie, opuściła spódnice i na koniec tupnęła parę razy, strząsając z butów grudy błota.

Gabrielle odprowadziła ją wzrokiem, a potem niepewnie spojrzała na swoje okrycie. Z wyraźnym wahaniem zebrała w dłoniach połę płaszcza, sukni i halki i uniosła nieco w górę. Jordan ujrzał, jak spod koronkowego rąbka halki wynurzają się szczupłe kostki i kształtne łydki obleczone skromnie czarnymi

pończochami. Stała w miejscu z podkasaną spódnicą i przerażonym wzrokiem wpatrywała się w cuchnącą zimną breję.

- To jest, oczywiście, jakieś wyjście - odezwał się lekkim tonem, wychodząc z cienia stajni w pełne słońce. – Tylko obawiam się, że doprowadzi do ruiny twoje śliczne skórzane buciki.

Wzdrygnęła się, odruchowo opuszczając spódnicę.

- O, Jordan Hays. Nie zauważyłam cię wcześniej.

Podszedł do niej przez błoto; przy każdym jego kroku rozlegał się głośny chlupot. Dostrzegł na jej policzkach rumieniec zakłopotania, ale nic wiedział, czy ma go przypisać wstydomu z powodu odsłonięcia nóg, czy też jakimś innym względem. Wspomnienie tego, co zaszło ostatniej nocy, zdawało się wisieć pomiędzy nimi w powietrzu, wprowadzając w atmosferę nieco zmysłowego napięcia.

- Potrzebujesz jakichś solidnych butów - stwierdził, opierając stopę na krawężniku. - Oczywiście, jeśli nadal planujesz tu pozostać - dodał znacząco.

Posłała mu twarde spojrzenie.

- Zostaję.

W milczeniu zmierzyli się wzrokiem.

- Zatem - odezwał się po chwili -powinnaś sobie sprawić coś takiego, jak miała na sobie tamta praktyczna gospodyni. –

Wskazał głową za oddalającą się korpulentną postacią. - Nic zaszkodziłoby też kupić przy okazji cieplejsze rękawiczki. Odwilż odwilżą, ale śnieg i zimno bez wątpienia jeszcze dadzą się nam we znaki.

- Właśnie miałam zamiar kupić sobie trochę bardziej odpowiednich ubrań - oznajmiła. Niespodziewanie oczy zabłysły jej rozbawieniem. -Tylko że problemem jest dotarcie do sklepu.

Roześmiał się cicho, a ona mu zawtórowała słodkim śmiechem, radosnym i niewymuszonym. Natychmiast zapragnął usłyszeć go znowu i znowu zobaczyć jej uśmiech.

- Ten problem można całkiem łatwo rozwiązać. - Wyprostował się, stając na chodniku obok niej. - Przeniosę cię na drugą stronę.

- Och, wielkie nieba, nie. To byłoby niewłaściwe. To znaczy... - Urwała, opuszczając wzrok na błotnistą otchłań.

Wziął ją na ręce, nim zdążyła zaprotestować, i zeskokczył z chodnika, rozgniatając błoto z głośnym chlupotem.

10

- **P**anie Hays! - Gabrielle poczuła, jak jedno silne ramię obejmuje ją w pasie, a drugie chwyta pod kolanami. - O, mój Boże. - Uczepiła się kurczowo klap czarnego surduta, kiedy nie przejmując się protestami porwał ją do góry i ruszył przed siebie. - Puść mnie natychmiast!

Błoto przelewało się przez czubki jego butów, wydając przy każdym kroku dźwięk podobny do młaśnięcia i wydzielając niemiłą woń mokrego siana zmieszanego z końskim nawozem.

- Teraz? - spytał z tłumionym śmiechem. - Jesteś pewna? Cóż, skoro się upierasz... - Przystanął.

- Nie tutaj. - Spojrzała z obrzydzeniem na żółtobrazową maź sięgającą kostek i odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję.

Odpowiedział uśmiechem, od którego zrobiło jej się dziwnie ciepło.

- Więc jednak nie?

- Nie. - Próbowwała zganić go surowym spojrzeniem. Trudno jednak było wyglądać na obrażoną, kiedy tak strasznie chciało jej się śmiać. Takim go jeszcze nie widziała, a musiała w duchu przyznać, nawet wbrew sobie, że ten łobuzerski humor dodawał mu mnóstwo wdzięku.

Uniósł pytająco brew.

- Jesteś pewna? Bo jeżeli naprawdę sobie nie życzysz, żebym cię niósł, to mogę cię postawić... - Udał, że zamierza ją puścić.

Pisnęła, zaciskając dłonie na jego szerokich ramionach.

- Ty przewrotny łotrze! - zawołała, nie próbując dłużej powstrzymać wesołości. - Nawet się nic waż mnie tu stawiać.

- Przewrotny łotrze, powiadasz? - Poruszył zabawnie brwiami, unosząc je i marszcząc na przemian. Powinienem był cię ostrzec, że jeśli zaczniesz mnie wyzywać, cena będzie podwójna.

Serce jej zatrzepotało.

- Jaka cena?

- Chyba wspominałem, że pobieram wynagrodzenie za tę usługę?

- Nie, nie wspominałeś. Jakie wynagrodzenie?

Nadal się uśmiechał, ale błysk w jego oczach nie oznaczał już czystego rozbawienia, lecz coś innego, bardziej zmysłowego.

- Całusa powiedział cicho.

Na moment wstrzymała oddech, zaskoczona i zakłopotana. Nagle poczuła wyraźnie żar bijący od jego ramion, obejmujących ją przez plecy i pod kolanami, i jeszcze nigdy nie

była tak świadoma własnego ciała, piersi rozpierających stanik sukni, zimnego powietrza wpływającego do pnie.

- A jeśli nic zapłacę? - spytała zduszonym, jakby nieswoim głosem. - Postawisz mnie tutaj?

- Ależ panno Antoine, jak można podejrzewać mnie o tak fatalne maniery? Ma się rozumieć, odniosę cię tam, skąd cię zabrałem. - Odwrócił się, jakby naprawdę chciał ją zanieść z powrotem w to samo miejsce.

- Zaczekaj!

Stanął posłusznie.

Nie wiedziała, czy dziwne łaskotanie w środku oznacza strach, czy raczej podniecenie.

- To jest szantaż.

- Owszem.

- Nie jesteś dżentelmenem rzuciła oskarżycielsko, nie mogąc jednak powstrzymać chichotu.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- No i rozgryzłaś mnie. Mama bardzo się starała zrobić ze mnie dżentelmena, ale jakoś jej nic wyszło. Więc jak, dostanę tego całusa, czy nie?

Spojrzała na jego usta, odległe zaledwie parę centymetrów od jej ust i znów poczuła w środku przyływ tego dziwnego ciepła.

- W policzek - wydukała. - Pocałuję cię w policzek.

Na moment ich spojrzenia się spotkały.

- Niezupełnie o to mi chodziło, ale chyba będzie musiało wystarczyć. - Odwrócił głowę, nadstawiając szczupły, opalony policzek.

Przyjrzała się smągłej, starannie ogolonej skórze. Wydawała się zaskakująco gładka. Owiewał ich wiatr, świeży i zaczepny, szarpiąc falbanami halki i jedwabnym krawatem na jego mocnej szyi. Minął ich wyładowany wóz; ciężkie koła przeorały błotnistą papkę. Z głębi stajni dobiegał dźwięczny stuk kowalskiego młota.

- Nie chciałbym okazać niecierpliwości - zaczął po dłuższej chwili, nie doczekawszy się spełnienia obietnicy - ...ale nie jesteś taka lekka, jak można by pomyśleć, patrząc na ciebie. Więc jeśli będziesz się zbyt długo namyślać, to nic mogę gwarantować, że cię nie upuszczę. Nieumyślnie, ma się rozumieć - dodał, rozluźniając uścisk, by odrobinę ześlizgnęła się w jego ramionach.

Gabrielle objęła go mocniej, zamknęła oczy i cmoknęła nadstawiony policzek.

Odkryła, że istotnie jest tak gładki, jak się spodziewała. Gładki, ciepły i bezsprzecznie miły w dotyku. Westchnęła ciężko, na powrót otwierając oczy.

Próbowała sobie wmawiać, że to nic poważnego, jedynie lekkie, niemal dziecinne cmoknięcie. Tylko że nie była dzieckiem, lecz dorosłą kobietą. Kobieta, która się uczyła, że pocałunek może być czymś więcej niż tylko niewinnym wyrazem sympatii. Że pocałunek może być czymś zmysłowym. Niepokojącym. Niebezpiecznym.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Jego usta znajdowały się tak blisko, że czuła wilgotne ciepło oddechu muskające jej wargi. Miał oczy o odcieniu głębokiej zieleni, od źrenic rozchodziły się promieniście czarne punkciki. Czasami te oczy wydawały się takie zimne. Ale nie teraz. Teraz płonęły ciemnym, niepokojącym żarem.

Przebiegł go dreszcz. Poprawił sobie w ramionach niezwykle ciężar i długimi, szybkimi krokami przeprowił się przez kilka ostatnich kałuż błota. Postawił ją na chodniku po drugiej stronie i zaraz się cofnął. Puścił ją tak gwałtownie, że aż się zachwiała, wyciągając odruchowo rękę, żeby się przytrzymać szorstkiej ściany pobliskiego budynku.

Spięli się wzrokiem i oboje równocześnie odnieśli wrażenie, że nagrzane wiatrem powietrze między nimi pulsuje dziwnym napięciem. Odetchnęła głęboko, ale ponieważ to nie wystarczyło, odetchnęła po raz drugi. Uczucia, które w niej wzbudzał, były niebezpieczne i przerażające, grzeszne i podniecające. Jak on sam.

- Dziękuję za pomoc, panie Hays. - Posłała mu trochę niepewny uśmiech, próbując wrócić do lekkiego, kpiącego tonu, jakim rozmawiali na początku spotkania.

Spodziewała się, że odwzajemni uśmiech, ale tego nie zrobił. Jego twarz znów przybrała nieprzenikniony, chłodny wyraz. Niedbałym skinieniem wskazał w stronę ciemnego wnętrza stajni.

- Kazałem wymienić podkowę jednemu z koni. Jak tylko kowal skończy, wezmę bryczkę i będę na ciebie czekał na Eureka Street.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne.

- Ależ jak najbardziej - odparł przeciągle. - W takim górniczym mieście dama nigdy nie może przewidzieć, na kogo trafi.

- Czyżby? Sądzisz, że nie potrafię sobie poradzić z ordynarną zaczepką?

Nareszcie się uśmiechnął, unosząc kąciki ust. Poczowała niespodziewane, lecz raczej przyjemne łaskotanie w piersi, widząc, jak uśmiech pogłębia zmarszczki na jego policzkach.

- Sądzę, że z zaczepką poradzisz sobie śpiewająco, panno Antoine. Ale musisz się nauczyć uważać na fałszywą życzliwość.

Doug Slaughter odchylił się w fotelu, opierając nogę na wyłożonym skórą blacie swego biurka w Srebrnej Ostrodze. Wodząc rękami po obleczonych czerwonym jedwabiem pośladkach prostytutki, siedzącej mu na kolanach, wpatrywał się nieruchomo w wysokiego chudego mężczyznę o rzadkich jasnych włosach i wodnistych niebieskich oczach, który wiercił się niespokojnie na krześle po drugiej stronie biurka.

- Jesteś mi winien tysiąc dolarów - odezwał się Slaughter, nie wypuszczając spomiędzy zębów niezapalonego cygara. - Nie chce mi się dłużej czekać.

Z dołu dobiegł gwar muzyki i śmiechów. Wystająca grdyka Franka Whitneya podjechała w górę, a potem opadła, kiedy nieszczęśnik przełknął ślinę, próbując wydobyć z siebie głos.

- W przyszłym tygodniu. Obiecuję. Przyniosę je panu w przyszłym tygodniu. Przynajmniej część...

- Chyba mnie nie dosłyszałeś. Frank. - Slaughter wychylił się, żeby sięgnąć do puszki na biurku po zapalną. - Chcę je dostać natychmiast.

- Aleja... nie mogę...

- Frank. - Slaughter mlasnął językiem, co miało wyrażać zmartwienie. - Chyba nie próbujesz mi powiedzieć, że ich nie masz. Sądziłem, że krupierzy w Przybytku Celeste świetnie zarabiają.

- Owszem. Ale zdobyć nagle całe tysiąc dolarów...

- Powinieneś był o tym pomyśleć, zanim poprosiłeś o możliwość grania na kredyt. - Pstryknął zapalką i zapalił cygaro.

Frank Whitney nerwowo oblizał spierzchnięte wargi.

- Gdybym mógł dostać jeszcze trochę czasu...

- Nie. - Slaughter szarpnął stanikiem dziewczyny, obnażając jej dorodną pierś. - Chcę mieć moje pieniądze do piątku, Frank. Całą sumę. Bo inaczej będzie... nieprzyjemnie.

Frank wbił wzrok w potężną łapę Slaughtera miętoszącą wielki sutek, pokryty siecią niebieskich żyłek.

- Nie zdobędę takich pieniędzy do końca tygodnia.

- Mógłbyś je zarobić.

Frank poruszył głową na boki, wciskając palec pod sztywny kołnierzyk koszuli, jakby nagle zrobił się za ciasny.

- To znaczy, że miałbym tu dla pana pracować?

- Niezupełnie. Pracować dla mnie. Ale nie tutaj.

- Nie rozumiem.

- To nie takie znowu skomplikowane. - Slaughter językiem przerzucił cygaro z jednego kącika ust w drugi. - Przybytek Celeste ma opinię miejsca, gdzie gra się czysto, ale jeszcze nic spotkałem krupiera, który by nie umiał oszukiwać, kiedy zechce. Umiesz oszukiwać, prawda, Frank?

Frank zaczął kręcić głową, ale płynnie zmienił ruch na potakujący.

- Nie musisz być specjalnie dobry w oszukiwaniu. Frank. Właściwie masz być niezdarny. Tak niezdarny, żeby cię przyłapano.

- Nic rozumiem.

- W kółko to powtarzasz. Frank. Zaczynasz mi działać na nerwy. - Zdjął nogę z biurka, równocześnie spychając z kolan na wprost rozebraną dziewczynę, jakby była kotem, którego znudziło mu się głaskać. - Z tyłu - rzucił rozkazująco, na co stanęła za fotelem i zaczęła mu masować ramiona. Wykonała gest, jakby chciała zdjąć z siebie resztki i tak skąpego ubrania, ale powstrzymał ją krótkim: - Nic, nie trzeba.

Stracił popiół z cygara i wymierzył dymiącym końcem w człowieka siedzącego naprzeciwko.

- Okażę ci wielkoduszność, Frank. Niesłychaną wielkoduszność. Zapłacę ci tysiąc pięćset dolarów za to tylko, żebyś nadal pracował w Przybytku Celeste. Masz tylko oszukiwać.

- Ale... - Krupier znów szarpnął kołnierzykiem. - Ale jeśli kogoś przyłapią na oszukiwaniu, to mogą go nawet zastrzelić.

- Frank, do ludzi strzela się z różnych powodów. Oszukiwanie jest tylko jednym z nich. Niespłacenie długów drugim. Czy wyrażam się jasno?

Frank, blady jak płótno, pokiwał głową.

- Poza tym - ciągnął Slaughter - człowiek, którego masz oszukiwać, nie będzie do ciebie strzelał. To nie należy do planu.

- Nie patrząc, wyciągnął za siebie rękę i chwycił dziewczynę za przegub. Przyciągnął ją znów przed siebie i pchnął twarzą w dół na biurko.

Frank w popłochu zerwał się na nogi i zaczął wycofywać w stronę drzwi.

Slaughter wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu.

- Pogadaj na dole z Tuckerem. On ci dokładnie wytłumaczy, czego oczekuję, i da ci pięćset dolarów. Resztę dostaniesz po skończeniu roboty. A teraz wynoś się. Jestem zajęty. – Zadarł dziewczynie spódnice, jednym szarpnięciem ściągnął jej majtki, a potem wstał i zaczął rozpinać spodnie.

Słyszał, jak drzwi się otwierają, a po chwili zamykają, ale nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Z upodobaniem przyglądał się wypiętym różowym pośladkom prostytutki. Chrzakając z zadowolenia, wyswobodził się ze spodni i przystąpił do dzieła.

Tego popołudnia, przed otwarciem domu dla klientów,

Gabrielle weszła kuchennymi schodami na drugie piętro.

Przed strzelaniną nigdy nie odważyła się zapuścić w tamte rejony. Spodziewała się, że znajdzie tam podobną atmosferę jak na parterze i pierwszym piętrze ciężki, trochę duszny przepych. Tymczasem pomieszczenia na górze okazały się przestronne, wygodne i zaskakująco przytulne.

Mimo to wchodziła tam z oporami, ponieważ czuła, że zbliża się do tych grzesznych cielesnych spraw, które odbywały się piętro niżej. A niezależnie od wszystkich pobożnych teorii na temat Chrystusa i Marii Magdaleny, niezależnie od poczucia winy i wyrzutów sumienia, które kazały jej się wprowadzić do tego domu, niezależnie od wewnętrznej potrzeby zrozumienia kobiety, która była jej matką, Gabrielle wciąż żywiła odrazę i lęk przed tym wszystkim, co się tu działo, i przed kobietami, które tu pracowały.

Drzwi do pokoju Amy były lekko uchylone. Gabrielle słyszała głosy dobiegające ze środka. Ze świadomością, że przeszkadza, przełożyła zakupioną torebkę cukierków do lewej ręki, unosząc prawą, żeby zapukać.

Głosy ucichły.

- Proszę wejść! - zawołała Amy.

Gabrielle pchnęła drzwi. Amy uniosła się na łóżku; biało-rudy kot spał smacznie zwinięty obok niej w kłębek. W fotelu

przy wezglowiu łóżka niska jasnowłosa kobieta o imieniu Jilly trzymała w ramionach zaspane dziecko. Gabrielle po raz pierwszy miała okazję widzieć ją w pełnym stroju, bo Jilly zazwyczaj prezentowała obficie swe wdzięki przysłonięte jedynie czarno-czerwonym gorsetem i czarnymi pończochami.

Obie kobiety równocześnie odwróciły głowy w stronę drzwi. Na widok Gabrielle ich ożywione rozmową twarze natychmiast skryły się za maskami ostrożności.

- Dobry wieczór - odezwała się Gabrielle, skrepowana swoim sztywnym tonem, którego jednak nie potrafiła się wyzbyć. - Przyszłam sprawdzić, jak się dziś czujesz, Amy.

- Och... czuję się bardzo słabo - odparła Amy, osuwając się na poduszce, jakby nagle opadła z sił. - Naprawdę słabo. Jordan mówi, że nie muszę wracać do pracy przez tydzień albo dwa. Mówi, że muszę przejść rekon... walescencję. Rzuciła Gabrielle wojownicze spojrzenie, jakby się bała, że ona może chcieć jej skrócić te wakacje.

- Tak, oczywiście - pośpieszyła z zapewnieniem Gabrielle.

Rozejrzała się dyskretnie po pokoju, zatrzymując wzrok na dzieciennym łóżeczku w kącie, na stercie klocków i drewnianych koników wysypujących się z wiklinowego kosza. Wyciągnęła rękę z cukierkami. - Przyniosłam coś dla Henry'ego i reszty dzieci, ale ich tu nie widzę.

- Pewnie są jeszcze w wieżyczce - wyjaśniła Jilly, poprawiając sobie dziecko na kolanach. - Sirena zabiera ich tam każdego popołudnia na parę godzin.

- Po co? - zdziwiła się Gabrielle, obserwując, jak usta Jill wyginają się w czułym uśmiechu, kiedy patrzy na buzię śpiącego synka.

- Na lekcje - powiedziała Amy, głaszcząc kota po grzbiecie. - Dawniej chodziły do szkoły w mieście, ale zamknęli ją w zeszłym roku. Tylko że nawet wtedy nauczyciele i inne dzieci tak im dokuczali, że Benjamin Franklin i Arabella często uciekali na wagary, a Jackson nic był wiele lepszy. Więc teraz Sirena uczy ich przez większą część roku.

- Sirena? - Gabrielle bezwiednie pokręciła głową. W żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić tej gwałtownej, budzącej lęk kobiety w charakterze nauczycielki.

Z drugiego końca korytarza dobiegł gwar cienkich dziecięcych głosików, recytujących jakieś formułki. Gabrielle spojrzała w tamtym kierunku.

- Przepraszam na chwilę. - Poszła śladem głosów na przód domu. W drzwiach wieżyczki przystanąła na chwilę w milczeniu.

Przez szerokie okno, podobne do okna w kasynie na dole, wpadały promienie słońca. Pomieszczenie było obszerniejsze od

większości pokoi na trzecim piętrze, a umeblowanie stanowiły jedynie długi sosnowy stół z prostymi krzesłami i półka na książki. Synek Amy, Henry, siedział z nogami skrzyżowanymi po turecku na podłodze w plamie słonecznego światła. Wysuwając język z przejęcia, próbował zapisać coś na tabliczce, którą trzymał na kolanach. Uśmiech sam wypłynął na usta Gabrielle. Chłopiec miał dopiero cztery lata i zapewne przychodził tu tylko dla towarzystwa kolegów.

Starsze dzieci siedziały wokół stołu: Arabella, Benjamin Franklin, Jackson i śniadoskóry syn Margot. Była tu także jedna z dziewczyn, Chinka Youngmi.

Siedziała z opuszczoną głową, z rękami zaciśniętymi na okładce książki.

- Pani Pepper zobaczyła, co dzieci zrobiły... - czytała urywanym, beznamiętnym głosem - ...i uniosła się gniewem. - Zamilkła nagle, marszcząc nos. - Dziewczyna się nie myli, Sireno? To przecież nie ma sensu. Jak mogła się unieść? - Podniósłszy głowę, dostrzegła Gabrielle. - Och... – wyrwało jej się.

Stojąca za plecami Youngmi Sirena odwróciła się z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

- Nie chciałam przeszkadzać - usprawiedliwiła się Gabrielle, czując na sobie zaciekawione spojrzenia dzieci.

Sirena niedbale wzruszyła ramieniem.

- I tak mieliśmy już kończyć. Możecie się pakować – zwróciła się do swoich uczniów. - Dzieci poderwały się z krzesel z taką wrzawą, że musiała podnieść głos, by być słyszaną. – Jackson i Henry, macie dalej ćwiczyć pisanie tych liter na tabliczkach. Arabella i Benjamin Franklin, chcę żebyście się nauczyli tych formułek. Na poniedziałek!- zawołała za nimi, kiedy ochoczo rzucili się do drzwi.

Gabrielle przyglądała się kobiecie o wymalowanych różem policzkach i oczach podkreślonych czarnymi kreskami, w głęboko wyciętej satynowej sukni, z dziecinnym piórem na stalówkę w dłoni. Miała wrażenie, że jej świat nagle zniknął, a gdy zaraz potem znów się pojawił, nic nie było na tym samym miejscu co wcześniej.

- Wyprzedzę cię na schodach! - zawołała z holu Arabella.

- Oszukujesz! - wrzasnął Benjamin Franklin. - Za wcześnie wystartowałam.

- O rany - ocknęła się Gabrielle, przypominając sobie o torebce wciąż zaciśniętej w dłoni. - Zapomniałam, że przyniosłam słodycze dla dzieci. - Wyciągnęła cukierki do Sireny.

- Może pani zostawić, jeśli chce - powiedziała obojętnie Sirena, przyjmując od niej torebkę. - Dopilnuję, żeby je dostały.

Youngmi zsunęła się z krzesła i dygnęła przed Gabrielle.

- Ta dziewczyna już idzie - powiedziała i wymknęła się z pokoju tak samo szybko jak dzieci.

- A co Youngmi tu robi? - zdziwiła się Gabrielle, patrząc za Chinką.

Sirena zgarnęła książki rozrzucone po stole.

- Chce poprawić swój angielski. Uważa, że nauka czytania może jej w tym pomóc.

- Czy to znaczy, że chce znaleźć inną pracę? – zapytała Gabrielle z nadzieją w głowie.

Sirena obrzuciła ją nieco zagadkowym spojrzeniem.

- Nie. Po prostu chce lepiej mówić po angielsku.

Gabrielle podeszła do okna, żeby popatrzeć z góry na zasypany śniegiem wąwóz i zbocza.

- Ja w ogóle nie rozmieni, dlaczego Youngmi mieszka w tym domu - odezwała się po chwili. - Mam na myśli to, że nie wybrała dobrowolnie takiego życia i miała okazję się z niego wyzwolić. Więc dlaczego nadal robi... to, co robi?

- Dlaczego uprawia prostytutkę?

- Właśnie - potwierdziła Gabrielle, czując rumieniec wpełzający na policzki. Któregoś dnia, pomyślała, słysząc to słowo wreszcie przestanę się rumienić.

Sirena ustawiła książki na niskiej półce przy oknie i schyliła się, żeby podnieść porzuconą tabliczkę Henry'ego.

- Youngmi twierdzi, że nic jest już godna małżeństwa z porządnym człowiekiem, więc to musi być jej przeznaczeniem.

- Ale... jej się to chyba nie podoba.

Sirena przystanęła z tabliczką w dłoni, z dziwnym, nieprzyjaznym uśmiechem na twarzy; zmrużyła czarne oczy.

- Myśli pani, że reszcie z nas się podoba? - Machnęła ręką. Gest miał być niedbały, ale zdradzał złość. - Och, wiem, co mówią ci wszyscy ospali kaznodzieje o delikatnych dłoniach, stojący ponad tłumem w pachnących kwiatami, malowanych na biało kościołach, ziejąc ogniem i siarką nad głowami swoich zacnych, świątobliwych parafian. Są przekonani, że nie możemy się doczekać na to, co naszym codziennym klientom wisi między nogami. Że nigdy nie mamy tego dosyć. No to pani powiem, że jedyna różnica pomiędzy Youngmi i resztą dziewczyn w tym biznesie polega na tym, że ona robi to zbyt krótko, żeby się wyzbyć wstydu, i nie umie udawać tak dobrze jak reszta z nas.

Nie spytam Sireny, czy jej się to podoba, postanowiła w duchu Gabrielle. To byłoby absolutnie nie na miejscu. Odchrząknęła z zakłopotaniem.

- Tobie też się nie podoba?

Sirena tak długo przyglądała jej się w milczeniu, że Gabrielle była pewna, iż nie ma zamiaru odpowiadać.

- Nie tak, jak sobie pani wyobraża - powiedziała jednak w końcu. Zaczęła zbierać jakieś papiery.

- Ale... skoro wam się nic podoba, dlaczego to robicie?

Sirena odwróciła się gwałtownie i krzyżując ręce na piersi przysiadła na parapecie okna. Niemiły uśmiech sprzed chwili znów zagościł na jej twarzy.

- Ma pani pojęcie, ile pieniędzy przeciętny kowboj zarabia w miesiąc?

Gabrielle pokręciła głową.

- Trzydzieści dolarów. Trzydzieści parszywych dolarów, co daje około dolara dziennie. Ci górnicy tutaj - kiwnęła głową wskazując za okno - zarabiają trzy dolary dziennie i ryzykują życie za każdym razem, kiedy schodzą do szybu. A najbardziej leniwa kurwa w najgorszej spelunie bierze trzy dolary od każdego faceta, przed którym ściągnie majtki, i może z tego zatrzymać co najmniej połowę. Co oznacza, że jeśli przyjmie dwudziestu mężczyzn w jeden wieczór... Niech pani sobie sama policzy.

Gabrielle poczuła, że coś jej rośnie w gardle. Dwudziestu mężczyzn w jeden wieczór. Dwudziestu. Wciągnęła głęboko powietrze, uciekając wzrokiem przed drwiną, widoczną w

oczach Sireny. Uciekając przed brutalnym kawałkiem rzeczywistości, jaki odsłoniła przed nią ta kobieta. Próbowwała skupić myśli na pomieszczeniu, w którym się znajdowały, z surowym drewnianym stołem i równymi rzędami krzeseł.

- To bardzo dobre, co robisz dla tych dzieci – powiedziała dziwnie nieswoim, schrypniętym głosem.

Sirena wzruszyła ramionami, podnosząc się z parapetu.

- Otrzymują od życia dość kopniaków już za to, że urodziły się w burdelu, nieszczęsne bękarty. Nie muszą jeszcze do tego być analfabetami.

- Chciałabym jakoś pomóc - zaoferowała Gabrielle. - Właśnie tym się zajmowałam przed wyjazdem z Nowego Orleanu. - Już miała powiedzieć, co zamierza zrobić z tym domem, kiedy stanic się jej własnością, lecz nagle sobie przypomniała, że obiecała Jordanowi Haysowi zachować swe plany w tajemnicy przez najbliższe trzy miesiące. Ugryzła się więc w język.

- Jeśli pani chce. - Sirena znów wzruszyła ramionami.

- Bardzo bym chciała - zapewniła Gabrielle z uśmiechem. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju zamienionym w klasę lekcyjną.

Przecież mogłam być jednym z takich dzieci, pomyślała ze ściśniętym sercem. Mogłam dorastać w takim domu, odrzucona przez miejską społeczność, pobierając naukę w takiej szkole.

Tylko z łaski Boga, pomyślała z pokorą. Tylko z łaski Boga...

Stuk kołatki odbił się echem po całym domu. Gabrielle znieruchomiała w połowie szerokich kręconych schodów, zaciskając dłoń na balustradzie. Nie spodziewała się klientów tak wcześnie, ale tak czy inaczej powinna była wybrać przejście na tyłach domu. Gdyby ktoś wszedł do holu i zobaczył ją na tych schodach, musiałyby ją wziąć za jedną z pracujących tu dziewczyn.

Wing Tsue zjawił się jak spod ziemi, by w swych białych pantoflach bezszelestnie przemierzyć miękki dywan i stanąć u drzwi. Zawsze ją zdumiewało, że tak wielki osobnik porusza się tak cicho. Gabrielle już się odwracała, żeby umknąć z powrotem na górę, kiedy usłyszała:

- Biurko? Nie, nic wiem, gdzie należy je wstawić. – Wing Tsue zerknął przez ramię w jej stronę. - Panno Antoine?

Niechętnie zawróciła i przez zasłonę z koralików weszła do holu.

- O co chodzi? - spytała.

Na werandzie czekało dwóch ludzi: masywny rudzielec o ogorzałych policzkach i nastroszonych wąsach oraz drugi mężczyzna, niższy, ciemnowłosy. Pomędzy nimi stało eleganckie biurko na rzeźbionych, wygiętych nóżkach.

- Kupione i zapłacone - odezwał się ten rudy, trochę niewyraźnie z powodu tytoniu, wypychającego mu policzek. - My mieliśmy je tylko dostarczyć. Ale skoro nie wiecie, gdzie je postawić, to chyba możemy zostawić tutaj. - Wykonali ruch, jakby chcieli porzucić biurko na werandzie.

- Nie, chwileczkę. - Gabrielle przyjrzała się misternie rzeźbionemu sprzętowi. Tylko jedna osoba mogła zamówić taki mebel. - Dajcie je tutaj. - Ruszyła przodem, prowadząc ich w kierunku pokoju zajmowanego przez Jordana Haysa.

Nigdy wcześniej nie była w jego pokoju. Był podobny do tego, który sama zajmowała, tylko nieco węższy. Ściany pokrywała jedwabna tapeta w złocisto-bordowe pasy, w oknie wisały ciężkie bordowe zasłony z brokatu. Umeblowanie było proste, składało się z kutego żelaznego łóżka z mosiężnymi gałkami, komody i umywalni z orzecha oraz dwóch okrągłych stolików. Jeden stał przy fotelu pod oknem, drugi obok łóżka.

- Tutaj? - upewnił się rudy dostawca, przepychając językiem tytoń w ustach.

- Tak, doskonale - powiedziała Gabrielle, kiedy wreszcie ustawili biurko nieopodal kominka. - Dziękuję.

Odsunęła się, żeby ich przepuścić do drzwi, ale rudy wążacz stanął przed nią, obrzucając ją z góry na dół spojrzeniem tak bezwstydnym, że Gabrielle zaczęła nerwowo skubać koronkowy kołnierzyk brązowej wełnianej sukienki.

- Nazywam się Sean O'Neal - oznajmił, przysuwając się tak blisko, że widziała drobne żyłki na jego czerstwych policzkach. - Jesteś nowa? Bo jeśli tak, chyba chciałbym być jednym z twoich pierwszych klientów.

Gabrielle swędziała ręką, żeby mu wymierzyć policzek, ale przecież obiecała nie robić niczego, co mogłoby źle wpłynąć na interesy Jordana Haysa przez najbliższe trzy miesiące, więc zmusiła się do chłodnego uśmiechu.

- Nie, panie O'Neal, ja tu nie pracuję. Ale jeśli zechce pan przyjść później, z pewnością znajdzie pan dla siebie odpowiednie towarzystwo.

- Cholera - mruknął O'Neal wycofując się do drzwi. – Żeby marnować taki kawałek ciała...

Gabrielle stała przyklejona plecami do ściany sypialni Jordana Haysa, czerwona ze wstydu, wsłuchując się w coraz odleglejszy stukot podkutych buciorów. Poruszyła się dopiero,

usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi. Ale zamiast natychmiast opuścić pokój, zatrzymała się pośrodku.

Odetchnęła głęboko zapachem skóry i tytoniu. Zapach był przyjemny i zdecydowanie męski. Choć wiedziała, że powinna wyjść, jakaś niezrozumiała siła trzymała ją w miejscu. Miała świadomość, że pozostając w jego sypialni, zachowuje się tak, jakby go podglądała. Jakby próbowała go ujrzeć od tej strony, którą starał się ukrywać przed światem. I która z każdym dniem coraz bardziej ją intrygowała.

Podeszła do stolika z marmurowym blatem stojącego przy łóżku. Znajdowała się na nim lampa naftowa ze szklanym kloszem oraz stos książek. Jedna z nich, cienki tomik oprawny w niebieską skórę, był przypalony na brzegach, jakby się kiedyś znalazł zbyt blisko ognia.

Zaciekawiona podniosła książkę i obróciła w dłoniach. Było to wydanie *Pieśni Doświadczenia* Blake'a. Uniósłszy okładkę dostrzegła, że na stronie przedtytułowej jest jakiś odręczny zapis. Atrament wyblakł z upływem czasu, ale wciąż dało się odczytać starannie wykaligrafowane słowa: *Mojemu mężowi na dwudzieste drugie urodziny. Wszystkiego najlepszego, Jordanie. Zawsze kochająca Sophie.*

Gabrielle ręce tak się trzęsły, że omal nie wypuściła książki. Żałowała, że zajrzała do środka. To co zobaczyła, było zbyt

osobiste, zbyt intymne. Zbyt mocno przypominało jej o cierpieniu, które dojrzała poprzez chłód w jego twardych zielonych oczach.

Szybko zamknęła książkę, ale i tak było za późno. Nim uniosła wzrok, wiedziała, że on jest w pokoju.

11

Stał w otwartych drzwiach i przyglądał jej się w milczeniu.

Musiał dopiero co wejść, bo wciąż miał na sobie kożuch i czarny kapelusz nasunięty nisko na czoło. Wniósł ze sobą powiew rzeńskiego górskiego powietrza, pachnącego drzewnym dymem i sosnami. Przebiegł ją dreszcz. Patrząc w jego zimną, zaciętą twarz, trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który żartował i przekomarzał się z nią ledwie parę godzin temu.

Odłożyła książkę na stolik.

- Przepraszam - powiedziała, splatając dłonie. - Nie powinnam była.

Nie odpowiedział. Wciąż stał bez ruchu i na nią patrzył.

- Przynieśli twoje biurko. Domyśliłam się, że to ty je zamówiłeś. - Mówiła za dużo i za szybko, rozpaczliwie pragnąc wypełnić nieznośną ciszę. - Kazałam im postawić obok kominka.

Ale jeśli wolisz, żeby stało w innym miejscu, to poproszę, żeby Wing Tsue...

- Niech zostanie tam, gdzie jest.

Czuła ucisk w piersi, jakby jej brakowało powietrza. Odetchnęła głęboko.

- Myślałam, że korzystasz z biurka w gabinecie Celeste.

- Korzystałem. Ale doszedłem do wniosku, że będzie lepiej kupić sobie własne.

- Aha, rozumiem. - Pragnęła, żeby się przesunął w inne miejsce, żeby mogła się wymknąć z tego pokoju bez konieczności przechodzenia tuż obok niego. Ale on nawet nie drgnął, więc nie mając wyboru, podeszła do niego. Kiedy już miała go minąć, nagle wyciągnął rękę i złapał ją za łokieć. Znieruchomiała.

- Wiesz dlaczego, prawda?

Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, a potem przesunęła wzrokiem po napiętych policzkach, wąskiej linii zaciśniętych złowrogo ust.

- Nie.

Leciutko dotknął jej twarzy otwartą dłonią, przesuwał kciukiem po pełnych wargach.

- Myślisz, że ponieważ wiem, że jesteś dziewczyną i ponieważ byłem przyjacielem twojej matki, to jesteś ze mną bezpieczna. Ale nie jesteś.

Zadrżała pod jego dotykiem.

- Dlaczego? - spytała, bezwiednie ścisząc głos do szeptu. - Ponieważ jesteś zimny, twardy i nieczuły? - Potrząsnęła głową. - Nic wierzę.

Przysunął się do niej jeszcze bliżej, nie odrywając dłoni od jej twarzy, ze spojrzeniem utkwionym w jej usta. Była pewna, że ma zamiar ją pocałować, więc czekała spięta lękiem i tęsknotą.

- No to uwierz - powiedział. - I trzymaj się ode mnie z daleka. - Opuścił rękę, odepchnął się od futryny i minął ją szybko, wchodząc w głąb pokoju.

Wymknęła się przez próg. Zimne powietrze w holu oblało jej twarz, chłodząc rozpalone policzki. Odetchnąwszy głęboko, zdobyła się na krótkie zerknięcie za siebie.

Stał przy marmurowym stoliku, trzymając w ręce nadpaloną książkę. Nie patrzył na Gabrielle, pewnie nawet zapomniał, że w ogóle tam była. Widziała, jak przesuwa smukłymi palcami po zniszczonej okładce, jakby w ten sposób mógł dotknąć przeszłości. Jakby mógł dotknąć kobiety o imieniu Sophia. Swojej żony.

W duszy Gabrielle wezbrało jakieś nieznane, gorzkie uczucie. Pokrewne samotności i tęsknocie, budzące dziwny lęk. Z całych sił przycisnęła ręce do piersi, ale to nie pomogło. Nie uspokoiło bolesnego łomotu serca.

Tej nocy Gabrielle napisała wreszcie mocno spóźniony list do Julii St. Etienne.

Skuliła się w fotelu przy kominku w swoim pokoju, z blokiem papieru na kolanach i buteleczką atramentu na stoliku pod ręką. Zamoczyła stalówkę, ale atrament wysechł, kiedy niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w tańczące złociste płomienie. Czuła przemożną potrzebę zwierzenia się przyjaciółce, ale coś ją powstrzymywało przed wylaniem na papier tego wszystkiego, czego się dowiedziała, wszystkiego, co się wydarzyło przez ostatnie dni.

Więc w końcu napisała Julii, że odkryła prawdę o matce, ale nie zdradziła, że obecnie sama mieszka w domu o fatalnej reputacji. Opisała przyjaciółce dzikie piękno gór, surowość górniczego miasta, zadziwiające właściwości śniegu. Nie potrafiła jednak pisać o Jordanie Haysie i o dziwnych, przerażająco grzesznych pragnieniach, jakie w niej budził.

Spodziewała się, że pisanie do Julii poprawi jej samopoczucie. Ale kiedy skończyła list, nadal czuła ciężar na duszy przytłoczonej smutkiem. Z westchnieniem odłożyła zapisane stronicę.

Uświadomiła sobie nagle z rozpaczą, że nie może wrócić do Nowego Orleanu. Nie teraz, kiedy wiedziała to wszystko, co wiedziała. Wszyscy by tam od niej oczekiwali, że będzie tą samą osobą, którą już była kiedyś. Osobą, która już nie istniała.

Odchyliła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy, oddając się wspomnieniom ciepłego, beztroskiego dzieciństwa. Przywołała w myślach dni wypełnione słodkim śpiewem drozda i dobiegającym z oddali sapaniem parowców sunących po mulistej rzece pod ciężkim od chmur niebem. Słyszała dziecięcy śmiech, odbijający się echem wśród murów klasztornego ogrodu, czuła na policzku pożegnalny całus Julii, widziała jej porozumiewawczy dziewczęcy uśmiech.

Wreszcie ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Przez trzy dni z południowego zachodu wiał ciepły wiatr nazywany przez miejscowych chinookiem, topiąc śnieg i napełniając strumienie po same brzegi. I przez trzy dni Gabrielle trzymała się z dala od Jordana Haysa, tak jak on trzymał się z dala od niej.

Wieczory przy fortepianie we frontowym salonie wcale nie stały się dla niej łatwiejsze. Próbowwała się skupić na muzyce i nie zwracać uwagi na gorszące sceny, jakie się wokół niej rozgrywały. Ale wyobraźnia odmawiała jej posłuszeństwa. Nie dawała jej zapomnieć o tym, co się działo na piętrze w wielkich, wyściełonych satyną łóżkach. Wciąż prześladowały ją obrazy splecionych ze sobą nagich ciał, oświetlonych migotliwym światłem, odbitych w lustrach.

I w żaden sposób nie mogła zapomnieć o Jordanie Haysie, o jego obecności tuż obok, w sali gier po drugiej stronie holu.

Nigdy nie próbował się do niej zbliżyć. Ale wiedziała, że czasami staje za zasłoną z koralików i obserwuje ją z daleka. Nawet nie patrząc w tamtą stronę, wyczuwała jego spojrzenie, niby prąd gorącego powietrza.

Mniej więcej w połowie tygodnia Gabrielle zdała sobie sprawę, że jej życie w Przybytku Celeste zaczyna płynąć według pewnego schematu. Jej świat stał się światem ciemności, rozświetlonym blaskiem świec. Kładła się spać tak późno, że przesypiała niemal pół dnia. Popołudnia najczęściej spędzała w wieżycze z Sireną i dziećmi, choć starała się też znaleźć choćby godzinę lub dwie na przeglądanie rzeczy po matce.

Istniało tyle pytań, na które chciałyby otrzymać odpowiedź. Pytań o Celeste, o jej rodzinę, wcześniejsze życie. Z każdym dniem Gabrielle czuła narastający lęk. Lęk, że nie dowie się już niczego więcej ponad to, co wiedziała. Że nigdy nie pozna nazwiska człowieka, który był jej ojcem, dlatego, że sama Celeste go nie знаła.

Gabrielle z westchnieniem schowała listy, które czytała, do kasetki i odłożyła na półkę. Było dopiero wczesne popołudnie, ale w pokoju zrobiło się już szaro. Podeszła do okna, rozsunęła firanki i wyjrzała na zewnątrz. Ze zdziwieniem stwierdziła, że

świat znów zrobił się biały. Z białych chmur sypały się gęsto białe płatki, a wszystko wokół zaścielała biała pierzynka świeżo spadłego śniegu.

- Och - szepnęła, przyciskając koniuszki palców do zimnej szyby. Świat za oknem wyglądał pięknie i spokojnie, jak zaczarowany. Zapragnęła wyjść z domu i stanąć pośród tej bezkresnej bieli, pokłonić się majestatowi zimowych gór, chłonąć płynącą z nich moc.

Przeszkodziło jej bicie starego zegara na kominku. Zerknęła na tarczę w nadziei, że jest jeszcze wcześnie, ale bezlitosne wskazówki pokazywały, że już jest spóźniona na lekcję z dziećmi.

Zgasiła mosiężną lampę na biurku i pośpiesznie ruszyła w stronę kuchennych schodów. Jak zwykle przemknęła przez pierwsze piętro, starając się omijać wzrokiem wszystko, co przypominało o znajdującym się tam siedlisku grzechu. Próbowwała nawet nie oddychać, dopóki nie dotarła do korytarza na samej górze.

Nim jeszcze stanęła w progu klasy, dobiegły ją dziecięce głosy, zawodzące piskliwie, jakby w jakiejś zbiorowo wyrażanej prośbie.

- Ale to ostatni porządny śnieg w tym roku – przekonywał Benjamin Franklin.

- Ja chcę ulepić bałwana - wtrącił podniecony Henry. Stając w drzwiach, Gabrielle dostrzegła, jak Arabella błagalnie gładzi Sirenę po ramieniu, czarując ją przy tym uśmiechem godnym samej Crystal.

- Och, proszę, panno Sireno. Możemy pójść?

Sirena odwróciła głowę, patrząc na Gabrielle z ciepłym uśmiechem, tak rzadkim na jej twarzy.

- Jak pani sądzi?

- Cóż... - zawahała się Gabrielle, wciąż mając przed oczyma urokliwy widok czystych białych przestrzeni i miękkich śniegowych płatków, łagodnie spadających z nieba.

Czując, że ktoś ją ciągnie za spódnicę, spojrzała w dół, prosto w wielkie niebieskie oczy Henry'ego.

- Lepiła pani kiedyś bałwana, panno Gabrielle? – spytał przejęty.

Gabrielle potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy. Tam, gdzie mieszkałam, nie padał śnieg.

- To ja panią nauczę. Naprawdę umiem robić bałwany. Szczególnie ich głowy. - Przeniósł pałający wzrok na Sirenę.

- No dobrze - poddała się Sirena, unosząc ręce do góry. - Idziemy. - Kiedy uszczęśliwione dzieciaki rzuciły się do drzwi, dodała z zagadkowym uśmiechem: - Ostatecznie, nie chciałabym

utrudniać pannie Gabrielle zdobywania wszechstronnego wykształcenia.

Gabrielle zakładała właśnie płaszcz, kiedy usłyszała głucho pacnięcie śniegowej kuli o ścianę domu tuż pod jej oknem. Przez dziecięcy pisk zachwytu przebił się gardłowy męski śmiech.

Śmiech Jordana.

Znieruchomiała, ściskając w dłoni rękawiczki. Ukryta w cieniu grubej zasłony, ostrożnie wyjrzała przez okno.

Nie musiała go długo wypatrywać. Leżał wyciągnięty na śniegu, machając rękami i nogami. Arabella leżała w tej samej linii co on, tak że stykali się głowami i wykonywała takie same, dziwaczne ruchy kończynami. Po chwili oboje usiedli, a potem ostrożnie podnieśli się na nogi, oglądając z uwagą ślady pozostawione w białym puchu.

Mrużąc oczy przed bijącym od śniegu blaskiem. Gabrielle ujrzała dwa zagłębienia, jakby dwa anioły, jeden wysoki i smukły, drugi mały i okrągłutki, ułożyły się w śniegu na odpoczynek. Przyglądała się, jak mężczyzna i dziecko spoglądają na siebie z zadowoleniem, a potem Jordan wybucha śmiechem i z jego twarzy znika ten twardy, zacięty wyraz.

Gabrielle zacisnęła palce na grubej tkaninie zasłony, opierając się fali gwałtownych, bolesnych uczuć. Jordan odwrócił się w stronę domu, obejmując Arabelle za ramiona. Poła kozucha uniosła się nieco, odsłaniając pas z bronią na jego biodrze.

Powinna się czuć zszokowana, że nawet przy zabawie z dziećmi nosi rewolwer. Ale pomyślała tylko, że ten człowiek składa się z samych przeciwieństw. Pomyślała, że nie dba o nic i o nikogo. Ale kiedy znów się uśmiechnął do dziecka, wiedziała, że to kłamstwo. Kłamstwo, w które sam pragnął uwierzyć.

Nagle zmieszana, odsunęła się od okna i sięgnęła po kapelusz.

Przystanąwszy na schodach przed domem, wciągnęła głęboko czyste rześkie powietrze. Dzień był wprawdzie zimny, ale bez dokuczliwego mrozu. Być może rzeczywiście miało się już ku wiośnie.

Śniegowa kula rozprysnęła się u jej stóp. Gabrielle aż podskoczyła, przestraszona. Zadarłszy głowę, ujrzała tuż przed sobą roześmiane zielone oczy i przystojną śniadą twarz Jordana Haysa. Wysoka mocna sylwetka odcinała się ostro na tle białego tła. Wydał jej się taki potężny i silny, że aż zaparło jej dech w piersiach.

- Spudłowałeś - powiedziała.

- Nie. To cię miało tylko obudzić.

Roześmiała się cicho. Takiego lubiła go najbardziej, kiedy przybierał na twarz ten uroczy łobuzerski uśmiech, chowając wszystko, co mroczne i groźne, tak głęboko, że pozostawało, choć na jakiś czas, zapomniane. Ale też, kiedy był taki jak teraz, przestawała się go bać. Zapominała, że powinna się go bać. Zapominała trzymać się od niego z daleka.

Schyliła się, żeby nabrać ze stopnia schodów garść świeżego puchu i ugnieść w kulę. Przyglądał się jej zabiegom z rękami założonymi na piersi, z coraz szerszym uśmiechem.

- Masz zamiar komuś tym przyłożyć?

- Myślisz, że nie potrafiłabym trafić nawet w wagon przejeżdżający mi przed nosem, co?

- Powiedziałem coś takiego?

- Nie musiałeś. - Ugniotła kulę mocniej, szukając wzrokiem odpowiedniego celu. - Widzisz tę osikę? Tę przy bramie?

Obejrzał się na młode drzewko.

- Widzę. Ale jeśli szukasz celu, to może lepsza będzie ta stara sosna. - Wskazał głową na niewiarygodnie gruby pień rosnący tak blisko werandy, że najniższe konary opierały się o dach.

Akurat, obruszyła się w duchu.

- Patrz na pień tamtej osiki, tuż pod rozwidleniem. – Uniosła ramię z wprawą nabytą podczas długoletniej gry w baseball w klasztornych ogrodach i wykonała rzut. Kula trafiła dokładnie w cel i rozprysnęła się, zostawiając białą plamkę na korze.

- No, no - cmoknął, odsuwając kapelusz na tył głowy. - Jestem pod wrażeniem, panno Antoine.

Gabrielle otrzepała rękawiczki; wybuchnęła śmiechem.

- I słusznie. Wprawdzie nigdy wcześniej nie rzucałam śnieżkami, ale byłam mistrzynią szkoły w baseballu. Siostrzyczki od świętej Agnieszki mocno wierzą w zbawienne działanie gimnastyki na dusze młodych panien.

- Naprawdę? - spytał przeciągle, wbijając spojrzenie w jej usta. - Zastanawiam się, jakie jeszcze talenty kryjesz w zanadrzu.

Bezwiednie zwilżyła językiem nagie zaschnięte wargi. Poczowała, że robi jej się dziwnie gorąco. Podejrzewała, że w jego słowach kryje się dwuznaczność, ale wołała o nią nie pytać.

- Panie Hays! Panno Antoine! Pomóżcie pchać! – wołał Jackson.

Odwrócili się jednocześnie w stronę, gdzie dwóch starszych chłopców toczyło przed sobą ogromną śniegową kulę.

- A cóż to takiego? - zdumiała się Gabrielle.

- To jest, panno Antoine, dolna część bałwana. Obecna tu panna Arabella jest odpowiedzialna za wykonanie brzucha. A ten dziwny twór sporządzony przez Henry'ego ma być głową. Może pomożesz Arabelli, a ja spróbuję trochę zaokrąglić czaszkę temu biedakowi.

Pośpieszył na pomoc małemu Henry'emu, a Gabrielle ruszyła przez śnieg ku Arabelli, która czekała wsparta z dumą na śniegowej kuli, wprawdzie trochę niekształtnej, ale za to sięgającej jej do pasa. Razem napały ramionami na kulę i potoczyły ją wokół podwórza. Dyszały ciężko, a nogi raz po raz ślizgały się im na rozmiękłym śniegu.

Czując wilgotne muśnięcia na policzkach, Gabrielle uniosła twarz i chłonęła cudowny widok wielkich mokrych płatków spływających leniwie z białego nieba. Odetchnęła głęboko, napełniając płuca ożywczym górskim powietrzem, zaprawionym szczyptą zapachu palonego drewna. Słuchając radosnego dziecięcego śmiechu odbitego od górskich szczytów, pomyślała, że to jeden z tych cennych, niezapomnianych momentów. Jeden z tych wyjątkowych okruchów życia, kiedy czas przestaje płynąć, a wszystkie zmysły w człowieku ulegają wyostrzeniu. Wiedziała, że to wspomnienie na zawsze pozostanie żywe w jej pamięci. I w sercu.

Spojrzała w stronę, gdzie Jordan Hays pomagał chłopcom ustawić podstawę bałwana i napotkała jego wzrok. Płatki śniegu,

wirując, zdążyły ku ziemi, wiatr wzdychał w koronach drzew, a oni stali nieruchomo i na siebie patrzyli.

- Panie Hays - odezwała się Arabella. - Pomoże mi pan teraz? Panie Hays?

Nastąpiła ledwie zauważalna chwila zwłoki, a zaraz potem Jordan przeniósł wzrok na dziewczynkę i szeroki uśmiech zmarszczył mu policzki.

- Oczywiście, skarbie - rzekł z przesadną powagą. – Ten bałwan jest za chudy, nic sądzisz? Chyba mu trochę zaokrąglimy brzuch i głowę.

Rozchichotane dzieci tłoczyły się przy nim, żeby pomóc ustawić drugą kulę na podstawie. Jordan zdążył jednak powrócić spojrzeniem do twarzy Gabrielle i jego uśmiech powoli zniknął, zastąpiony przez wyraz, który wprawił ją w lęk.

- A potem - rzekł - chcę ci coś pokazać.

Śnieg zmoczył mu włosy. Zwinęły się w ciemne kędziory na jego mocnym karku. Znienacka naszła ją ochota, by wyciągnąć rękę i dotknąć go w to miejsce, gdzie skóra jest gładka i wrażliwa.

- Co?- spytała ledwie słyszalnym szeptem.

- Coś cudownego, lodowego, baśniowego – odpowiedział z zagadkowym uśmiechem.

- Nie rozumiem. - Pokręciła bezradnie głową.

- Zrozumiesz.

Pędzili wzdłuż potoku. Śliwkowe sanie, niczym magiczny pojazd, lekki jak piórko, sunęły po powierzchni zamarznętego świata, tnąc płozami śnieg, który wzbijał się na boki srebrnymi wachlarzami.

Gabrielle odwróciła głowę, żeby spojrzeć na milczącego woźnicę.

- Dokąd mnie zabierasz? -- spytała, przytrzymując rozwiane kosmyki włosów, które pęd wiatru wydarł spod kapelusza.

Popatrzył na nią z zagadkowym uśmiechem.

- Chcę, żebyś najpierw sama zobaczyła.

- Jesteś bardzo tajemniczy - stwierdziła, odwzajemniając uśmiech. Nie odpowiedział jej, tylko potrząsnął głową.

Rozejrzała się po nieznanym jej, surowym otoczeniu. Pod ciężarem mokrego, świeżo spadłego śniegu, zielone kępy sosen wydawały się tak samo czarne, jak popękane skalne ściany wąwozu, pochylające się nad drogą z obu stron. Nawet rwący, głęboki nurt potoku odbijał czernią od dziewiczo białych brzegów. Słyszała bulgotanie wody, stłumiony tętent końskich kopyt, metaliczny brzęk dzwonekówsań i szum śniegu tryskającego spod płóz. Ale ponad tym wszystkim unosiła się niesamowita cisza, tak gęsta, że niemal można było jej dotknąć.

W tym surowym, budzącym respekt pięknie krajobrazu było coś dzikiego i pierwotnego, co wywoływało w niej uczucia, jakich nawet u siebie nie podejrzewała. Ogarnięta nagłą, żywiołową radością, odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się w głos. Zaraz potem śmiech zamarł jej na ustach, gdy sobie uświadomiła, nawet nie patrząc, że on ją obserwuje.

Nie była przygotowana na to, co ujrzała w zwróconych na siebie oczach Jordana Haysa. Jego spojrzenie było surowe, dzikie i piękne jak zimowy pejzaż. Ale nie było w nim chłodu.

Uciekła wzrokiem ku wezbranemu potokowi bulgoczącemu wzdłuż drogi. Jordan ostrzegał ją, żeby się trzymała z daleka od niego. A jednak była tu z nim, sam na sam, całe kilometry od miasta i jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności. Ta myśl wzbudziła w niej dreszcz strachu. Strachu i niekłamane, zakazanego podniecenia.

- No, jesteśmy - oznajmił, zatrzymując sanie na poboczu.

Rozejrzała się dokoła, zdziwiona. Wąwóz był tu wąski i stromy, w niektórych miejscach ledwie starczało szerokości na drogę i ułożone w kamiennym korycie wąskie tory do Black Hawk. Wysokie poszarpane ściany z bazaltu górowały nad nimi z obu stron, odcinając dopływ światła i wzmagając szum lodowatej wody, która, pędząc między ośnieżonymi brzegami,

uderzała o spiętrzone głązy i strzelała lśniącymi fontannami w mroźne powietrze.

- Nic nie widzę - powiedziała niepewnie. Nogi zapadły jej się głęboko w śnieg, kiedy wysiadła z sań.

- Bo stąd nie widać. Podejdź tutaj. - Wziąwszy ją pod ramię, poprowadził na wąski zaśnieżony pas między droga a potokiem.

Puścił ją prawie natychmiast. A ona przyłapała się na tym, że bezwiednie pociera ramię, jakby zostawił na nim odcisk swoich palców przez gruby materiał płaszcza i sukni.

- Nadal nic... - zaczęła i zaraz urwała, bo widok dosłownie zaparł jej dech w piersi. W oddali ujrzała coś tak pięknego i niezwykłego, że wydawało się zjawiskiem z innego świata.

Połykiwało niczym lodowiec, ni to przezroczyście, ni perłowo. Dziwne podłużne kształty, podobne do lodowych czułeków, splecione ze sobą i zamrożnięte, wyrastały ze skalnego zbocza i zwisały końcami zawieszzone w powietrzu, jakby się bały dotknąć spienionych wód potoku, kłębiących się w dole pod nimi.

Wpatrywała się w ten cudowny jak ilustracja baśni obraz z niemym zachwytem. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że ma przed oczyma zamrożnięty wodospad.

- Jak to możliwe - zdziwiła się - skoro sam potok nie zamarł?

Jordan wskazał skinieniem na wzburzoną czarną wodę.

- Czysty Potok jest szybszy i głębszy niż strumyk, który tworzy ten wodospad. Minie jeszcze co najmniej tydzień, nim rozmarznie.

Patrzyli oboje w milczeniu. W pobliżu wirowało jeszcze kilka zabłąkanych płatków, ale niebo pojaśniało i można było uznać, że najgorsza zamieć minęła.

Gabrielle z westchnieniem oparła się o gładki pień osiki i spojrzała na człowieka, który ją przywiódł w to czarowne miejsce. Miał wzrok wciąż utkwiony w zastygłym wodospadzie, a piękno widoku zdawało się nieco zmiękczać surowość jego rysów. Pozwoliła sobie na dyskretną obserwację. Stał z dłońmi w kieszeniach kożucha, rozsunięte na boki łokcie podkreślały jeszcze szerokość jego ramion i linię smukłych pleców. Jedną stopę oparł na wystającym z ziemi pniu, więc pod napiętą tkaniną spodni widziała kształtną, muskularną nogę.

Sama, nieproszona przyszła jej do głowy myśl, że Jordan Hays musi mieć wspaniałe ciało. A tuż za myślą zjawilo się pragnienie, by je zobaczyć. Myśl była gorsząca, pragnienie grzeszne; wprawiły ją w zmieszanie, zawstydziły, a jednocześnie wywołały przedziwny, mrowiący dreszcz w jej własnym ciele,

schowanym głęboko pod wełnianym płaszczem, fiszbinami gorsetu i bielizną.

Nie powinna była tu przyjeżdżać. Nic dlatego, że bała się swego towarzysza, lecz dlatego, że bała się siebie. Bała się tego wszystkiego, co w niej wzbudzał. Niezrozumiałych emocji. Nieprzyzwoitych pragnień. Uświadomiła to sobie akurat w momencie, kiedy odwróciwszy gwałtownie głowę, przyłapał jej spojrzenie.

- Dlaczego mnie tu przywiozłeś? - spytała.

Zdjął nogę z pnia i stanął naprzeciw niej.

- To twoja matka pierwsza pokazała mi to miejsce. Miało dla niej szczególne znaczenie. Pomyślałem, że zechcesz je zobaczyć.

Pokiwała głową. Jednak kiedy pomyślała o swojej matce i tym człowieku stojących tu, okropne podejrzenie, które nawiedziło ją już wcześniej, znów uniosło swój paskudny łeb. Wiedziała, że musi poznać odpowiedź na to pytanie:

- Czy ty i moja matka byliście... - zawahała się, lecz wreszcie wydusiła z siebie: - ...kochankami?

Przyglądał jej się z tym nieprzeniknionym, szulerskim wyrazem twarzy, którego tak nie lubiła.

- Nie. Nie kochankami. Ale chciałbym wierzyć, że byliśmy na tyle blisko, by można to nazwać przyjaźnią.

Nawet sobie nie zdawała sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki nie wypuściła powietrza z głośnym westchnieniem. Odwróciła głowę, spoglądając znowu na zamarznięty wodospad. Nie mogła patrzeć na Jordana, zadając kolejne pytanie:

- Miała wielu kochanków?

- Nie. Przynajmniej odkąd ją znałem. Chociaż wiem, że czasami ich sobie brała. Ziemia, na które, zbudowała Przybytek Celeste pochodzi od jednego z nich, od poszukiwacza złota, który, umierając, zapisał jej wszystko, co miał. Do niego należała chata stojąca wciąż na zboczu za domem.

Gabrielle przyłożyła rozpostartą dłoń do pnia drzewa za swymi plecami.

- Ale dlaczego nadal... to robiła, skoro już nie musiała?

Nastąpiła ledwo zauważalna pauza, nim odpowiedział, głosem leciutko drżącym z rozbawienia:

- Sądzę, że sprawiało jej to przyjemność. Ostatecznie jest różnica pomiędzy sprzedawaniem a dawaniem dla własnej przyjemności.

Przyjemność. Gabrielle utkwiała wzrok w poplątanych soplach nad potokiem. A więc Celeste lubiła te grzeszne rzeczy, jakie robiła z mężczyznami, mimo tego co twierdziła Sirena. Patrzyła na mężczyzn i pożądała ich ciał. Podziwiała ich szerokie ramiona, wąskie biodra i muskularne uda. Podziwiała,

pragnęła i zażywała przyjemności. Gabrielle zacisnęła palce na pniu osiki.

- Możemy się zbliżyć - usłyszała głos Jordana. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że miał na myśli podejście do wodospadu.

Odepchnęła się od drzewa.

- Dobrze.

- Najpierw będziemy musieli zejść z tego brzegu. – Wyciągnął do niej rękę, wskazując strome zbocze przed nimi. - Pozwól, że ci pomogę.

- Nie trzeba - powiedziała szybko. Nie chciała, żeby jej dotykał. Nie dlatego, by ten dotyk był jej niemiły, przeciwnie, ponieważ wiedziała, że wcale jej się laki nie wyda. Ponieważ wiedziała już dość, by się bać tego, co czuła, kiedy jej dotykał. - Poradzę sobie sama, dziękuję. - Zrobiła dwa kroki naprzód...

Nogi rozjechały jej się tak szybko, że nawet nie wiedziała, co się dzieje. Z całej siły uderzyła plecami o ziemię. Zbocze było strome, a warstwa śniegu czyniła z niego wręcz ślizgawkę, więc zamiast leżeć tam, gdzie upadła, zaczęła się zsuwać coraz niżej i coraz szybciej, aż w końcu, odbiwszy się na wypukłości gruntu, wyleciała w powietrze.

Lądowanie okazało się miękkie dzięki śnieżnej zaspie. Świat przybrał odcień bieli. Miała śnieg na twarzy, za

kołnierzem, w ustach. Miała śnieg nawet w nogawkach majtek. Było mokro i zimno i czuła się tak zdezorientowana, że rozpaczliwie wymachiwała rękami, dopóki się nie wystraszyła, że całkiem utonie we wszechobecnym puchu.

- W ten sposób tylko coraz bardziej się pogrążasz - dobiegł ją znajomy, kpiący głos. - W końcu się tak zakopiesz, że nie znajdziemy cię aż do wiosny.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że przykucnął obok niej.

- Domyślam się, że jesteś raczej zakłopotana niż poszkodowana i dlatego się nic odzywasz - rzekł lekkim tonem.

- Ale nie przejmuj się za bardzo. Jest pewien specjalny sposób poruszania się po śniegu, a ty po prostu jeszcze nic zdążyłaś się go nauczyć.

Śmiał się z niej. Ona leżała zziębnięta i potłuczona w zaspie, a on się z niej śmiał. Wezbrała w niej fala świętego oburzenia. Miała ochotę krzyknąć, że to wszystko jego wina. Że gdyby się go nie bała, to by jej się to nie przydarzyło. Ale przecież była damą, a damy nie krzyczą, niezależnie od okoliczności.

- Może powinienem cię ostrzec - ciągnął tym samym, nieznośnie kpiącym tonem - że masz spódnicę zadartą aż do pasa. A chociaż masz tak piękne nogi, że aż miło popatrzeć, ktoś może przechodzić w pobliżu i...

Poderwała się natychmiast i aż jęknęła na widok odsłoniętych majtek i nóg obleczonych czarnymi pończochami.

- Jezus, Maria, Józefie i wszyscy święci - syknęła ze złością. Pozbierała się na tyle, by rozprostować spódnice i schować pod nią nogi, a potem wierzchem dłoni otarła śnieg szczypiący ją w policzki.

Rzuciła urażone spojrzenie mężczyźnie przykucniętemu na śniegu obok niej. Kapelusz z dziwną srebrną opaską miał zsunięty na tył ciemnej głowy, a kąciki zwykle zaciśniętych ust unosił mu przewrotny uśmiezek. Pożałowała, że nie ma pod ręką czegoś, czym mogłaby cisnąć w tę przystojną, roześmianą twarz. I nagle uświadomiła sobie, że owszem, ma. Nabrała garść śniegu, zacisnęła w kulkę i rzuciła.

Dostrzegł atak i uchylił się zręcznie, przybierając śmiesznie zdumioną minę. Kula zahaczyła o jego szyję, a że nie była ugnieciona dość mocno, rozprysnęła się, znacząc białymi cętkami ramiona i wpadając pod rozpięty kozuch. Zatrząsł się, i włożył rękę pod kołnierz.

- Do licha, jakie zimne!

- Obudził się pan, panie Hays? - zagadnęła słodko, formując następny pocisk. Tym razem trafiła prosto w pierś. Ledwie zdążyła wydać okrzyk triumfu, poderwał się i ruszył w jej

stronę. Z piskiem próbowała się pozbierać, żeby uciec, ale dopadł ją, przygniatając całym ciężarem potężnego ciała.

Opadła z powrotem w zaspę. Chwyciwszy ją za nadgarstki, unieruchomił jej ręce nad głową, jakby się spodziewał, że będzie z nim walczyła. A ona zastygła pod nim w bezruchu.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak blisko drugiej osoby, nie zaznała tak intymnego dotyku. Leżeli na śniegu, stykając się klatkami piersiowymi, brzuchami, biodrami. Jedno z jego ud znalazło się pomiędzy jej rozsuniętymi nogami. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że oddechy tworzyły jeden obłok pary w zimnym górskim powietrzu. Wdychała głęboko, aż do zawrotu głowy, zapach sosen, skóry i jego.

Patrząc w ciemne, błyszczące oczy czuła, że serce wali jej w piersi jak oszalałe, tak mocno, że słyszała w uszach szum wzburzonej krwi. Trzymał ją uwięzioną pod sobą, jak w pułapce, ale i tak by się nie poruszyła, nawet gdyby mogła.

Opuścił jedną rękę i przyłożył otwartą dłoń do jej policzka, równocześnie kciukiem gładząc ją po szyi. Kiedy przełknęła ślinę, nacisnął mocniej miejsce, gdzie poruszyły się mięśnie.

- Ostrzegałem cię, żebyś się trzymała ode mnie z daleka - powiedział. - Powinnaś była mnie posłuchać. - Słowa były szorstkie, ale wypowiedział je miękkim, uwodzicielskim tonem. Opuścił głowę, tak że ich usta prawie się zetknęły. Widziała, jak

opuszcza powieki, skrywając ten budzący lęk, dziki błysk oczu. Serce jej podskoczyło w oczekiwaniu.

Przywarł ustami do jej ust.

Zawładnął nią. Zawładnął i wypełnił ogniem. Ogniem i swym słodkim, niezapomnianym smakiem. Zadrżała, rozchylając wargi, unosząc się ku niemu, spragniona jego ciepła, wilgotnych ciepłych ust, języka i ostrych, drapieźnych zębów, i poczuła jego język wdzierający się między zęby, wypełniający jej usta żarem. To było grzeszne. Przerazające. Zapierało dech w piersi i odbierało zdolność myślenia. Ale nie wystarczało.

Zacisnęła palce na futrze kożucha opinającego jego ramiona, by przyciągnąć go bliżej, jak najbliżej siebie. Tak bardzo go pragnęła. Uświadomiła sobie z porażającą jasnością, że wreszcie rozumie głód, który widziała w jego oczach. Ponieważ tylko głodem mogła nazwać to, co sama czuła w tej chwili. Czuła wewnątrz niemal bolesną pustkę, której wprawdzie nie rozumiała, lecz miała pewność, że tylko on może ją wypełnić.

Poruszywszy się pod nim, usłyszała jęk, wydobywający się z jego gardła. On także się poruszył, wsuwając rękę pomiędzy ich ciała. Niecierpliwie rozpiął guziki płaszcza i rozepchnął grube fałdy tkaniny, żeby objąć dłonią jej pierś. Znów jęknął. Ciepły oddech owiał jej twarz, wzmagając dreszcz podniecenia.

Pieścił krągłą wypukłość, drażniąc palcami stożek nabrzmiałej brodawki, wyraźnie widoczny przez warstwę ubrania. Bezwiednie odchyliła głowę do tyłu, wydając z siebie ciche westchnienie rozkoszy. To, co czuła, to, co on robił, było niewłaściwe, naganne, grzeszne. Powtarzała sobie w duchu, że powinna go powstrzymać- Ale myśl, że mógłby przestać, wydała jej się nie do zniesienia.

Czuła na sobie jego usta, na włosach, na drżących powiekach, na szyi. Jego dłonie błądziły po jej talii, po biodrach, i nagle, niespodziewanie poczuła, jak znieruchomiał, zaciskając dłoń tak mocno, że palce wbiły się jej w ciało przez gruby materiał spódnicy.

Wstrząsnął nim dreszcz. Przytknął czoło do jej czoła. Jego zduszony oddech zaświszczał jej tuż przy uchu.

- Dobry Boże, Gabrielle - usłyszała schrypnięty, niespokojny szept.

Trwał tak przez dłuższą chwilę, zawieszony ponad nią na łokciach, bez ruchu. A potem wciągnął głęboko powietrze i rzekł ze śmiechem:

- Gabrielle, leżymy na śnieżnym nawisie.

Podniósł się i ostrożnie usiadł obok niej. Ona także pozbierała się do pozycji siedzącej, spoglądając na niego niepewnie.

Siedział z jedną nogą zgiętą, opierając się ramieniem o uniesione kolano. Opuścił głowę, oddychał ciężko, jakby z trudem. Dostrzegła napięcie w całej jego postaci, w widocznych mięśniach na szyi, w wyprężonych plecach. Miała wrażenie, że nawet powietrze wokół nich promieniuje męską zmysłowością i rozczarowaniem.

Oblała ją gorąca fala wstydu. Wstydu za te grzeszne, zakazane rzeczy, które pozwoliła ze sobą robić temu mężczyźnie, wstydu za własne skwapliwe przyzwolenie. Ale najbardziej zawstydziała ją świadomość, że chętnie zrobiłaby to jeszcze raz. Ze pragnęła to robić bez końca, i żałowała, że się powstrzymał.

Uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Powietrze było ciężkie od niewypowiedzianych słów. Oboje myśleli o tym, do czego między nimi doszło... i o tym, do czego mogło dojść.

- Gdybyśmy nie byli teraz w śnieżnej zaspie, tylko w jakimkolwiek innym miejscu... nie byłabyś już dziewicą. - Pierś mu falowała w rytm oddechu. - Wiesz o tym, prawda?

Żachnęła się i natychmiast wymierzyła mu sążniste policzki dłonią odzianą w rękawiczkę. Uderzenie było głośne i tak mocne, że aż zapiekły ją palce. Nawet nie drgnął. Siedział i patrzył na nią swymi zimnymi zielonymi oczami.

- Nie jestem taka jak moja matka! - krzyknęła. Zamachnęła się, żeby go jeszcze raz uderzyć, lecz tym razem chwycił ją za przegub. Próbowwała oswobodzić dłoń, ale mocniej zacisnął palce.

Odwróciła głowę.

- O Boże. Proszę cię, powiedz, że nie jestem taka jak moja matka - wykrztusiła, połykając łzy.

Uwolnił jej rękę. Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ramionami.

- Gabrielle?

Dotknęła czołem kolan, z całych sił zaciskając powieki, żeby powstrzymać szloch.

- Gabrielle - powtórzył. - Czy wiesz, dlaczego twoja matka została prostytutką?

Spojrzała na niego niepewnie. Na jego twarzy ujrzała czułość, której wcale się nie spodziewała.

- Celeste mówiła mi kiedyś, że jej matka zapracowała się na śmierć, próbując wychować piątkę dzieci po śmierci ich ojca. Twoja babka była dumną kobietą, zbyt dumną, żeby korzystać z dobroczynności innych i stanowczo zbyt dumną, żeby sprzedawać swoje ciało dla zapewnienia sobie dostatniejszego życia. Może była zimna, chuda i sterana życiem, ale zawsze lubiła powtarzać, że ma swoją dumę.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakby było czymś nagannym.

- Nie. Jeśli ona tak rozumiała dumę, to znaczy, że postępowała słusznie. Ja ci tylko przedstawiam, jak patrzyła na to Celeste. Celeste miała piętnaście lat, kiedy twoja babka umarła. Patrzyła, jak jej matka się marnuje i przedwcześnie starzeje, i przysięgła sobie, że nic będzie harować jak niewolnica. Więc kiedy przystojny bogaty człowiek, który jej się podobał, zaproponował jej ciepły dom i ładne stroje w zamian za coś, co i tak chciała z nim robić, zgodziła się.

Gabrielle z trudem przełknęła ślinę.

- Dlaczego mi to teraz mówisz?

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. Dopóki jej nie dotknął, nie zdawała sobie sprawy, że ma twarz mokrą od łez.

- Bo najwyraźniej uważasz, że twoja matka... i inne kobiety zostają prostytutkami z powodu słabości charakteru czy jakiejś wewnętrznej skłonności do grzechu. Może w niektórych przypadkach rzeczywiście tak jest. Do licha, nie wiem. Ale na ogół to chyba wynik... - wzruszył ramionami - warunków życia. A ty dorastałaś w innych warunkach niż twoja matka.

Nie mogła na niego patrzeć. Odwróciła głowę, wbijając wzrok w skłębione wody potoku.

- Więc dlaczego to się stało? - spytała cicho.

- Jezu Chryste! - Usłyszała, jak podnosi się ze śniegu. Widziała czubek czarnego buta tuż przy swoim biodrze. Nachylił się nad nią i chwytając za ramiona, postawił ją na nogi.

Znów odwróciła głowę, ale owinał sobie wokół dłoni pasemko jej włosów, które wysunęło się spod kapelusza, i pociągnął lekko, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

- To się stało, bo tak się zawsze dzieje, kiedy jakiś mężczyzna i jakaś kobieta podobają się sobie nawzajem. - Westchnął, a jego rysy przybrały miękki wyraz. - Więc nie ma powodu, byś dokładała sobie ciężaru winy do tego, który już dźwigasz. Jeśli ktoś tu zawinił, to tylko ja. Drażnić się z tobą, prowokować i próbować cię straszyć, byś porzuciła ten swój zwariowany plan, to jedno. Ale nie powinienem był wciągać niewinnej, dwudziestoletniej, wychowanej w klasztorze dziewczycy w gorące, namiętne pocałunki.

Poparzyła na jego mroczną, ściągniętą twarz i poczuła, że wzbiera w niej jakieś dziwne uczucie, ciężące w piersi i ściskające za gardło.

- Nie jestem dzieckiem. - Z trudem wydobyła z siebie głos.

Uniósł kąciki ust; linie zmarszczek na policzkach stały się głębsze i przez to lepiej widoczne.

- Wiem, kim jesteś. Może nawet lepiej niż ty sama.

Puścił jej włosy, które wolno spływały mu po palcach. Gabrielle nie zdołała powstrzymać drżenia.

- Jesteś zziębnięta - zauważył z troską. - Powinniśmy już wracać.

Nie było jej zimno, ale posłusznie ruszyła za nim do sań. A potem pozwoliła, by pomógł jej wsiąść do środka.

Uderzył lekko lejcami w biały zad klaczy. Sanie szarpnęły i zaczęły sunąć coraz szybciej, wyrzucając spod płóz pióropusze śniegu.

Gabrielle wystawiła twarz na podmuchy wiatru. Czuła, jak wysuwa jej spod kapelusza kosmyki włosów i rozrzuca po plecach. Wiedziała, że powinna spróbować doprowadzić je do porządku, ale rozwiane włosy dawały jej namiastkę poczucia swobody, które bardzo jej się podobało. Kiedy jeden z kosmyków musnął Jordana w policzek, pochwycił go zręcznie i żartobliwie pociągnął. Na jego ustach zagościł uśmiech, ale oczy... oczy płonęły jakimś dziwnym, wcale nie żartobliwym blaskiem. Ten blask także jej się spodobał i wywołał falę ciepła wokół serca.

Myślała o tym wszystkim, co powiedział jej o matce. Próbowwała w jakiś sposób dopasować to, co usłyszała, do zasad, jakie jej wpajano, do wiedzy, jaką jej przekazano o kobietach i grzechach ciała. Tylko że zupełnie jej się to nic udawało.

Uświadomiła sobie, że im dłużej mieszka w Przybytku Celeste, tym mocniej kiełkuje w niej podejrzenie, że zacne siostrzyczki od świętej Agnieszki zupełnie nie miały pojęcia, o czym mówią. Ale ostatecznie co mogły wiedzieć te nieskalane oblubienice Chrystusa.

Z góry padła na sanie niewielka plama cienia. Zadarłszy głowę ku niebu, Gabrielle ujrzała jastrzębia szybującego dostojnie nad wąwozem. Obserwowała jego dumny lot, bezwiednie rozchylając usta z podziwu dla pięknego dzikiego zjawiska. Nagle jastrząb runął w dół, ze skrzydłami stulonymi przy ciele, z wyciągniętymi naprzód szponami, i po chwili zniknął jej z oczu.

Dziwnie poruszona, zwróciła wzrok na drapieżnego mężczyznę siedzącego obok niej. I znów doznała tego samego wrażenia co wcześniej. Pieszczota wiatru, widok jastrzębia, dotyk niebezpiecznego mężczyzny pociągały ją jednakowo nieodparcie, odwołując się do jakichś dzikich instynktów, najwidoczniej obecnych w jej naturze.

Tego wieczoru Gabrielle postanowiła założyć aksamitną suknię w kolorze czerwonego wina, z rękawami obszytymi satyną. Suknia miała obcisły stanik zakończony z tyłu baskinką w kształcie litery V, a z przodu ozdobiony rzędem

guzików i ułożonymi wachlarzowato szwami, dzięki którym opinała ciało niczym gorset. Prostokątny dekolt miał szokującą głębokość i odsłaniał ponętne wzniesienia biustu. Zwalczyła w sobie pokusę zasłonięcia koronkową apaszką widocznego przedziałka między piersiami i zawiązała na szyi wstążkę z pojedynczą satynową różą. Ufryzowała grzywkę, podpinając ją pękiem czerwonych różanych pączków z satyny, a resztę włosów zakreśliła w loki spadające swobodnie na odkryte ramiona.

Jordan Hays stał w holu, obserwując, co się dzieje w sali gier, kiedy do niego podeszła. Oparł się plecami o framugę drzwi i zmierzył ją od stóp do głów spojrzeniem, którego w żaden sposób nie potrafiła rozszyfrować.

- Mogłabyś mi wyjaśnić, czemu założyłaś dziś akurat tę suknię?

- A coś jest z nią nic tak? - spytała zaskoczona.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem skierował uwagę z powrotem na kasyno.

Tego wieczoru było w nim łatwo wyczuwalne napięcie, jakby czegoś oczekiwał. Zauważyła, że prawą połą surduta ma odchylną do tyłu, a u jego pasa złowrogo połyskuje rewolwer.

- Są jakieś kłopoty? - spytała.

- Jeszcze nie.

Rozejrzała się po kasynie, wodząc wzrokiem po ciemnych płytach boazerii, mosiężnych lampach i aksamitnych zasłonach o barwie mchu. Przyjrzała się kołu ruletki, stolikom nakrytym zielonym sukniem, odzianym w białe koszule krupierom o czujnych oczach i zręcznych dłoniach. Tego wieczoru klientelę stanowili jak zwykle górnicy i ludzie interesu. Poza jednym.

Grał w oczko przy stoliku obsługiwanym przez wysokiego chudego krupiera o nazwisku Frank Whitney. Miał jasnobrązowe włosy opadające długimi puklami na kołnierz i obwisłe wąsy, które w zestawieniu z lekko wystającymi zębami czyniły go podobnym do morsa. Wyróżniał się wyjątkowo eleganckim ubiorem i dwoma pistoletami o perłowych kolbach, które nosił nisko na biodrach.

- Czy to zawodowy szuler? - spytała Gabrielle ściszym głosem, pochylając się do Jordana.

- Bawiący się w takie sztuczki? - Jordan pokręcił głową. - Nie. Nazywa się Warren McLeon i uważa się za rewolwerowca.

- Znasz go? - zdziwiła się.

- Spotkałem go kiedyś. To nie on jest problemem.

- Więc kto?

- Whitney. Wydaje mi się, że... - urwał, po czym zaklął pod nosem: - Sukinsyn.

Oderwał się od framugi dokładnie w tym samym momencie, kiedy Warren McLeon wyszarpnął z olstra jeden ze swych perłowych pistoletów, chwycił Franka Whitneyego za gors koszuli i zmiażdżył mu nos połyskującą stalowo lufą swej śmiertelnej broni.

12

Gabrielle zrobiła krok do przodu, ale Jordan chwycił ją mocno za rękę i zmusił do pozostania na miejscu.

- Nie - rzekł cicho. - Niech to rozegrają do końca.

Patrzyła jak McLeon odsłania wielkie zębiska w grymasie, który miał przypominać uśmiech.

- Według mnie - zwrócił się do krupiera - powinieneś brać karty z wierzchu talii, tak jak wszyscy inni.

Frank Whitney zrobił zeza, jakby próbował zajrzeć w głąb wycelowanej w siebie lufy.

- Nie... nie wiem, o czym pan mówi.

- Pokaż im. - McLeon odciągnął spust; kliknięcie metalu było tak głośne, że odbiło się echem w nagle ucichłym pokoju. - Chcę, żebyś wszystkim tu obecnym pokazał, co masz w rękawie, chłopcze.

Siedzący w pobliżu podnieśli się z miejsc, załomotały przewracane krzesła.

- W... w rękawie? - wystękał Frank. W kroplach potu roszących mu czoło zamigotało odbite światło lamp. Gabrielle zauważyła, że nieszczęśnik cały się trzęsie ze strachu.

Lufa pistoletu McLeona mocniej dźgnęła nos krupiera, nadając jego twarzy groteskowy wyraz.

- Pokazuj. Natychmiast. Albo będziesz miał trzecią dziurkę w nosie, chłopcze.

- Pokażę - załkał Frank. - Pokażę. Tylko, na litość boską, niech pan do mnie nie strzela. Proszę. - Wyciągnął rękę otwartą dłonią do góry. Leżał na niej król karo. Widzi pan? A teraz proszę mnie puścić. Nie wolno panu do mnie strzelać!

McLeon opuścił prawą rękę, więc Gabrielle sądziła, że zamierza schować broń. Ale on zamiast tego z całej siły walnął krupiera w bok głowy. Pod Frankiem ugięły się nogi. Opadł najpierw na stolik, a potem zsunął się na ziemię.

Wtedy do akcji wkroczył Jordan Hays.

- Masz problem z jednym z moich krupierów, McLeon? - spytał śmiertelnie łagodnym głosem.

Gabrielle poczuła, że ktoś szarpie ją za łokieć. Odwróciwszy się stwierdziła, że to Wing Tsue próbuje ją odciągnąć. Pokręciła głową.

- Z twoim krupierem? - McLeon znów wyszczerzył w uśmiechu wystające zęby. - Bynajmniej. Domyślam się, że ten chłopak tylko wykonuje swoją robotę. Mam problem z kłamliwym, kantującym sukinsynem, który jest właścicielem tego kasyna. - Warren McLeon na powrót zabezpieczył kolta i

spokojnie umieścił go w olstrze. Gabrielle zauważyła, że wciąż trzymał rękę zwieszoną luźno przy boku.

Jordan zacisnął i wyprostował palce prawej ręki, jakby mu zdrętwiała i chciał ją rozruszać.

- Jeśli Frank Whitney oszukiwał, robił to bez wiedzy i zgody tego domu. Zapewniam cię, że wszelkie twoje straty zostaną sownie zrekompensowane - oświadczył.

McLeon, wciąż uśmiechnięty, pokręcił głową.

- Nie chcę rekompensaty. Chcę satysfakcji.

Gabrielle widziała, jak całe ciało McLeona tężeje w napięciu. Błyskawicznie sięgnął prawą ręką do biodra. Chciała krzyknąć ostrzegawczo, lecz nim zdołała wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, w dłoni Jordana zabłysła broń, a Wing Tsue rzucił się na nią, zwalając ją z nóg swym ciężarem. Upadła na podłogę w chwili, gdy rozległ się potężny huk wybuchu.

Gabrielle podniosła głowę. Poprzez kłęby sinego dymu dostrzegła Jordana, stojącego na rozstawionych szeroko nogach, z koltem wycelowanym w człowieka, który teraz wił się u jego stóp. Gęsta czerwona krew wypływała spomiędzy jego palców, którymi trzymał się za ramię. Odchylił do tyłu głowę, z bólu zaciskając mocno powieki. Hays nadal w niego celował i najwyraźniej miał zamiar ponownie strzelić.

- Nie! Nie rób tego! - Gabrielle poderwała się z podłogi. - Nie zabijaj go!

Widziała, że Jordan mocniej ścisnął kolbę rewolweru. Widziała lodowaty chłód w jego oczach. Cierpki odór prochu szczypał ją w nosie. Widziała, jak grają mięśnie na podbródku Jordana, napinają się, a potem skóra znów staje się gładka.

W końcu opuścił pistolet.

- Wing Tsue - powiedział szybko. - Zabierz mu broń... i nie zapomnij o nożu, który zapewne chowa pod ubraniem. A potem wyprowadź stąd pannę Antoine i poślij po doktora.

- Mam też sprowadzić szeryfa Baitesa?

Jordan zaprzeczył ruchem głowy, uśmiechając się przy tym lodowato.

- Chyba jeszcze nie.

Ponownie zobaczyli się dopiero znacznie później, kiedy dom już prawie całkiem opustoszał.

Natknęła się na niego w jadalni, gdzie wybierał przekąski z bufetu, jaki Przybytek Celeste szykował dla swoich klientów. Kiedy stanęła w drzwiach, spojrzął na nią przelotnie, skupiony na przekładaniu plastra pieczonej wołowiny ze srebrnego półmiska na swój talerz.

Tego wieczoru była w nim ledwie skrywana, dzika niecierpliwość, której nigdy wcześniej u niego nie widziała. Zachowywał się inaczej niż tamtej nocy, kiedy zabił górnika. Wówczas okazywał chłód, pod którym wyczuwała całe pokłady wewnętrznego bólu. Teraz biła od niego jawna wściekłość.

- Czy ten człowiek, ten McLeon, przeżyje? - zdobyła się na pytanie, podchodząc do niego niepewnie. Zacisnęła palce na krawędzi stołu nakrytego białym adamaszkowym obrusem.

- On tak. Ale chyba powinnaś wiedzieć, że Frank Whitney nie żyje.

- Co takiego?

Rzucił jej szybkie spojrzenie z ukosa.

- Nie z mojej ręki zginął, jeśli o to ci chodzi. Ktoś trafił go siekierą w plecy, na Dostał Alley.

- Ale... dlaczego?

- Dowiedziałem się dziś wieczorem, że jakiś czas temu stracił sporo pieniędzy w jednej ze spelunek Douga Slaughtera i w sumie był mu winien tysiąc dolarów. Wygląda na to, że się dogadali i Frank miał się dać złapać na oszukiwaniu.

- Żeby zaszkodzić reputacji tego domu, jak rozumiem?

- Być może. - Sięgnął po zwiniętą w rulon szynkę, wypełnioną miękkim farszem. - A może chodziło o to, by dać McLeonowi pretekst do wciągnięcia mnie w bójkę i zabicia.

Gabrielle przypominała sobie, jak błyskawicznie Jordan wy- ciągnął broń i strzelił. Jeśli Warren McLeon uchodził za rewolwerowca, to co można było powiedzieć o Jordanie Haysie? Odwróciła się i odeszła w stronę kominka, ale grube polana już się wypaliły, pozostawiając po sobie jedynie rozżarzoną kupkę popiołu. Zadrżała, pocierając dłońmi ramiona.

- Zimno ci? - Odstawił talerz i zbliżył się do niej. Znow poczuła w nim tę lodowatą, z trudem tłumioną gwałtowność. Stęzała, kiedy wyciągnął rękę, ale on tylko sięgnął po pogrzebacz. - Czy się boisz? - Przez krótki, lecz zapierający dech w piersiach moment patrzył jej w oczy, a potem schylił się, żeby rozniecić przygasający ogień.

Obudzone płomienie oświetliły jego twarz, jeszcze bardziej wyostrzając napięte rysy.

- Jedno i drugie - przyznała.

- Więc dlaczego nie ustąpisz Slaughterowi, Gabrielle? - Obrócił się na pięcie, żeby dorzucić świeżą szczapę na migoczące czerwonym blaskiem palenisko. - Sprzedaj mu dom i wracaj do Nowego Orleanu. Natychmiast. Zanim się pojawią dalsze kłopoty. - Sięgnął po następny kawałek drewna. Przy każdym ruchu widać było grę mięśni ramion i pleców pod napiętą tkaniną surduta.

- Wiesz, czemu nic mogę tego zrobić - powiedziała cicho. - Nie poddam się. Ze względu na pamięć mojej matki, która zrobiła wszystko, żeby ten człowiek nic dostał tego domu w swoje ręce. I z powodu ludzi, którzy tu mieszkają, bo nie zasługują na to, by stawiać ich przed wyborem pomiędzy utratą posady a pracą dla kogoś tak podłego. A także ze względu na siebie, bo nie mogłabym zrobić czegoś podobnego i wyjechać stąd z czystym sumieniem.

Opierając ręce na udach, przechylił głowę, żeby jej się przyjrzeć.

- Więc powinnaś wiedzieć, że Slaughter ma w tym domu kogoś, komu płaci za donoszenie.

Gabrielle aż wstrzymała oddech.

- Wielkie nieba! Kogo?

Wzruszył ramionami.

- Whitney nie był całkiem pewien, ale według niego to któraś z dziewczyn.

Mimo jego chłodnego opanowania, w głowie Gabrielle zakiełkowało straszliwe podejrzenie.

- W jaki sposób zmusiłeś Franka Whitneya, żeby ci to wszystko powiedział?

Nie patrząc na nią, zaczął poprawiać pogrzebaczem zawartość paleniska. Szczapy nagle buchnęły płomieniem.

- Jesteś pewna, że chcesz tym obciążać swoje delikatne sumienie? - spytał, nie odrywając oczu od ognia.

Snop iskier strzelił do komina, rzucając dziwne czerwone światło na jego profil, zacięty w niemal okrutnym wyrazie. Nie była w stanie odpowiedzieć.

Wydał z siebie chrapliwe parsknięcie, które mogło być śmiechem.

- Ostrzegam cię po raz ostatni, Gabrielle. Jeśli nie masz w sobie dość siły, żeby się zmierzyć z kimś takim jak Slaughter, lepiej zrób, co ci radzę. Sprzedaj ten dom i wynoś się, nim będzie jeszcze gorzej. Bo możesz mi wierzyć, że będzie.

- Jemu nie sprzedam.

Wstał szybkim, sprężystym ruchem. Znajdował się tak blisko, że dotykał udem jej aksamitnej czerwonej spódnicy.

- Więc on wymyśli coś nowego.

Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy.

- Jeśli się boisz, to możesz wyjechać. Sama poprowadzę dom do końca czerwca i prześlę ci dochody.

Czekała na odpowiedź, niemal wstrzymując oddech.

Niespodziewanie w jego oczach pojawiły się błyski rozbawienia.

- Nie wiedziałem, że w klasztorach uczą młode damy blefowania.

- Ja nie blefuję.

- Nie? No to muszę przyznać, że byłoby na co popatrzeć. Dziewica prowadząca burdel z kasynem. - Odwrócił się po swój kieliszek z winem. - Ale chyba jednak zostanę po to, żeby dopilnować mojej inwestycji. Bez urazy.

Podniósł trunek do ust. Patrzyła jak wino zwilża mu wargi, jak przesuwiają się mięśnie na jego szyi, a potem szybko uciekła wzrokiem, spłoszona wzbierającymi w niej emocjami.

Próbowała sobie wmawiać, że to tylko ulga, bo ominie ją konieczność samodzielnego prowadzenia tego domu. Ale to była tylko część prawdy.

Bo w istocie - czego za nic nie chciała przed sobą przyznać - nie mogła ścierpieć myśli, że ten człowiek miałby zniknąć z jej życia. Nie w tej chwili. Ani też - co uświadomiła sobie z nagłą zgrozą - kiedy nadejdzie koniec czerwca.

Przez ostatnie dni Gabrielle popołudniami dzieliła czas między pomoc Sirenii przy dzieciach i przegadanie papierów matki. Ale dopiero w sobotę, po tym, jak Jordan postrzelił McLeona, wysunęła ostatnią szufladę po prawej stronie biurka i odkryła w niej grubą stertę zapisków.

Wybierając na chybił trafił jedną kartkę rozłożyła ją i ujrzała wykaz dat, godzin i nazwisk. Zaczęła czytać:

Poniedziałek, 23 listopada 1873

17.20 Nathaniel Tatr z Amy, normalnie.

17.30 Lester Snipe z Yanessą, po francusku.

*17.35 Ernie Snodgrass z Tierney, wiązanie i bicie, łącznie
z...*

Gabrielle szybko odsunęła od siebie zapiski i wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. Serce jej waliło jak oszalałe. Następnie wolno, ostrożnie, powodowana ciekawością, której nic potrafiła w sobie stłumić, znów rozłożyła kartkę i zaczęła czytać dalej.

Celeste prowadziła notatki o tych mieszkańcach Central City, którzy byli jej stałymi klientami. Notowała daty i godziny, kiedy odwiedzali jej dom, imiona dziewczyn, które wybierali oraz ich szczególne, czasami nieco zboczone upodobania seksualne. Wszystko to było starannie wyszczególnione. Czytając notatki, Gabrielle czuła na policzkach pałący rumieniec wstydu i zażenowania. Zdumiała się, że mogła mieszkać w tym domu, przygrywać co wieczór na fortepianie w salonie i nadal tak niewiele wiedzieć o tym, co się działo na piętrze.

Odłożyła zapiski z powrotem do szuflady, rezygnując na to popołudnie z dalszych odkryć. Robiło się późno, a musiała się jeszcze przygotować do wieczornych obowiązków. Jednak w ostatniej chwili jej uwagę przyciągnął inny plik papierów. Wyjęła je i rozłożyła na pokrytym skórą blacie biurka.

Było to kilka pożółkłych dokumentów. Gabrielle wzięła do ręki jeden z arkuszy i uniosła ku światłu. Miała przed oczyma

pozwolenie na wydobycie z ziemi kruszcu. Szybko przejrzała pozostałe stronice; wszystkie dotyczyły zezwoleń na poszukiwanie złota.

Odchylona na oparcie krzesła, wpatrywała się w rozłożone na biurku papiery. Przypomniała sobie, jak Jordan Hays mówił jej, że Celeste DuBois sprzedała swoją biżuterię, żeby zainwestować w poszukiwania.

Zgarnęła dokumenty i poszła z nimi do Jordana.

- Proszę - usłyszała, zapukawszy do drzwi jego pokoju.

Upychając papiery pod pachą, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Stał przy umywalce, ochlapując sobie twarz wodą. Był rozebrany do pasa. Światło lampy nadawało opalonej skórze jego pleców złocisty połysk, grą cieni podkreślając mocne wypukłości mięśni. Wydał jej się taki wielki, silny i męski, że bezwiednie wstrzymała oddech, a potem cicho westchnęła.

Odwrócił się raptownie, sięgając po ręcznik, wytarł lśniąca od wody twarz, szyję i ramiona, po czym skierował spojrzenie zielonych oczu na Gabrielle, która stała w progu, z niemym zachwytem wpatrując się w jego nagi tors.

Skórę na plecach i barkach miał gładką, ale pierś porastały kręte czarne włosy, biegnące zwięzającym się pasem aż do płaskiego brzucha. Rozpięty pas i dwa lub trzy górne guziki

spodni przykuły jej wzrok, równocześnie wzbudzając w ciele jakiś grzeszny niepokój.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał.

Spłoszona podniosła oczy na jego twarz. Ujrzała na niej rozbawienie. Nie tylko rozbawienie, lecz także coś, co wprawiło ją w jeszcze większe zakłopotanie.

- Chciałam...porozmawiać z tobą o tym. Pomachała plikiem dokumentów.

- O co chodzi?

- To ja... może przyjdę później. - Z trudem przełknęła ślinę.

Wzruszył ramionami.

- Równie dobrze możesz wejść teraz. - Podeszedł, żeby zamknąć za nią drzwi, jednocześnie gestem wskazując jej skórzany fotel przy oknie. - Usiądź.

Nie ruszyła się z miejsca; zgniecione papiery zaszeleściły jej w dłoni.

- Chyba ci mówiłem, że Celeste zainwestowała w pewne przedsięwzięcia wydobywcze. - Wyciągnął z szuflady świeżą koszulę.

Gabrielle patrzyła, jak ją wkłada. Na widok sprężystych mięśni ogarnęło ją podekscytowanie.

- Nie wiedziałam, że miała udziały w aż tylu kopalniach.

- Nie miała. Te papiery, które trzymasz są stare.

- Więc dlaczego je przechowywała? Celeste nigdy nie trzymała niczego bez powodu.

- Bo też miała powód. Jeśli się im lepiej przyjrzyysz, zobaczysz, że nie są na jej nazwisko - powiedział, odwracając się plecami.

Wielkie nieba, pomyślała Gabrielle, widząc jak Jordan bezceremonialnie zsuwa spodnie na biodra, żeby upchnąć w środku koszulę. Podeszła do fotela i przycupnęła na krawędzi, nie odrywając oczu od pożółkłych formularzy.

- Kim... -jej głos zabrzmiał nienaturalnie cienko, więc odchrząknęła, zaczynając jeszcze raz. - Kim są Archibald Johnson i Isaiah Flinders?

- Poszukiwaczami złota. Z początków istnienia Central City. Byli wspólnikami, chociaż trudno zrozumieć, jak ktoś mógł chcieć Archibalda Johnsona za wspólnika. Nosił przydomek Zezowaty i z tego co słyszałem, był wściekły niczym obżarty szalejem kojot.

Zaskoczona porównaniem Gabrielle parsknęła śmiechem.

- To znaczy, jak wściekły?

Uśmiechnął się czarująco.

- Bardzo wściekły.

Obserwowała, jak otwiera drzwi szafy i wyjmuje kamizelkę.

- A Isaiah Flinders? Był taki sam?

- Isaiah? O, nie. Isaiah był... - Znieruchomiał z kamizelką w ręku. - Cóż, może ujmijmy to w ten sposób: twoja matka wzięła go sobie za kochanka.

W Gabrielle wezbrało dziwne uczucie, którego nawet nie potrafiła nazwać.

- Czy to o nim mi kiedyś wspominałeś? To on zbudował chatę na tyłach domu?

- Zgadza się. - Założył kamizelkę. - Zostawił twojej matce wszystko, co miał, kiedy został zabity.

- Zabity? Jak?

- Zezowaty pchnął go nożem.

- Och! - Gabrielle odchyliła głowę, błędząc wzrokiem po wysokim, ozdobionym sztukaterią suficie, jedwabnych tapetach, marmurowym kominku. - Musiał zostawić mojej matce spory majątek.

- Zostawił. Ci dwaj wspólnicy odkryli najbogatszą żyłę złota w tej okolicy.

- Więc moja matka wybudowała ten dom za pieniądze ze sprzedaży złotonośnej działki?

Jordan zadarł podbródek, żeby zapiąć kołnierzyk koszuli.

- Nic. Isaiah miał dość złota w banku, żeby zapłacić za ten dom. Działka przepadła. Jest tu powszechnie znana jako Zaginiona Kopalnia Letty.

- Zaginiona? Jak coś tak dużego jak kopalnia może zaginać?

Jordan założył na szyję jedwabny krawat.

- Po pierwsze, na tym etapie raczej nie przypominała kopalni. Wyglądała podobnie jak tysiące innych, pustych dziur w ziemi, które pojawiały się tu przez ostatnie piętnaście lat. A zagubiona dlatego, że Isaiah Flinders wyzionął ducha, nie mówiąc nikomu, gdzie się znajduje.

- Ale jego współnik... Zezowaty, musiał to wiedzieć.

- Ma się rozumieć, że wiedział. Tylko że nikomu tego nie zdradził. Wspólnicy zaczęli ze sobą walczyć głównie z powodu tej kopalni. Śnieg zasypał ich w chacie na jakieś dwa tygodnie i spędzili cały ten czas, pijąc biber i grając w pokera. Nim zawieja ucichła, Zezowaty przegrał wszystkie swoje udziały na rzecz Isaiaha.

- Więc dlatego Zezowaty go zabił.

Jordan narzucił na ramiona surdut.

- Podobno to było zabójstwo, ale dostał tylko siedem i pół roku więzienia. Zanim go odesłali, twoja matka zaproponowała Zezowatemu zwrot połowy działki, jeśli powie, gdzie znajduje

się złotonośne złożę. Nie zgodził się jednak. Powiedział, że zdradzi jej tę tajemnicę tylko wówczas, gdy za niego wyjdzie.

- Wyjdzie za niego...?

- Odmówiła, ma się rozumieć. Powiedziała mu, że jest szalony. Zresztą, mając te wszystkie papiery i wiedząc, gdzie wcześniej kopali, pewnie miała nadzieję, że w końcu sama znajdzie właściwe miejsce.

Gabrielle opuściła wzrok na dokumenty.

- Ale nic znalazła.

Jordan potrząsnął głową.

- Przez te lata próbowała się dogadać z wieloma poszukiwaczami, wysyłała ich tu i tam, ale te papiery są jak mapa ukrytego skarbu bez wskazówek. - Stał przy stole. - Można szukać w nieskończoność.

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Światło mosiężnej naftowej lampy wydobywało jaśniejsze błyski z jego ciemnych włosów i rzucało cień na szyję, odbijającą gładką smagłością od bieli kołnierzyka.

Patrzyli na siebie w milczeniu, otuleni ciszą zapadającego zmierzchu. Byli sami i oboje doskonale pamiętali poprzednie chwile spędzone sam na sam, wzajemny dotyk, smak pocałunków. Poczwała ucisk w dołku, westchnęła, rozchyłając usta. Dostrzegła w jego twarzy napięcie, to nagłe wyostwienie

rysów, które już się nauczyła rozpoznawać. Wpatrywali się w siebie przez długą, niebezpieczną chwilę. A potem Jordan nagle się odwrócił.

Gabrielle podniosła się z fotela i zaczęła niezgrabnie zbierać ze stołu papiery.

- Mniej więcej pół roku temu - zaczął po chwili Jordan, podnosząc z blatu komody zegarek i wsuwając go do kieszeni kamizelki - przez miasto przejeżdżał jakiś obcy człowiek. Rozповідаł na prawo i lewo, że siedział z Zezowatym w jednej celi, kiedy stary poszukiwacz majaczył w gorączce. Twierdził, że wie, gdzie się znajduje złotonośna żyła.

Zerknęła na niego przez ramię.

- Ale nie wiedział?

Jordan wzruszył ramionami.

- Wyjechał z miasta, zanim twoja matka miała okazję z nim porozmawiać. Dała już sobie spokój z własnymi poszukiwaniami i miała nadzieję, że kiedy Zezowaty wyjdzie z więzienia, ponownie rozważy jej propozycję.

- Chcesz powiedzieć, że on jeszcze żyje?

- Owszem, słyszałem. Wkrótce kończy odsiadywanie kary.

Znów utkwiała wzrok w pozólkłych papierach.

- Więc jeden z tych dokumentów może być coś wart? - Ogarnęło ją niespodziewane podniecenie na myśl o takiej ewentualności.

Jordan roześmiał się cicho.

- Oczy ci błyszczą od gorączki złota, panno Gabrielle Antoine. Co taka kobieta jak ty mogłaby zrobić z pieniędzmi, jakie może

przynieść Zaginiona Kopalnia Letty?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

- Otworzyłabym szkołę dla dziewcząt, oczywiście. Zawsze tego pragnęłam. Byłaby równie dobra jak szkoły dla chłopców. Mogłaby kształcić dziewczęta nie tylko na przyszłe żony i matki, ale na lekarzy i prawników, i... och, kimkolwiek chciałyby zostać. - Dostrzegła jego uniesione brwi, ale mówiła dalej w natchnieniu: - Kimkolwiek by chciały, i dałabym stypendia dziewczętom takim jak Arabella. Żeby nie musiały iść w ślady swoich matek.

W jego oczach zapaliło się światło, którego nigdy wcześniej nie widziała.

- Nie wydałabyś nic na własne przyjemności?

- Cóż... zostawiłabym dla siebie tyle, by wystarczyło na zbudowanie domu. - Uśmiechnęła się, wspominając w duchu leniwe letnie popołudnia w klasztorным ogrodzie, gdzie

siadywała ukryta w gałęziach starego, porośniętego mchem dębu. W bezpiecznym zielonym schronieniu mała dziewczynka, która nie miała ani rodziny, ani domu, marzyła o tym, że któregoś dnia będzie mieć jedno i drugie. - Kiedy byłam mała - powiedziała na głos - spędzałam długie godziny na marzeniach o domu, jaki kiedyś będę miała. Wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądał, zastanawiałam się, czy wolę murowany czy z drewna, w mieście czy na wsi. W końcu zdecydowałam, że będzie piętrowy, z werandą biegnącą dookoła. -Znowu się umiechnęła. - I z trzynastoma sypialniami.

- Aż trzynastoma? - Błysnął w uśmiechu białymi zębami. - No no, byłaś całkiem ambitną małą dziewczynką, co?

- Och, nie chodziło mi o luksus czy chwalenie się bogactwem. Chciałam mieć trzynaście sypialni, żeby każde z dwanaściorga dzieci, jakie planowałam mieć, miało własny pokój. Bo ja w klasztorze nigdy nie miałam pokoju tylko dla siebie.

Zamilkła, widząc, jak w jego oczach uśmiech zamiera, ustępując miejsca chładowi, którego tak nie znosiła. Zastanawiała się, co spowodowało tę zmianę. Rozpaczliwie zapragnęła przywrócić tę miłą chwilę przyjaznego ciepła, jakie między nimi panowało.

- A co ty byś zrobił z takimi pieniędzmi? - spytała szybko.

Odwrócił się, wzruszając ramionami.

- Żyłbym.

- Wydaje mi się, że mógłbyś żyć całkiem dostatnio z zysków przynoszonych przez najbogatsze złoże w okolicy - zauważyła, starając się za wszelką cenę utrzymać lekki ton.

Przykręcił knot naftowej lampy na stoliku przy łóżku, wbijając wzrok w leżącą obok książkę o nadpalonym grzbiecie.

- Musisz się czegoś o mnie dowiedzieć, Gabrielle. Ja nie chcę piętrowego domu na wsi. Nie marzę o posiadaniu dzieci i nie szukam kobiety, która by mi je urodziła. Jeśli o czymś w ogóle marzę... - popatrzył na nią oczami tak samo pustymi jak wyraz jego twarzy - ...to o śmierci.

- Nie wolno mówić takich rzeczy. - Przebiegł ją dreszcz na widok cierpienia wyzierającego z jego oczu. - To grzech.

Uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Nie powiedziałem, że mam zamiar się zabić. Po prostu nie zależy mi na unikaniu śmierci tak jak większości ludzi. I nie boję się jej.

- Więc będę śmierci młodym narzeczoną, jak do małżeńskiej pospieszę komnaty - zacytowała cicho.

Widziała poruszenie mięśni na jego policzkach.

- Antoniusz i Kleopatra?

- Tak.

Znowu się od niej odwrócił. Nie ustępowała, dopóki starczało jej odwagi.

- Co się stało z twoją żoną?

Zesztywniał, jakby to miało go uchronić przed jeszcze większym bólem.

- Miała na imię Sophie, prawda? - Gabrielle podeszła tak blisko, że mogłaby dotknąć jego pleców, gdyby się tylko ośmieliła. - Umarła?

Milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy już była pewna, że nie doczeka się odpowiedzi, potwierdził krótko:

- Tak.

- Musiała być bardzo młoda. Bardzo... ci współczuję.

Nieznacznie uniósł ramiona, wciągając głęboko powietrze.

- Miała dwadzieścia lat.

- Bardzo ją kochałeś?

Odwrócił się wolno. Jeśli sądziła, że jego twarz nigdy niczego nie zdradza, srodze się myliła. Trudno było znieść malujący się na niej ogrom bólu.

- Kochałem ją przez całe życie.

Podszedł do buzującego kominka i z opuszczoną głową, opierając ramię na belce, zapatrzył się w ogień. Gabrielle bezradnie wpatrywała się w jego ciemną głowę i napięte barki, z całych sił pragnąc go przytulić i pocieszyć.

- Dorastaliśmy razem. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy się z nią ożeniłem. Byłem niewiele starszy, ale na tyle dorosły, żeby iść na wojnę, więc powiedziała, że mnie nie puści, dopóki nie zostanie moją żoną. Bała się, że dam się zabić. – Odchylił głowę, jednocześnie mocno zaciskając powieki.

- Jak umarła?

Wzdrygnął się i przeszył ją wzrokiem, już opanowanym i zimnym jak zwykle.

- Została zamordowana przez żołnierzy Unii. To było pod koniec wojny. Zajęli nasz dom i urządzili w nim coś w rodzaju kwatery dowództwa. Tylko że jednej nocy wtargnęli do piwnicy mojego ojca i upili się przechowywanym tam winem. I zaczęli szaleć. Rozbijali sprzęty. Zabijali wszystko co się rusza. Złapali Sophie i... - Przełknął ślinę. Mój ojciec próbował ich powstrzymać, więc go zabili.

- Jordan, nie musisz mi mówić...

- Zgwałcili ją. Jeden po drugim. Spodziewała się dziecka i przez to, co jej zrobili, poroniła. Wykrwawiła się na śmierć, kiedy oni palili dom i wszystko dookoła.

Mówił płaskim, martwym głosem. Zdjął rękę z belki nad kominkiem i podszedł do Gabrielle tak blisko, że prawie się dotykali.

- Teraz rozumiesz, że ja już miałem to, czego ty pragniesz od życia. Miałem i utraciłem, i nie chcę mieć nigdy więcej. - Wsunął palce w jej włosy i pociągnął, zmuszając ją do spojrzenia na siebie. - Pragnę ciebie, Gabrielle. Pragnę cię tak, jak mężczyzna pragnie kobiety. Chcę czuć pod sobą twoje rozgrzane, chętne ciało. Chcę, żebyś mnie oplotła nogami i wciągnęła w siebie.

Zgniół jej usta pocałunkiem, brutalnym i palącym od żądz. Całował ją długo i głęboko, jakby chciał zostawić na niej swe piętno, zanim ją opuści.

A potem, nic puszczając jej włosów, tak że nie mogła poruszyć głową, rzekł prosto w jej otwarte, drżące usta:

- Chcę cię w moim łóżku, Gabrielle, ale nie chcę cię w moim życiu. Więc niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy, że mogłabyś mieć to wszystko, czego pragniesz, ten dom i gromadę dzieci, ze mną, ponieważ to się nie stanie. Odbiorę ci niewinność i wezmę swoją porcję rozkoszy z twego słodkiego młodego ciała. Ale nie mam ci nic do zaoferowania w zamian i w końcu odejdę, a ty będziesz miała jeszcze mniej, niż miałaś dotąd.

Zacisnął palce w jej włosach, aż zabolalo, a potem puścił, odwrócił się i wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą.

Wyciągnęła rękę, żeby zatknąć za ucho luźny kosmyk włosów, łaskoczący ją w policzek, ale dłoń jej się trzęsła tak

mocno, że tylko zacisnęła palce w pięść i przytknęła do ust. Przyciskała coraz mocniej, aż sobie uświadomiła, że odgadł straszną prawdę, do której nie chciała się przyznać nawet przed sobą. Odgadł, że pragnęła jego obecności w swoim życiu, nie tylko teraz, lecz na zawsze. Chciała czuć go na sobie w łóżku, rodzić jego dzieci i starzeć się, słuchając jego śmiechu, odganiając mroczne cienie jego tragicznej przeszłości.

Ale on wcale tego nie chciał.

I to było najgorsze ze wszystkiego.

13

Kiedy Sirena była małą dziewczynką, matka uczyła ją pisać, rysując litery na piasku. Z początku Sirena nic widziała żadnego sensu w tym dziwnym zwyczaju swej jasnowłosej, smutnookiej matki. Kochała ją jednak, więc z uwagą słuchała objaśnień i chętnie ćwiczyła. Równie pilnie czytała często niezrozumiałe zdania z grubych ksiązek, które dla matki zdawały się cenniejsze niż wszystko inne na świecie. Czasami trzeba było porzucać książki, kiedy rodzina przeprowadzała się w inne miejsce. Ojcu Sireny zawsze udawało się jakoś znaleźć nowe dla ukochanej żony, mimo iż nie całkiem rozumiał jej upodobanie.

Najbardziej jednak Sirena lubiła lekcje, których udzielał jej ojciec. To on pokazał jej, jak czytać z powierzchni strumienia, żeby znaleźć najdorodniejsze ryby. On ją nauczył tropić jelenia, jeździć wierzchem, prowadząc konia jedynie nogami. To ojciec przekazał jej umiejętność życia w harmonii ze zmiennym rytmem dni i kierunkiem wiatru.

Myślała o nim teraz, siedząc na szerokiej nasłonecznionej werandzie i patrząc na topniejący śnieg na nieśmiało zieleniejących zboczach wąwozu. Wiosna wreszcie nadeszła w góry, napełniając Sirenę niepokojem, który brał się ze

wspomnień dzieciństwa i z krwi Apaczów płynącej w jej żyłach. Bezmyślna paplanina pozostałych dziewczyn działała jej na nerwy. Przyszła więc tu, szukając odosobnienia, żeby posłuchać godowego śpiewu drozdów i gulgotu strumienia, opływającego kępę modrzewi. Jednakże dziewczyny. Jedna po drugiej, pojawiały się, żeby do niej dołączyć.

- Wolałabym, żeby ten mój mały przestał tak szybko rosnąć - odezwała się Jilly, zręcznymi szybkimi ruchami igły szyjąc koszulkę dla George'a, - Ostatnio nic innego nie robię, tylko przerabiam jego ubrania.

Amy przysiadła obok niej na szerokich stopniach werandy.

- A ja odwrotnie - powiedziała. - Zastanawiam się, kiedy Henry zacznie wreszcie rosnąć. Nie wiem, kto jest jego ojcem, ale musiał być wyjątkowym kurdupem. Spójrzcie tylko... - Kiwnęła głową w stronę, gdzie dwaj mali chłopcy grzebali w kałuży topniejącego śniegu, bawiąc się w poszukiwaczy złota. - Henry ma już cztery lata, a jest niewiele większy od twojego dwuletniego George'a. - Nachyliła się, żeby obejrzeć dzieło Jilly. - O kurczę, ty to potrafisz szyć. Myślałaś kiedyś, żeby się tym zająć dla zarobku?

Jilly opuściła robótkę na kolana i spojrzała na swą rozmówczynię.

- A po jakie licho miałabym rzucać prostytutkę, żeby niszczyć oczy i nabawić się garbą, ślęcząc całymi dniami nad igłą? Pewnie gadałaś z Gabrielle. Zanim tu przyjechała, każda z nas marzyła o facecie, który pewnego dnia przyjdzie na piętnastominutowy numer za pieniądze, a potem ją stąd zabierze, żeby mu co noc ogrzewała łóżko i rodziła dzieci. A teraz nagle Vanessa mówi o nauce modniarstwa, a ty mi każesz zająć się szyciem.

- A ja bym chciała mieć taki sklep z eleganckimi ubraniami
- włączyła się w rozmowę Crystal, upychając rozdęte ciążą ciało w wiklinowej bryczce, którą ostatnio Wing Tsue pokrył świeżą warstwą białej farby. - Wiecie jaki, taki, jakie są na przykład w San Francisco.

- Co ty mi tu opowiadasz - obruszyła się Margot, szturchając ją łokciem. - A kiedyż ty niby byłaś w San Francisco? Mogę spytać?

- Może i nigdy tam nie byłam, ale widziałam na obrazkach. I wiem dokładnie, jak miałyby wyglądać mój sklep. Sprzedawałabym tylko rzeczy sprowadzane prosto z Paryża we Francji - Spojrzała na czarną kobietę siedzącą obok. - A ty, Margot? Co byś robiła?

- Ja? Kupiłabym sobie restaurację.

- I co byś w niej podawała? - spytała zaciekawiona Tierney.
- Kapustę z grochem i mamałygę?

Margot odwróciła się, żeby zmierzyć Angielkę długim, zimnym spojrzeniem.

- Może.

- Moi rodzice mieli mleczną farmę w Ohio – powiedziała Amy i na jej twarzy pojawił się marzycielski uśmiech. - Wydawało mi się, że jej nienawidzę, ale ostatnio zaczynam sobie przypominać, jak smakuje powietrze nie zatrute tytoniowym dymem i smrodem whisky. Wczesnie rano świat jest taki piękny, kiedy krowy czekają na dojenie, na trawie błyszczą rosa, ptaki śpiewają i wszystko jest takie świeże i czyste...

- Jasne - zadrwiła Tierney. - A pamiętasz zapach świeżego krowiego łajna? A co zrobi nasza Youngmi? Otworzy chińską pralnię? Bo Sirena zawsze może wrócić do rezerwatu, żeby otworzyć tam szkołę dla małych squaws i wojowników. - Parsknęła złośliwym śmiechem. - Ciekawie się was słucha. A jesteście przecież tylko gromadą dziwek. Zawsze nimi byłyście i zawsze będziecie.

- Ja nie zawsze byłam prostytutką - powiedziała Jilly znów odkładając na bok szycie. - I nie chcę nią być przez całe życie.

Jak tylko Jaff Hogan mnie poprosi, wyniosę się stąd tak szybko...

Tierney odrzuciła głowę do tyłu, zanosząc się śmiechem.

- Więc na co on czeka? Aż się wzbogaci? Zestarzejesz się jako biedna, naiwna dziwka.

- Plemię Kruków odezwała się cicho Sirena - ma legendę o starym chytrym kojocie, który pożył własnej córki. Powiadają, że był złodziejem i nauczył swoją córkę wszystkiego, co umiała. Łącznie z rozkładaniem nóg przed mężczyzną. Powiedz mi, Tierney, czy tam, skąd pochodzisz, też znają takie historie?

Palce Tierney zamieniły się w wygięte drapieżne szpony.

- Zamknij się, ty śmierdząca półkrwi...

- No, dalej - zachęciła Sirena z uśmiechem, wyciągając nóż, nim Angielka zdążyła podnieść się z miejsca. - Już dawno nie cięłam świeżego białego mięsa.

Tierney opadła z powrotem na krzesło.

- Jesteś chora. Słyszysz? Chora! Nie mam pojęcia, dlaczego Celeste cię tu przyjęła. Powinni byli cię powiesić, kiedy mieli okazję. Bo z pewnością urodziłaś się po to, żeby wisieć. Jak mój ojciec.

- Za dużo gadasz. - Sirena schowała nóż, zeszła po stopniach werandy i oddaliła się przez podwórze. Nie słyszała już szelestu wiatru w gałęziach modrzewi, a świeża zieleń na

drzewach i łąkach już jej nie cieszyła. Jej matka i ojciec już nie żyli, a brata już nie miała. Dusza Sireny była martwa, a życie ciemne i puste.

- **Z**apamiętajcie dobrze - powiedział Jordan do trójki chłopców stojących przed nim półkolem na środku kuchni, rozdając jabłka, ciastka i manierki z wodą. - Cokolwiek znajdziecie, dwadzieścia procent z tego należy do mnie.

- Tak, panie Jordan - odpowiedzieli chórem.

Gabrielle przystanęła obok kuchennych schodów, patrząc, jak Jordan poprawia pasek manierki na ramieniu Jacksona. Poczowała bolesną gorycz w środku i jednocześnie ciepło wokół serca.

Dorastała w zamkniętym świecie kobiet, pośród zakonnice i oddanych na wychowanie dziewcząt. Późniejsza przyjaźń z Julią dała jej namiastkę innego życia, w którym jest miejsce dla ojców, braci i męskich przyjaciół rodziny, ale nigdy nie widziała czegoś takiego - męskiej troski o dziecko.

Kobieca opiekuńczość była inna. To, co widziała, było nieco szorstkim wprowadzaniem dzieci w dorosłość, pomaganiem im w nauce samodzielności.

Przyjrzała się trójce szczerbatych półsierot i uzmysłowiła sobie, że te dzieci także dojrzewają w kobiecym świecie.

Ponieważ ten dom grzechu był światem kobiet. Miejscem, do którego mężczyźni wprawdzie przychodzili, ale rzadko zostawali dłużej, a już z pewnością nie na tyle długo, by zauważyć niechciane, spragnione ciepła dzieci żyjące na uboczu.

Ale ten mężczyzna... był inny. Ten mężczyzna, który nie chciał mieć własnych dzieci, próbował im dać namiastkę tego, co niezbędne, by zrozumieć siebie, innych i cały otaczający świat. Gabrielle nagle poczuła tak ogromną miłość do Jordana, że nie mogła pomieścić jej w sercu.

Chłopcy pochylili się, żeby zebrać łopaty i miski. Gabrielle weszła do kuchni.

- A dokąd to się wszyscy wybieracie? - spytała, kiedy mijali ją, zmierzając do tylnego wyjścia. - Kopać robaki?

- Robaki! - powtórzył Jackson głosem pełnym wzgardy dla kobiecej ignorancji. - Będziemy szukać złota. Pan Jordan nas wysyła.

- Aha, jesteście poszukiwaczami złota - powiedziała Gabrielle, z trudem skrywając uśmiech.

- Odszukamy Zaginioną Kopalnię Letty - szepnął Henry z nabożeństwem.

Jackson szturchnął go w żebra.

- Cicho bądź. To tajemnica.

- Nikomu nie powiem - obiecała Gabrielle, schylając się do wysokości Henry'ego. - A wiecie, gdzie szukać?

- Pewnie - obruszył się Henry, choć w jego głosie bynajmniej nie było pewności. - Wszyscy wiedzą, że to Zezowaty i Isaiah Flinders odkryli Zaginioną Kopalnię Letty, a Jackson się dowiedział, że tamta chata należała do nich obu, więc najlepiej zacząć szukać wzdłuż strumienia. Musimy ją szybko znaleźć, bo pan Jordan mówi, że Zezowaty lada dzień wyjdzie z więzienia i jeśli wróci...

- Henry - upomniał go Ben ze złością. - Paplesz jak dziewczyna. Gdybyśmy chcieli zabrać ze sobą gadułę, tobyśmy wzięli Arabelle.

Henry zwiesił głowę tak zawstydzony, że Gabrielle pożałowała swego pytania.

- Nie martw się - powiedziała, mierzwiąc mu jasną czuprynę. - Przecież obiecałam, że nikomu nie powiem, pamiętasz? - Ale Ben z Jacksonem zerkali na nią nieufnie i choć się nie odezwali, Gabrielle wiedziała, że jako kobieta nie zdobyła ich zaufania.

- Ach, wy mężczyźni - westchnęła, stając koło Jordana, kiedy chłopcy biegli ze śmiechem przez podwórze. - Już w wieku pięciu lat jesteście przekonani o swojej wyższości nad kobietami, tylko dlatego, że natura przydzieliła wam męską płć.

- Naprawdę tak sądzisz? - Błysk wesołości rozjaśnił mu oczy. - Według mnie, raczej oczekuje się od nas, byśmy byli lepsi niż kobiety, choć każdy z nas wie, że wcale nie jesteśmy. I dlatego tak się staramy przekonać o tym samych siebie i was także.

Gabrielle odpowiedziała śmiechem.

- Może niektórzy z was, ale większość chyba jednak wierzy w swoją wyższość. - Chłopcy zdążyli już zniknąć z pola widzenia, chowając się za domkiem poszukiwaczy złota. Gabrielle odwróciła się od okna. - Co się teraz mieści w tej starej chacie?

Wzruszył ramionami.

- O ile wiem, jest używana jako szopa na narzędzia.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy tam nie byłeś?

Z zachwytem patrzyła, jak kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

- A co sobie wyobrażasz? Ze mogłabyś tam znaleźć jakąś wskazówkę co do położenia Zaginionej Kopalni Letty?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła, rumieniąc się przy tym z zakłopotania. Jak miała mu wytłumaczyć, że wcale nie kieruje nią chęć znalezienia złota, lecz ciekawość, by dowiedzieć się czegoś o człowieku, który był kochankiem jej matki. - Ja tylko... Po prostu...

Zaśmiał się, zdejmując naftową lampę z haka przy kuchennych drzwiach.

- No to chodźmy - zachęcił. - Poszukamy, co?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Przez cały tydzień, od czasu incydentu w jego pokoju, unikał pozostawiania z nią sam na sam. Nawet teraz czuła, że specjalnie stara się utrzymać lekki, przyjacielski ton.

Tylko że pomiędzy nimi nie mogło już być przyjacielskiej swobody. Bo wystarczył najlżejszy przypadkowy dotyk, by serce stawało jej w piersi, a całe ciało odpowiadało niespokojnym drżeniem.

Jordan uniósł zasuwę i pchnął drzwi starej chaty poszukiwaczy złota. Owiało ich stęchłe powietrze, nasycone zapachem wilgotnej ziemi i próchniejącego drewna. Zawiasy zaskrzypiały, a w odległym kącie rozległ się szmer, jakby coś przed nimi uciekało.

- Co to było? - spytała Gabrielle, z przestachu przyciskając rękę do piersi.

Jordan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli to szczur, to mamy problem. Z pewnością zeżarł najważniejsze fragmenty mapy prowadzącej do skarbu.

- Och - obruszyła się, urażona jego kpina. - Mapę już mamy, czyżbyś zapomniał? Potrzebujemy jakiejś wskazówki.

Śmiejąc się cicho, ustawił lampę na stole i zapalił zapalniczkę, podczas gdy Gabrielle obeszła dookoła niewielkie pomieszczenie. Knot zamigotał płomieniem, a potem równym, choć dość słabym światłem wypełnił niewielkie wnętrze chaty.

Była zbudowana z nieociosanych bali, poza tylną ścianą, którą stanowiła wydrążona ściana zbocza, obłożona surowym kamieniem. Znajdowały się tam nadal łóżka ze stertą zniszczonych materacy oraz parę innych sprzętów, skleconych z drewnianych skrzynek i beczek, przy użyciu złamanego koła od powozu i gwoździ.

Jordan patrzył, jak Gabrielle zadziera głowę, wyginając przy tym wdzięcznie szyję, zaciekawiona promykami światła wpadającymi przez dziurawy dach. Miał ochotę dotknąć jej delikatnej skóry, wyjąć spinki z jej jasnych włosów, żeby spłynęły swobodnie, okrywając ich oboje złocistym płaszczem. Zgnieść jej usta pocałunkiem, skosztować świeżych, dziewczęcych piersi, wreszcie cisnąć ją na te materace i zatopić się w niej głęboko. Ostatnia myśl była tak wyrazista, że niemal przyprawiła go o dreszcz.

W żaden sposób do niej nie pasował. Ona była samą słodyczą i dobrocią, niewinnością, uczciwością i nadzieją. Ktoś

taki jak on mógł jej tylko zaszkodzić, zniszczyć jej życie. A była wobec niego całkowicie bezbronna. Ekscytował ją i podniecał, budził w niej namiętność, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Ale on zdawał sobie sprawę aż za dobrze, i starał się, naprawdę się starał, trzymać od niej z daleka. Jednakże bywały chwile, takie jak ta, kiedy przychodziło mu to z największym trudem.

- Dość prymitywne schronienie, nie sądzisz? - spytała, omiatając wzrokiem surowe belki ścian, gołą ziemię pod stopami, zardzewiałą patelnię na palenisku.

- Trzeba przyznać, że nie wygląda na siedzibę dwóch bogaczy.

Podeszła do niego.

- Naprawdę myślisz, że Zezowaty tu wróci po wyjściu z więzienia?

Jordan podniósł zdezelowany blaszany świecznik ze skrzyni pod ścianą, a potem odłożył go z powrotem na miejsce, otrzepując palce z kurzu.

- Kto wie? Chociaż sam rzeczywiście twierdził, że wróci. - Stał tuż przed nią. - Czego ty tu naprawdę szukasz?

Westchnęła, wydymając pełne, kształtne usta, których widok przyprawiał go o tortury.

- Sama nic wiem. Mieszkam w tym domu już od tygodni. I chociaż wydaje mi się, że zdążyłam się sporo dowiedzieć o mojej matce, czasami zaczynam myśleć, że nigdy jej do końca nie zrozumieję.

Patrzył na łagodne falowanie jej piersi w rytm oddechu.

- To możliwe. Ale ostatecznie, ilu ludzi w życiu poznajemy naprawdę dobrze? Nawet spośród tych, którzy wydają nam się bliscy?

Spojrzała mu w oczy. Jej tęczęwki miały niezwykle szary odcień łupku, a w słońcu świeciły ciepłym blaskiem.

- Pewnie niewielu - przyznała. - Tylko że... Chyba miałam nadzieję, że dowiadując się czegoś o swojej matce i ojcu, zdołam wypełnić w sobie tę lukę, która doskwierała mi od zawsze. Myślałam też, że dzięki temu łatwiej dowiem się czegoś o sobie samej. Wyjaśnię rzeczy, których nigdy nie rozumiałam.

- Może byłaś tak bardzo przerażona tym, kim była Celeste, że bałaś się dowiedzieć, jaka była. - Wyciągnął rękę, żeby zetrzeć smugę kurzu z jej policzka. - Poza tym - dodał, nie odrywając dłoni od jej twarzy - wydaje mi się, że poznałaś Celeste lepiej, niż ci się zdaje. Kiedy mi przyniosłaś te stare dokumenty, zastanawiałaś się, dlaczego je trzymała, bo znałaś ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie dla sentymentu i nie przez niedbalstwo.

Stała bez ruchu, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

Było w jej spojrzeniu coś zniewalającego, czemu nie potrafił się oprzeć.

- Może masz rację - szepnęła.

- Gabrielle. - Jej imię rozplątało się na języku niczym dojrzwały, soczysty owoc. Jakaś przemożna wewnętrzna potrzeba kazała mu wziąć ją w ramiona, zakosztować jej smaku. Chwycił ją za ręce i rozstawiając szeroko nogi, przygarnął do siebie. Bez najmniejszego oporu, wręcz skwapliwie wtuliła się w niego, po czym, trochę nieśmiało, oparła mu dłonie na piersi. Równocześnie on pochylił, a ona uniosła głowę do pocałunku.

Czule, delikatnie nakrył wargami jej usta, cudownie ciepłe, miękkie i podatne. Wydając z siebie ciche westchnienie, przesunął ręce na jej plecy i przygarnął do siebie mocniej smukłe ciało, aż poczuł napór jędrnych piersi, a nozdrza wypełnił mu słodki, kobiecy zapach.

Jęknęła cichutko, przywierając do niego z całych sił. Ogarnęła go niepowstrzymana fala pożądania i tęsknoty. Zgniół jej usta gwałtownym, gorącym pocałunkiem. Języki splotły się, zęby dotknęły zębów, oddechy stopiły się w jeden oddech.

Wsunął palce w jej włosy i zmusił ją do odchylenia głowy. Okrywał pocałunkami jej szyję, delikatne pasemko gołego ciała

za uchem, miejsce, gdzie widać było dziko przyśpieszone bicie puls pod skórą. Czuł, jak drży, słyszał zduszone westchnienia. Wtuliła się w niego, zaciskając palce na jego ramionach, kiedy objął jej piersi, a potem, przesunąwszy dłońmi po nabrzmiąłych brodawkach, wolno opuszczał ręce do jej brzucha.

Zadarł spódnicę i halkę, szukając nagiego ciała. Usłyszał syk wciągane go oddechu, gdy natrafiwszy na rozcięcie w majtkach, dotknął gołego uda. Pragnął ją dotykać... musiał ją dotknąć tam, gdzie mieli się połączyć.

- Skarbie - szepnął jej wprost do ucha. W odpowiedzi rozległ się cichutki jęk. Przyciągnęła go do siebie kurczowo. Oddychała z wysiłkiem, a z jej szeroko otwartych szarych oczu promieniował żar namiętności. Czuł jej całkowite oddanie i miał świadomość, że jeśli on nie znajdzie w sobie siły, by się powstrzymać, ona z pewnością tego nie zrobi.

- Gabrielle... - Zadrzał, opierając czoło o miękkie zagłębienie jej szyi. Wypuścił z rąk fałdy spódnicy. Następnie zacisnął dłonie na jej ramionach, próbując okiełznać żądzę, która kazała mu posiąść tę kobietę, zatopić się w niej bez opamiętania.
- Boże, Gabrielle. Wybacz.

Zastygła nieruchomo w jego objęciach. Resztkami woli zmusił się, żeby ją od siebie odsunąć.

Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Usta miała nabrzmiąle i wilgotne od pocałunków, oddychała ciężko.

- Matko Boska - szepnęła. - Co ty musisz o mnie myśleć?

Odwróciła się na pięcie, lecz nim zdążyła uciec, znów przyciągnął ją do siebie, tak że dotykała jego piersi. Spodziewał się protestu, ale nie stawiała żadnego oporu. Czuł napór jej smukłego ciała, czuł, jak drży ze wstydu, ze strachu. Musiała przez ubranie wyczuwać, że jest podniecony.

- Nie wstydz się tego, co zaszło - powiedział cicho. - Gabrielle, jesteś piękną, godną pożądania, namiętą kobietą. - Powiew jego oddechu kołysał luźne pasemka włosów przy jej uchu. - Jesteś kobietą, która zasługuje na wiele więcej, niż ja mogę ofiarować.

- Nie chcę więcej. - Głos jej się załamał.

Odwrócił ją przodem do siebie i dojrzał w jej oczach łzy, które rozpaczliwie próbowała powstrzymać.

- Ależ tak, chcesz - rzekł łagodnie. Miał wielką ochotę przytulić ją z całych sił i osuszyć te łzy pocałunkami. - Chcesz tego domu, o którym mi opowiadałaś, i tych dzieci. I chcesz mieć przy boku męża, który da ci to wszystko, będzie się przy tobie układał do snu i będzie przy tobie, kiedy się rano obudzisz.

- Nie... - Wciągnęła powietrze z odgłosem, który przypominał żalosne chlipnięcie, jednocześnie uciekając

wzrokiem przed jego przenikliwym, wszytkowiedzącym spojrzeniem. - Nie potrzebuję tego wszystkiego.

Ujął ją za podbródek i zmusił do uniesienia głowy.

- Popatrz na mnie - poprosił. Jej piękne oczy lśniły głębokim, cudownym, rozdzierającym serce uczuciem, które znał aż nazbyt dobrze. I na które już nigdy nie miał zamiaru sobie pozwalać.

- Nie potrzebuję - powtórzyła, nieporadnie usiłując przybrać stanowczą minę.

- Kłamczucha - powiedział miękko i uśmiechnął się ze smutkiem. -Gabrielle, twoje oczy mówią wyraźnie, czego pragniesz. Gdybym mógł ci to dać, oddałbym ci samego siebie. Z radością i bez reszty. Ale za wiele w życiu straciłem. W środku jestem martwy.

Przycisnęła mu dłoń do ust.

- Nie musisz być taki - szepnęła.

- Może nie. - Czowała pod palcami ruch jego warg. - Ale wolę taki być.

Przycisnęła ręce do piersi, jakby nagle coś ją tam w środku zabolalo. Odwróciła się, a on tym razem pozwolił jej odejść.

- Gabrielle... nie chciałem cię skrzywdzić. Bóg jeden wie, że próbowałem trzymać się od ciebie z daleka. Ale to zbyt trudne, kiedy mieszkamy w jednym domu, codziennie niemal

ocieramy się o siebie. Och... powinienem wyjechać, zanim przestanę nad sobą panować i zrobię coś, czego oboje będziemy żałować.

- Nie. - Aż podskoczyła, wyraźnie przestraszona. Nie. Obiecałeś, że nie wyjedziesz. Że zostaniesz i będziesz doglądał swoich interesów.

- A ty powiedziałaś, że mogę jechać, że sama poprowadzisz dom przez następne parę miesięcy.

- Blefowałam.

Do chaty wdarł się powiew wiatru, chłodząc mu policzki.

- Wiem, że blefowałaś - przyznał z westchnieniem. - A najgorsze jest to, że nie mogę wyjechać i zostawić cię samej. Przynajmniej dopóki Slaughter sprawia kłopoty. Sumienie nie dałoby mi spokoju.

- Więc zostaniesz do końca czerwca?

Jęknął w duchu.

- Nie jestem świętym, Gabrielle.

Wygięła usta w smutnym uśmiechu, na widok którego ścisnęło mu się serce.

- Nie. Przywodzisz mi na myśl to zdanie z Hamleta... *Gdyż choć nie jestem prędko ni gwałtowny, jednak jest we mnie coś niebezpiecznego, co niech twój umysł przerazi.* – Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Jordan, jestem przerażona.

Wyciągnął rękę i końcami palców pogładził ją po policzku.

- Ale nie z tego powodu, co powinnaś.

Dough Slaughter nalał sówitą porcję świętego bourbona z Kentucky do kryształowej szklanki, która następnie podał człowiekowi odzianemu w czarną sutannę z białym kołnierzykiem. Wielebny Reginald Parkes przycupnął na skraju wyściełanej końskim włosiem sofy, stojącej w wytwornym gabinecie posiadłości w Black Hawk, a potem obejrzał się przez chude, przygarbione ramię, jakby w obawie, że za ciężkimi kotarami z adamaszku może się ukrywać któryś z jego parafian, gotowy nagle wyskoczyć i go złapać.

- No, śmiało, wielebny - zachęcił Slaughter, szczerząc zęby w uśmiechu skierowanym do gościa- - To pozostanie naszą małą tajemnicą.

Owa tajemnica łączyła ich od wielu miesięcy, odkąd wielebny Parkes przynajmniej raz w tygodniu odwiedzał Douga Slaughtera w jego ogromnym domu. Czasami Slaughter dogadzał zacnemu pastorowi, częstując go whisky i zapraszając do pokerowego stolika, od którego wielebny zazwyczaj wstawał z wygraną. Zdarzało się też jednak, że Slaughter sprowadzał dziewczyny z któregoś ze swoich burdeli i wówczas zabawa stawała się znacznie bardziej ożywiona. Wielebny okazał się

bowiem mężczyzną o nietypowym i nienasyconym seksualnym apetycie.

Wielebny Parkes przybył do Central City na początku zimy, a odkrycie tego, że jest przekupny nie zabrało Slaughterowi wiele czasu. Lata folgowania własnym zachciankom i uzalania się nad sobą rozmyły nieco szlachetne rysy pochodzącego z Nowej Anglii pastora, jego sutanna była wyświechtana, a biały kołnierz pożółkły od potu, lecz nadal można było odnieść wrażenie, że Reginald Parkes został stworzony do celów wyższych niż pełnienie posługi w górniczej miejscinie.

Z początku Slaughter nawet się nie zastanawiał, jak wykorzysta tego człowieka. Miał jedynie pewność, że zadufany w sobie, lecz moralnie ułomny głosiciel Biblii może mu się bardzo przydać. Teraz Slaughter już doskonale wiedział, czego oczekuje od wielebnego.

- No cóż, odrobinka chyba nie zaszkodzi - stęknął pastor, oblizując wąskie, wilgotne usta. Szybko sięgnął po szklanę, jakby się bał, że Slaughter może się nagle rozmyślić i odmówić mu poczęstunku i jednym łapczywym haustem przełknął połowę whisky. - Ach — westchnął, mlaskając z zadowoleniem. — Doskonała. Wyśmienita.

Slaughter pociągnął mały łyk ze swojej szklanki, obserwując pastora spod zmrużonych powiek.

- Ciekaw jestem, wielebny, czy słyszał pan ostatnie niepokojące wieści z Przybytku Celeste przy Nevada Gulch?

- O tak, słyszałem, słyszałem - przyznał wielebny, opróżniając szklanekę do sucha. - Dwóch ludzi postrzelonych w ciągu paru tygodni. W tym jeden śmiertelnie.

Slaughter dyskretnie nalał pastorowi drugą porcję trunku.

- A jeden z nich zginął tylko dlatego, że nie znoślił, jak ktoś oszustwem wyciągał od niego ciężko zarobiony grosz. Rozumiem, dlaczego niektórzy uważają, że w okolicy Nevada Gulch nie ma miejsca na tego rodzaju domy. Ostatecznie przez ostatnie dziesięć lat miasto bardzo się rozrosło i mieszka tam obecnie wielu przyzwoitych ludzi.

- Święta racja - rzekł Parkes głosem nieco stłumionym przez uniesioną do ust szklanekę. - Pomyśleć tylko, że dobrze wychowane damy, a nawet dzieci są bezustannie narażone na widok rozpusty. To niedopuszczalne. Absolutnie niedopuszczalne.

- Zgadzam się z panem, wielebny - zapewnił Slaughter. - Uważam, że jeden z najznamienitszych, najlepiej wykształconych filarów naszej społeczności powinien zorganizować co światlejszych obywateli tego miasta i coś z tym zrobić.

Wodniste oczy Parkesa ponad krawędzią szklanki napotkały nieugięte spojrzenie Slaughtera.

- Zorganizować?

- Właśnie. Na przykład wystosować petycję. I doprowadzić do zamknięcia Przybytku Celeste.

- Petycję?

- Jestem przekonany, że człowiek o pańskim pochodzeniu i erudycji będzie doskonale wiedział, jak się do tego zabrać.

- No... tak. Tak, oczywiście.

- A kiedy już będzie po wszystkim, będzie pan musiał znaleźć trochę czasu, żeby rzucić okiem na plany rozbudowy plebanii, sporządzone przez mojego architekta. - Doug Slaughter uniósł wieko kasetki z drewna sandałowego i otwartą podsunął w stronę gościa. - Może cygaro, wielebny?

14

List od Julii St. Etienne przyszedł dwa dni później.

Dostarczono go do domu po południu, kiedy Gabrielle zajmowała się dziećmi, i zostawiono na jej biurku. Dowiedziała się o nim jednak dopiero wieczorem, podczas przerwy w grze na fortepianie. Wing Tsue zatrzymał ją w holu, pytając z uśmiechem:

- Dostała pani dobre nowiny?

- Jakie nowiny? - zdziwiła się.

W ciągu tygodni, które minęły od jej wprowadzenia się do domu matki, Gabrielle polubiła wielkiego, cichego odźwiernego i zaczęła go darzyć szacunkiem. Wyznał jej kiedyś, że urodził się w San Francisco jako syn chińskiej prostytutki i jakiegoś czarnoskórego poszukiwacza złota, który za parę dolarów skorzystał z okazji, by ulżyć napięciu w lędźwiach, po czym ruszył w swoją stronę.

Niepospolite rozmiary i egzotyczny wygląd odźwiernego przydawały się, żeby wzbudzić należny respekt u klientów bywających w domu. Jednakże Gabrielle wkrótce się przekonała, że w istocie Wing Tsue jest olbrzymem o gołębim sercu. Olbrzymem o samotnej, cierpiącej duszy, bez własnego

domu i rodziny lub choćby jasno określonej rasy czy narodowości.

Ostatnio Gabrielle uświadomiła sobie, że Wing Tsue jest kolejną ofiarą złośliwego losu, która znalazła schronienie w Przybytku Celeste. Podobnie jak Youngmi, sprzedana niczym niewolnica na straszliwą poniewierkę. Jak Sirena, kobieta o tajemniczej przeszłości i mrocznych, dzikich oczach.

Kto kopie dół, ten może weń wpaść. Tak przynajmniej Gabrielle uczono. Tyle tylko, że Youngmi i Wing Tsue nie kopali swoich dołów, a Gabrielle wątpiła, by i Sirena była za swój całkowicie odpowiedzialna. Ale świat i tak ich potępił, uznając za upadłe, zdegenerowane istoty, pozbawione wszelkiego wstydu i przyzwoitości, skazując ich na życie na obrzeżach społeczeństwa.

To, że ich życie nie stało się nędzne i nieznośne, zawdzięczali całkowicie i jedynie kobiecie o nazwisku Celeste DuBois. Upadłej kobiecie, która może była chłodna i twarda, ale od której zaci mieszkańcy Central City z pewnością mogliby się uczyć współczucia. I przyzwoitości.

Ostatnia myśl wzbudziła w Gabrielle niespodziewaną taję dumy z tej silnej, budzącej respekt kobiety. Dumy, a zaraz potem poczucia winy i wstydu, kiedy sobie przypomniała swoje

przerażenie i udrękę, z jaką przyjęła wiadomość, że Celeste była jej matką.

Teraz widziała, jak uśmiech na poczciwej twarzy Winga Sute zmienia się w wyraz konsternacji.

- Nie widziała pani listu? Położyłem go na pani biurku i prosiłem Arabelle, żeby pani o nim powiedziała.

- Musiała widocznie zapomnieć - powiedziała Gabrielle bez gniewu, zbierając w dłonie kremowe fałdy spódnicy, by się jej nie plątały wokół stóp. - Pójdę go teraz przeczytać. Dziękuję.

Niemal biegiem pośpieszyła przez hol do swego gabinetu, tak była ciekawa wieści ze świata, który pozostawiła daleko za sobą. Wprawdzie od wyjazdu z Nowego Orleanu minął zaledwie miesiąc, lecz jej wydawał się całą wiecznością.

Wzięła do ręki trochę wymiętą kopertę, opartą o mosiężną podstawkę naftowej lampy. W słabym świetle padającym od kominka zdołała jedynie odcyfrować nazwisko Julii St. Etienne na odwrocie. Serce jej podskoczyło w oczekiwaniu.

Odłożyła list z powrotem na biurko i próbowała opanować niecierpliwość. Sięgnęła po zapalki, zapaliła lampę i wyregulowała płomień. Następnie usiadła wygodnie w skórzanym fotelu przy biurku, rozdarła kopertę i rozwinęła sztywny papier dziwnie drżącymi rękami.

- Moja najdroższa Gabrielle - przeczytała, słysząc w głowie nieco gardłowy kontralt przyjaciółki. - Od kiedy wyjechałaś, nie miałam od Ciebie żadnych wieści, ale bez wątpienia dotarłaś już do Kolorado i dowiedziałaś się tego, co i ja teraz wiem. Ze Celeste DuBois jest twoją matką i ze jesteśmy kuzynkami.

Dłonie Gabrielle odruchowo zacisnęły się na liście. Nagle brakło jej tchu. Pochyliła się do przodu, kierując zapisane arkusiki listu bliżej światła.

- Kuzynkami! Niesłychane. I czyż nie cudowne? – pisała Julia. - A właściwie byłoby cudowne, gdyby nie fakt, że rodzice zabraniają mi się teraz z Tobą widywać, a nawet do ciebie pisać i grożą, że każdy Twój list do mnie zostanie zniszczony. Musiałam błagać, grozić, a wreszcie przekupić Louisa, żeby się zgodził wysłać ten list, ale ostrzegł mnie, że więcej tego nie zrobi. Nie miałam pojęcia, że potrafi być taki niemądry i nieużyty. Ale nawet on przyznał, że powinnam do Ciebie napisać i powiadomić Cię, o wszystkim.

Po Twoim wyjeździe z Nowego Orleanu pobylam jeszcze parę dni z moją siostrą i jej mężem, a potem pojechałam do domu, do Beaulieu. Przy kolacji opowiedziałam moim rodzicom o tamtym niespodziewanym liście i tajemniczym spadku, który otrzymałaś. Wszystko było dobrze, dopóki nie wymieniałam nazwiska, ale kiedy usłyszeli o Celeste DuBois... Mon Dieu! Gdyby skutki nie byty tak oplakane, sytuacja wydałaby mi się

komiczna. Ojciec wywrócił kieliszek z winem, a matka wylała sobie talerz zupy na kolana.

Ile się dowiedziałaś, moja droga przyjaciółko, zagubiona w dalekich, zimnych górach? Czy wiesz, że tajemnicza spadkodawczyni była w istocie Twoją matką? Nie mam jak się tego dowiedzieć, więc powiem Ci to, co sama wiem. Wiesz, to rzeczywiście była tragedia, Gabrielle, choć wyglądała nie całkiem tak, jak to sobie wyobrażałyśmy w dzień przed Twoim wyjazdem.

Zastanawiam się, czy wspominałam Ci kiedyś o moim wuju. Beauregardzie St. Etienne, który zmarł, nim się urodziłam. Zawsze słyszałam, że był nieokrzesanym łobuzem, ale nigdy nikt mi nie powiedział, jakiego właściwie skandalu się dopuścił. Pewnie uznano, że młode damy nie powinny słuchać o takich rzeczach. Zapewne ma na sumieniu i inne grzechy, o których mi jeszcze nie mówiono, ale wiem, że kiedy miał około trzydziestu lat, wziął sobie Celeste DuBois za kochankę.

Była wtedy bardzo młoda, miała nie więcej niż osiemnaście lub dziewiętnaście lat, ale, jak podkreślaj a moi rodzice, Beau nie był pierwszym, z którym się zadawała. Urządził jej dom przy Prytania Street, co już pewnie było źle widziane, choć nie takich rzeczy dopuszczają się młodzi mężczyźni. Jednakże rodzinę najbardziej rozwścieczyło to, że w końcu się w niej zakochał i kiedy odkrył, że spodziewa się jego dziecka, miał zamiar ją poślubić.

Tyle że jeszcze przed planowanym ślubem wdał się w kłótnię z jakimś mężczyzną, który ją obraził, i doszło do pojedynku. Tamten drugi zginął na miejscu, a Beau zmarł kilka dni później. Przed śmiercią błagał moją rodzinę, mojego ojca, a swego brata, żeby zaopiekował się Celeste i nienarodzonym dzieckiem. Ale moja rodzina odmówiła wszelkich kontaktów

zarówno z Celeste, jak i dzieckiem... czyli Tobą, droga przyjaciółko.

Wówczas Celeste uczyniła to, co musiało jej się wydawać jedynym wyjściem. Zebrała inne kobiety, kobiety lekkich obyczajów, w swoim domu przy Prytania Street i zamieniła go w burdel, sama zajmując pozycję zarządczyni. I tam właśnie mieszkałaś do ukończenia piątego roku życia, kiedy komuś udało się zmusić Twoją matkę do opuszczenia miasta.

Wygląda na to, że wtedy przełknęła dumę i zwróciła się do mojej rodziny, prosząc, by się tobą zaopiekowali. Ale oni znów odmówili wszelkiego kontaktu z Tobą, więc musiała pójść do monsieur Longchamps, który jak się dowiedziałam, był kiedyś prawnikiem Beau. Pomógł jej, załatwiając Ci miejsce w klasztorze i przez te wszystkie lata dochowując tajemnicy co do twego pochodzenia. Ponieważ nosiłaś inne nazwisko, a nikt z rodziny nie widział dziecka Celeste DuBois i Beau, nie zdawali sobie sprawy, że właśnie Ty nim jesteś. Rzeczywiście nie wyglądamy jak kuzynki, prawda?

Pismo Julii stało się mniej staranne, jakby się śpieszyła.

Mon amie, ma cousine, musze kończyć, bo inaczej Louis nie wyśle mi tego listu. Moje myśli i uczucia są przy Tobie. Nie zapominaj o mnie, a któregoś dnia znowu się odnajdziemy. Obiecuję. Twoja przyjaciółka na zawsze, Julia.

Gabrielle siedziała bez ruchu, wpatrując się w list. Nawet nie wiedziała, że płacze, dopóki nie ujrzała ciemnych plamek wilgoci na zapisanym papierze i na kremowej sukni. Zaczęła je ścierać wierzchem zaciśniętej dłoni. Tarła i tarła, ale nowe łzy wciąż bezgłośnie spływały jej po policzkach.

Beauregard St. Etienne. Jej ojciec pochodził z rodziny St. Etienne. Ona sama należała do rodziny St. Etienne. Przez całe życie marzyła o odnalezieniu swoich krewnych. Teraz ich znalazła, ale oni jej nie chcieli.

Nigdy jej nie chcieli.

Drzwi do gabinetu były uchylone. Jordan zawahał się, a potem lekko zapukał.

- Gabrielle? - zawołał cicho.

Drzwi skrzypnęły, otwierając się jeszcze o stopę. W pokoju było chłodno i ciemno, węgiel w kominku ledwie się żarzył, a jedyne światło dobywało się z otwartego przejścia do sypialni.

Jordan pchnął drzwi i wszedł do środka. Na podłodze przy biurku leżał jeden satynowy pantofelek, drugi kilka stóp dalej, jakby idąc, zrzuciła je z nóg. Jego wzrok przyciągnęła biała plama na dywanie. Schyliwszy się, podniósł rozdartą kopertę i stał na środku gabinetu, z namysłem uderzając nią o udo. Wing Tsue powiedział mu, że dostała list z domu i poszła do swego biura, żeby go przeczytać. Ale to było wiele godzin temu. Cokolwiek zawierał list, nie mogły to być dobre wieści.

Ruszył w stronę sypialni. Wiedział, że Gabrielle tam jest, nim jeszcze dotarł do łukowatego przejścia z kotarą. Kremowa suknia z satyny i koronki, którą miała na sobie tego wieczoru,

leżała na oparciu fotela przy oknie. A belgijski dywan zaścielały bezładnie rozrzucone śliczne kobiece części garderoby.

Podążając ich śladem, dotarł do łóżka i znalazł ją tam, leżącą z twarzą w poduszce, głową zakrytą rękami, z nogami dziwnie podkurczonymi pod siebie. Miała na sobie jedynie koszulę i halkę; spod zawiniętych falbanek wystawały obszyte koronką brzegi długich pantalonów. Jej nagie ramiona wydawały się dziwnie blade i kruche w świetle padającym z kominka. Widział, jak zacisnęła palce, a kilka kartek listu spadło na podłogę. Zaraz potem uniosła głowę i dostrzegła go.

W nienaturalnie bladej twarzy błyszcząco szeroko otwarte, nieruchome oczy. Wciągnęła głęboko powietrze; haftowana koszula napięła się na młodych jędrnych piersiach.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Znajdował się w jej sypialni, a ona była prawie rozebrana, ale nic wydawała się tym wcale zawstydzona czy skrepowana.

Ściągnął z siebie surdut i narzucił jej na ramiona.

- Musi ci być zimno.

Nie odpowiedziała, ale skwapliwie owinęła się okryciem, zaciskając obie poły pod szyją. Jordan podszedł do kominka, na którym ogień ledwie się palił.

- Czasami - rzekł, rozsuwając pogrzebaczem kawałki węgla
- dobrze jest porozmawiać. - Odczekał chwilę, ale się nie odzywała, więc dodał: - Chętnie posłucham.

Pochylił się, żeby podnieść z ziemi polano i dorzucić je na palenisko. Zerkając na Gabrielle przez ramię, zobaczył, że siedzi wyprostowana, z gołymi stopami zwisającymi z boku łóżka. Na nowo rozniecone płomienie odbijały się w jej rozpuszczonych włosach, pogłębiając jeszcze ich cudownie złocisty odcień.

Szybko odwrócił wzrok, schylając się po kolejny kawałek drewna.

- Dowiedziałam się, kto był moim ojcem – powiedziała schrypniętym głosem.

Rzucił szczapę do ognia, wzniecając snopy iskier, po czym znów sięgnął po pogrzebacz, dając jej czas na ubranie w słowa tego, co chciała mu powiedzieć.

- Myślałam, że nigdy się tego nie dowiem. Doszłam do wniosku, że jestem taka jak Arabella, jak Henry... jak oni wszyscy. Wynik dziesięcio- czy piętnastominutowego kontaktu z mężczyzną, zapomnianym, zanim zniknął za drzwiami. - Usłyszał westchnienie; obejrzawszy się dostrzegł, jak przetyka ślinę, z trudem próbując wydobyć z siebie głos. - Czyż to nie śmieszne? Przez tyle tygodni przeglądałam pokoje Celeste i

nigdy nie znalazłam niczego, co by rzuciło światło na osobę mojego ojca. I nagle dostaję list od najlepszej przyjaciółki...

Sięgnęła po zmięte kartki, rozrzucone na łóżku i na podłodze.

- Nazywa się Julia St. Etienne. Jej rodzice mają plantację na River Road, niedaleko Nowego Orleanu, i wysłali ją do klasztornej szkoły z internatem, kiedy miała trzynaście lat. Stała się dla mnie siostrą, której nigdy nie miałam. Jeździłam do niej do domu na Boże Narodzenie, podczas wakacji. Uwielbiałam to. Uwielbiałam ich. Zawsze byli tacy żywiołowi, zabawni. Czasami udawałam, że są moimi krewnymi.

Odłożył pogrzebacz na miejsce i wyprostował się. Nie patrzyła na niego. Siedziała z opuszczoną głową, uporczywie wygładzając arkusiki listu.

- I teraz się dowiedziałaś, że rzeczywiście nimi są?

Uniosła głowę, spoglądając na niego z oddali.

- Właśnie. Tylko okazało się, że nigdy nic chcieli mieć nic wspólnego z nieślubnym dzieckiem rodzinnej czarnej owcy i jego kochanki. I teraz, kiedy się dowiedzieli, że Celeste była moją matką, nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

Głos jej się załamał, przechodząc w żalosne łkanie. Podeszedł do niej i objął ją serdecznie. Chciał ją tylko przytulić i pocieszyć, ale jej włosy były w dotyku miększe niż jedwab, a

młode ciało jędrne i podatne. Zakreśliło mu się w głowie od słodkiego kobiecego zapachu. Spojrzał w jej oczy, błyszczące od łez, zamglone pożądaniem. Zacisnął palce na jej włosach. Rozchyliła usta, jakby zdziwiona, a on nakrył je pocałunkiem.

Miały smak lekko słony od łez. Przywarła do niego, wsunęła mu w usta język, trochę nieśmiało, lecz zdecydowanie. Surdut spadł jej z ramion, kiedy wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Pod cienką koszulą wyczuwał ciepłe gładkie ciało.

W końcu oderwał usta od jej ust, żeby ucałować oczy, policzki, włosy.

- Gabrielle - odezwał się zduszonym szeptem - nigdy nie chciałem... O. Chryste. - Zacisnął palce na jej ramionach, żeby ją od siebie oderwać.

Teraz ona wsunęła mu palce we włosy i trzymając go za głowę spojrzała mu w oczy. Oboje oddychali ciężko, ich rozchylone usta niemal się stykały.

- Nie przestawaj - poprosiła cicho. - Nie chcę, żebyś przestał.

- Gabrielle... - Pogłodził ją leciutko po policzku. - Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

- Jesteś mężczyzną, którego teraz pragnę.

- Teraz może tak. Ale za parę miesięcy, kiedy wyjadę, będziesz mnie nienawidzić, jeśli do tego dopuszczę.

Z kominka dobiegł trzask płomieni, sypialnię wypełniło złociste światło. Robiło się coraz cieplej.

- Boli mnie, Jordanie. Tutaj. - Ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersi, odciągając niżej koszulę, tak że jego ręka spoczęła na gołej skórze. - Byłam sama przez całe życie, ale jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna jak teraz. Proszę.

- Nie rób tego, Gabrielle. Jezu Chryste! - Poruszyła się i jego dłoń natrafiła na krągłą wypukłość piersi. Odruchowo zgiął palce, a kiedy poczuł twardą brodawkę, wręcz zabrakło mu tchu. – Gabrielle - powtórzył. Tym razem zabrzmiało to jak jęk udręki. Naparła na niego, nie pozwalając mu powiedzieć nic więcej.

Wpił się w jej usta, głęboko, natarczywie. Obejmując dłońmi jej pośladki, przyciągnął ją do siebie mocno, żeby poczuła twardość jego męskości, żeby wiedziała, czego się może spodziewać.

Zadrzała, ale nie próbowała wyswobodzić się z uścisku. Ułożył ją na łóżku, klękając obok na materacu, który ugiął się pod jego ciężarem. Cały czas obejmowała go za szyję, pociągając za sobą na posłanie.

Wsparty na łokciach, przez chwilę napawał się widokiem jej ślicznej twarzy.

- O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jakże piękna! - szepnął, delikatnie odgarniając jej włosy z czoła. - Oczy twe jako gołębice za twoją zasłoną, Jak wstążeczka purpury wargi twe i usta twe... - przesunął opuszką palca po jej nabrzmiąłych ustach - ...pełne wdzięku.

- Pieśń nad Pieśniami - szepnęła.

Potwierdził niespiesznym skinieniem.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, poważnymi oczami, kiedy powoli końcami palców muskał jej szyję, a potem dekolt. Nie spuszczała z niego wzroku, kiedy rozpiąwszy guziki koszuli uwolnił jej piersi, pełne, sprężyste, doskonale kształtne.

- Boże - westchnął. - Jesteś taka piękna.

Usiadł na łóżku, szarpnięciem zerwał krawat, szybko rozpiął kamizelkę i koszulę. Ściągnął je z siebie jednocześnie i odrzucił na podłogę, przez cały czas nie odrywając oczu od leżącej przy nim kobiety.

Nagi do pasa, znów się nad nią pochylił. Patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami, wodząc dłońmi po obnażonych mięśniach jego ramion, pleców, bioder. Piers jej falowała w przyspieszonym oddechu, pod skórą u nasady szyi widać było dziko bijący puls.

Wydała z siebie urywane westchnienie, kiedy najpierw muśnięciem palców obrysował kontur piersi, a potem wypełnił dłoń sprężystą krągłością.

- *Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli, co pasą się pośród lilii* - zacytował, opuszczając się nad nią, aż pierś dotknęła piersi, a usta znalazły się tuż przy ustach.

Poruszyła biodrami, biorąc go między uda, pieszcząc jego nagą skórę tak, jak o tym marzył od dawna.

- Nim wiatr wieczorny powieje, i znikną cienie - wyszeptała - pójdą ku górze mirry, ku pagórkowi kadzidła.

Pochylił głowę do pocałunku, który najpierw lekki i czuły, stopniowo stawał się coraz gorętszy, coraz bardziej namiętny. Ręce błądziły, pieściły, pobudzały, ciała drżały i płonęły.

Gdyby nie była dziewicą, posiadłby ją natychmiast, gwałtownie i szybko, ponieważ tak wielkie, niecierpliwe, palące było ich wzajemne pragnienie. Ale była dziewicą, więc zmusił się do powściągliwości, gotów niespiesznie i ostrożnie wprowadzić ją w cudowny świat cielesnych rozkoszy.

Zaczął od drażnienia językiem wrażliwego miejsca za uchem, następnie pocałunkami oznaczył drogę przez szyję do piersi. Kiedy wziął do ust nabrzmiałą brodawkę, uniosła się nieco wyginając plecy w łuk i wydała z siebie ciche

westchnienie. Lizał i ssał na przemian to jedną pierś, to drugą, owiewając jej wilgotną skórę ciepłym oddechem.

Wreszcie sięgnął niżej, żeby rozwiązać tasiemki halki i rozpiąć guziki majtek. Podążając ustami za śladem rąk, zsunął z niej bieliznę. Pomogła mu w tym chętnie, unosząc lekko biodra.

Patrzył na nią z góry, spięty pożądaniem tak wielkim, że aż drżał na całym ciele. Klękając między jej rozłożonymi nogami, powiodł dłońmi w górę po jej udach, zatrzymując się w tym jedynym, szczególnym miejscu. Wzdrygnęła się, chwytając go za nadgarstki.

- Ufasz mi? - spytał, nieruchomiejąc.

Skinęła z powagą.

- Więc rozluźnij się - polecił szeptem. - Rozluźnij się i pozwól, żebym ci pokazał rozkosz, jaką możesz czerpać ze swego ciała. - Posłusznie cofnęła ręce. Dotknął ją znowu, napawając się widokiem błogości na-jej twarzy. Odchyliła głowę do tyłu, jednocześnie zamykając oczy. Z całkowitym oddaniem pozwoliła, by wolno, delikatnie odkrywał przed nią nowe doznania.

Uznawszy, że nadeszła odpowiednia chwila, wsunął w nią palce i stwierdził, że jest gotowa na następny krok ku rozkoszy. Wolną ręką szarpnął sprzączkę pasa, rozpiął spodnie i uwolnił się od reszty odzienia.

Następnie wsunął dłonie pod jej pośladki, ułożył ją pod sobą i pochylił się nad nią całkiem nagi.

- Otwórz mi, siostró moja, przyjaciółko moja, gołąbko moja, ty moja nieskalana - powiedział, kładąc się na niej, tak że czuła napór jego twardej męskości. - Bo pełna rosy maglowa i kędziory me - kropli nocy.

Obejmując dłońmi jego twarz, odpowiedziała słowami pieśni:

- Wstałam, aby otworzyć miłemu memu, a z rak mych kapłała mirra, z palców mych mirra drogocenna - na uchwyt zasuw. Otworzyłam ukochanemu memu. - Usta miała drżące i wilgotne, rozchylone w nieśmiałym uśmiechu, oczy wielkie i pociemniałe pożądaniem. - Chodź do mnie, Jordanie - zakończyła szeptem. - Pragnę cię. Płonę z pożądania. Nie boję się tego, co nastąpi.

- Och, Gabrielle. - Przywarł ustami do jej ust, równocześnie wchodząc w nią ostrożnie. Była niesamowicie ciasna. Powoli, lecz nieustępliwie, wdzierał się głębiej. Słyszał jej przyspieszony oddech, ale nie opierała się, nie próbowała go powstrzymać, tylko patrzyła na niego oczami zamglonymi czułością.

Zatrzymał się w pół drogi, napięty i czujny.

- Boli? - spytał z troską.

- Troszkę. - Zacisnęła palce na jego ramionach, przyciągając go do siebie. - Ale nie przestawaj. To... przyjemny ból, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Zaśmiała się gardłowo.

- Wiem. - Odgarnął kosmyk włosów z jej wilgotnego policzka i pocałował ją z tkliwością. - Ale muszę cię ostrzec, że może zboleć bardziej, przez moment. Potem najgorszy ból powinien minąć.

Poruszyła się pod nim niespokojnie.

- Jordan, proszę. - Mówiła z trudem, widział napinające się mięśnie na jej szyi. - Chcę... potrzebuję...

Sama nie wiedziała, czego potrzebuje, o co go prosi. Ale on wiedział. Wydając z siebie westchnienie rozkoszy, zagłębił się w jej wilgotnym, miękkim cieple. Poczwała, jak na moment stężał, lecz natychmiast zaczął się w niej wolno poruszać, unosząc ją ze sobą ponad granice bólu, ku bramom niewyobrażalnej przyjemności.

Wyprężyła się pod nim, wołając jego imię, oplótła go nogami i przywierając do niego z całych sił, zaczęła się poruszać wraz z nim, poddana narzuconemu przez niego rytmowi. Zaciskając dłonie na jej pośladkach, utonął w niej bez reszty, posiadał ją, oddał się jej, połączył się z nią.

Razem całkowicie złączeni, dotarli na szczyt rozkoszy, ponad ludzki ból niepokój, ponad oszalałe bicie serc i zdyszane oddechy.

Gabrielle poczuła łzy wzbierające gdzieś w środku, ściskające gardło, piekące pod powiekami. Tak objawiały się nagle wyzwolone uczucia, których nie rozumiała i nie potrafiła opanować. Zaskoczona, zakłopotana swą nagłą słabością, ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

Pochylał się nad nią wysoki, śniady, nagi mężczyzna, o ciele śliskim od potu. Przytulona do niego, czuła drzenie jego mięśni zmęczonych tym, co przed chwilą razem przeżyli. Nadal spoczywał pomiędzy jej nogami, wyczerpany, ciężki, wilgotny.

Objęła go mocno za szyję, nie chcąc, by ten moment bliskości, tego cudownego zespolenia, przeminał. Odetchnęła głęboko, napawając się jego męskim, nieco pizmowym zapachem. Czuła się przepelniona miłością, ogarnęło ją dziwne uniesienie. Wtedy nagle on oparł się rozpostartymi dłońmi o łóżko, rozplaszczając poduszkę przy jej głowie i uniósł się na rękach. Ich ciała oddzieliły się od siebie. Chłodne powietrze owiało jej mokrą od potu skórę, wzbudzając w niej dreszcz.

Jordan przyglądał jej się spod zmarszczonych brwi. Przenosząc ciężar ciała na bok, dostrzegł łzę, która zdradziecko umknęła spod opuszczonych rzęs i spłynęła w stronę ucha.

— Ty płaczesz - zauważył.

Próbowała odwrócić głowę, ale chwycił ją za podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała. Niespodziewanie odnalazła w jego złagodniałych rysach zrozumienie i współczucie.

- To się czasami zdarza - rzekł cicho.

Wiedziała, że chciał ją pocieszyć. Ale te słowa ją zraniły, bo przypomniały jej z niemiłą ostrością, że to, co dla niej było czymś wyjątkowym, dla niego stanowiło jedynie kolejne doświadczenie. Przytłoczył ją nagle ciężar własnej naiwności i niewinności.

Ucałował jej oczy, zlizwał słone łzy z policzków.

- Sprawilem ci ból? - spytał szeptem, pocierając nosem o jej skroń.

Pokręciła głową.

- Tylko przez moment. - Przesunęła dłonią po jego piersi; twarde mięśnie obleczone gładką skórą były cudownie przyjemne w dotyku. Była pełna zachwyty dla jego ciała. Miała ochotę dotykać go wszędzie, gładzić smukłe uda, umięśnione pośladki, płaski brzuch. Ale nagle odezwała się w niej nieśmiałość, całkowicie pozbawiając ją pewności siebie. - Czy ja cię zadowoliłam?

Posłał jej łobuzerski uśmiech, od którego zawsze robiło jej się ciepło wokół serca.

- O, cuda! cuda! najcudowniejsze cuda! I raz jeszcze cuda, cudowniejsze nad wszystkie cuda!

Poczuła, jak wzbiera w niej łaskoczący trzewia śmiech.

- A to skąd? - spytała, chichocząc.

- *Jak wam się podoba.* Cóżby innego? - odpowiedział radośnie.

Przytknęła czoło do jego czoła. Położył jej rękę na szyi i przyciągnął do siebie, do pocałunku, który przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

- Chyba znowu cię pragnę - powiedział już poważnym, dziwnie zduszonym głosem.

Zajrzała mu w oczy i zobaczyła w nich to pragnienie. Wyciągnęła rękę i nieśmiało, z drzeniem dotknęła jego nagiego biodra.

Przesunął jej dłoń niżej, aż spoczęła na nabrzmiałej męskości.

- Widzisz, jak bardzo cię pragnę - szepnął.

Niemal przestraszona własną śmiałością, opuściła wzrok, by objąć wzrokiem to, co czuła dotykiem. Kochała go aż do bólu.

- Znowu cię pragnę. - Ujął ją za podbródek, żeby spojrzeła mu w oczy. - I wciąż będę cię pragnął, dopóki tu będę. Ale musisz jedno zrozumieć, Gabrielle. To, co się między nami

zdarzyło, zmieniło wiele, ale nigdy nie zmieni tego jednego. Pod koniec czerwca zamierzam stąd wyjechać.

Poczuła, że coś jej pęka w środku, nieubłaganie i boleśnie. Największym wysiłkiem woli zmusiła się do opanowania.

- Wiem. Już ci mówiłam, że rozumiem.

Do pewnego stopnia była to prawda. Bo choć wiedziała, że zamierzał wyjechać, nie przestawała go kochać. I żałowała, że nie może go zatrzymać na zawsze w swoim życiu. Musiała jednak nacieszyć się nim choćby tyle, ile mogła.

Przez chwile patrzyli na siebie w milczeniu; zapewne oboje wiedzieli, skąd się wzięły jej wcześniejsze łzy, ale żadne nie chciało wypowiedzieć tego głośno. Nachylił się do jej ust. Wtuliła się w niego, skwapliwie odwzajemniając pocałunek. Przycisnął ją mocno do siebie.

- Tym razem - powiedział, prawie nie odrywając od niej warg - zrobimy to bez pośpiechu. Będę cię dotykał wszędzie. Rękami. Językiem. A potem ty zrobisz to samo ze mną.

- Podoba mi się ten pomysł - oznajmiła z zalotnym uśmiechem. - Noc jeszcze jedną przepędźmy wesoło: przywołaj moich smutnych kapitanów, raz jeszcze winem napełń nam puchary! Budźmy głuchymi na północny zegar.

Ze śmiechem przewrócił ją na plecy.

- Coś mi się zdaje, że siostrzyczki nie bardzo się przykładały do pilnowania twojej lektury.

Zawtórowała mu śmiechem, który zaraz przeszedł w westchnienie, potem w namiętny jęk, aż wreszcie zginął w szumie ciepłego wiosennego wiatru za oknem.

15

Nie spał już, kiedy ją obudziło światło poranka.

Przesunęła dłońią po zimnym, pustym miejscu w pościeli, wdychając ledwie wyczuwalne pozostałości jego zapachu. Dopiero przekręciwszy się na brzuch, poczuła nieznaczny ból pomiędzy nogami. Natychmiast sobie uświadomiła, co było jego przyczyną.

Uświadomiła sobie, kim się stała.

Nie była już dziewicą. Przez całe dotychczasowe życie uczono ją, że czystość jest najpiękniejszą ozdobą każdej młodej kobiety, talizmanem, który panna młoda ofiarowuje mężowi w noc poślubną. A ona oddała swą niewinność, całkiem dobrowolnie, mężczyźnie, który nie miał zamiaru się z nią ożenić. Mężczyźnie, który wielokrotnie ostrzegał, że za kilka miesięcy zniknie z jej życia.

Odwróciła się z powrotem na plecy, zasłaniając oczy ramieniem. Wciągnęła głęboko powietrze, aż zakłuło ją w płucach, po czym wypuściła je wolno, z westchnieniem. Nie planowała tego, co się stało ostatniej nocy, Przyszedł do niej z chłodu ciemności, kiedy czuła się samotna i odrzucona. Obdarzył ją swym ciepłem, swoją siłą i współczuciem, i choć miała świadomość, że teraz powinien ją przygniatać ciężar

grzechu i wyrzutów sumienia, nie potrafiła żałować tego, co zaszło między nią i Jordanem. Kochała go, oddała mu się, a ich zbliżenie okazało się nieoczekiwanie cudowne. Na chwilę opuściła ją ta straszna samotność, która towarzyszyła jej przez całe życie. Doznała zespolenia z drugą ludzką istotą wykraczającego poza czysto cielesne połączenie, bo ich dusze także się spotkały.

Wiedziała, a nawet była pewna, że ból, który Jordan nosił głęboko w sercu, zelżał. Chociaż na tę jedną chwilę.

Wysunęła się spod kołdry, miękka pościel przyjemnie gładziła gołą skórę. Jeszcze nigdy nie spała nago, nigdy też nawet w samotności nie pozwalała sobie na paradowanie bez bielizny. Opuściła stopy na podłogę i wstała, ku swemu zaskoczeniu doświadczając miłego dreszczu zmysłowej wolności.

W pokoju było ciepło; zauważyła, że przed wyjściem Jordan musiał dołożyć do ognia, bo płomienie w kominku strzelały wesoło, przeganiając wczesnowiosenny chłód. Wyciągnęła rękę po szlafrok, lecz nagle znieruchomiała w pół gestu, a potem zbliżyła się do bogato rzeźbionego lustra, zajmującego róg sypialni nieopodal kominka.

Nigdy wcześniej nie oglądała siebie nagiej. Teraz patrzyła na kobietę o swobodnie rozpuszczonych włosach i jasnej skórze. Na niezamężną kobietę, która nie była już dziewczyną.

Uniosła rękę i niepewnie dotknęła piersi, tak jak on jej dotykał, i poczuła echo tamtej przyjemności. Podobały mu się jej piersi, chwalił je, poświęcał im wiele uwagi, pieszcząc dłońmi, ustami, językiem. Nie wyobrażała sobie nawet, że męski dotyk może sprawiać tyle rozkoszy. Zsunęła rękę po brzuchu, aż do tego drugiego miejsca, któremu także nie szczędził pieszczot i pocałunków. Nawet jej się nie śniło, że mężczyzna i kobieta mogą ze sobą robić takie rzeczy. Przypomniała sobie, jak ona go dotykała i natychmiast oblał ją żar.

- Piękna, muszę przyznać - usłyszała za sobą niski głos o wirginijskim akcencie.

Odwróciła się gwałtownie. Stał oparty biodrem o framugę drzwi, w niedbalej pozie, z jedną dłonią zatknietą za pas. Był kompletnie ubrany, w czarny surdut i czarne spodnie. Biel koszuli podkreślała śniady odcień męskiej twarzy. Stała naprzeciw niego z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Z jakiegoś powodu - powiedziała - wydaje mi się, że powinnam wyglądać... inaczej.

Podszedł tak blisko, że musiała zadrzeć głowę, by na niego spojrzeć. Delikatnie pogładził ją po nagim ramieniu.

- Nie widzę szkarłatnej litery na twoim ślicznym młodym ciele.

Dotyk był całkiem niewinny, a mimo to aż zadrżała. Stała przed nim naga... Powinna się wstydzić, a czuła jedynie... rozchodzące się po ciele ciepło.

- Ja też jej nie widzę- przyznała, unosząc kąciki ust w uśmiechu.

Płomienie na kominku strzeliły w górę, rzucając czerwony blask na jego nagle napiętą twarz. Przywarli do siebie jednocześnie. Ona zarzuciła mu rękę na szyję, on objął ją w pasie i mocno przycisnął. Ciepłe dłonie nagle znalazły się na jej pośladkach, palce zacisnęły się, niemal dotykając jej najbardziej sekretne miejsce.

Nakrył jej usta jednym z tych długich, gorących pocałunków, które tak uwielbiała, od których coś topniało jej w środku.

- Jordan... - zaczęła niepewnie, ale brakło jej tchu, kiedy porwał ją w swe mocne ramiona i zaniósł na łóżko. Trzymając się kłap surduta, powiedziała ze śmiechem; - Przecież nie możemy tego zrobić. W środku dnia. To z pewnością... nieprzyzwoite?

Ułożył ją na pościeli i zaczął się rozbierać, ani na moment nie spuszczać z niej wzroku.

- Chcesz być kobietą przyzwoitą i rozczarowaną, panno Gabrielle Antoine? - Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiešku. - Czy nieprzyzwoitą i zadowoloną?

Przyciągnęła go do siebie.

- Doszłam do wniosku, że wolę to drugie.

Później, kiedy leżeli spleceni w uścisku, poczuła, że zaczął się niespokojnie wiercić.

- Gabrielle... - Przesunął dłonią po jej żebrach do bioder. - Myślę, że powinnaś porozmawiać z którąś z dziewczyn... najlepiej z Sireną. O zapobieganiu...

Uniosła się na łokciu, podpierając brodę na zwiniętej pięści i spojrzała na niego z góry. On na nią nic patrzył.

- O zapobieganiu ciąży, chcesz powiedzieć?

Zerknął na nią szybko, po czym znów uciekł wzrokiem.

- Właśnie.

Opadła na posłanie, kryjąc twarz w zagłębieniu jego ramienia, żeby nie widzieć tego chłodnego, dalekiego wyrazu, jaki znów zagościł na jego twarzy. Zawsze nienawidziła tej dziwnej pustki bijącej z jego oczu. Teraz odkryła, że jeszcze bardziej ją niepokoi, wręcz przeraża.

- Powinnaś to zrobić jak najszybciej - ciągnął, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Właściwie powinnaś to zrobić wcześniej. Jeśli...

- Nie musisz się martwić - przerwała mu szybko, nim zdążył powiedzieć więcej, bo to, co już powiedział, raniło ją wystarczająco boleśnie. Nawet nie pomyślała o możliwości zajścia w ciążę, co było miarą jej naiwności i braku doświadczenia. Poczula się nieswojo; wiedziała, że ten niepokój może się rychło przerodzić w panikę, jeśli na to pozwoli. Miała ochotę przycisnąć dłoń do brzucha, jakby to ją miało upewnić, że w środku nie zaczyna dojrzewać nowe życie. - Nie musisz się martwić - powtórzyła. - Nic nie będzie cię przy mnie trzymać, kiedy nadejdzie czas twojego wyjazdu.

Nie zabrzmiało to tak pewnie i beztrusko, jakby sobie życzyła, bo co innego wiedzieć, że miał zamiar wyjechać, a co innego się z tym pogodzić. Poczula, że odwrócił głowę na poduszce. Wiedziała, że na nią patrzy, ale nie odsłoniła twarzy, więc widział tylko jej włosy.

- Gabrielle - westchnął, jakby zniechęcony.

Powstała w niej obawa, że może nie zamierza czekać do czerwca z opuszczeniem Central City. Mógł przecież wyjechać zaraz, jutro, lub kiedy poczuje, że zaczyna być z nim zbyt mocno związana, że może mu utrudnić wyjazd.

Zmusiła się więc do uniesienia głowy, do spojrzenia na niego, do zachowania tak samo nieprzeniknionego wyrazu twarzy.

- Ja też, tak samo jak ty, nie chcę, żeby z tego, co robiliśmy poczęło się dziecko, Jordanie. Zapominasz, że sama jestem nieślubnym dzieckiem. Nie chciałabym zgotować takiego losu mojemu własnemu potomstwu.

Była to prawda, przynajmniej do pewnego stopnia. Rysy mu nieco zmiękły, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie tak, że na wpół na nim leżała.

- Nigdy mi nie mówiłaś, co się stało z twoim ojcem.

- Zginął - odparła krótko, gładząc go leniwie po piersi. - W pojedynku, jeszcze przed moim urodzeniem.

- Przykro mi.

Pomyślała, że pewnie rzeczywiście mu przykro. Ostatecznie wiedział lepiej niż, ktokolwiek inny jak wiele dla niej znaczyło poszukiwanie wieści o rodzicach. Pokiwała głową w zadumie.

- To oznacza, że już nigdy nie poznam żadnego z nich.

- Przynajmniej wiesz, kim byli.

- Owszem -przyznała. A kiedy ją do siebie przyciągnął, żeby pocałować, uświadomiła sobie, że prawda, którą odkryła, w znacznym stopniu tłumaczyła to, gdzie się znalazła i co robiła.

Istniało miejsce, gdzie rozkołysane czubki sosen i modrzewi zdawały się muskać szerokie, bezkresne niebo. Gdzie rozłożyste gałęzie zasłaniały brzydkie zagłębienia w zboczach, wyryte przez białych ludzi, a postrzępione grzebienie skał ukrywały widok drewnianych zabudowań, przyklejonych do wąwozów niczym wyrzucone przez wodę skorupy nadrzecznych głazów. Było takie miejsce, gdzie wiatr szeptał w wysokich trawach, a potok śmiał się, gulgocząc na kamieniach, niemal zagłuszając miarowe dudnienie kruszarki z Black Hawk.

Rozłożona na płaskiej granitowej skale nad potokiem, Sirena zadarła spódnicę i halki, wystawiając gołe nogi i stopy na pieszczotę słońca. To było jej miejsce, wysoko na zboczu za domem. Przychodziła tu, kiedy chciała być sam na sam z osobą, którą była kiedyś.

Ale dziś nie była sama. Dostrzegła Gabrielle wspinającą się między drzewami w jej stronę. Nie ruszając się z miejsca, Sirena obserwowała, jak Gabrielle przedziera się przez oślizłe pnie i gęste poszycie, aż dotarła na drugi brzeg strumienia i przystanąła niepewnie.

Sirena ukryła uśmiech, widząc, że Gabrielle przyjrząwszy się bystremu prądowi u swoich stóp, niosącemu przy tym resztki śniegu, zadarła głowę i spoglądała na nią w milczeniu.

- Jak się przeprawiasz na drugą stronę? - spytała w końcu.

- Trzeba zdjąć buty i pończochy i przejść wplaw.

- Aha.

Widziała, jak Gabrielle waha się przez chwilę, a potem, zadarłszy spódnicę, odpina pasek i roluje pończochy. Następnie rozpięła i zsunęła z nóg wysokie trzewiki, wepchnęła do nich pończochy i podtrzymując wysoko spódnicę, zanurzyła stopę w strumieniu.

Sirena czekała z zaciekawieniem, aż stopa Gabrielle powiadomi jej mózg o temperaturze wody. Gdy to nastąpiło, Gabrielle wydała z siebie głośny pisk i przebiegła na drugą stronę tak szybko, że omal nie upuściła butów do wody.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, łapiąc oddech. - Ta woda jest lodowato zimna.

- Bo jeszcze całkiem niedawno była lodem. Przecież mamy odwilż.

Gabrielle opadła obok niej na skałę i falbaną halki zaczęła wycierać mokre, czerwone nogi.

Sirena skrzyżowała ręce pod głową.

- Jak mnie pani znalazła?

- Youngmi powiedziała mi, że czasem tu przychodzisz.

- Kiedy chcę być sama.

Gabrielle raptownie uniosła głowę, napotykając nieprzychylnie spojrzenie Sireny.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę cię o coś zapytać.

Sirena podparła się na łokciu.

- Tak? O co?

Widziała jak na szyję i policzki rozmówczyni wpełza rumieniec zawstydzenia. Gabrielle ostatnio nieczęsto się rumieniła. Nic dziwnego, ostatecznie od tygodni mieszkała w burdelu. Sirena aż usiadła, szczerze zaciekawiona.

Gabrielle unikała jej wzroku, wpatrzona w zbocze, na którym pośrodku pasa czystej ziemi pozbawionej śniegu kwitła kępa białych wiosennych kwiatków.

- Muszę się czegoś dowiedzieć o... - Odchrząknęła; głos z trudem wychodził jej z gardła. - O kobiecych sposobach zapobiegania ciąży.

Sirenie na moment zabrakło tchu, bynajmniej nie z powodu zaskoczenia. Nazwałaby to raczej współczuciem, zaprawionym solidną dozą złości na Jordana Haysa. Westchnęła z rezygnacją.

- Więc wziął panią do łóżka?

Gabrielle szybko odwróciła głowę. W jej niezwykłych szarych oczach był blask, troska i... świadomość. Sirenie przeszło przez myśl, że gdyby wcześniej zajrzała jej w oczy, dowiedziałaby się bez słów, że Gabrielle już nie jest dziewczcą.

- Cóż, do licha - zaczęła Sirena, opierając się na podciągniętym kolanie. - Powinna pani była pomyśleć o tym wcześniej. Ale mogę przyrządzić dla pani napar, który mógłby pomóc. Potem, jeśli to się będzie powtarzać, będzie pani musiała używać stożków. A sądzę, że będzie się powtarzać?

Gabrielle potaknęła, nerwowo zwijając w palcach rąbek halki. Patrząc na opuszczoną głowę Gabrielle, Sirena poczuła się nagle stara, mimo swoich osiemnastu lat.

- Kocha go pani, prawda? - spytała cicho.

- Inaczej bym tego nie zrobiła. - Gabrielle podniosła na nią wzrok.

Sirena przyjęła wyznanie z krzywym uśmiechem.

- Na pewno nie.

Gabrielle tym razem wytrzymała jej spojrzenie.

- Kochałaś pierwszego mężczyznę, z którym byłaś?

Sirena zachnęła się gwałtownie. Pobladła, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Przestraszona Gabrielle nieśmiało dotknęła jej rękawa.

- Przepraszam. Nie powinnam była pytać. Wybacz.

- Nie - odezwała się z wysiłkiem Sirena. Mogę pani powiedzieć. Ostatecznie to żadna tajemnica. – Podciągnąwszy kolana pod brodę, objęła je ciasno ramionami. – Pierwszym mężczyzną, który mnie posiadał, był mój ojczym. - Nie zwracając

uwagi na reakcję Gabrielle, mówiła dalej: - Nazywał się Silas Priestly, a ja miałam piętnaście lat, kiedy wojsko oddało mu mnie i mojego młodszego brata. Moja matka już wtedy nie żyła, ale ponieważ w momencie, kiedy pojмали ją Apacze, była żoną Silasa Priestly'cgo, uznano, że należymy do niego.

Sirena z odchyłoną do tyłu głową wpatrywała się w czyste niebo, wspominając tamte straszne dni, kiedy wyrwano ją z jedyne go świata, jaki znała, i brutalnie wrzucono w inny, obcy i okrutny. I niebezpieczny.

- Mój brat miał trzynaście lat. Silas odesłał go do rodziny mojej matki do Bostonu, ale mnie zatrzymał. Tego samego wieczoru, kiedy odprowadził mojego brata na stację, przyszedł do mojej sypialni i mnie zgwałcił. Zrobił to samo następnej, nocy i następnej, i jeszcze następnej.

Patrzyła na Gabrielle, jakby domagając się wyrazów współczucia. Ale Gabrielle powiedziała:

- Dlaczego nikt mu nie przeszkodził?

Sirena wzruszyła ramionami.

- A kogo to obchodziło? Dla mojego ojczyma i jemu podobnych byłam po prostu samicą. Z początku tylko on mnie wykorzystywał. Ale potem zaczął wypożyczać mnie za opłatą innym mężczyznom. Trzymał mnie w przybudówce na tyłach domu, jak jakieś zwierzę. Trzymał mnie tam prawie przez rok.

Aż którejs nocy udało mi się ukraść nóż jednemu z typów, których do mnie wpuszczał. Zabiłam go od razu. A kiedy Silas przyszedł go wypuścić, zabiłam też Silasa.

Nastąpiła długa cisza, przerywana jedynie szumem wiatru i bulgotem strumienia. Czasami odgłos strumienia przypominał Sirenie dźwięk, jaki wydawał z siebie Silas tamtej nocy, kiedy go zabiła.

Spodziewała się, że Gabrielle odsunie się od niej z lękiem. Ale ona tylko wpatrywała się w Sirenę wielkimi poważnymi oczami, i w końcu powiedziała:

- Byłaś taka dzielna.

- Dzielna? - Sirena potrząsnęła głową. - O, nie. Gdybym była dzielna, zabiłabym go już pierwszej nocy. - Gdybym była bardziej córką mego ojca, a mniej córką tej łagodnej, wychowanej w Bostonie kobiety, która wciąż powtarzała swoim dzieciom, że nie wolno zabijać, dodała w duchu. - Sama pani widzi - przybrała lżejszy ton, opuszczając nogi na ziemię. - W pewien sposób pani zazdroścę. Bo sama nigdy nie zaznałam przyjemności z mężczyzną. Był jedynie ból. A potem... odrętwienie.

Sirena schyliła się po swoje buty i pończochy, lecz Gabrielle nie ruszyła się z miejsca. Wciąż przyglądała się Sirenie

oczami, które widziały tak niewiele z tej brzydkiej strony życia. I tak słabo znały brzydką stronę ludzkiej natury.

- A jak tutaj trafiłaś? - spytała, marszcząc czoło.

Sirena znów odpowiedziała wzruszeniem ramion.

- Chcieli mnie powiesić, ł pewnie by to zrobili, gdyby nie porucznik kawalerii, który wcześniej oddał mnie Silasowi, Dowiedział się jakoś, co mnie spotkało, i zdołał powstrzymać egzekucję. Problem polegał na tym, że po wyjściu z więzienia nie miałam się dokąd udać. Byłam zabójczynią i nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Poza pani matką. Zaoferowała mi na jakiś czas gościnę. Tylko tyle, miejsce, gdzie mogłam zamieszkać. To była moja własna decyzja, by zacząć tu pracować.

- Ale dlaczego? Dlaczego w taki sposób?

Nastąpiło kolejne wzruszenie ramion, po czym Sirena odwróciła się i weszła do strumienia. Słyszała, że Gabrielle idzie za nią, ale się nic obejrzała ani nie próbowała odpowiedzieć na jej pytanie. Ponieważ wiedziała, że nie jest w stanie znaleźć odpowiednich słów, żeby wyjaśnić tej niewinnej dziewczynie rytuał samoupokorzenia i zemsty, w jakim utknęła.

Dziesięć dni później petycja wielebnego Parkesa została opublikowana w gazecie, wraz z długimi kolumnami

nazwisk ludzi, którzy ją poparli.

Gabrielle posilała się w kuchni grzanką z piklami, kiedy Jordan położył obok jej talerza otwartą gazetę.

- Kłopoty - rzucił zwięźle.

Wykręciła szyję, żeby na niego spojrzeć. Odkąd jakąś godzinę temu opuścili łóżko, zdążył się umyć i ogolić. Ale nie założył jeszcze surduta ani nie zawiązał krawata, a biała koszula rozchylona na piersi ukazywała apetyczny, przyciągający wzrok kawałek umięśnionego męskiego ciała.

Byli kochankami już od ponad tygodnia, lecz ani trochę nie znudziło jej się patrzeć na niego, dotykanie go i nigdy nie miała dość tego, co robili w jej nieprzyzwoicie szerokim łóżku.

Jeśli już, to raczej była coraz bardziej zafascynowana jego ciałem, pochłonięta seksem... i z upływem czasu coraz bardziej w nim zakochana.

Z trudem zmusiła się do oderwania od niego oczu i spojrzenia na gazetę, którą jej podsunął.

- Co to jest? - spytała, przebiegając wzrokiem stronicę.

- Próba zamknięcia naszego interesu, i wygląda na to, że zyskała sobie cholernie szerokie poparcie. Przynajmniej jedna czwarta nazwisk na tej liście należy do naszych klientów.

- Hipokryci - mruknęła, czytając zarzuty stawiane Przybytkowi Celeste. - Jak można regularnie chodzić do kasyna i domu rozpusty, a potem przeciwko nim protestować?

- Jeśli będziesz czytać uważnie, przekonasz się, że nie protestują przeciwko kasynom i domom publicznym w ogóle. - Nalał sobie filiżankę kawy, odsunął od stołu krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Chcą się pozbyć jedynie kasyna i domu publicznego przy Nevada Gulch. Znajdujemy się w szacownym otoczeniu. Pewnie według nich nasze miejsce jest przy głównej ulicy obok innych kasyn i burdeli. Albo przy Dostał Alley, koło chińskich palami opium i spelunek Douga Slaughtera.

- Myślisz, że on za tym stoi? - spytała, patrząc mu w oczy.

- Slaughter? Możliwe. Chociaż nielogiczne. Może nas pozbawić interesu, wzniecając moralny ferment wśród mieszkańców Central City, ale co będzie z tego miał? Jeśli nie chcą nas, jego też nie będą chcieli. - Jordan wskazał smukłym palcem nazwisko pośrodku listy. - Zresztą sam się podpisał pod petycją.

Gabrielle westchnęła, jeszcze raz przebiegając wzrokiem tekst.

- A kim jest ten wielebny Parkes?

- Wing Tsue jest teraz w mieście i stara się zebrać jak najwięcej wiadomości o tym człowieku. Na razie wiemy tylko

tyle, że przybył do Central City jakieś pół roku temu, żebym zamieszkać na plebani kościoła Świętego Jakuba, a ulubionymi tematami jego kazań są niegodziwości faraonów, Bachusa i upadłych niewiast z rynsztoka.

- Co teraz zrobimy? - spytała zaniepokojona.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. -Niespodziewanie uśmiechnął się półgębkiem.

- Spójrz na to z innej strony. Jeśli wielebnemu Parkesowi uda się dopiąć celu, przynajmniej dostaniesz swój budynek na szkołę prędzej, niż się spodziewałaś.

Próbowała odwzajemnić uśmiech, ale strach ścisnął jej serce. Bo myślała tylko o tym, że z chwilą, gdy dom przestanie pełnić dotychczasową funkcję, nic go nie zatrzyma, i wyjedzie.

A ona go utraci.

To Wing Tsue powiedział Jordanowi o regularnych odwiedzinach Parkesa w posiadłości Douga Slaughtera w Black Hawk.

- Sądysz, że wielebny Parkes zdaje sobie sprawę, jakiego pokroju człowiekiem jest Slaughter? - spytała Gabrielle, zapatrzona w trzaskający na kominku ogień. Nadeszła wprawdzie wiosna, ale noce nadal bywały strasznie zimne.

Siedziała na dywanie u stóp Jordana, wsparta o jego kolana. Często odpoczywali tak wieczorem w gabinecie jej matki, sami, przed pójściem do łóżka. Zdejmował surdut, kamizelkę i krawat, a ona zakładała nocną koszulę. Siedziała przed nim, a on szczotkował jej włosy.

Uwielbiała dotyk jego mocnych, zręcznych rąk. Czasami szeptał jej do ucha miłosne wiersze, delikatnie przesuwając szczotką po jej ramionach i plecach, co zwykle kończyło się miłosnym aktem na dywanie przed kominkiem. Jednak ten wyglądał inaczej. Tego wieczoru rozmawiali wyłącznie o zagrożeniu, które spadło na nich całkiem niespodziewanie.

Jordan zebrał w dłoni jej włosy i patrzył, jak jedwabście prześlizgują się między jego palcami.

- Przypuszczam, że nasz zacny pastor może być łatwowierny, chociaż to mało prawdopodobne. Stawiałbym raczej na chciwość.

Opierając policzek na jego kolanie, Gabrielle w zamyśleniu gładziła go po łydce.

- Mam grzeszne, wręcz zbrodnicze pomysły - wyznała. - Począwszy od szantażu, a skończywszy na morderstwie.

- I to mówi dziewczyna wychowana w klasztorze? Jestem wstrząśnięty, panno Antoine. - Słyszała w jego głosie wyraźne

rozbawienie. - Sam mam paru kandydatów do zamordowania, ale kogo chciałabyś szantażować?

- Właściwie nikogo. Przypomniałam sobie tylko zapiski na temat wszystkich klientów mojej matki, schowane w jej biurku. Niektórzy z tych mężczyzn podpisanych pod petycją są tam z pewnością.

Ręka trzymająca szczotkę znieruchomiała.

- Jakie zapiski?

- Nazwiska, daty... inne rzeczy.

Chwycił ją za włosy i leciutko pociągnął, żeby na niego spojrzała.

- Jakie inne rzeczy?

Na myśl o tym, co wyczytała w notatkach matki, oblała się rumieńcem. Mimo tego wszystkiego, co zdążyła zobaczyć. Mimo tego, co sama zrobiła.

- Przyniosę ci je, jeśli chcesz.

Puścił ją natychmiast. Podeszła do biurka i wyciągnęła plik papierów z dolnej szuflady.

- Proszę, oto one.

Wziął od niej notatki i szybko przekartkował. Na jednej ze stron dłużej zatrzymał wzrok, po czym rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

- Czytałaś to?

- Tylko... przejrzałam. - Poczowała żar na policzkach. – Nie miałam pojęcia, że ludzie robią tego rodzaju rzeczy.

Jordan chrząknął, skupiając się ponownie na czytaniu.

Przyglądała mu się uważnie.

- Chyba nie zamierzasz szantażować tych ludzi?

Pokręcił głową przecząco.

- Nie. Oczywiście nie dlatego, bym miał jakiegokolwiek moralne skrupuły. Nawet gdybyśmy zmusili niektórych do wycofania podpisów, wątpię czy to by powstrzymało zacnego pastora.

- Jest żonaty? - zainteresowała się Gabrielle, siadając na blacie biurka.

- Jest wdowcem, według tego, co mówi Wing Tsue. To jeden z haków, jakie ma na niego Slaughter. Przed ołtarzem wielebny Parkes grzmi i ciska gromy na kobiety, każe im chodzić we włosiennicach i posypywać głowy popiołem w pokucie za upadek ludzkości i zabójstwo Syna Bożego. A prywatnie lubi... Hmm, ujmijmy to inaczej. Ma nietypowe upodobania.

- Obrzydliwy, fałszywy typ.

Jordan cisnął papiery na biurko.

- Przypomina mi człowieka, którego moi rodzice zatrudnili kiedyś jako nauczyciela dla mnie i moich braci. Robił nam

płomienne wykłady o tym, że kobiety są winne wszystkiemu, począwszy od upadku cesarstwa rzymskiego po rewolucję francuską. Ale miał też zwyczaj podszczypywania i bałamucenia służących, ilekroć mu się zdawało, że nikt nie widzi.

Gabrielle przyjrzała się Jordanowi z zaciekawieniem. Tak rzadko mówił o swoim życiu przed przybyciem do Central City. Dotąd nawet nie wiedziała, że miał braci. Zaczęła się zastanawiać, czy los jego braci miał coś wspólnego z bólem, który w sobie nosił. Bo podejrzewała, że ten ból wiązał się nie tylko ze śmiercią ojca i Sophie, choć i te wydarzenia były wystarczająco tragiczne. Odnosiła wrażenie, że wszystko, w co wierzył, wszystko, co kochał, zostało unicestwione.

- Ja i moi bracia nie znosiliśmy tego starego satyra – mówił dalej Jordan. Wspomnienie wywołało na jego twarzy uśmiech, choć wcale niewesoły. - W końcu się go pozbyliśmy. Przekupiliśmy jedną ze służących, żeby się ukryła w jego łóżku i nim stary cap zdążył ją stamtąd usunąć, podstępem wysłaliśmy matkę do jego pokoju.

Zachwycił ją łagodny, niemal młodzieńczy wyraz jego twarzy, kiedy mówił o swym dzieciństwie. Zaraz jednak, na jej oczach, ten wyraz zniknął, a zastąpił go grymas cierpienia.

- Sugerujesz, że moglibyśmy wsadzić wielebnemu Parsekowi do łóżka którąś z prostytutek? - spytała, siląc się na lekki ton.

Podszedł do kominka, przykucnął i wpatrzył się w rozżarzone węgle.

- Skoro nie ma matki ani żony, nie wiem, na co by się to zdało. Chyba że...

- Chyba że co?

Odwrócił głowę, a w jego oczach zagościł łotrowski błysk.

- Potrzebujemy jedynie świadka, prawda? Wystarczy któraś z przewodnich dusz jego zgromadzenia. Gdybyśmy przekonali wiernych, że mają do czynienia z rozpustnikiem, moglibyśmy więcej nie przejmować się Parkesem. Sami by się go za nas pozbyli.

- Ale jak tego dokonać?

Wyprostował się i podszedł do niej.

- Muszę jeszcze raz przejrzeć te notatki.

Sirena z milczącym rozbawieniem patrzyła, jak mężczyzna za biurkiem się kurczy, bo tylko tak można było określić to, co się z nim działo. Finley Sinclair, wiceprezes banku Rocky Mountain, dosłownie kurczył się w swym obrotowym dębowym fotelu.

Nie brakowało mu atrakcyjności - średniego wzrostu, wciąż nienagannie szczupły, z gęstą czupryną o barwie cynamonu i rysami, które jedni mogli uznać za regularne, inni za pospolite. Nie rozpoznał jej, zapraszając do swego prywatnego biura w wytwornie zasobnej siedzibie banku przy Eureka Street. Miała na sobie elegancką suknię z zielonej wełny i twarz zasłoniętą gęstą woalką, którą uniosła dopiero wtedy, gdy uprzejmie podsunął jej krzesło i z uśmiechem zapytał:

- W czym mógłbym pani pomóc? ...Sirena! - Szczeka Finleya opadła pod starannie wypomadowanym wąsem. - Co ty tu robisz? - spytał, ścisząc głos ze strachu i rozglądając się nerwowo na boki.

- Spokojnie, Finley. Nikt mnie nie rozpoznał.

- Ale skąd się tu wzięłaś? Jeśli ktoś zobaczy, że z tobą rozmawiam... jeśli moja żona...

Przyszpiliła go lodowatym spojrzeniem.

- Myślałam, że podobało ci się w Przybytku Celeste, Finley. Odnosiłam wrażenie, że lubisz mnie odwiedzać?

- Owszem, ale tu nie powinnaś przychodzić. Gdyby moja żona...

- Pytam dlatego, Finley, że twoje nazwisko widnieje pod tą petycją. - Rozpostarła przed nim egzemplarz gazety.

Finley spojrział na zadrukowany papier; oko mu drgało w nerwowym tiku. Tik wzmógł się jeszcze, kiedy podniósł głowę. Sirena wiedziała, że większość klientów trochę się jej boi. Nóż przymocowany do łydki i opowieści o mężczyznach, których zabiła, fascynowały ich i dodawały schadzkom dreszczyku emocji.

- Musiałem to podpisać. - Głos brzmiał niemal płacząco, ponieważ Finley Sinclair był w gruncie rzeczy słabym człowiekiem. Dlatego Sirena wybrała właśnie jego, kiedy Gabrielle zwróciła się do niej o pomoc. - To przez moją żonę, sama rozumiesz. Ona przy tym była i... - z trudem przełknął ślinę; jabłko Adama podskoczyło nad wykrochmalonym kołnierzykiem.

Sirena rozciągnęła wargi w zimnym uśmiechu.

- Finley, chyba nie sądzisz, że przyszedłam tu na ciebie naciskać, byś wycofał swoje nazwisko z tej petycji. Przybytek Celeste zawsze dbał o to, by klienci mieli pewność całkowitej dyskrecji... choćby inni ludzie byli nie wiem jak ciekawi ich szczególnych upodobań.

Widziała, jak kropla potu formuje się na jego czole, a potem ścieka po bladym policzku.

- Ulżyło mi, gdy to powiedziałaś, Sireno - przyznał, wpatrując się w nią z napięciem.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Chciałabym cię natomiast prosić, żebyś zabrał swoją żonę do wielebnego Parkesa na herbatę dziś po południu. O trzeciej.

- Ale on nas wcale nie zapraszał.

Sirena wstała i starannie opuściła na twarz woalkę.

- Ależ tak, Finley, zapraszał. Możesz mi obiecać, że pójdziecie?

- Tak, skoro sobie życzysz. To znaczy... Nie rozumiem dlaczego...

- Zrozumiesz. - Ruszyła do wyjścia, lecz przystanąła jeszcze z ręką na klamce. - Aha, o mało nie zapomniałam. Wpadnij do mnie w tym tygodniu, Finley. Zapraszam cię... na koszt domu.

16

Wielebny Parkes wyciągnął z kieszeni kamizelki ciężki złoty zegarek i z irytacją spojrzął na tarczę. Było pięć po trzeciej.

Wielebny Parkes miał swoje zwyczaje. I był z nich dumny. Przestrzeganie ustalonych zwyczajów było oznaką uporządkowanego życia. Opanowania. Dyscypliny. Nadawało ład ludzkiemu istnieniu. Wstawał co rano dokładnie o szóstej i od tego momentu wszelkie wydarzenia jego życia przebiegały z solidną, nieuchronną precyzją szwajcarskiego czasomierza. A codziennie o trzeciej podawano mu herbatę w pokoiku, który lubił nazywać swoją biblioteką.

Pani Bateman się spóźniała.

Wielebny Parkes westchnął. *Słabości, nazwisko twoje kobieta.* Po głębszym zastanowieniu należało żałować, że mężczyźni nie mogą się obejść bez tych nędznych istot - kobiet. Jednakże, skłonny był przyznać, ktoś musiał gotować posiłki, sprzątać dom i dbać o męską garderobę. Ostatecznie do tego kobiety zostały stworzone: żeby się opiekować mężczyznami, usługiwać im oraz rodzić i wychowywać kolejne pokolenia mężczyzn. Tylko czasami nękało go pytanie, dlaczego dobry

Bóg uznał za stosowne narzucić mężczyznom te niewymownie męczące istoty.

Głośno zatrzasnął ozdobną kopertę zegarka i wsunął go z powrotem do kieszonki. Uznał, że czas przywołać gospodynię do porządku. Wziąwszy do ręki mały srebrny dzwoneczek, który zwykle trzymał na podorędziu, wielebny Parkes pomachał nim energicznie. Przenikliwy metaliczny dźwięk natychmiast rozniósł się po wszystkich czterech głównych pomieszczeniach domu.

Plebania przy kościele Świętego Jakuba była niewielka i zbyt skromna, by zaspokoić wymagania człowieka o aspiracjach wielebnego Parkesa. Kiedy przyjechał do Central City i zobaczył miejsce, gdzie miał zamieszkać, był bliski rezygnacji z posady. Ale to było, zanim poznał Douga Slaughtera.

Dough Slaughter był człowiekiem o szerokich horyzontach. Już przy pierwszym spotkaniu nie ukrywał wrażenia, jakie wywarły na nim wykształcenie i pochodzenie wielebnego. Szybko stał się jego świeckim ramieniem, karzącym zarówno nieprawych, jak i tych jedynie niesfornych oraz szczerze uzupełniającym - z zachowaniem stosownej dyskrecji - dotkliwie skromne wynagrodzenie, jakie wielebny otrzymywał za pełnienie swych obowiązków. Wprawdzie interesy prowadzone przez pana Slaughtera nie należały do całkiem niewinnych (co stanowiło powód, dla którego Parkes wolał

utrzymywać ich zażyłość w tajemnicy), lecz wielebny bywał wyrozumiały, przynajmniej w niektórych okolicznościach, a poza tym każdy przecież zasługiwał na wybaczenie paru błędów.

Istniały wszakże błędy niewybaczalne. Wielebny Parkes znowu potrząsnął dzwonkiem. Już miał wstać, żeby osobiście znaleźć tę przekłętą kobietę, kiedy drzwi do biblioteki się otwarły.

- No, nareszcie - mruknął. - Przecież wiadomo, że...

Głos uwiązał wielebnemu w gardle, zmieniając się w zduszony pisk przerażenia. Twarz patrząca na niego bezczelnie przez szparę w uchylonych drzwiach bynajmniej nie należała do niedbalej pani Bateman. Zamiast surowego siwego koka gospodyni ujrzał kaskadę złocistych loków. Poza tym twarz pani Bateman nosiła wieczny wyraz zmęczenia i zgryźliwości, a ta dziewczyna była młoda i śliczna, miała błyszczące niebieskie oczy i nieprzyzwoite dołeczki w policzkach.

- Czołem, wielebny - zanucił jedwabisty głosik z wyraźnym południowym akcentem. - Chciałeś czegoś do picia? Mam pod ręką coś w sam raz dla ciebie.

Wielebny Parkes zaczął się podnosić z miejsca, ale zaraz opadł z powrotem na krzesło, bo dziewczyna, otworzywszy drzwi na oścież, bezceremonialnie wkroczyła do pokoju.

Była tak skapo odziana, że na jej widok usta same mu zwilgotniały, a krew poczęła krążyć żywiej; ciało nie słuchało rozpaczliwych ostrzeżeń płynących z mózgu. Prawie całkiem gołe piersi celowały w niego zuchwale znad czerwonej satynowej lamówki ciasno opiętego gorsetu. Kolor lamówek był identyczny z kolorem podwiązek podtrzymujących czarne pończochy oraz pantofli na wysokim obcasie, stukających dźwięcznie o podłogę biblioteki. Poza gorsetem, pończochami i butami dziewczyna nie miała na sobie nic więcej. Absolutnie nic.

- Co... co ty tu robisz? - wychrypiał, stając niepewnie na nogi.

- Przyniosłam ci coś do picia - wyjaśniła dziewczyna radośnie, kołysząc mu przed oczyma butelką taniego ginu i dwoma kieliszkami.

- Chyba oszalałaś! - Ruszył w jej stronę; podejrzenie i złość wzięły górę nad początkowym osłupieniem. - Kto cię przysłał? Czego tu szukasz? Masz stąd natychmiast wyjść! Wynoś się, już!

- Och, dajże spokój, wielebny. Jeszcześmy się nie zabawili.
- Niezbyt pewną ręką naląła solidną porcję ginu i wyciągnęła do niego kieliszek.

- Nie chcę twojego... Uważaj, co robisz, głupia kobieto! Przecież mnie tym oblejesz. - Nim dokończył, kieliszek się przechylił i poczuł na sobie zimną wilgoć. Po pokoju rozszedł się ostry zapach alkoholu.

- Och, strasznie mi przykro, wielebny - powiedziała śpiewnie dziewczyna. - Ale ze mnie niezdara. Zmoczyłam ci cały surdut i koszulę. Pozwól, że ci pomogę.

Nim się zorientował, do czego zmierza, zdołała ściągnąć z niego surdut i rozpiąć mu kołnierzyk koszuli.

- Ej, przestań! Nie potrzebuję, żebyś...

Rozległo się pukanie; ktoś stał przed domem.

Parkeś zeszywniał, a dziewczyna wykorzystwała to i rozchełstała mu koszulę na piersi.

- Co ty wyprawiasz? - Chwyciwszy ją za szczupły nadgarstek, próbował od siebie odepchnąć, ale jak na tak drobną istotę okazała się zdumiewająco silna i do tego nieustępliwa.

Ku swemu przerażeniu usłyszał odgłos kroków zmierzających przez hol do frontowych drzwi. Potem drzwi się otwarły i nieznany mu głos z nowoorleańskim akcentem powiedział:

- Pan i pani Sinclair oraz pan i pani Tate. Jak miło państwa widzieć. I panią także, pani Tumer. Pani mąż nie mógł przyjść?

- Pani musi być tu nowa - odezwał się inny głos, po którym rozpoznał jednego ze swych najbardziej wpływowych parafian. - Mam nadzieję, że pani Bateman nic się nie stało?

- Och, nie. Pani Bateman po prostu... dostała lepszą ofertę, jak to się mówi - padło wyjaśnienie. - Zastępuję ją, dopóki zacny pastor nie znajdzie kogoś odpowiedniego. Czeka na państwa w bibliotece. Proszę za mną.

- Nie. - Wielebny Parkes próbował się poruszyć, żeby jakoś zapobiec nadciągającej katastrofie, ale dziewczyna nie odstępowała. wczepiona w niego z wręcz nieludzką mocą. Wtedy ją rozpoznał. Choć miała anielską urodę, była córką szatana, przysłaną przez siły ciemności, żeby go zniszczyć.

- Odstąp ode mnie, szatanie! - ryknął. - Nie będę... Och, nie. Coś ty zrobiła?

Parkes poczuł, jak jednocześnie puszczają szelki i guzik w spodniach. Próbował je złapać, ale zsunęły się ciężko na podłogę.

- Och, wielebny. No i popatrz, co się stało! - pisnęła dziewczyna z udawaną troską. - Poczekaj, zaraz ci pomogę.

- Proszę, tylko mi już nie pomagaj!

Jak tego dokonała, Parkes nigdy potem nic umiał wytłumaczyć inaczej niż udziałem sił nieczystych. Schyliła się, udając, że chce mu pomóc w podciągnięciu spodni, lecz zamiast

lego szarpnęła nimi tak mocno, że padł na ziemię jak długi. Ona upadła na niego i wplątała się w jego ramiona akurat w momencie, gdy atrakcyjna młoda kobieta o niezwykle szarych oczach otworzyła drzwi, mówiąc:

- Pan i pani Sinclair. Pan i pani Tate i pani Turner.

I tak wielebny Parkes został przyłapany przez wiodące dusze swego zgromadzenia: bez spodni, cuchnący tanim ginem, w ramionach nagiej kobiety.

- Jilly naprawdę znakomicie odegrała swoją rolę – powiedziała Gabrielle, leżąc obok Jordana. Pogasili lampy; sypialnię rozświetlał jedynie blask tańczących na kominku płomieni i jedna świeca przy łóżku. - Szkoda, że cię tam nic było i nie mogłeś zobaczyć miny Parkesa, kiedy ci ludzie weszli do środka.

Jordan objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Wątpię, żebyśmy jeszcze usłyszeli o tej jego petycji.

Przesunęła koniuszkami palców po wypukłych mięśniach nagiego męskiego torsu.

- Sądzisz, że powinnam się czuć winna za to, co mu zrobiliśmy?

Jordan parsknął śmiechem.

- Gdyby był uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, powiedziałbym, że tak. Ale nie jest, Gabrielle. Jest chytry, występny i przekupny. A do tego jest hipokrytą.

Uniosła się na łokciu, żeby widzieć jego twarz.

- Czy ty i twoi bracia mieliście kiedyś poczucie winy za to, co zrobiliście swojemu nauczycielowi?

- Ja? Nie - mruknął Jordan. Przygarnął ją z powrotem do siebie, żeby móc oprzeć podbródek na czubku jej głowy. – Ale jeden z moich braci miał. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju i w końcu przyznał się do tego grzechu przed naszym ojcem. - Słyszała w jego głosie rozbawienie. - Przez tydzień żaden z nas nie mógł wygodnie usiedzieć w siodle.

Przez chwilę leżała w milczeniu.

- Jordan?

- Hmm?

- Co się z nimi stało? Mam na myśli twoich braci.

Poczuła, jak zeszywniał. Już nabrała przekonania, że nie zamierza odpowiedzieć, kiedy odezwał się obojętnym tonem:

- Zginęli na wojnie. Sam, mój starszy brat, zmarł na moich łakach po Gettysburgu. Matt był najmłodszy. Zmarł w jankeskim obozie dla jeńców parę miesięcy przed zakończeniem wojny. Dowiedziałem się, że zatłukli go na śmierć za próbę ucieczki.

Serce jej się ścisnęło tak mocno, że z trudem mogła oddychać.

- A twoja matka?

Słyszając jego urywane westchnienie, niemal pożałowała pytania. Tylko że musiała wiedzieć. Musiała się dowiedzieć... dlaczego tak bardzo się bał. Ponieważ się bał. Nie śmierci, lecz miłości. Panicznie się bał znowu coś lub kogoś pokochać i musiała wiedzieć dlaczego.

- Matka umarła, kiedy miałem siedemnaście lat. Tuż przed Bożym Narodzeniem. Przeziębła się, ale zamiast o siebie zadbać, jak zwykle się śmiała i robiła swoje. Przyplątało się zapalenie płuc. Zmarła w ciągu tygodnia.

Zamilkł, ale Gabrielle wyczuła, że chciał mówić... miał potrzebę mówienia o przeszłości.

- Jaka ona była? - zachęciła. - Twoja matka?

- Była piękną kobietą, Gabrielle - zaczął tkliwie. - Piękną, dobrą i łagodną. Była zawsze tak pełna życia, śmiechu i miłości, że nie wierzyłem, by kiedyś mogła umrzeć. Nic w taki sposób. Nie bez powodu. Siedemnaście lat to wiek naiwności i ideałów. Siedemnastolatek wierzy, że wszystko zawsze dzieje się z jakiegoś powodu... że życie jest dobre, miłość jest czymś pięknym, ludzie walczą tylko ze szlachetnych pobudek, a dobro zawsze zwycięża.

Gabrielle leżała bez słowa, wsłuchana w trzask płomieni na kominku. Powinna coś powiedzieć, ale wszystko, co przychodziło jej do głowy, brzmiało banalnie i płasko. Zresztą, cóż można było powiedzieć? Miał rację. Dobro nie zawsze zwycięża. Ludzie walczą z różnych powodów, ale niewielu z nich jest tak szlachetnych, jak chciałoby się wydawać. Życie jest czasami okrutne i pozbawione sensu. A miłość... miłość może człowiekowi złamać serce.

- Zabawne jest to, że tak naprawdę miała szczęście – mówił dalej. - Umarła szczęśliwa. Nie musiała żyć dalej i widzieć, co się z nami stało. Z Południem. Z plantacją. Z Mattem i Samem. Z moim ojcem. - Odchylił głowę na poduszce i wpatrywał się w sufit boleśnie suchymi oczami. - I z Sophie.

To Gabrielle płakała. Wielkie ciche łzy spływały jej po policzkach na nagie ramiona, rysując lśniące wilgocią ślady na skórze. Opłakiwała wesołą, uczuciową kobietę, która przedwcześnie spoczęła w grobie, pozostawiając w żałobie nigdy szczęśliwą rodzinę. Opłakiwała dwóch młodych mężczyzn, oddających życie za sprawę, która była przegrana od samego początku. Starego człowieka, patrzącego jak wszystko, co w życiu zbudował, zostaje zniszczone. I piękną ciężarną kobietę, brutalnie skrzywdzoną i pozostawioną na śmierć w kałuży własnej krwi.

Ale najgoręcej płakała nad mężczyzną leżącym obok niej. Mężczyzną, który sam nie był w stanie płakać przez ostatnie dziewięć lat.

Jordan zbierał jej ciepłe łzy koniuszkami palców.

- Nie płacz nade mną, Gabrielle.

Chwyła go za rękę i dotknęła wnętrza jego dłoni najpierw mokrym od łez policzkiem, a potem ustami. Był to jeden z tych naturalnie zmysłowych gestów, jakimi często go zaskakiwała.

Chociaż wychowywała się w klasztorze, odkrył, że jest kobietą z natury czułą i namiętną, uwielbiającą pieśczoć. Kobieta o silnym temperamencie, znajdującą radość w dawaniu i przyjmowaniu rozkoszy. Czasami okazywała pewną nieśmiałość, ale zawsze chętnie pozwalała mu prowadzić się nowymi ścieżkami cielesnych doznań. Jakże łatwo, zbyt łatwo, przychodziło mu zapominać, że była dziewicą, kiedy pierwszy raz ją posiadał.

Wcale nie był dumny z tego, co zrobił. Tygodnie spędzone w Przybytku Celeste mogły w znacznym stopniu naruszyć jej młodzieńczą naiwność, ale nie pozbawiły ją wrażliwości, i choć nigdy tego nie mówiła, wiedział, że nadal pragnie tego wszystkiego, czego pragnęły takie kobiety jak ona - domu, dzieci, mężczyzny, który by ją kochał i był przy niej na zawsze.

Wiatr szalejący wokół domu wdarł się do środka, szarpiąc płomieniem świecy. Żłociste światło zamigotało, rzucając ciepłe błyski na jej gęste, jedwabiste włosy. Zamknęła oczy, a on obwodził palcami rysy jej ślicznej twarzy.

Przez ostatnie dziewięć lat sypiał z różnymi kobietami, ale żadna z nich nie przypominała Gabrielle. Aż do teraz było mu łatwo, ponieważ zawsze wybierał kobiety, które potrafiły brać mężczyznę między nogi, nie myśląc o jutrze, nie planując wspólnej przyszłości. Nie musiał się martwić, że któraś z nich poprosi go, by z nią został, kiedy dla niego nadejdzie czas ruszenia w drogę.

Ta kobieta była inna, nie tylko dlatego, że straciła z nim dziewictwo. Wiedział, że kiedy w końcu od niej odjedzie, zabierze ze sobą setki różnych wspomnień, setki wyrytych w myślach obrazów. Obraz Gabrielle zmartwionej i zagubionej, patrzącej na portret dawno utraconej matki; jej wstydliwego lecz zarazem dumnego uśmiechu, kiedy przeglądała się w swej pierwszej wieczorowej sukni; jej radosnego śmiechu, kiedy ciskała śniegową kulą do celu; tego, jak wzdychała, wyginając szyję i zaciskając powieki, kiedy w nią wchodził.

Obwiódł zarys jej ślicznych, pełnych ust. Tym razem, pomyślał, nie będzie łatwo odejść. Będzie bolało. Ją i, do licha, jego także.

Wysunęła język i polizała go po kciuku, a potem brała do ust każdy jego palec po kolei, naśladując inną, jeszcze bardziej intymną pieśczętę, której ją nauczył.

- Gabrielle.

Spojrzała mu w oczy i musiała w nich wyczytać jego myśli, bo natychmiast spoważniała.

- Myślisz o wyjeździe - powiedziała z niepokojem.

Przeczesał palcami jej rozpuszczone włosy, a potem objął ją za szyję.

- Sprawiam ci ból, Gabrielle. Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie, oboje o tym wiemy. Potrzebujesz kogoś młodszego. Kogoś dobrego i miłego. Kogoś, kto nie widział tego wszystkiego, co ja widziałem, i nie robił tego, co ja robiłem. Byłoby lepiej, gdybym wyjechał już teraz i pozwolił ci żyć własnym życiem, planami zamienienia tego domu w szkołę.

Widział, jak pierś jej faluje w przyśpieszonym oddechu. Z pobladłej twarzy patrzyły na niego szeroko otwarte oczy.

- Mówiłeś, że zostaniesz do końca czerwca. Mieliliśmy umowę.

Potrząsnął głową.

- Nie musisz mi oddawać zysków z następnych miesięcy. Pieniądze ze sprzedaży biżuterii w zupełności wystarczą. – Do

licha, pozwolilby jej wziąć swoje udziały w domu za darmo, ale wiedział, że ich nic przyjmie.

- Ten dom jest wart więcej, dobrze o tym wiesz.

- Nie potrzebuję tych pieniędzy.

Usiadła na łóżku, jedną ręką przytrzymując na piersiach naciągniętą kołdrę.

- Jeśli wyjedziesz, poprowadzę burdel przez następne dwa miesiące i wyślę ci zyski. - Zadarła podbródek. - Tym razem nie blefuję.

Wiedział, że nie blefuję. Skoro zmusiła się do wymówienia słowa „burdel”, na co dotąd nie mogła się zdobyć, bez wątpienia znalazłaby w sobie dość siły, żeby poprowadzić ten dom i wywiązać się z urnowy.

Westchnął ciężko.

- Do licha, Gabrielle. Wiesz, że nie powinienem wobec ciebie tak postępować, jakbyś była...

- prostytutką? podsunęła.

Zmierzyli się spojrzeniami.

- Niech ci będzie, jakbyś była prostytutką. Zaslugujesz na coś lepszego. Tylko że ja nie mogę ci tego dać.

- Skoro ja o to nie dbam, dlaczego ty się przejmujesz?

Dotknął mokrego od łez policzka.

- Bo nie jestem taki pewny, że o to nie dbasz - rzekł miękko. Opuścił dłoń na jej ramię, żeby ją do siebie przygarnąć.

- Och, Gabrielle. Nie chcę się z tobą kłócić.

Zawahała się przez moment, a potem ustąpiła, przywierając do niego. Objął ją i przytulił jeszcze mocniej.

- Tak czy inaczej, nie mógłbym cię teraz zostawić - powiedział, całując ją w czubek głowy. - Nie teraz, kiedy Slaughter daje się we znaki.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Nadal sądzisz, że to on nakłonił Parkesa do napisania petycji?

- Wszystko, co odkrył Wing Tsue, zdaje się na to wskazywać.

Gabrielle westchnęła.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, co ci powiedział Frank Whitney - że jedna z dziewczyn w tym domu pracuje dla Slaughtera. Łapię się na tym, że je obserwuję i zastanawiam się, która z nich. Nie lubię podejrzewać ludzi, z którymi mieszkam.

Delikatnie odgarnął jej włosy z nagiego ramienia.

- Stanowczo za łatwo ufasz ludziom.

Spojrzała na niego oczami pełnymi troski.

- Ty też zaufałeś Jilly i Sirenii, żeby nam pomogły w sprawie z Parkesem.

Wzruszył ramionami.

- Z nich wszystkich one dwie wydają mi się najmniej skłonne do konszachtów ze Slaughterem. Jilly, ponieważ jest taka prosta i otwarta. A Sirena, ponieważ... hmm, ponieważ jest Sireną.

- Nie rozumiem Sireny - wyznała Gabrielle. – Chciałabym ją lepiej poznać, ale... czasami mnie przeraża.

Odsłonił zęby w uśmiechu.

- Tylko czasami? Ja się jej piekielnie boję cały czas.

Zaśmiała się cicho. Zaraz potem uśmiech ustąpił miejsca zatroskaniu.

- Może Slaughter nie miał nic wspólnego z petycją Parkesa? Bo co by na niej zyskał?

- Nie wiem. Może zemstę. Tacy ludzie jak Slaughter nie lubią, jak ktoś się im sprzeciwia. Nie lubią przegrywać.

Wpatrywała się w niego wielkimi uważnymi oczami. Przyszło mu do głowy, że zna go zbyt dobrze, że potrafi zbyt wiele wyczytać w jego twarzy, której wyraz przez tyle lat, jak wierzył, pozostawał nieodgadniony.

- Myślisz, że spróbuje czegoś innego, prawda? - nie ustępowała.

- Tak - przyznał, gładząc ją leciutko po plecach. - Myślę, że tak. - Chwyił ją za włosy i delikatnie przyciągnął do siebie.

Czując miękki napór jej ust, pomyślał, że powinien wyjechać. Powinien zabić Douga Slaughtera i wyjechać, zanim będzie za późno. Zanim zatraci się na dobre w słodkich pocałunkach tej kobiety. Zatraci się, albo... Jęknął, kiedy opłotła go udami i wsunęła w siebie.

Albo się odnajdzie.

Wiosna przyszła w Góry Skaliste z gwałtownością, która zaskoczyła Gabrielle, znającą dotąd jedynie nieznaczne zmiany pór roku na głębokim Południu, gdzie większość drzew i krzewów zachowywała zielone liście podczas zimy, a kwiaty kwitły przez okrągły rok.

Kolorado było dla niej krainą ostrych kontrastów: białego śniegu, czarnych skał, nagich gałęzi, pustego nieba. A teraz zaskakująco ciepłe słońce oblewało złotym blaskiem tę surową ziemię. Przez jedną noc drzewa zdążyły się zazielenić, pożółkła trawa ożyła świeżością, a zewsząd dobiegały radosne trele rudzików, skowronków i sójek, przybyłych z południa. Wprawdzie śnieg nadal zalegał skalne szczeliny i najbardziej zacienione kąty pod sosnami i jodłami, ale z każdym dniem strumienie przybierały odwilżą i miało się wrażenie, że cały świat rodzi się od nowa.

Rosnąca temperatura i coraz dłuższe dni nie dawały się dzieciom skupić podczas lekcji, a Przybytkowi Celeste przysparzały klientów i, co za tym idzie, dochodu.

- Przypuszczam, że wszystko pochodzi z tego samego źródła - powiedziała któregoś wieczoru Sirena. Oparta o fortepian, leniwie sączyła szampana. - Jak ożywcze soki, które zaczynają krążyć w drzewach.

Jeszcze nie tak dawno Gabrielle pozostałaby głucha na tę aluzję. Teraz parsknęła śmiechem, chociaż na jej policzkach ukazał się rumieniec.

Patrzyła, jak Sirena podnosi kieliszek do ust, jak rozgląda się po salonie, obserwując klientów. Mimo starań. Gabrielle wciąż nie mogła pogodzić obrazu Sireny z frontowego salonu, tej rozwiązłej kobiety o uróżowanych policzkach, paradującej prawie nago i robiącej niesłychane rzeczy z obcymi mężczyznami, z tą drugą dziewczyną, którą znała. Łagodną, uczynną dziewczyną, spędzającą wolne popołudnia na uczeniu dzieci innych prostytutek, próbującą im dać szansę lepszej przyszłości niż ta, która by je czekała bez nauki. Czasami Gabrielle wydawało się, że istnieją dwie różne Sireny. Podejrzewała nawet, że sama Sirena widzi siebie w podobny sposób, choć oczywiście nic mogła być tego pewna.

Pomyślała, że pod wieloma względami Sirena przypomina jej Jordana. Oboje byli skrzywdzeni przez los i oboje potrafili być onieśmielająco chłodni i obojętni. Tyle że Jordan ukrywał swój ból głęboko w środku, pod kpiącym uśmiechem, martwym spojrzeniem i nonszalancją, podczas gdy Sirenę ponosiły mroczne emocje, a jej smutek graniczył z szaleństwem.

— O, ten... - odezwała się Sirena, mierząc wzrokiem wysokiego młodego górnika, który właśnie rozsunał zasłonę z koralików i wszedł do salonu - ...chyba jest wart zachodu. – Wychyliła kieliszek jednym, dobrze wypraktykowanym ruchem i odepchnęła się od fortepianu. Patrząc na nią, Gabrielle przypomniała sobie, jak Jordan wspominał, że Celeste odradzała dziewczynom picie w czasie pracy. Tylko Sirena nie stosowała się do tej zasady.

Gabrielle zobaczyła, jak twarz postawnego blondyna rozpromienia się szerokim, trochę gapowatym uśmiechem na widok podchodzącej Sireny. Wyglądał na poczciwego człowieka. Gabrielle przez moment pożałowała, że nie trafił na kogoś takiego jak Amy czy Jilly, które, jak Gabrielle zdążyła się zorientować, miały zupełnie inne niż Sirena podejście do tego, co robią. Gabrielle czasami odnosiła wrażenie, że Sirena traktuje mężczyzn odwiedzających ten dom bardziej jak ofiary, niż jak klientów.

Jednakże wielki blondyn nadal się uśmiechał, schodząc z góry jakieś pół godziny później, więc Gabrielle uznała, że Sirena musiała być dla niego miłsza niż dla innych. Wychodził już, kiedy panujące od kilku minut zamieszanie w holu nagle stało się głośniejsze, przyciągając uwagę Gabrielle.

- Do cholery, nie, nie mam dziesięciu dolarów – mówił zrzędlawy męski głos. - Ale też nie przyszedłem tu do żadnej dziwki. Chcę się zobaczyć z Celeste. - Głos przeszedł w pełen złości ryk. - Celeste!

Gabrielle zobaczyła starego poszukiwacza złota; miał splątaną siwą brodę, wielką błyszczącą łysinę i patrzył dziko... zezując.

- Celeste... - Urwał, uderzając w rękę Winga Tsue, który zagradzał mu drogę. - Cholera, zabieraj ode mnie swoje wielkie łapska.

Stał pośrodku eleganckiego holu niczym postać z innego świata, w podkutych buciorach, szarych flanelowych portkach i staroświeckiej kapocie oblepionej błotem. Gabrielle widziała, jak odchyliwszy głowę wydał z siebie potężny ryk.

- Celeste! Jest tu Archibald Johnson. Chodź i powiedz swojemu piekielnemu Gerberowi, żeby mnie wpuścił. Celeste? Celeste!

- Celeste tu nie ma.

Głos Jordana, cichy i spokojny, dobiegł od wejścia do kasyna. Gabrielle spojrzała w tamtą stronę. Stał oparty lewym ramieniem o futrynę, podczas gdy prawe zwisało luźno wzdłuż jego boku, z dłonią na wysokości obciążonego bronią biodra. Znała go na tyle dobrze, by wyczuć niewidoczną dla pozostałych czujność i napięcie.

Ześliznęła się ze stołka przy fortepianie i podeszła do zasłony z koralików, gdy Archibald Johnson odwrócił się twarzą do Jordana.

- Coś ty za jeden? - spytał groźnie stary poszukiwacz złota.

- Jestem współnikiem Celeste.

Gabrielle zdawało się, że między patrzącymi na siebie mężczyznami przeskoczyła iskra.

- Gdzie jest Celeste? - spytał Archibald.

- Nie żyje - odpowiedział Jordan, nie spuszczając z niego zimnych oczu.

Stary jakby się zapadł w sobie.

- Nie żyje? Celeste nie żyje?

Jordan podszedł bliżej. Miał jak zwykle nieodgadniony wyraz twarzy, ale jego głos zabrzmiał niespodziewanie łagodnie.

- Mamy brandy, jeśli pan sobie życzy.

Archibald otarł nos wierzchem dłoni.

- Wolałbym whisky.

- Może być whisky - zgodził się Jordan.

Gabrielle poszła za nimi przez hol do gabinetu. Cała zadzierzystość Archibalda Johnsona jakby gdzieś się ulotniła. Stał przed kominkiem, ściskając w sękatych dłoniach szklaneczkę z whisky, którą podał mu Jordan. Co jakiś czas wzdychał ciężko i potrząsał głową, powtarzając:

- Nie żyje. Celeste nie żyje. Kto by pomyślał?

Jordan stał oparty o krawędź biurka, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i obserwował starego spod zmrużonych powiek. Gabrielle podeszła do Jordana, stając tak blisko, że prawie się stykali.

Przepalona szczapa rozpadła się w ogniu, płomienie podskoczyły, oblewając pomarańczowym blaskiem kanciastą sylwetkę Archibalda Johnsona. Wiatr i słońce wyłobiły głębokie bruzdy wokół jego ust i siatkę zmarszczek w zewnętrznych kącikach oczu. Ale jego skóra miała dziwną bladość, jakby od bardzo dawna nie widziała słońca. Gabrielle oblała niespodziewana fala współczucia, tak wielkiego, że zamrugła, powstrzymując łzy.

- Ty jesteś Gabrielle, co? Już całkiem dorosła.

Poderwała głowę, zaskoczona. Do tej chwili zdawał się w ogóle nie zauważać jej obecności. A jednak dostrzegł w niej

podobieństwo do matki, choć było tak niewyraźne, że większość ludzi go nie zauważała.

- Tak... rzeczywiście. Skąd pan wie?

- Ja i twoja mama, dawno żeśmy się znali. - Znowu westchnął. - Bóg jeden wie, chyba ze dwadzieścia razy chciałem się z nią zenić, chociaż stale mi odmawiała. Mówiła, że jestem szalony. Ale jej powiedziałem, że wrócę. Powiedziałem jej, że należę do tych, co nie przyjmują odmowy. Czekałem przeszło siedem lat, żeby znowu ją poprosić. A teraz wy mi mówicie, że nie żyje.

- Przykro mi - powiedziała cicho Gabrielle. - To musi być dla pana wstrząs.

Oczy starego człowieka jarzyły się dziwnym blaskiem. Miał bardzo dziwne oczy, jakich Gabrielle jeszcze nigdy nie widziała. Nawet w słabym wieczornym świetle przypominały dwie wąskie szczelinki pod nawisem brwi, ściągniętych jakby w wyrazie skupienia. Nie potrafiła powiedzieć, jakiego były koloru. Jakby płonęły bezbarwnym ogniem szaleństwa.

- Pewnie sobie myślicie, że nie miałem u niej żadnych szans, co? - rzekł zaczepnie. Wyrzuconym przed siebie ramieniem zatoczył w powietrzu niezdarny łuk. - Zgadza się, wygląda na to, że świetnie sobie radziła i bez mnie. Chryste Panie, wystarczy spojrzeć na ten dom. Nigdy bym nie pomyślał,

że można wyciągnąć tyle forsy z nierządu. Chyba że... - Wyprostował się nagle, nozdrza mu zadrgały nad niechlujnym wąsem. – Znalazła ją. To mi chcecie powiedzieć? Że znalazła Letty?

Jordan potrząsnął głową. Gabrielle zauważyła, że ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze starego.

- Nie. Nie znalazła. Chociaż muszę przyznać, że szukała.

Archibald Johnson rozciągnął wargi w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Ha! Wiedziałem, że nie znajdzie. Mówiłem jej, że może przekopać całe to zakichane miasto na wylot, a i tak nie znajdzie. Powinna była wyjść za mnie.

Gabrielle odchrząknęła, bo nagle coś zaczęło ją uwierać w gardle.

- Panie Johnson... Chrząknęła jeszcze raz. – Chciałabym złożyć panu taką samą propozycję, jaką złożyła moja matka. Oddać panu połowę kopalni.

Wpatrywał się w nią twardo swoim niesamowitym, pałającym wzrokiem.

- Jeśli ci powiem, gdzie się znajduje, to masz na myśli?

Czuła przy swoim boku milczącą, nieruchomą obecność Jordana. Wolno pokiwała głową.

Zezowaty przeczesał palcami brodę, podnosząc oczy na bogato zdobiony sufit.

- Nooo - odezwał się wreszcie - właściwie mógłbym. To by mógł być dobry interes. Ale też mógłby nie być.

- Niech się pan nad tym zastanowi przez noc – podsunął Jordan. - Gdzie się pan zatrzymał?

- W zajeździe, razem z moim mułem. Ale pójdę się napić do Starego Sombrera. Wiecie, gdzie to jest?

- Ja wiem.

Archibald skrzywił się, dotykając ramienia w miejscu, gdzie Gabrielle zauważyła poszarpaną dziurę w rękawie. Kiedy odjął dłoń, była czerwona od krwi.

- Cholera - mruknął. - Chyba powinienem pójść do medyka.

- Co się stało? spytała z niepokojem, podchodząc bliżej. - Jest pan ranny?

- To nic takiego. Jakiś sukinsyn wyskoczył na mnie z krzaków, kiedy jechałem wąwozem. Zwalił mnie z muła, dosłownie. Ale go oszukałem. Leżałem na ziemi całkiem cicho i się nic ruszałem. I kiedy przyszedł się upewnić, że nie żyję, to go wypatroszyłem. Wypatroszyłem go, jak się patrzy, od jaj aż do gardła. A potem zabrałem to na pamiątkę. Wyciągnął coś, co wyglądało jak strzęp skóry z wiechciem skręconych, wysuszonych na słońcu ciemnych włosów. - Rozpoznajecie go?

- Co to jest? - spytała Gabrielle, bliska z wymiotowania.

Zezowaty nie odpowiedział. Z szerokim uśmiechem potrząsał swoją zdobyczą.

Odpowiedzi udzielił Jordan.

- To ludzki skalp. Skalp Warrena McLeona.

17

Perłowy blask świtu przeciskał się przez szczelinę w zasłonach. Gabrielle stała w gabinecie, przytrzymując pod brodą końce pledu narzuconego na gołe ramiona. Gęsty belgijski dywan łaskotał ją w bose stopy. W słabym świetle portret matki był ledwie widoczny, jak cień, niewyraźny zarys wydatnych kości policzkowych, migdałowych oczu i delikatnie wykrojonych ust.

Była taką piękną kobietą, pomyślała Gabrielle. Piękną, silną i dumną. Gabrielle westchnęła, patrząc na portret, zmuszając się do przyjęcia bolesnej lecz nieuniknionej prawdy. Że dla niej Celeste pozostanie już na zawsze mglistym wspomnieniem, malowidłem na ścianie, zagadką, której nigdy nie rozwiąże do końca.

Jakiś szmer zwrócił jej uwagę. Odwróciwszy głowę, dostrzegła Jordana stojącego w drzwiach sypialni. Promienie wschodzącego słońca padały na nagą męską sylwetkę, ślizgały się po wypukłych mięśniach torsu, po mocnej płaszczyźnie brzucha. Był wysoki, smukły i bardzo męski. Patrzyła na niego z lubością i jak zawsze w takich razach czuła zachwyt podszyty bólem niepokoju.

Kochała go do szaleństwa, lecz instynktownie bała się nadchodzącego cierpienia.

- Co się dzieje? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Nic, naprawdę. Myślałam tylko o Zezowatym, Isaiahu i mojej matce. Zastanawiałam się, czy... - Znów spojrzała na portret. - Nie, to głupie.

Staął za nią, otoczył ramionami i przyciągnął do siebie. Był taki mocny i ciepły.

- Powiedz.

Nakryła rękami jego dłonie i położyła mu głowę na ramieniu.

- Myślałam o tym, że zazdroszczę ludziom takim jak ty i Sirena... nawet temu staremu, zwariowanemu poszukiwaczowi złota. Ludziom, którzy znali moją matkę. Którzy uczestniczyli w jej życiu. Którzy, w przeciwieństwie do mnie, ją pamiętają.

Potał policzkiem o czubek jej głowy, wdychając miły aromat włosów.

- Przykro mi - powiedział współczująco.

Zrzuciła z siebie pled, żeby całym ciałem chłonać ciepło bijące od jego piersi i brzucha.

- Sądzisz, że Archibald Johnson przyjmie moją propozycję?

- Nie widzę powodu, żeby miał odmówić. Musi się tylko zastanowić, pogodzić z myślą, że Celeste nie żyje. Może i jest szalony, ale nie sądzę, by był głupi. Przekonamy się, kiedy z nim jutro porozmawiam.

Nagle odniosła dziwne, niemiłe wrażenie, że czas biegnie zbyt szybko, że popychają w przyszłość, na jaką nie była przygotowana, jakiej wcale nie chciała. Żałowała, że nie może tej jednej chwili zatrzymać na zawsze.

- To zmieni wicie rzeczy, prawda? - spytała. - Jeśli on się zgodzi.

- Co? Jeśli staniesz się bogatą kobietą? - Zsunął rękę na jej biodra. Czowała na pośladkach jego sztywniejącą męskość. - Chcesz powiedzieć, że już nie będzie mnie na ciebie stać?

Parsknęła śmiechem, a zaraz potem wydała z siebie zduszony jęk, kiedy wsunął jej dłoń między nogi.

- Chcesz powiedzieć, że nie będę mógł robić tego? - szepnął z ustami tuż przy jej uchu. Czowała na szyi jego ciepły oddech, a tam niżej śmiałe, nieustępliwe palce.

Chciała się odwrócić do niego przodem, ale chwycił ją mocniej, ciasno przywierając do jej pleców.

- Zostań tak, jak jesteś - poprosił niskim, namiętym głosem. - Rozsuń tylko nogi trochę szerzej, skarbie.

Spełniła prośbę i aż zagryzła usta, powstrzymując krzyk, kiedy zaczął ją pieścić tam, gdzie była wilgotna i rozpalona.

- Gabrielle - westchnął chrapliwie.

Poddała się pieszczocie bez reszty. Miał takie cudowne ręce, czułe i zręczne, hojne w obdarzaniu rozkoszą. Zamknęła oczy, bezwiednie zaciskając palce na jego przedramionach. Słyszała, jak ich przyspieszone oddechy zlewają się w jeden rytm, jeden oddech, czuła bicie jego serca w piersi przyklejonej do jej pleców.

- Proszę - szepnęła, wykręcając szyję.

Pochylił się nad nią, jego włosy musnęły ją w policzek, usta przywarły do jej ust w namiętym, tęsknym pocałunku. Jeszcze nigdy nie pragnęła go bardziej. To zbliżenie było jakieś inne, dzikie, niemal szalone. Jakby powrót Archibalda Johnsona nagle rozpostarł przed nimi otchłań przyszłości. Przyszłości, na jaką żadne z nich nie było gotowe.

- Oprzyj się o biurko wymruczał jej w usta.

- Co? - spytała półprzytomnie.

Ułożył jej dłonie na blacie. A potem poczuła, jak zagłębia się w niej, gładko i nieuchronnie.

Głośno wciągnęła powietrze, napinając się niczym struna. Na moment znieruchomiał, wstrząsany dreszczem, a potem

zaczął się w niej poruszać, z początku wolno, potem coraz szybciej i głębiej, wypełniając ją całkowicie.

- Poczuj mnie - szepnął. - Poczuj mnie w sobie. - Rozpłaszczył dłoń na jej brzuchu i naciskał, aż zaczęła się pod nim wić, dysząc ciężko, tracąc resztki panowania nad sobą. - Poczuj, że jestem częścią ciebie.

Odrzuciła głowę do tyłu, po omacku szukając ustami jego ust. Kołysali się zespoleni we wspólnym rytmie, coraz bardziej szaleńczym. Oboje czuli, że to, co robią, jest pierwotne, wyuzdane, grzeszne i niewypowiedzianie cudowne. Półprzytomna z rozkoszy, usłyszała jego gardłowy jęk i zaraz potem świat zawirował, porywając ich ze sobą.

Powoli wracali do rzeczywistości, zdyszani, spoceni, bez sił. Przygarniając ją do siebie, zmienił pozycję, tak że teraz on wspierał się biodrami o brzeg biurka. Czowała jego gorący oddech na wilgotnej skórze karku, kiedy drżącymi, otwartymi ustami muskał jej włosy.

Odwróciła się do niego przodem, wsunęła mu palce we włosy, odnalazła ustami jego usta. Pachniał miłością, smakował jak miłość.

- Dlaczego? - spytała wreszcie cicho. - Dlaczego w taki sposób? Dlaczego teraz?

Przytknął czoło do jej czoła.

- Nie wiem. Nie podobało ci się?

- Podobało. - Uśmiechnęła się trochę figlarnie. - Nie jestem już tą samą niewinną dziewczycą, jaką byłam dwa miesiące temu, kiedy trafiłam do tego domu.

Dostrzegła w jego oczach wrażenie, jakie wywarły na nim te słowa. Gdyby mogła je cofnąć, zrobiłaby to bez wahania. Wiedziała, że męczą go wyrzuty sumienia, bo zabrał jej dziewictwo, kochał się z nią co noc, a nie miał zamiaru... nie mógł się z nią ożenić.

- Do licha, Gabrielle. - Objął ją za szyję i przyciągnął jej głowę do swego ramienia.

Tylko tyle powiedział, ale wystarczyło, żeby zdjął ją lodowaty strach.

Nagle dotarło do niej tykanie zegara na kominku, odmierzającego cierpliwie kolejne minuty, odliczającego nieubłagane jej czas z Jordanem. Znowu odczuła bolesne, bo niemożliwe do spełnienia pragnienie zatrzymania czasu. Marzyła, by nigdy nie nadszedł dzień, kiedy poczucie winy i niepokój w duszy każą mu od niej odjechać.

Oplotła go ramionami i mocno przytuliła. Ale i tak miała świadomość, że nie może go zatrzymać w swym życiu. Bo tak naprawdę nigdy jej się nie oddał, nigdy nic należał do niej tak, jak ona należała do niego. Mogła go brać w ramiona, łączyć się z

nim w jedno ciało, ale nigdy nie miał do niej należeć całkowicie. W pewien sposób pozostawał dla niej tak samo nieznany i nieuchwytny, jak kobieta z portretu wiszącego na ścianie.

Nieco metaliczne brzmienie *Dziewcząt z Buffalo* rozniosło się echem w chłodnym, przesyconym zapachem dymu powietrzu, tonąc w gwarze donośnych głosów, pohukiwań i śmiechu, dochodzących z wysokich wąskich budynków stojących na- przeciw siebie przy bocznej ulicy.

Jordan schodził ze wzgórza, mijając grupki pijanych górników. Obcasy jego butów ślizgały się na nierównych kostkach drewnianego bruku. Była prawie połowa maja i dość ciepło, by większość saloonów i tancbud pozbyła się zakładanych na zimę drzwi. Zewsząd sączyło się światło lamp, zalewając drogę mglistą poświatą. Jeden czy dwa z nowszych budynków miały ceglane ściany, jednak w większości ta część miasta stanowiła prawdziwą pułapkę w razie pożaru, sklecona z niemalowanych, surowych desek zszarzałych od słońca albo z bali uszczelnianych gliną.

Przystanął przed jedną z najstarszych budowli – rozłożystą chatą z drewnianych bali, która zapewne pamiętała pierwsze lata gorączki złota. Stare Sombrero posiadało jedno niewielkie okno i wahadłowe drzwi tak wysłużone, że ledwie się trzymały na

krzywych zawiasach. Podłogę zaścielała warstwa przesiąkniętych piwem trocin, a powietrze było gęste od zapachu whisky, tytoniowego dymu oraz smrodu przepoconej wełny i niemytych ciał.

Rozejrzał się, mrużąc oczy. Prymitywny bar nie był specjalnie oblegany - siedziało przy nim kilku uzbrojonych osiłków i dwie tanie dziwki. W ciemnym kącie, z dala od wejścia grano w pokera. Wzrok Jordana prześliznął się po niemal pustych zaplamionych stolikach, obstawionych kulawymi krzesłami, z których każde było inne, by wreszcie spocząć na samotnym mężczyźnie w brudnej kapocie, gadającym do siebie przy stoliku pod czarnym, zastawionym garnkami piecem. Stała przed nim butelka z żalosną resztką podłego napitku.

Jordan skierował się do baru, rzucił złotą monetę na lepki od brudu kontuar i opierając stopę na mosiężnym relingu, omiatał salę czujnym spojrzeniem spod runda kapelusza, czekając, aż podejdzie do niego chudy, przygarbiony barman.

- Daj mi butelkę whisky i dwie szklanki - zażądał.

Barman miał kępkę siwych włosów na czubku głowy i cofnięty podbródek, który próbował zadzierać w wyrazie pogardy. Ściągnął z ramienia podartą szarą ścierkę, machnął nią po blacie, a potem schylił się, żeby wyciągnąć butelkę spod lady.

Jednym, zaskakująco zręcznym ruchem postawił ją przed Jordanem i pochwycił monetę, po czym sięgnął po szklanki.

- Dzięki - mruknął Jordan.

Barman odpowiedział prychnięciem i odwrócił się do niego plecami.

Jordan wziął butelkę i szklanki i podszedł do Zezowatego, który cały czas mamrotał coś pod nosem.

- Postawić ci kolejkę? - zagadnął, pokazując mu trunek.

Archibald odchylił głowę i utkwiał w Jordanie swoje niesamowite spojrzenie.

- Whisky? - Szybko podniósł do ust własną butelkę i osuszył ją z resztek jednym głośnym haustem. - Czemu nie.

Jordan odsunął krzesło od stolika, usiadł, nalał sobie porcję whisky, a potem podsunął butelkę i drugą szklankę Archibaldowi. Archibald wzgardził szklanką, częstując się obficie wprost z butelki.

Jordan bez pośpiechu przyjrzał się staremu, jego zniszczonej twarzy, niechlujnej brodzie i brudnym łachom.

- No więc jak? Myślałeś nad propozycją?

Archibald odjął od ust butelkę i otarł usta wierzchem dłoni.

- Taaa, myślałem. Chcesz wiedzieć, co wymyśliłem? - Pochylił się nad stolikiem, dmuchając na Jordana cuchnącym oddechem. - Wymyśliłem, że to był nieszczęśliwy dzień,

kiedyśmy z Isaiahem znaleźli tę złotą żyłę, to wymyśliłem. Zbieraliśmy się już, żeby jechać na zimę do Nevady. I wtedy żeśmy trafili na Zaginioną Leny i Isaiah mówi: „Nie, tej szybko nie sprzedamy. Na tej zarobimy, jak się patrzy”. Taaa.

Znów pociągnął z butelki, trzęsąc łysą głową.

- Zarobimy, jak się patrzy. Ha! Zaczynało padać i ta cholerna góra lada chwila miała zniknąć pod śniegiem grubym na dziesięć stóp. A Isaiah się upiera: „Nic sprzedamy. Zbudujemy sobie chatę i będziemy siedzieć tu, na miejscu, do wiosny”. – Patrzył smętnie na butelkę trzymaną w zaciśniętej sękatej dłoni. No i żeśmy siedzieli, pewnie - podjął po chwili zadumy. – Nie mieliśmy nic lepszego do roboty, jak grać w karty dla zabicia czasu. Przynajmniej ja nie miałem. Bo Isaiah, to spędził większą część zimy w łóżku Celeste.

- I to było powodem waszej kłótni, tak? - spytał cicho Jordan. - Wcale nie kopalnia, tylko Celeste.

Archibald łypnął na niego z ukosa. Jego wzrok doprawdy mógł przerazić - zezowate oczy płonęły od szaleństwa i nadmiaru whisky.

- Powiedziała ci?

- Nie - odparł Jordan, kręcąc głową.

Archibald westchnął.

- Powinna była za mnie wyjść. Myślałem, że dopóki wiem, gdzie jest Kopalnia Letty, mogę mieć nadzieję, że w końcu się przełamie. A teraz muszę się obejść smakiem.

Jordan mechanicznym ruchem obracał w palcach szklanke.

- Większość ludzi by sobie nie krzywdowała, mając połowę najbogatszej kopalni w kraju.

Krzaczaste brwi starego zjechały się nad nosem.

- Nie o to mi chodzi - obruszył się. Miałem na myśli, że Celeste nie będzie moja. Powiedz tej małej, tej Gabrielle. Powiedz jej, że jeśli chce mieć kopalnię swojej matki, to musi wyjść za człowieka, za którego miała wyjść jej matka.

Jordan zeszywniał.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Archibald się zachnął, zaciskając rękę na butelce. Zezowate oczy dziko błysnęły.

- Co ty mi tu mówisz? Mówisz, że już jest mężatką, to mi mówisz? Wiesz co? Od razu żeś mi się nie spodobał. Przypominałeś mi kogoś i teraz już wiem kogo. Niech mnie diabli, jak mi nie przypominasz Isaiaha. Będziesz mi tu siedział i mówił, żeś się ożenił z córką Celeste?

- Nie. - Jordan na przemian zginał i prostował palce prawej ręki, nie spuszczać oczu z butelki i trzymającego ją dziwaka. - Nie jesteśmy małżeństwem.

- No to w czym problem? Chyba że chcesz mi wmówić, że ona planuje zostać zakonnica? - Archibald łypnął szatańsko. - Zakonnica! Pomyśleć tylko, córka Celeste zakonnica. - Zarechotał, odrzucając głowę do tyłu.

Wciąż się śmiał, kiedy rozległ się wystrzał z winchestera, a zaraz po nim istna kanonada z rewolwerów. Grad kul zagrzechotał o drewniane ściany.

Jordan błyskawicznie rzucił się na podłogę, w nasiąknięte piwem trociny. Pociski siały spustoszenie na sali, dziurawiąc stoliki, tłukąc szyby w oknie, butelki i szklanki, wypełniając powietrze odłamkami szkła, drewna i ostrym zapachem rozlanego alkoholu. Z ulicy dobiegł tętent końskich kopyt. Banda pijanych straceńców przemknęła galopem, rozdzierając nocną ciszę dzikimi wrzaskami i bezładną strzelaniną.

Jordan czekał rozciągnięty na ziemi, aż zamieszanie ucichnie i dopiero kiedy usłyszał, że jeźdźcy dotarli do stóp wzgórza, odważył się podnieść głowę. Jęk dobiegający z rogu sali świadczył o tym, że ktoś został ranny. Ale uwaga Jordana była skupiona na osobie Archibalda Johnsona.

Zezowaty leżał na plecach obok wywróconego stolika. Na jego piersi rosła czerwona plama, aż w końcu przybrała groteskowy kształt dziecięcego śliniaczka.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Jordan, klękając przy umierającym.

Archibald Johnson był jeszcze przytomny, ale wyraz dzikości zniknął z jego niesamowitych oczu. Były spokojne i lekko zamglone. Jordan dopiero teraz zauważył, że mają piwny kolor.

- Już po mnie stwierdził Archibald, próbując unieść głowę.

Poruszenie wywołało atak kaszlu, od którego zaczął się dławić krwią.

- Nic nie mów. Sprowadzę ci lekarza - powiedział Jordan, choć widział w życiu zbyt wielu umierających ludzi, nie tylko podczas wojny, żeby poznać, kiedy nadchodzi śmierć.

Archibald złapał go za rękaw swymi sękatymi, pełnymi blizn rękami.

- Nie ma czasu. Muszę ci powiedzieć... o grobie Letty.

- Letty?

- Jedynej... która mnie nigdy nie zawiodła. Kopalnia... - Skrzywił się z bólu. - Znajdziesz ją dwieście trzydzieści metrów w dół zbocza od grobu Letty. Ta mała... córka Celcste...

Jordan pochylił się nad nim, żeby lepiej słyszeć.

- Ta Gabrielle... chcę, żeby ją miała. Chociaż jej matka... nawet nie chciała na mnie spojrzeć. - Zaśmiał się chrapliwie. - Mówiła, że jestem szalony. Mówiła, że pewnego dnia ktoś mnie

zastrzeli. - Znów się roześmiał, co wywołało następny atak kaszlu.

Nim skończył kaszleć, już nie żył.

- **Z**ostał zastrzelony z winchestera - powiedział Jordan następnego dnia, kiedy Gabrielle przyklęła, żeby złożyć bukiet polnych kwiatów na świeżym kopczyku ziemi, który był grobem Archibalda Johnsona.

Było wczesne popołudnie, jeden z tych wspaniałych słonecznych dni maja, jakie się zdarzają w Górach Skalistych, kiedy kolory są tak ostre, a powietrze tak czyste, że aż kłują w oczy. Odwiedziła wcześniej grób matki. Teraz, na dźwięk słów Jordana, aż poderwała głowę. Widząc cień strachu w jej oczach i nagłe zaciśnięcie ust, domyślił się, o czym pomyślała. Że strzał z takiej samej broni zabił jej matkę.

- Jesteś pewien? - spytała.

Przytaknął, patrząc jej w oczy.

- Rozmawiałem przed chwilą z doktorem Collinsem. Szeryf Baites kazał mu wydobyć kulę, zanim Archibald został pochowany.

Wstała, sztywno wyprostowana.

- Ale tamci ludzie przejeżdżali przez miasto, strzelając na oślep...

Odwrócił się od niej, spoglądając na dno wąwozu, gdzie czarne, spienione wody Czystego Potoku zderzały się ze stojącą im na przeszkodzie skalną ścianą i z bulgotem umykały z pola widzenia. Właściwie była to pierwsza okazja od czasu nieszczęsnej strzelaniny, kiedy mógł z nią porozmawiać. I miał świadomość, że nie spodoba jej się to, co miał do powiedzenia.

Odetchnął głęboko.

- Pierwszy wystrzał, jaki słyszałem, pochodził z winchestera, i właśnie ten go zabił. A to, co nastąpiło później... - Schylił się, żeby podnieść z ziemi gałązkę, a potem zaczął ją łamać w palcach na coraz drobniejsze kawałki. – Gdybyśmy byli w Abilene albo jakiejś innej osadzie na końcu linii kolejowej, nikt by się nie dziwił, że banda pijaków urządza sobie rajd przez miasto, żeby upuścić trochę pary. Ale nie jesteśmy w Abilene.

Wyrzucił połamane patyczki i razem zaczęli schodzić ze zbocza w stronę kutej żelaznej bramy. Wiat ciepły wiatr, przesycony aromatem świeżej trawy i sosen. Z pobliskiej osiki dobiegł słodki trzask skowronka. Widział, jak Gabrielle odruchowo zadarła głowę, wypatrując ptaszka w gałęziach.

- Chcesz powiedzieć, że zostali opłaceni za wywołanie strzelaniny, żeby śmierć Archibalda Johnsona wyglądała na wypadek?

- Nie opłaceni. Raczej... nakłonieni.

Zatrzymała się, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś chciał zabić tego zwariowanego staruszka?

Jordan posłał jej spojrzenie spod randa czarnego kapelusza.

- Jak to ujął król Jan? Nie mnie odegna dzwon, mszał i gromnica, gdy mnie przynęci srebro albo złoto.

Mina Gabrielle świadczyła o tym, że rozpoznała cytaty i zrozumiała, do czego się odnosi.

- Sądzisz, że to z powodu tej kopalni, prawda? Zaginionej Kopalni Letty. Ktoś wie, gdzie ona się znajduje, więc zabili Zezowatego, żeby nam nie powiedział.

- Właśnie.

Widział ruch mięśni na jej szyi, kiedy z wysiłkiem przełykała ślinę.

- To Slaughter, tak?

Zatrzymali się przy cmentarnej bramie. Jordan spojrzał w zatroskane szare oczy Gabrielle.

- Nie uważasz, że to całkiem prawdopodobne? Zważywszy na to, że McLeon próbował napaść na Archibalda Johnsona w wąwozie. Slaughter zapewne dowiedział się, gdzie leży kopalnia, od tego włóczęgi, który przejeżdżał przez miasto zeszłego roku. Nie dziwiłbym się, gdyby ten dureń skończył w którymś z opuszczonych szybów ze skreconym karkiem.

- Ale skoro chodzi mu o kopalnię, dlaczego próbuje wejść w posiadanie tego domu?

Jordan wzruszył ramionami.

- Może chciał zmusić twoją matkę, a teraz ciebie, do sprzedania domu i opuszczenia miasta. Bo wtedy mógłby położyć łapę także na wszystkich przedsięwzięciach dotyczących kopalni.

Zastanowiwszy się głębiej nad jego słowami, Gabrielle wyraźnie pobladła.

- To znaczy, że nic go nie powstrzyma? Jeśli nawet zamienię Przybytek Celeste w szkołę, on mi nie da spokoju.

Jordan odsunął kapelusz na tył głowy.

- Według mojego rozeznania, mamy dwie możliwości. Pierwszą, najbardziej oczywistą, jest osobiście odnaleźć kopalnię.

- Odnaleźć... - Niespodziewanie wybuchnęła perlistym śmiechem, który poruszył w nim jakąś uśpioną strunę. - Mamy się ubrać w wytłuszczone portki i podkute buty i wyruszyć na poszukiwania?

Uśmiechnął się znacząco, obrzucając łakomym spojrzeniem jej krągłe biodra.

- Ty w spodniach? No, no, to byłby niezły widok.

- Aha. - Opuściła głowę, ale zdążył dostrzec wesołość w ślicznych szarych oczach. Uwielbiał się z nią drażnić, tak samo jak uwielbiał ten uroczy rumieniec zakłopotania na jej policzkach.

- Gabrielle...

Popatrzyła mu w oczy, zaskoczona nagle spoważniałym tonem.

- Zanim Archibald umarł, coś mi powiedział. Podejrzewam, że ten człowiek był jednak trochę szalony, więc trudno osądzić, czy w ogóle wiedział, co mówi. Ale powiedział mi, że znajdziemy kopalnię dwieście trzydzieści metrów w dół zbocza od grobu kogoś, kto nazywał się Letty.

Zapadła między nimi długa chwila ciszy, podczas której Gabrielle starała się ocenić to, co usłyszała.

- Nie sądzę, żeby umierający człowiek mógł coś takiego wymyślić.

- Może tak, a może nie. Chodzi o to... - Wiatr przykleił jej luźny kosmyk włosów do twarzy. Jordan wziął go delikatnie w dwa palce i odgarnął za ucho, a potem wierzchem dłoni leciutko pogładził ją po szyi. - Musisz zrozumieć, Gabrielle, odnalezienie Zaginionej Kopalni Letty może być najlepszym sposobem, żeby cię na dłuższą metę chronić przed Dougiem Slaughterem. Ale jeśli on się dowie, że jej szukamy...

- Prawdopodobnie będzie nas próbował zabić, nim ją znajdziemy dokończyła, patrząc mu w oczy.

- Zgadza się. A skoro ktoś w tym domu jest na jego usługach, będzie znał każdy nasz krok, jeszcze zanim go wykonamy.

Zmarszczyła brwi w grymasie niechęci. Wiedział, że myśl o podejrzewaniu dziewczyn była jej nieznośna, więc wcale go nie zdziwiło, że szybko zmieniła temat.

- Domyślasz się, kim mogła być ta Letty? - spytała. -1 gdzie może być pochowana?

- Nie. Prosiłem Winga Tsue, żeby dyskretnie zasięgnął języka wśród starszych mieszkańców tych okolic, a poza tym myślałem o przejrzeniu lokalnych gazet. Ale to może trochę potrwać... zakładając, że ktoś taki w ogóle istniał.

Gabrielle obejrzała się na wzgórze, z którego schodzili, na samotny, chłostany wiatrem cmentarz przycupnięty na zboczu.

- Jak dalece przestrzegali chowania zmarłych na cmentarzach, wiesz, wtedy, na początku? - spytała.

- Bardziej, niż można by przypuszczać. Musieli, przynajmniej w miastach i obozach. Ale jeśli ktoś zmarł podczas pracy na złotonośnej działce, gdzieś wysoko w górach... - Wzruszył ramionami, wskazując na szczyty w oddali, wciąż jeszcze połyskujące bielą śniegu. - Do licha, ta Letty może być

pochowana gdziekolwiek w całym tym przeklętym górskim paśmie...jeśli w ogóle istniała.

Gabrielle stała bez ruchu, patrząc na dzikie, niedostępne wierzchołki. Wiedział, że przejęła się głęboko tym, co usłyszała. Spojrzała na niego z powagą.

- Powiedziałeś, że mamy dwie możliwości. Pierwszą jest odnalezienie kopalni. Jaka jest druga?

- Mogę go zabić - oznajmił Jordan beznamiętnym, jakby zmęczonym głosem. - Mogę zabić Douga Slaughtera, zanim on będzie miał okazję zabić nas.

Aż rozchyliła usta z wrażenia.

- Nie możesz tego zrobić. - Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Ścisnęła go przy tym za ramię tak mocno, że nawet przez ubranie czuła ukłucia paznokci. - Ze względu na siebie, ze względu na swą duszę. On nie jest tego wart.

Jordan uniósł kąciki ust w smutnym uśmiechu. Pogłaskał ją po policzku. Zadrżała, ale nie potrafił odgadnąć, czy z powodu samego dotyku, czy tego, co ujrzała w jego oczach.

- Moja dusza już dawno została potępiona.

- Nie. - Zacisnęła palce jeszcze mocniej. - Nie wolno ci tak mówić.

- Strzeż się go, książę, uciekaj od niego - zacytował ponuro.
- Grzech, śmierć i piekło stemplem go swym znaczą.

Z jej oczu, wielkich i nagle pociemniałych, biło przerażenie.

- Nie mów tak - powtórzyła. - Nie jesteś taki! Nie jesteś!

- Ależ jestem - stwierdził po prostu.

Doug Slaughter odgryzł końcówkę cygara i splunął niedbale w kąt, nie zadając sobie trudu celowania do spluwaczki.

Nie on jeden chybił. Posypana trocinami podłoga taniej knajpy upstrzona była plamami brązowej śliny. Zapach przeżutego tytoniu mieszał się z kwaśnymi oparami whisky i niemytych ciał oraz szczególną wonią pośpiesznego seksu dochodzącą z pomieszczenia na zapleczu. Niebieskie Płomienie trudno było uznać za wytworny lokal.

- Planują jechać w poniedziałek do Payetteville - zwrócił się do niskiego, chudego człowieka, wspartego łokciami na brudnej ladzie baru.

- Do Payetteville? - Bart Tucker jednym palcem nasunął sobie kapelusz na czoło. - A cóż ich tam niesie, do diabła?

- To bez znaczenia. - Slaughter ścisnął cygaro w zębach i sięgnął do kieszeni kamizelki w poszukiwaniu zapalniczki. - Twoim zadaniem jest dopilnować, żeby żadne z nich stamtąd nie wróciło. Żadne, rozumiesz?

- Zajmę się tym.

Slaughter zapalił zapalniczkę i ponad jej płomieniem spojrzął rozmówcy w oczy. Tucker pierwszy odwrócił wzrok.

- Lepiej, żebyś nie nawalił - ostrzegł Slaughter, zaciągając się cygarem. - Od dzisiaj będziesz oficjalnie i powszechnie ścigany. Jeśli dasz się złapać, ja jestem kryty i nie kiwnę nawet palcem, żeby ci pomóc.

Tucker pieszczotliwie dotknął wysłużonej kolby winchestera, z którym się nigdy nie rozstawał.

- Nie dam się złapać.

Slaughter przez stulone wargi wypuścił strumień szaroniebieskiego dymu.

- Hays należał kiedyś do Texas Rangers, nie zapominaj. A wcześniej jego dowódcą był sam Lee. Nie pójdzie z nim tak łatwo.

- Kula w plecy zawsze łatwo wchodzi - rzucił Tucker i na jego twarzy zagościł paskudny uśmiezek. - Masz coś przeciwko temu, żebym się trochę zabawił z tą kobietą, zanim ją zabiję?

Slaughter zagryzł cygaro i mrużąc oczy pomyślał o długich nogach i młodych jędrnych piersiach Gabrielle Antoine. Miał ochotę sam się z nią zabawić. Szczególnie kusił go pomysł, by osobiście ukarać ją za kłopoty, jakie mu sprawiła. Jednakże w tej chwili ważniejsze było usunięcie z drogi jej i Haysa.

- Cholera - mruknął, odsuwając się od baru. - Możesz z nią robić, co chcesz, choćby przez tydzień. Byłeś ją na pewno zabił, jak już skończysz.

18

Cichy szloch Youngmi zginął w szumie wody i wiatru szeleszczącego w gałęziach sosen. Skłoniwszy głowę, skuliła się w miękkiej trawie przy potoku zasilanym topniejącym śniegiem. Jej czerwone kimono lśniło jaskrawą plamą na tle spokojnej leśnej zieleni i brązu.

Gabrielle wyszła na spacer, chcąc znaleźć ukojenie w złocistym blasku ciepłego południowego słońca i radosnym śpiewie ptaków, lecz widok drżącej, przygarbionej Chinki sprawił, że gwałtownie się zatrzymała. Stąpnęła na niewielką gałązkę, która złamała się pod jej trzewikiem, wydając głośny trzask, który zabrzmiał nienaturalnie głośno w ciszy gór. Youngmi natychmiast uniosła głowę i zerwała się na nogi.

- Proszę, nie uciekaj. - Gabrielle wyciągnęła rękę, chcąc zatrzymać spłoszoną dziewczynę. - Nie chciałam ci przeszkadzać, ale... Dobrze się czujesz, Youngmi? Nie jesteś chora? A może... - Bezwiednie popatrzyła na płaski brzuch Chinki. - Może jesteś w ciąży?

Youngmi pokręciła głową.

- Ta dziewczyna w porządku - powiedziała swój ą nieporadną, wdzięcznie akcentowaną angielszczyzną. - Przepraszam, że niepokoję.

- Youngmi, zaczekaj - zwróciła się do niej Gabrielle, widząc, że dziewczyna zamierza odejść. - Jeśli jesteś smutna dlatego, że nie lubisz swojej pracy, pomogę ci znaleźć inne zajęcie. Może chciałabyś...

- Nie. - Youngmi odwróciła się. Gabrielle była zaskoczona gwałtownością w głosie dziewczyny, emocjami, które dostrzegła w ciemnych oczach, nim Chinka opuściła wzrok. - Nie - powtórzyła. - Pani jest jak Wing Tsue.

- Wing Tsue?

Youngmi zacisnęła dłonie tak mocno, że aż zbieleły jej kostki.

- On chce się ze mną ożenić.

Gabrielle gwałtownie zaczerpnęła tchu. Często widywała tę parę razem i zauważyła delikatny uśmiech pojawiający się na twarzy Winga Tsue, ilekroć patrzył na Youngmi, lecz nie wiadomo czemu Gabrielle nigdy nie przyszło do głowy, że jego zainteresowanie jest aż tak głębokie. Stanowili wręcz groteskową parę - olbrzymi mężczyzna i ta drobniutka dziewczyna.

- Gratuluję - powiedziała cicho. - To cudownie.

- Nie! - Youngmi zamachała rękami. - Pani jest jak Wing Tsue. Nie rozumie. Ja nie mogę wyjść za mąż. Ja nie nadawać się na żonę. Jestem tu, bo taka się stałam. To jest moje prze-

znaczenie. - Odwróciła się i ruszyła biegiem ze wzgórza w stronę domu. Biegła sztywno, z rozłożonymi ramionami i rozwianymi włosami.

- Boże - wyszeptała Gabrielle, Odprowadziła wzrokiem Youngmi, aż dziewczyna zniknęła wśród drzew, po czym odwróciła się i wspięła na wzgórze, do miejsca, w którym rosły potężne, wysokie modrzewie i sosny, a strumień z kojącym, radosnym szmerem wartko opadał swym kamienistym korytem.

Zastała Sirenę leżącą na skale, zasłaniającą oczy ramieniem. Sprawiała wrażenie pogrążonej we śnie, lecz Gabrielle była pewna, że dziewczyna nie śpi.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszła, szczerze mi to powiedz - zwróciła się do Sireny, przystanawszy na brzegu strumienia.

Sirena podłożyła łokieć pod głowę. Miała otwarte oczy.

- Nie chcę.

Gabrielle zdjęła buciki i pończochy, po czym przeszła na drugą stronę lodowatego strumienia i przysiadła na skałę.

- Miała pani dzisiaj jechać do Payetteville – powiedziała Sirena, wpatrując się w białe chmury płynące po niebie.

Gabrielle popatrzyła na nią, zaskoczona.

- Nic, wybieram się tam jutro. Ale skąd wiesz...?

Sirena wzruszyła ramionami.

- W naszym domu tajemnica długo się nie utrzyma.

Gabrielle otarła mokre nogi falbanami halki.

- W takim razie może będziesz potrafiła mi wytłumaczyć, dlaczego przed chwilą Youngmi płakała z powodu tego, że Wing Tsue się jej oświadczył.

Sirena popatrzyła na Gabrielle.

- A więc poprosił ją o rękę. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Nareszcie. Jest w niej beznadziejnie zakochany, odkąd pani matka przyjęła ją do domu.

Gabrielle uważnie przyjrzała się Sirenie.

- Myślałam, że ona go lubi... przynajmniej jako przyjaciela. Tymczasem nie chce za niego wyjść za mąż. Dlaczego?

Sirena usiadła.

- Bo uważa, że nie jest tego godna. Że jako prostytutka nie nadaje się na żonę.

- To niedorzeczne.

Sirena rozłożyła ręce.

- Ona tak uważa. Jak na ironię on tak długo zwlekał z oświadczeniami, bo sądzi, że nie jest jej godny... ponieważ jest Chińczykiem tylko w połowie.

Strumień bulgotał swarliwie. Gabrielle wciągnęła w nozdrza zapach rozgrzanej słońcem ziemi. W pobliżu przeleciała sójka, jej niebieskie skrzydełka szybko zniknęły w gęstwinie

sosen. Złote majowe słońce mile grzało plecy, mimo to Gabrielle było zimno. Szczelnie otuliła mokre stopy spódnicą.

- Myślisz, że Youngmi go kocha?

- Ona go ubóstwia.

Gabrielle zmrużyła oczy, oślepiona blaskiem słońca odbijającego się od wody.

- W takim razie nie powinno być kłopotu z rozwiązaniem tego problemu.

Sirena uniosła podbródek i zapatrzyła się na szczyty gór.

- Tak pani myśli? Mój 'ojciec często mi powtarzał, że najtrudniejsze do pokonania są w życiu te przeszkody, które wznosimy sami.

Gabrielle popatrzyła na piękną, młodą twarz Sireny, nieznacznie zbrązowiałą od słońca, z pałającymi ciemnymi oczami.

- Twój ojciec musi być bardzo mądrym człowiekiem - powiedziała cicho.

- Był. - Przez twarz Sireny przemknął cień.

- Nie żyje? - zapytała Gabrielle.

Sirena pokręciła głową.

- Został zabity razem z moją matką, kiedy kawaleria zaatakowała nasz obóz.

Gabrielle szybko wciągnęła powietrze.

- To wojsko zabiło twoją matkę? Przecież była biała.

- Tak.

- Byłaś przy tym?

- Tak.

Gabrielle zapatrzyła się na strumień u stóp skały, starając się wczuć w położenie piętnastoletniej dziewczyny, której rodzice zginęli na jej oczach, a ona sama znalazła się w przerażającym, nieznanym jej dotąd świecie, wśród mężczyzn takich jak Silos Priestły, w nędznych pokoikach z zamkami w drzwiach.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że masz brata. Co się z nim stało? Sirena wygięła szyję i poddała twarz promieniom słońca.

- Mieszka teraz w Bostonie z rodziną mojej mamy.

- A on wie? Czy wie o tym, co się z tobą stało? Gdzie teraz jesteś?

Sirena pochyliła głowę i otworzyła oczy.

- Nie. - Skinęła głową ku kołysanym wiatrem strzelistym szczytom sosen na tle błękitnego nieba. - Jako Apacz nazywał się Tańczący na Wietrze. Kiedy słyszę szum drzew, zawsze o nim myślę. - Oparła się dłońmi o płaską szarą skałę i uniosła z wdziękiem. - Ale nigdy już się nie spotkamy. - Zeszła ze skały i oddaliła się, bez butów, bez słowa, nie obejrząwszy się nawet.

Gabrielle siedziała, obejmując palce stóp dłońmi, i patrzyła, jak Sirena znika w gęstwinie drzew. Czowała wielki ciężar w piersi, pieczenie łez pod powiekami. Sosny cicho szumiały nad jej głową. Pomyślała, że to bardzo niepokojący, smutny odgłos, potęgujący uczucie samotności.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w dźwięki tańczącego wiatru.

Ich próby znalezienia kobiety o imieniu Letty spełzły na niczym.

Spośród tych, którzy mieszkali w Central City w latach sześćdziesiątych, idąc jej sobie nie przypominał, a ewentualne wzmianki w gazetach zostały zniszczone w czasie pożaru, który strawił większość miasteczka w sześćdziesiątym siódmym roku.

Gabrielle zaproponowała, by przeprowadzili jeszcze wywiad na terenach położonych wokół najbardziej obiecujących działek poszukiwaczy. Postanowili zacząć od Payetteville, opuszczonego obozowiska położonego tak daleko w górach, że musieli wyruszyć w poniedziałek o świcie, by dotrzeć tam i z powrotem w ciągu jednego dnia.

Jechali przez lasy, wśród sosen, osik, jodeł i świerków. Żłociste promienie wschodzącego słońca migotały perłście w mgiełce spowijającej ciemnozielone gałęzie drzew. Gdy

powietrze rozbłysło złotą, świetlistą rzeką, Gabrielle westchnęła z zachwytu.

Możliwość podziwiania piękna gór rankiem była dla niej jak niezwykły dar, podobny darowi życia i miłości. Jednak obserwując resztki mgły, znikające wraz z nadejściem ciepłych podmuchów wiatru, myślała, że należy cieszyć się nim, póki czas, podobnie jak wszystkimi cennymi darami, jako że nic nie trwa wiecznie.

Wciągnęła w płuca świeże powietrze przesycone zapachem sosen i przyjrzała się jadącemu obok mężczyźnie. Smukły, wysoki, trzymał się w siodle z niewymuszoną elegancją. Uwielbiała na niego patrzeć, obserwować, jak ściska końskie boki mocnymi udami, jak trzyma wodze w kształtnych dłoniach, podziwiać wspaniałą rzeźbę zgrabnego ciała poruszającego się swobodnie w rytm konnej jazdy. Jej serce wezbrało miłością.

Jeszcze całkiem niedawno uważała, że gdyby mogła cieszyć się tym, co miała w tej chwili - bliską obecnością ukochanego mężczyzny - byłaby absolutnie szczęśliwa. Lecz doszła do wniosku, że szczęście jest ulotne jak poranna mgiełka. Można je dostrzegać, czasami nawet czuć, nigdy jednak nie jest się w stanie go dotknąć, chwycić i zatrzymać tak, by nigdy nie uciekło.

Tuż przed nią wyskoczył na ścieżkę zając, koń przestraszył się parsknął i rzucił łbem. Łagodny wiatr zaszeleścił gałęziami drzew, wypełniając powietrze zapachem wilgotnej ziemi i trawy skapanej w słońcu. Ścieżka skręciła, wychodząc nagle na otwartą łąkę pełną różowych floksów, delikatnych pantofelków, orlików, chabrów i mnóstwa innych kwiatów stanowiących białe, żółte, purpurowe i czerwone plamy, przywodzące na myśl wibrujące barwami płótna impresjonistów.

- Pięknie tu, prawda? - powiedział Jordan, zatrzymawszy konia obok niej.

Popatrzyła na niego, na jego pięknie wykrojone wargi, regularne, mocne rysy twarzy.

I mimo iż czuła ból, mimo iż wiedziała, że wkrótce to wszystko będzie musiało się skończyć, pozwoliła sobie znów się w nim zakochać.

Jordan pochylił się, oparł dłoń o łuk siodła i zapatrzył się u przestrzeń.

Kiedyś musiała to być malownicza polana, przez którą przepływał bystry strumień, lecz górnicy pogłębili jego koryto prawie na całej długości, zostawiając na brzegach zwały żwiru i piasku. Okoliczne wzgórza były teraz nagimi, plamistymi kopcami gołej ziemi i niszczejących pni — drzewo posłużyło do

ostemplowania wielu mil tuneli wydrążonych głęboko w czeluściach gór albo do podsycania ognia w maszynach pracujących przy wydobyciu rudy.

Odwrócił głowę i dostrzegł odbicie swego bólu w twarzy Gabrielle, która przyglądała się nagim wzgórzom, stertom rdzewiejących puszek, strzępom brezentu smętnie powiewającym na wietrze, pozostałościom prymitywnych chat skleconych z bali, które nie wytrzymały ciężaru opadów śniegu z wielu zim.

Zeskoczył z siodła, podszedł do Gabrielle i pomógł jej zsiąść.

- Jakimi dziełem jest człowiek - powiedział ironicznym tonem. - Jak szlachetnie rozumującym.

Oparła dłonie na barkach Jordana i ześliznęła się w jego ramiona. Przez chwilę pozostali we wzajemnym uścisku, skąpani w słońcu i owiewani ciepłym wiatrem niosącym pył i potęgującym nastrój opuszczenia. Nawet ptaki opuściły to miejsce. Panowała tu martwa cisza.

- Nie podoba mi się tutaj. - Gabrielle była blada jak płótno.

Jemu także się tu nie podobało.

- Nie zostaniemy tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Wypuścił ją z objęć, przewiesił strzemień przez kulę u siodła i rozluźnił popręg. Szybko zdjął siodła i uwiązał konie tam,

gdzie mogły zostać na popas. Gabrielle stała, trzymając się za łokcie i patrząc na otaczające ich góry.

Podszedł do niej i objął ją w pasie. Uśmiechnęła się, wciąż jednak była bardzo blada.

- To wygląda jak cmentarz. - Ruchem głowy wskazała pagórek w odległym końcu miasteczka. - Może najpierw tam pójdziemy?

Zajrzał w jej ciemne, smutne oczy.

- Jeśli naprawdę ci się tu nie podoba, możemy odjechać.

- Nie. Po prostu zachowuję się nierozsądnie. - Podała mu ramię. - Chodźmy.

Wspięli się stromą ścieżką na szczyt wzgórza, na którym znajdowały się zbieleńskie drewniane krzyże niemal całkowicie ukryte w chwastach. Gabrielle przystanęła i uważnie przyjrzała się niewielkiemu zagłębieniu w twardej ziemi.

- Na większości tych grobów nie ma nawet nazwisk - powiedziała.

- Letty może być tu pochowana. - Rozwinął sporządzoną przez siebie mapę, na której zaznaczył stare działki górnicze, zmrużył oczy przed blaskiem słońca i wpatrzył się uważnie w symbole, by zorientować się w terenie. - Wygląda mi na to, że jedna z tych działek znajdowała się tutaj. - Wskazał skalisty wąwóz po ich prawej stronie.

Z ciemnego wąwozu wionęła nieprzyjemna wilgoć. Gdzieś w dole słychać było szmer wody.

- Ale czego my właściwie szukamy?

Uśmiechnął się.

- Nie wiesz? Spodziewam się, że znajdziemy tu olbrzymie wejście do tunelu, przy którym będzie stał stary wóz do transportu rudy i spłowiąły szyld „Zaginiona Kopalnia Letty”. Machnął ręką. - Nigdy nie czytałaś powieści sensacyjnych?

- Aha. - Zdjęła słomkowy kapelusz i zaczęła się nim wachlować. - Ależ z ciebie oszust, Jordanie Hays. Myślałam, że czytasz tylko Szekspira i rzymskich poetów.

Patrzył na jej włosy, z których popołudniowe słońce wydobyło całą gamę odcieni i teraz mieniły się złotem. Miała skórę zroszoną potem i nieznacznie opalony nos. Rozchyliła usta w przekornym uśmiechu. Wyglądała tak młodo, pięknie i była tak pełna życia, że aż zaparło mu dech z zachwytu.

- Gabrielle - zwrócił się do niej głosem ściszonej z pożądania i innego uczucia, z którego wolał nie zdawać sobie sprawy, a które z pewnością wykraczało poza granice zwykłej sympatii.

To uczucie, mimo iż niechciane i nieuświadomiane w pełni, było bardzo realne.

Wyciągnął do niej rękę, jednak ze śmiechem okręciła się na pięcie i skierowała na skalistą ścieżkę prowadzącą do wąwozu.

- *Czemu uciekasz, kochanko droga?* - zawołał za nią. Urwał, uśmiechnął się i dopiero potem wypowiedział następny fragment. - *To twój kochanek; stój, stój, przez Boga!*

Odwróciła się do niego ze śmiechem, uniosła do oczu rękę, w której trzymała kapelusz, spódnica zafalowała wokół jej nóg. W tej samej chwili zauważył jakiś ciemny kształt za nią, po drugiej stronie wąwozu, niebędący ani drzewem, ani głazem. Oślepił go blask światła słonecznego, odbitego jakby od lufy strzelby.

- Uważaj! - krzyknął, sięgając po rewolwer. Gabrielle odwróciła się gwałtownie i dostrzegła mężczyznę z winchesterem.

Wąwóz rozbrzmiał echem wystrzału. Jordan zobaczył, że Gabrielle drgnęła, rzuciła się w przód i osunęła na ziemię.

- Gabrielle! - zawołał. Napastnik wystrzelił po raz drugi.

Jordan poczuł podmuch kuli przelatującej tuż koło jego twarzy i sam wystrzelił.

Pierwsza kula Jordana trafiła Barta Tuckera w ramię, druga w pierś.

Bandyta, który przed chwilą strzelił do Gabrielle, zachwiał się, a jego małe, gibkie ciało drgnęło kilkakrotnie, gdy Jordan

beznamiętnie wpakował weń jeszcze cztery kule. Dopiero gdy opróżnił magazynek, napastnik runął w przód w obłoku pyłu i osypujących się kamyków.

Po chwili rozległy się głucho uderzenia ciała o skały. Jordan otworzył kolta, opróżnił magazynek ze zużytych nabożów, ponownie załadował. Cały czas nie opuszczała go świadomość, że Gabrielle leży obok niego bez ruchu. Wiatr rozwiewał jej zakrwawione złociste włosy rozsypane na trawie. Miał ochotę jak najszybciej do niej podbiec, upewnić się, czy żyje, dotknąć jej, pocieszyć, zmusił się jednak do pozostania w miejscu. Przeczesał wzrokiem skały w poszukiwaniu drugiego strzelca, uświadamiając sobie powolny powrót ciszy.

Usłyszał odległy szum wody płynącej na dnie wąwozu, ostry krzyk jastrzębia krążącego wokół sosny. Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Natychmiast dotknął palcem spustu, lecz była to tylko jaszczurka, szybko przemierzająca rozgrzaną skałę, co spłoszyło białego motyla, który wzleciał w górę.

Byli sami.

Schował kolta do olstra, wyprostował się i na sztywnych nogach podszedł do miejsca, gdzie Gabrielle leżała twarzą do ziemi. Przyklęknął obok niej, z trudem zaczerpnął tchu i dotknął jej drżącymi dłońmi.

Uniósł ją delikatnie, obrócił do siebie. Na widok prawej strony jej twarzy poczuł uścisk w żołądku. Boże... Gabrielle. Była tak zakrwawiona i oblepiona kurzem, że nic mógł dostrzec miejsca, w które trafiła kula. Zwisiała bezwładnie w jego ramionach, miała zamknięte oczy. Na chwilę zamarło mu serce i z przerażeniem pomyślał, że Gabrielle nic żyje. Po chwili jednak wyczuł słaby, lecz regularny puls w zagłębieniu jej szyi i serce zaczęło mu walić w piersi jak oszalałe.

Przycisnął ją do piersi, czując jej cudowny zapach, zmieszany teraz z zapachem krwi i kurzu. Westchnął głęboko i przez chwilę mocno tulił ją do siebie, delikatnie kołysząc w ramionach, zacisnąwszy powieki, aż znalazł w sobie dość siły, by znów popatrzeć na jej piękną, kochaną, zakrwawioną twarz.

Z drzeniem otworzył oczy. Delikatnie, z czułością odgarnął jej włosy z czoła, ze świstem wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

Kula zerwała skórę z boku czaszki, pozostawiając poszarpaną, brzydką ranę, sprawiającą wrażenie niebezpiecznie głębokiej. Ciemnoczerwona krew wciąż wypływająca z rany ściekała po twarzy i szyi Gabrielle i wsiąkała w rękaw jego surduta, plamiąc też kamizelkę.

- Gabrielle - wyszeptał udręczonym głosem. Wyjął chustkę, złożył ją kilkakrotnie i przywiązał do rany kawałkiem materiału,

który urwał z jej halki. Gabrielle obficie krwawiła, a znajdowali się daleko od domu. - Gabrielle. - Usiłował powstrzymać łzy, lecz pociekły mu po policzkach. - Proszę, nie umieraj. Nie umieraj teraz ty. Nie ty.

Uniósł głowę i popatrzył na wzgórze, na konie pasące się obok strumienia. Westchnął i wstał z trudem, mocno trzymając Gabrielle w ramionach.

- Nie ty - powtórzył i ruszył przed siebie.

Obudziła się w ciemnym pokoju.

Był wciąż dzień, najprawdopodobniej wczesne popołudnie, sądząc po smugach światła wpadających do wnętrza spomiędzy ciężkich ciemnoniebieskich zasłon z aksamitu. Zdziwiło ją, że o tej porze znajduje się w łóżku, w pomieszczeniu z zaciągniętymi kotarami. Usiłowała się skupić, przypomnieć sobie, co się stało, ale bardzo bolała ją głowa i wspomnienia zamazywały się w jej pamięci. Poruszyła się i ostry ból przeszył jej czaszkę. Jęknęła, nim zdołała się opanować.

Usłyszała nagłe poruszenie i zdała sobie sprawę, że Jordan przysunął fotel do łóżka i czuwa przy niej. Dotknął jej dłoni, spoczywającej na atlasowej pościeli.

Wyglądał okropnie, musiał być bardzo zmęczony. Nie golił się od kilku dni, a oczy błyszczały mu tak podejrzanie, że gdyby tu siedział ktoś inny, pomyślałaby, że to łzy.

- Obudziłaś się - powiedział cicho.

Chciała się uśmiechnąć, zapewnić go, że wszystko jest w porządku, była jednak bardzo słaba. Kiedy spróbowała coś powiedzieć, wydała z siebie tylko cichy szept.

- Co się stało?

- Zostałaś postrzelona. - Mówił dziwnie chrapliwie, nigdy jeszcze nie słyszała u niego takiego głosu. - Lekarz powiedział, że miałaś dużo szczęścia, że przeżyłaś. Straciłaś mnóstwo krwi.

Niespokojnie poruszyła dłonią.

- A tobie nic się nie stało?

- Nie.

I wtedy dostrzegła smutek w jego twarzy, sztywne ułożenie ramion. Nie musiała zadawać mu dalszych pytań, by wiedzieć, iż człowiek, który do niej strzelał, nie żyje, że Jordan go zabił.

Współczuła mu z powodu tego, co musiał czuć, a co starannie ukrywał.

- Kto...

Przyłożył palce do jej ust.

- Nic już nie mów. Musisz odpocząć.

Poruszyła wargami.

- Ale...

- Ciii... śpij.

Jej powieki zamknęły się bezwiednie. Zасыpiając poczuła, że Jordan delikatnie całuje ją w usta. Kiedy znów się obudziła, nie było go w pokoju.

Jordan obserwował taniec Tierney, jej ręce wykonujące zmysłowe, koliste ruchy, niemal nagie biodra i piersi ocierające się uwodzicielsko o delikatną jak mgiełka tkaninę sukni. W kręgu widzów skupionych wokół niej rozchodziły się ciche męskie pomruki stymulowane whisky i pożądaniem, urozmaicane dzikimi piskami i kaskadami kobiecego śmiechu, Jordan wypił mały łyk brandy, po czym jednym haustem opróżnił szklaneczkę i otrząsnął się.

Był już tym wszystkim bardzo zmęczony. Męczyły go długie noce, wolne, łatwe kobiety, atmosfera pozbawionego radości, beznadziejnego szukania niewybrednej rozrywki. Jednak kiedy pomyślał o odejściu...

Zacisnął szczęki i ponownie uniósł szklaneczkę, zapomniawszy, że jest już pusta. Odepchnął się od ściany, chcąc jak najszybciej znów się napić, przystanął jednak, usłyszawszy, że otwierają się drzwi na końcu korytarza.

Odwróciwszy się, zauważył Sirenę, które wyszła z pokoju Gabrielle i zmierzała w jego stronę. Tego wieczoru miała na sobie czarną aksamitną suknię przystrojoną czarną satyną. W takim stroju wyglądałaby jak żałobnica, gdyby nie głęboki dekolt pozwalający na podziwianie dużej części jędrnych, kragłych piersi. W rezultacie powstawał dość makabryczny, a już na pewno teatralny efekt. Jordan pomyślał, że jest to jak najbardziej odpowiednie, gdyż zawsze odnosił wrażenie, iż Sirena przez większą część swojego życia odgrywa jakąś rolę i że jej miejsce jest raczej na scenie, a nie w domu publicznym.

Przystanąła obok niego i bystrym wzrokiem popatrzyła na pustą szklaneczkę i niespokojny, niebezpieczny błysk, jaki zawsze pojawiał się w jego oczach po nadużyciu alkoholu.

- Ile już wypijeś?

- Za mało - powiedział, uśmiechając się do niej. Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Co ty właściwie robisz? Upijasz się, żeby zdobyć się na odwagę i odejść? Czy pijesz po to, żeby znaleźć w sobie dość odwagi, by zostać?

Gniewnie ściągnął brwi, lecz na dziewczynie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Miał ochotę zapytać, dlaczego wydaje jej się, że wie, jakie są jego zamiary, skoro on sam nie ma o tym pojęcia. Chciał jej powiedzieć, że mówi jak zaszuszone,

pruderyjna nauczycielka, a nie lubiąca przyjemności prostytutka, i zaproponować, żeby nie wścibiała nosa w cudze sprawy. W końcu jednak wzruszył tylko ramionami.

- Może z obu tych powodów - odpowiedział.

Cień jakichś emocji przemknął przez jej twarz i szybko zniknął.

- Powinieneś porozmawiać z Gabrielle.

Jordan ściągnął wargi i wypuścił powietrze. Nie widział się z Gabrielle już prawie przez tydzień. Dniami i nocami czuwał przy jej łóżku, dopóki się nie upewnił, że niebezpieczeństwo minęło. Lecz potem wstał, zmusił się do wyjścia z pokoju i od tamtej pory trzymał się od niej z daleka.

Wpatrzył się w pustą szklaneczkę.

- Prosiła, żebym przyszedł?

Sirena pokręciła głową.

- Ona o to nie poprosi. Ale byłaby głupia, gdyby nie wiedziała, o co ci chodzi. A ta dziewczyna nie jest głupia.

Popatrzył udręczonym wzrokiem w wyraziste, bezlitosne oczy Sireny. Mógł jej powiedzieć, że wie, kto tu jest głupcem i że przeważnie sami sprawiamy sobie piekło. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że Sirena dobrze już o tym wie, więc odstawił szklaneczkę na marmurowy blat stolika i wyszedł frontowymi drzwiami w niespokojną, burzową noc.

19

Porywisty wiatr chłostał policzki Gabrielle, targał włosy, zawodził wśród rozkołysanych sosen na krawędzi górskiego grzbietu. Na niebie gromadziły się ciężkie szare chmury.

Wcześniej tego ranka padało tylko przez chwilę, lecz świeża trawa na grobie jej matki była wciąż wilgotna. Gabrielle przyklękła, zamknęła oczy i zakryła twarz dłońmi; jej ciałem wstrząsnął szloch.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak nieszczęśliwa. Nawet w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w klasztorze nie była tak samotna, ani tak się nie bała.

- Och, mamó - wyszeptała. - Co powinnam teraz zrobić?

Minął już tydzień, odkąd przebudziła się i odkryła, że Jordan przestał czuwać przy jej łóżku. Przez ten tydzień jego głos dobiegał do niej jedynie z oddali, a ona zastanawiała się, dlaczego jej unika. Zmieszanie i wątpliwości powoli zmieniły się w niepokój, strach, wreszcie w coraz większą, bolesną pewność.

Zamierzał ją zostawić. Nie była pewna, czy sam już zdaje sobie z tego sprawę, ale ona już o tym wiedziała.

Od tamtej nocy, w czasie której oddała mu się po raz pierwszy, była pewna, że któregoś dnia ją porzuci. Ilekroć otwierała usta do pocałunku, ilekroć przyciskała jego ciemnowłosą głowę do swych piersi, za każdym razem, gdy przyjmowała go w siebie, wiedziała, iż w końcu nadejdzie dzień, w którym Jordan zda sobie sprawę, że są już sobie zbyt bliscy, że staje się w pewien sposób bezbronny i podatny na zranienie, a wtedy ogarnie go niepokój, który zmusi go do odejścia.

Jednak świadomość, że kiedyś to się stanie, a konieczność stawienia temu czoła, to dwie różne rzeczy.

Otworzyła oczy. Silny podmuch wiatru zrosił jej twarz kropelkami deszczu, które zmieszały się ze łzami i opadły na kwiaty, leżące na grobie matki. Ustronne miejsce wiecznego spoczynku Celeste DuBois wydało się Gabrielle szczególnie odległe od gorącej, przesyconej zapachem magnolii atmosfery Nowego Orleanu, od ukochanego mężczyzny matki.

Zaledwie poprzedniego wieczoru Sirena powiedziała Gabrielle wszystko, co wiedziała na temat Beauregarda St. Etienne i Celeste. Gabrielle siedziała przy toaletce, machinalnie bawiąc się perłowym naszyjnikiem należącym do matki, kiedy Sirena niespodziewanie oznajmiła:

- Pani mama powiedziała mi kiedyś, że chociaż nieraz była głodna, wolała cierpieć z braku jedzenia, niż sprzedać ten naszyjnik.

Gabrielle powoli odwróciła się od toaletki i popatrzyła na Sirenę.

- Dlaczego? Dlaczego tak wiele dla niej znaczył?

Sirena odwzajemniła spojrzenie z nieprzeniknioną twarzą i przymkniętymi oczami.

- Pani ojciec dał go jej na dzień przed swoją śmiercią. Tego wieczoru poprosił ją o rękę.

Gabrielle dotknęła ciepłych pereł i zamyśliła się na chwilę.

- Myślisz, że ona go kochała?

Sirena uśmiechnęła się tajemniczo.

- Bardziej niż własne życie.

Gabrielle gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

Sirena wzruszyła ramionami.

- Mówię to pani teraz.

Gabrielle jeszcze raz zastanowiła się nad słowami Sireny. Wiatr już osuszył krople deszczu na jej policzkach, ale wciąż siekł spódnicą o nogi. Było tak chłodno, że zadrzała i wstała z porośniętej trawą ziemi. Zagrzmiało. Odwróciwszy się,

zobaczyła wysoką sylwetkę Jordana na tle szarego, burzowego nieba.

Poczuła nagłą, silną potrzebę popatrzenia na niego, na szerokie ramiona, które widywała nad sobą w nocy, nagie i pokryte polem. Na wargi, które całowały ją z czułością i pasją. Na delikatne ręce, które wzniecały w niej ogień i dawały poczucie absolutnego szczęścia. Pomyślała, że mogłaby mu się przyglądać całe życie, podziwiać go bez końca.

Jednakże wkrótce ją zostawi.

Serce głośno i boleśnie biło jej w piersi, kiedy szła w jego stronę. W powietrzu unosił się zapach zroszonej deszczem ziemi. Jej spódnica szeleściła cichutko, gdy przedzierała się przez wysokie trawy rosnące pomiędzy rzędami zapomnianych grobów.

Jordan czekał na nią z rękami opartymi o wąskie biodra objuczone bronią i uważnie wpatrywał się w jej twarz. Potknęła się i przystanęła, znalazłszy się w odległości kilku kroków od niego. Nie była w stanie podejść bliżej.

Przypatrywali się sobie przez dzielącą ich przestrzeń, naładowaną burzową atmosferą. Błyskawica rozproszyła popołudniowy mrok, oświetlając wyraziste rysy jego twarzy. Gabrielle nie potrafiła jednak niczego z nich wyczytać. Umiał ukrywać swoje uczucia znacznie lepiej niż ona.

- Dlaczego...? - zapytała, czując, jak ogarnia ją potworny, niemal paniczny strach. - Dlaczego tu przyszedłeś?

- Nie powinnaś wybierać się tak daleko. Jeszcze nie odzyskałaś sił.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymała oddech, dopóki nie wypuściła go w długim westchnieniu.

- Jestem silniejsza, niż myślisz - powiedziała, mijając go ; kierując się w stronę powoziku, który zostawiła na skraju drogi.

- Wiem, jaka jesteś silna. - Stał za nią i objął w pasie, by pomóc jej wsiąść. Nie uniósł jej jednak, tylko przyciągnął do siebie. - Dziś w domu odbędzie się prywatne przyjęcie. Wydaje je właściciel kopalni, Harry Appleby. Mieszka teraz w Denver, ale zdobył swoją fortunę tutaj, w Central City, i co roku przyjeżdża do Przybytku Celeste, by wydać przyjęcie urodzinowe.

- Wiem. - Gabrielle położyła dłonie na rękach Jordana. Nie była w stanie oprzeć się chęci przytulenia się do niego tak, by poczuć dotyk jego torsu na plecach. - Sirena mi powiedziała.

- Czy powiedziała ci też, że jednym z gości będzie Doug Slaughter?

Jakaś nutka w jego głosie sprawiła, że gwałtownie odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Boże - wyszeptała. - Myślisz o tym, żeby go zabić. Kiedyś powiedziałeś, że nie wyjedziesz stąd, dopóki Slaughter będzie mi zagrażał, więc teraz postanowiłeś go zabić.

Nie odezwał się, tylko przyglądał się jej w swój niepokojący sposób.

- Wyjadę. – W jej głosie słycać było obawę i ból. – Sprzedam dom i wyjadę. Tylko proszę, nie rób tego. To grzech. To straszny grzech.

Przesunął palcami po jej dolnej wardze, po czym delikatnie uniósł włosy znad bandaża, który wciąż zakrywał ranę. Zauważyła, że zacisnął szczęki w wyrazie gniewu.

- To, czy zostaniesz tu, czy nie, nie czyni żadnej różnicy, Gabrielle. To jest coś, co muszę zrobić.

Spojrzała na jego ciemną, napiętą twarz.

- Dlatego, że wyjeżdżasz?

- Dlatego, że jestem, kim jestem.

- Ale wyjeżdżasz, prawda?

Odwrócił głowę i zapatrzył się na kanion, z nogą opartą o zwalone drzewo, z ręką niedbale wspartą na rękojęści kolta.

Popatrzyła na jego szczupłą sylwetkę z biodrem wypchniętym do przodu, w postawie znamionującej czujność. Był dziki, surowy i budził lęk, jak otaczające ich Góry Skaliste.

Stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, wpatrzony w kłębiące się chmury. Straciła nadzieję, że jej odpowie, jednak w końcu się odezwał.

- Nie powiedziałem, że wyjeżdżam.

Mocny podmuch wiatru porwał jej włosy spod kapelusza i pozbawił ją tchu.

- Ale nie powiedziałaś też, że zostajesz.

Podrapał się po nosie.

- Są pewne rzeczy, o których mężczyźni nie jest łatwo mówić, Gabrielle. Nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć, skoro ja sam tego nie rozumiem. Po prostu... - Opuścił rękę i popatrzył na samotne szczyty za nimi, jakby chciał przeniknąć je wzrokiem i stać się człowiekiem, którym był dawniej. – Od czasów wojny byłem jak łupina... żywa skorupa człowieka. Pusta, czekająca jedynie na śmierć. A potem ty się zjawiłaś i... Przełknął z trudem. - Wtedy w Payetteville... Myślałem, że umrzesz. - Popatrzył na nią, dostrzegła udrękę w jego ciemnoszarych oczach odzwierciedlających cierpienie duszy. - To mnie zupełnie załamało, Gabrielle. Nie wiem, czy mógłbym żyć z tą świadomością... ze strachem, że mógłbym nagle cię utracić.

Jej uczucia do niego wezbrały gorącą falą. Oddychała z trudem. Podeszła do niego. Spodziewała się, że będzie stał

sztywno, pełen rezerwy, ale on wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Zaczerpnęła tchu, co zabrzmiało jak szloch. Czowała takie dławienie w gardle, że trudno jej było mówić.

- Całe moje życie - odezwała się z twarzą wtuloną w jego szeroki tors - chciałam kogoś kochać i być kochaną. Nie rozumiem, jak można tak bardzo bać się miłości.

- Każdy czegoś się boi, Gabrielle. - Przeczesał jej włosy palcami. - Jedni boją się chorób, śmierci. Inni nie potrafią znieść myśli o tym, że mogą zostać sami.

- Ale żeby bać się miłości? - Odchyliła głowę, by popatrzeć na jego twarz. - Na litość Boską, Jordan, ilu ludzi boi się miłości?

Jego uśmiech zupełnie ją rozbroił.

- Tego boją się tylko mądrzy ludzie.

Wiatr chłostał ściany domu, poruszał płomykami świec i wył tak głośno, że słyhać go było mimo gwaru rozmów i śmiechu, wybuchającego raz po raz na urodzinowym przyjęciu Harry'ego Appleby.

Harry stał w salonie w kręgu swych gości. Właśnie zatoczył szeroki łuk prawą ręką, w której trzymał cygaro. Opowiadał o mulicy, która obroniła górnika przed grzechotnikiem. Harry był niskim mężczyzną, wciąż szczupłym i zwinnym pomimo

sześćdziesięciu lat, które posrebrzyły jego szczeciniaste wąsy i przerzedziły włosy na czubku głowy. Umiał barwnie opowiadać różne historie, przykuwając uwagę słuchaczy. Tylko Jordan ledwie go słuchał, skupiony na obserwowaniu Gabrielle, która grała na fortepianie jakiś smutny utwór Haendla.

Miała na sobie niebieską atlasową suknię i naszyjnik z pereł. Jej jasne włosy lśniły złościście w świetle świec, jednak jej policzki były wciąż niepokojąco blade. Zbyt blade, pomyślał Jordan, by mogła grać na fortepianie całą noc.

Przeniósł wzrok na Douga Slaughtera, który siedział na jednej z kanap, dokarmiany winogronami przez Amy. Zauważywszy, że Doug zaciska szczęki, Jordan odwrócił głowę.

- I wtedy - mówił Harry - kiedy Isaiah miał już skarcić Letty za to, że omal nie nadepnęła na niego, gdy spał, spojrzał w dół i zobaczył tego grzechotnika. Letty rozdeptała go, kiedy znajdował się zaledwie kilkanaście centymetrów od głowy Isaiaha. Zrozumiał, że uratowała mu życie. Lecz Zezowaty uważał, że i tak należy ją ukarać... za to, że ich obudziła. - Harry tak serdecznie roześmiał się na to wspomnienie, że musiał przerwać i otrzeć mokre oczy. - Tak - powiedział po chwili, potrząsając głową. - Ta Letty to była nic byle jaka mulica. Archibald zawsze powtarzał, że była to jedyna przedstawicielka rodzaju żeńskiego, która nigdy go nie zawiodła.

Gabrielle przestała grać. Jordan zdał sobie sprawę, że nawet grając, przez cały czas słuchała opowiadania. Odwróciła się i popatrzyła na niego.

Uśmiechnął się do Harry'ego Appleby.

- Mulica? Myślałem, że Zaginiona Kopalnia Letty zawdzięcza swą nazwę kobiecie.

Harry wybuchnął śmiechem.

- A skąd. Letty była mulicą. Większość ludzi myśli, że nazwa wzięła się stąd, że Isaiah umarł, nie powiedziawszy nikomu, gdzie znajduje się ta kopalnia. A tymczasem prawda wygląda tak, że kopalnia nazywała się „Zaginiona Letty”, ponieważ to właśnie Letty ją odkryła pewnego dnia, kiedy odeszła od obozowiska i zaginęła. Isaiah i Zezowaty w końcu ją znaleźli. Jej kopyto uwięzło w jakiejś szczelinie skalnej, tak że musieli kuć skały, żeby ją wyciągnąć i właśnie wtedy natrafili na złotonośną żyłę.

Jordan sięgnął po butelkę szampana i napełnił kieliszek właściciela kopalni.

- Mam nadzieję, że Letty została odpowiednio wynagrodzona za swoje ciężkie, ale jakże opłacalne przeżycia. Po tym wydarzeniu powinna dostać na własność jakieś miłe zielone pastwisko.

Appleby wypił łyk szampana i westchnął.

- Myślę, że z pewnością by ją wynagrodzili, ale biedaczka złamała sobie nogę w tych skałach i w końcu musieli ją zastrzelić. Możesz mi wierzyć, Isaiah i Zezowaty naprawdę ciężko to przeżyli. Wyprawili jej wspaniały pogrzeb. Parę dziewczyn z domu Celeste odśpiewało hymn, a prawdziwy ksiądz wygłosił krótką mowę nad grobem. Wszyscy mieszkańcy miasteczka zjawili się na tym pogrzebie. Było to największe wydarzenie od czasu, gdy Czteropalczy Jack został powieszony rok wcześniej.

Gabrielle wstała i podeszła do Jordana. Jej oczy wydawały się ogromne w pobladłej twarzy.

- Gdzie... gdzie dokładnie ją pochowano?

- Niedaleko stąd. W starym szybie, jakieś dwieście osiemdziesiąt metrów stąd pod górkę. - Harry wypił kolejny łyk szampana i głośno beknął. - Tuż po pogrzebie wybudowali tę chatę, żeby przetrwać zimę. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Oczywiście wszyscy wiemy, co się potem stało.

Jordan zauważył, że Gabrielle głęboko się nad czymś zamyśliła. Dobrze wiedział, że wspomina tamten dzień w starej chacie poszukiwaczy, kiedy pierwszy raz powiedział jej o tym, że ją opuści. Stali wtedy obok zniszczonego sita i wózka do przewozu rudy opartego o tylną ścianę i czuli wiew wilgotnego powietrza, które poruszało pasemkami włosów Gabrielle,

szeleściło krajem jej sukni. Ten wilgotny wiatr nie dolatywał zza otwartych drzwi, tylko gdzieś z tyłu chaty, jakby z piwnicy. Albo kopalni.

Ich spojrzenia się spotkały. Po chwili Gabrielle wsunęła rękę pod ramię Jordana i posłała otaczającemu ją gronu mężczyzn uśmiech, który uczynił ją łudzaco podobną do Celeste DuBois.

- Wybaczycie nam, panowie, jeśli odejdziemy na chwilę? - zapytała.

Rozległ się chór męskich przytakujących głosów; Gabrielle i Jordan wyszli z sali.

W kuchni Jordan zdjął lampę naftową z haka u drzwi i odwrócił się do Gabrielle. Rozbłysło białe światło błyskawicy i niemal natychmiast rozległ się grzmot, który zatrzęsł całym domem.

- Chyba powinienem cię namawiać do tego, żebyś została w domu - odezwał się Jordan - ale coś mi mówi, że szkoda moich wysiłków.

Zauważył błysk bólu w jej szarych oczach. Wiedział, że mimowolnie ją zranił. Uregulował wysokość knota lampy.

- Nie możemy się mylić. - Delikatnie dotknął włosów Gabrielle. - Dobrze o tym wiesz, prawda?

Poczuł, że zadrżała pod jego dotykiem, po czym znieruchomiła.

- Możemy się mylić - stwierdziła - ale osobiście w to wątpię. - Przechyliła głowę i popatrzyła na niego poważnym, skupionym wzrokiem. - A jeśli nawet znajdziemy kopalnie Isaiaha, to czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Czy nadal będziesz chciał stąd wyjechać?

Nie był w stanie dłużej patrzeć w jej oczy. Odwróciwszy się, zwrócił wzrok ku sosnom rosnącym na zboczu, ku ich gałęziom gwałtownie kołyszącym się na tle burzowego nieba. Zdawał sobie sprawę, że Gabrielle czeka na odpowiedź, lecz nie był w stanie jej udzielić. Otworzył tylne drzwi. Wiatr natychmiast trzasnął nimi o ścianę domu.

- Chodźmy - powiedział.

Wchacie cuchnęło wilgotną, oślizłą ziemią i butwiejącym drewnem. Gabrielle zawahała się przez chwilę z ręką opartą o chropowate drzwi, doświadczony nagłego uczucia strachu. Jordan wszedł do chaty i postawił lampę na starym stole.

Na dworze szalała burza, co chwila rozlegały się potężne grzmoty, jednak od czasu przelotnych popołudniowych opadów deszcz nie padał. Powietrze było pełne kurzu i trzasku

błyskawic. Żłocisty płomień lampy migotał, jakby zaraz miał zgasnąć, poczym gwałtownie rozbłyskał silnym światłem. Na klepisku i ścianach z bali tworzyły się światłocienie, nadające stertom materacy i starych mebli najprzedziwniejsze kształty, wyłaniające się z ciemności. Niedomknięta okiennica załomotała na wietrze, a gałęzie potężnego świerka zachrobotyły o dach. Zatechłe powietrze owiało policzki Gabrielle, przyprawiając ją o drżenie.

- To dziwne - odezwała się głuchym, ściszoneym głosem. - Nikt wcześniej nie zorientował się, że panuje tu taka wilgoć i czuć podmuchy powietrza?

Jordan odwrócił się, popatrzył na prymitywnie ciosane bale, na kamienną ścianę.

- Ależ myśmy to zauważyli, tylko nie myśleliśmy o tym. Ta chata jest wbudowana w zbocze góry i nic dziwnego, że panuje tu wilgoć. - Chwycił krawędź wózka opartego o ścianę. - A prądy powietrzne równie dobrze mogą być spowodowane tym, że istnieje pusta przestrzeń pomiędzy ścianą i górą, nie tylko tym, że jest tu kopalnia. - Przesunął wózek. - Zresztą kto wie, może...

Urwał, gdyż wózek potoczył się po klepisku, odsłaniając szczelinę pomiędzy kamieniami, będącą wejściem do niewielkiej jamy.

Gabrielle gwałtownie zaczerpnęła tchu i uniosła lampę. Zobaczyli wąski tunel przypominający zwierzęcą norę.

- To ma być to? Taka dziurka?

Jordan roześmiał się.

- A czego się spodziewałaś? Jaskini Ali Baby? Podaj mi lampę.

Z trudem przecisnął się do tunelu, położywszy się na brzuchu, mocno odpychając się łokciami. W kręgu światła zobaczył wilgotne ściany ostemplowane prymitywnie ociosanymi belkami.

Odwrócił się i uśmiechnął do Gabrielle.

- W tej małej dziurce - powiedział - jest ilość złota wystarczająca do uczynienia człowieka bardzo, bardzo bogatym. A nikt nie wie, jak daleko sięga żyła.

Gabrielle przyglądała się mocno zarysowanym kościom policzków Jordana, rzucającym cień i niepozwalającym jej dostrzec jego oczu. Przypomniała sobie jednak, że jeszcze nigdy nie domyśliła się niczego z ich wyrazu.

Nie zważając na swą atlasową spódnicę, Gabrielle uklękła na klepisku i utkwiała wzrok w ciemnym otworze. Na myśl o tym, jak wiele kosztowała ją ta kopalnia, przepełniło ją uczucie bliskie nienawiści.

- To dlatego Slaughter chciał mieć ten dom – powiedziała cicho. - Wiedział, że ta chata została zbudowana przy wejściu do kopalni, więc zabił moją matkę i usiłował zabić mnie. Dla tego... dla tej dziury w ziemi.

Jordan wycofał się z powrotem do chaty i ukucnął obok Gabrielle.

- Na to wygląda. - Odstawił lampę i otrzepał dłonie. - Slaughter przebywa tu od lat sześćdziesiątych, co oznacza, że jeśli dawny kumpel Archibalda z celi powiedział mu o grobie Letty, to tym samym zdradził, gdzie znajduje się kopalnia.

Gabrielle poczuła, że przenikają ją dreszcz. Objęła się za ramiona.

- Więc moja matka umarła z powodu złota - powiedziała, czując gorycz w ustach.

- Nie. - Uniósł lampę i wstał, pociągając Gabrielle za sobą. - Twoja matka walczyła i umarła z powodu tych spraw, o które i ty walczysz, Gabrielle. Z powodu domu, który zbudowała, dla przyszłości ludzi, za których czuła się odpowiedzialna, i z przekonania, że zło nic może zatriumfować tylko dlatego, iż uczciwi ludzie boją się z nim walczyć.

Popatrzyła na jego gniewną, urodziwą twarz i poczuła, jak miłość do niego wzbiera w niej z ogromną siłą, aż staje się bolesna i przyprawia ją o bezdech. Rozpaczliwie pragnęła

zatrzymać Jordana w swym życiu na zawsze. Podeszła i oparła policzek o jego szeroki tors.

Obawiała się, że się od niej odsunie, lecz się myliła. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w mocny rytm jego serca.

- Kocham cię, Jordanie - wyszeptała. Znieruchomiał, lecz niezrażona tym dodała: - Nigdy dotąd ci tego nie powiedziałam, ponieważ wiedziałam, że nie chcesz, bym cię kochała. Ale kocham cię. To boli i jestem przerażona. Ale nigdy nie uda ci się mnie przekonać, że uczucie nie jest tego warte. Ból i strach są ceną, którą płacimy za miłość, ale miłość... to miłość nadaje życiu sens.

- Boże. - Poczwała, że Jordan zacisnął dłoń w jej włosach. - Kocham cię, Gabrielle - wyszeptał prosto do jej ucha i roześmiał się chrapliwie. - Los jest bardzo przewrotny, bo gdybym cię nie kochał, o wiele łatwiej byłoby mi zostać z tobą. Ale skoro...

Urwał, ale dobrze wiedziała, co chciał jej powiedzieć. Odniosła wrażenie, że wiatr na dworze ustał. W chacie było tak cicho, że słyszała skapywanie kropel wilgoci w kopalni i swój własny oddech.

Nagle dobiegł ją dźwięk odbezpieczanej broni i ostry męski głos.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widział, i z dala od rewolweru, Hays.

20

W otwartych drzwiach stał Doug Slaughter z kciukami w kieszeniach jedwabnej kamizelki i niezapalonym cygarem w zębach. Nie był uzbrojony, nigdy nie nosił przy sobie broni. Nie musiał. Miał Skeetera McCoya, który trzymał strzelbę gotową do strzału, i bladożółtego mężczyznę, którego Jordan pamiętał ze „Srebrnej Ostrogi”, a który oszczędnym, pewnym ruchem zawodowca włożył nabój do winchestera.

A potem powoli uniósł strzelbę, wycelowując lufę pomiędzy oczy Jordana.

Jordan popatrzył na Slaughtera. Koniuszki wąsów potężnego mężczyzny uniosły się w uśmiechu.

- Teraz rozumiesz, Hays, dlaczego powinienem był namówić ją do sprzedaży domu, kiedy miałem na to szansę?

- Tak myślisz? - Jordan pokręcił głową i odwzajemnił uśmiezek. - Myślę, że powinienem był cię zabić, kiedy miałem na to szansę. - Zacisnął lewą dłoń na lampie, gotów nią cisnąć. Powstrzymał go jednak błysk zielonego atłasu.

Do chaty bezszelestnie wśliznęła się kobieta o płomiennorudych włosach i brązowych oczach, które błysnęły kusocielsko, kiedy otoczyła Slaughtera ramieniem i przytuliła się do niego, lecz on nawet na nią nie spojrzał.

Jordan usłyszał, że Gabrielle zaczerpnęła tchu i szepnęła: „Tierney”. Wolną ręką chwycił ją za ramię, widząc, że zamierza rzucić się w stronę dziewczyny.

- To dziwne, ale wcale nie jestem zaskoczony, widząc cię tutaj, Tierney - powiedział, ostrzegawczo ścisnąwszy ramię Gabrielle. Gwałtownie obróciła głowę i popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Nic wiedziałeś, że dla niego pracuję. - Tierney ściągnęła brwi. - Nie mogłeś tego wiedzieć.

- Nie. Ale wiedziałem, że Sirena nigdy cię nie lubiła ani ci nie ufała, a to mi wystarczało - rzekł Jordan, po czym szepnął do Gabrielle: - Padnij - i wypchnął ją poza linię ognia, a sam błyskawicznie uniósł lampę i rzucił nią w stronę drzwi.

Lampa przeleciała przez pomieszczenie, omal nie gasnąc. Wysoki mężczyzna z winchesterem uniósł ramię, by zasłonić twarz. W tej samej chwili Jordan sięgnął po kolta i wystrzelił.

Było już prawie zupełnie ciemno, więc strzelał, kierując się jedynie instynktem. Usłyszał pisk Tierney. Lampa głucho uderzyła w stertę starych materacy, płonąca nafta wylała się na zniszczony materiał.

- Cholera, zabij go! - warknął Slaughter, gdy Jordan strzelił ponownie. Ogień przeleciał przez suche, zużyte posłanie, wypełniając chatę upiorną poświatą. Zagrzmiała strzelba

Skeetera. Ostry ból przeszył czaszkę Jordana, a w tej samej chwili coś gorącego i zimnego zarazem wdarło się w jego ramię, odrzucając go do tyłu.

Usłyszał grzmot. Wiatr dziwnie zaszumiał mu w uszach, przyprawiając go o oszołomienie. Starał się unieść kolta i znów wystrzelić, lecz ramię wydało mu się za ciężkie... Było tak ciężkie, że ciągnęło go w dół.

Wilgotne, oślizłe klepisko chaty wydawało się unosić mu na spotkanie. Poczul, że coś ciepłego zalewa mu oczy, tors i zdał sobie sprawę, że słyszy nie szum wiatru, tylko tętnienie wypływającej krwi.

- Wynośmy się stąd, zanim ta chałupa wyleci w powietrze!
- zawołał któryś z mężczyzn.

Ktoś inny nakazał stanowczym tonem:

- Zostawcie ją. Nie mamy czasu.
- Nieee! - krzyknęła Gabrielle. Jordan jeszcze raz chciał spróbować unieść głowę, lecz i tym razem mu się nie udało.

A potem światło zgasło i ogarnęła go kojąca, całkowita ciemność.

- **P**uście mnie! - zaszlochała Gabrielle, zapierając się nogami. - Boże... nie możecie go tak zostawić.

Czyjeś palce mocno wbiły się w jej ramię, szarpnęły i odciągnęły od trzaskającego żaru płonącej chaty... od Jordana.

- Nie! - Odwróciła głowę i z przerażeniem zobaczyła, że płomienie buchają już z otworów okiennych, - Nie! Błagam, zrobię wszystko, jeśli tylko...

Poczuła oddech przesiąknięty zapachem whisky.

- Zamknij się! - warknął wysoki mężczyzna o dziwnie żółtej cerze. Zauważyła, że trzyma zakrwawione ramię przy boku i opiera się o nią. - Hays nie żyje. Słyszysz? Nie żyje, tak jak ta dziwka. Chodź.

- Nie! - Potknęła się, gdy wiatr zarzucił jej włosy na twarz i oślepił na chwilę, niosąc jej krzyki w ciemność, w burzową nawałnicę, wściekle kołyszącą gałęziami drzew. - Nie! - krzyknęła znowu. - Na pomoc! Pali się!

- Na litość Boską - odezwał się Slaughter trzymający w zębach cygaro. - Uciszcie tę dziwkę.

- Nie zamknie się.

- W takim razie ja ją uciszę - rzekł Slaughter i uderzył ją pięścią w twarz.

Obudziła się w zimnym wąskim pomieszczeniu, w którym znajdowało się jedynie żelazne łóżko z gołym brudnym materacem, niewielka komoda i krzesło z prostym oparciem. W

powietrzu unosił się zapach stęchlizny, potu i taniego seksu. Bolała ją szczeka i nie od razu zorientowała się, gdzie jest i jak się tu znalazła, jednak po chwili wszystko sobie przypomniała.

Boże. Jordan.

Nie dopuściła do siebie myśli zbyt potwornej, by mogła ją znieść. Nie chciała uwierzyć w to, że umarł. Gdyby udało jej się do niego dotrzeć, uratowałyby go.

Podniosła się z trudem i natychmiast zatoczyła na łóżko poczuwszy zawroty głowy. Kurczowo chwyciła się żelaznej ramy i poczekała, aż ustąpi uczucie wirowania, po czym pokuśtykała do drzwi i pokręciła gałką.

Drzwi były zamknięte.

- Wypuście mnie! - zawołała, szarpiąc gałkę i waląc pięściami w drzwi. - Niech ktoś mnie wypuści! - Wsunęła palce w szczelinę pomiędzy drzwiami a framugą, połamała sobie paznokcie i rozdarła skórę. Waliła w nagie drewno tak mocno, że jej dłonie pokryły się siniakami, i krzyczała tak głośno, że w końcu ochrypła. Wszystko na nic.

Wyczerpana, oddychając z trudem, opadła na drzwi i zamknęła oczy, ogarnięta panicznym strachem. Nie, to niemożliwe, że Jordan nie żyje. Ktoś na pewno zauważył pożar... ktoś go uratował... żyje.

Uniosła głowę, usłyszawszy jakieś głosy dochodzące z sąsiedniego pokoju. Szybko je rozpoznała - skrzypienie sprężyn łóżka, głośne oddechy ludzkiego zespoleńia spowodzonego do poziomu zwierzęcej kopulacji. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że znajduje się w jednym z baraków Douga Slaughtera w Dostał Alley.

„Będziesz skomleć naga u moich stóp”.

Zrobiło jej się niedobrze, wzięła głęboki oddech, by nie wymiotować. W jej pamięci ożyły przerażające strzępki rozmów, powieści o kobietach przetrzymywanych nago, w stanie upojenia narkotycznego, maltretowanych i więzionych w tych potwornych klitkach, zmuszanych do oddawania się niezliczonym mężczyznom, podłym i brutalnym.

- Nie - wyszeptała. - Boże, oszczędź mi tego.

Wparła się plecami w drzwi i rozłożyła dłonie na drewnie, jakby chcąc zagrozić drogę temu, co się miało stać. Tyle że oczywiście nie było to takie łatwe. Kiedy Slaughter będzie gotowy, po prostu do niej przyjdzie i nie zdoła go powstrzymać. Złożyła dłonie i przycisnęła je do drżących warg.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie - zaczęła się modlić, lecz nagle urwała i zeszywniała, usłyszawszy zgrzytanie klucza w zamku.

Zawsze myślał, że śmierć jest zimna. Czuł jednak, jak ogarnia go zapraszająca gorąca fala.

Życie łączyło się z bólem, poczuciem utraty i strachem, podczas gdy śmierć... była ucieczką w zapomnienie. Modlił się o nią, a nawet jej szukał, przez dziewięć długich lat. Teraz mógł ją znaleźć, tyle że coś... ktoś go powstrzymywał.

Gabrielle.

Jordan otworzył oczy. Chata płonęła, powietrze było gęste od dymu i sadzy, a żar tak potężny, że wydawał się wysysać z ciała resztki wilgoci.

Uniósł głowę i popatrzył na nocne burzowe niebo widoczne za odległymi otwartymi drzwiami. Krew zalewała mu oczy, spływała wzdłuż boku. Prawa ręka zwisała bezwładnie. Głęboko zaczerpnął tchu, obrócił się na lewy bok i zaraz zamknął oczy, gdy gryzący dym wypełnił mu płuca, a silny ból zaczął promieniować od ramienia.

Zacisnąwszy zęby, uniósł się na łokciu i biodrze. Na przemian zginając i rozprostowując nogi, przesunął się w przód o kilka kroków i omal nic zemdłał, ogarnięty potwornym bólem. Z najwyższym trudem zmusił się do dalszego wysiłku. Płomienie strzelały i huczały mu w uszach, jaskrawe światło i duszący czarny dym drażniły oczy, gardło i płuca. Czuł zimny

pot na skórze, z każdym ruchem coraz bardziej kręciło mu się w głowie, a ramię przeszywał potworny ból.

Miał ochotę położyć się i pozwolić, by zabrała go śmierć. Nie mógł jednak tego zrobić. Nie mógł zostawić Gabrielle...

- Gabrielle - powiedział, albo tak mu się tylko zdawało. Dookoła tańczyły czerwone jęzory ognia. Płonąca belka spadła tuż obok niego, wzniecając snop parzących iskier. - Gabrielle - powtórzył suchymi, spękanyimi wargami i znowu przesunął się o krok do przodu.

Był już blisko drzwi, kiedy natrafił ręką na miękkie kobiece ciało. Przez chwilę, zdjęty potwornym strachem, myślał, że znalazł Gabrielle. Podczołgawszy się bliżej, zajrzał w niewidzące brązowe oczy.

- Tierney - wydyszał chrapliwie. Przyłożył palce do jej szyi, chociaż był pewien, że dziewczyna nic żyje. Piekielne światło strzelających płomieni lśniło w lepkiej czarnej kałuży krwi, wypływającej z jej piersi.

Ciężko dysząc, wpatrywał się w zmarłą. Każdy oddech wypełniał jego płuca dymem, aż w końcu zaniósł się gwałtownym kaszlem, który pozbawił go sił. Zmusił się do uniesienia głowy i podczołgania do przodu. Był już bardzo blisko drzwi.

Powiew chłodnego, świeżego powietrza uderzył go w twarz. Z trudem wstał i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Udało mu się odejść dwa kroki od płonącego budynku, kiedy z hukiem zawalił się dach, pociągając za sobą strumień powietrza, który podsycił ogień i wzniecił potężny snop isker; wysoko strzeliły w nocne niebo.

Ugięły się pod nim nogi, upadł i przetoczył się po chłodnej trawie zbocza.

Leżąc na plecach, patrzył, jak wiatr unosi tysiące kawałeczków płonącego drzewa w stronę domów w wąwozie. Widział, jak płonące drzazgi tańczą wśród drzew niczym stado świetlików. Pomyślał, że powinien coś zrobić, tyle że teraz te świetliki zmieniły się w gwiazdy, co było dziwne, nie spodziewał się widoku gwiazd w czasie burzy.

I wtedy, jedna po drugiej, gwiazdy zgasły i nastąpiła ciemna, cicha noc.

Gabrielle oderwała się od drzwi z cichym jękiem i przerażonym wzrokiem rozejrzała się po nędznym pokoiku w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni.

Czuła, że wzbiera w niej paraliżujący strach; nie była w stanie myśleć, poruszać się, oddychała z trudem. Dobrze słyszała

swój oddech, niemal zagłuszający w jej uszach skrzypienie zawiasów otwieranych drzwi.

W progu ukazała się potężna, muskularna sylwetka Douga Slaughtera. Postawił lampę naftową na komodzie, a potem odwrócił się, by zamknąć drzwi.

W nagłym przypiływie energii rzuciła się w stronę otwartych drzwi. Poczowała podmuch wiatru na twarzy i zauważyła błyskawicę na nocnym niebie. Jednak po chwili potężne ramię chwyciło ją w pasie, szarpnęło do tyłu i pchnęło w głąb pomieszczenia.

- O, nie - usłyszała.

Uderzyła w ścianę, tłukąc sobie biodro. W ostatniej chwili zasłoniła twarz ramieniem, kalecząc skórę o chropowate deski. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz zdołała je powstrzymać. Odwróciwszy się, zobaczyła, że Doug Slaughter zamyka drzwi, a potem chowa klucz do kieszeni.

Patrzyła, jak zbliża się do niej. Trzęsła się na całym ciele, jak by była przemarznięta, czuła jednak, jak kropelka potu spływa pomiędzy jej piersiami.

- Taaak. - Wsunął kciuki do kieszeni kamizelki i uśmiechnął się, ukazując żółte zęby. - Jak ci się podoba twój pokój? Wiem, że masz większe wymagania, ale radzę ci się do niego przyzwyczać, bo zostaniesz w nim na długo, oj, na długo.

Gabrielle przełknęła z trudem i uniosła podbródek, zmuszając się do opanowania i milczenia.

Zmrużył oczy i ściągnął wargi w wyrazie rozdrażnienia.

- O, widzę, że jesteś dumna. Zbyt dumna, by błagać o to, żebym cię wypuścił. - Pochylił się ku niej. Poczowała zapach drogiej wody kolońskiej, cygar i czegoś, co odebrała jako esencję zła. - A może po prostu nie wiesz, gdzie się znajdujesz?

- Wiem - odpowiedziała chrapliwie, nie chcąc, by sam jej to powiedział. Woląca też, by nie wyjawiał, co zamierza z nią zrobić.

Nie odmówił sobie jednak tej przyjemności.

- Jesteś w jednym z moich lokali. - Uśmiechnął się szeroko, wsunął swą ogromną dłoń w jej włosy i brutalnie przechylił jej głowę. - I chcę, żebyś dla mnie pracowała.

Mocniej chwycił jej włosy. Mimo iż próbowała się opanować, nie potrafiła powstrzymać jęku.

Roześmiał się.

- Słyszysz, panno Gabrielle Antoine? Zostaniesz dziwką. Ale uę będziesz drogą, wybredną dziwką jak twoja matka, tylko nędzną, tanią prostytutką z Dostał Alley, która całymi dniami kuli się naga w swoim boksie i rozkłada nogi przed każdym mężczyzną, który ma dolara, żeby za nią zapłacić. Zanim wyrównam moje porachunki z tobą, będziesz błagała, żebym cię zabił.

Gabrielle miała wrażenie, że jego słowa docierają do niej z ogromnej odległości. Szumiało jej w uszach i przez chwilę wydawało jej się, że zemdleje.

Przesunął palcami wzdłuż jej szyi w bolesnej parodii pieśzcoty. Poczwała, że żołądek podnosi się jej do gardła.

- Ale najpierw -powiedział, dotknąwszy jej piersi – zażyjemy trochę przyjemności.

Nie mogła znieść jego dotyku. Uderzyła go po rękach i wydała jęk pełen obrzydzenia.

Roześmiał się.

- Masz ochotę na walkę? - Chwycił jej dłonie swoimi wielkimi łapskami i boleśnie ścisnął. - To mnie cieszy. Lubię kobiety, które mi się opierają. Mam wtedy okazję je utemperować i pokazać, kto tu jest panem.

Gabrielle popatrzyła na jego szeroką twarz o okrutnym wyrazie i poczuła, jak ogarnia ją dzika furia. Rzuciła się w przód i zatopiła zęby w jego dłoni, na tyle głęboko, że pojawiła się krew. Zawył i odskoczył, puszczając ją.

- Ty suko! - Przyłożył rozkrwawioną dłoń do torsu, źrenice jego nieprzyjemnych żółtych oczu rozszerzyły się z wściekłości. Mocno zacisnął szczęki i z całej siły uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

Zatoczyła się i poczuła gwałtowny ból w policzku, zuchwie i szyi. Po chwili uderzył ją po raz drugi, tak mocno, że wylądowała na brudnej podłodze. Ciężko dysząc, wsparła się na dłoniach i kolanach, lecz zanim zdążyła wstać, brutalnie chwycił ją za nadgarstek i pociągnął.

- Cholerna dziwko! - wydyszał, przysuwając twarz do jej twarzy tak blisko, że opryskał ją śliną. - Wstawaj!

Próbowała się wyrwać, ale powłókł ją za sobą i rzucił na łóżko.

Upadła plecami na zaplamiony materac, prymitywne łóżko ugięło się i zaskrzypiało. Uniosła się na rękach.

- Nie dotykaj mnie! - wycedziła przez zęby, z całych sił starając się powstrzymać histeryczny wybuch. - Nie zbliżaj się do mnie!

- Radzę ci przyzwyczać się do tego, że cię dotykam. – Stał przy łóżku, z twarzą pokrytą potem, jego dzikie oczy błyszczały z podniecenia. - Bo niedługo będę cię nie tylko dotykał, ale i rznął.

- Nie śmieję... ! - Rzuciła się z paznokciami do jego potwornych żółtych oczu. Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstki i przycisnął do materaca swym masywnym ciałem.

- Do cholery warknął, owiewając ją swym oddechem. Miał gorące, spocone dłonie. - Dość już tego.

Uniósł jej ramiona nad głowę, wykręcając je tak mocno, że krzyknęła. Bez trudu trzymając ją jedną dłonią za nadgarstki, wyjął z kieszeni chustkę i szybko przywiązał do żelaznej ramy łóżka.

- O tak. - Wstał i cofnął się o krok, z trudem chwytając powietrze w zatęchłym, dusznym pokoiku. Z przerażeniem patrzyła, jak zdejmuje surdut i starannie wiesza go na oparciu krzesła, po czym ściąga krawat, kołnierzyk i rozpina górne guziki kamizelki i koszuli. Zobaczyła szeroki biały tors pokryty gęstym ciemnym owłosieniem. Na myśl o tym, że ten tors będzie się nad nią unosił i przyciskał do nędznego materaca, zrobiło jej się niedobrze.

Odwróciwszy się od niej, wyjął coś z kieszeni surduta. Po chwili zauważyła, że trzyma butelkę brandy. Odkorkował ją i uniósł do warg. Patrzyła, jak poruszają się jego mięsiste usta, mokre i zachłanne. Zamknęła oczy, by go nie widzieć.

Słyszała, jak pociąga potężne łyki. Po pewnym czasie przystawił butelkę do jej warg.

- Masz. Pij.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego w milczeniu. Wsunął palce w jej włosy i pociągnął głowę do tyłu, aż rozchyliła wargi.

- Powiedziałem: pij. - Wlał brandy w jej otwarte usta. Zakrztusiła się j poczuła mdłości, przełknawszy odrobinę palącego płynu, który rozlał się po jej twarzy i piersiach.

Zakorkował butelkę i odstawił na bok.

- Powinnaś być ostrożniejsza, Gabrielle - powiedział tonem ojca, karcącego niesforne dziecko. No i popatrz, co zrobiłaś. Twoja suknia jest cała mokra. - Przesunął dłonią po staniku sukni, gdzie brandy pozostawiła ciemny ślad na atłasie.

Starła się wymknąć z jego zasięgu, jednak i boleśnie wbiła się w jej plecy.

- Myślę, że powinnaś ją zdjąć. - Chwycił kraj dekoltu i mocno szarpnął, rozrywając suknię aż po talię.

Haftowany stanik i górna część halki rozdarły się z suknią, wystawiając ciało Gabrielle na duszne powietrze i pożądliwy wzrok Slaughtera. Jędrne piersi wyskoczyły z głęboko wyciętego gorsetu. Slaughter długo przyglądał im się zuchwale, po czym ujął je w dłonie. W tej samej chwili przeniósł wzrok na twarz Gabrielle, ciesząc się malującą na niej udręką. Nic potrafiła powstrzymać okrzyku zgrozy i bolesnego szlochu.

- Masz rację - powiedział, boleśnie ściskając brodawkę piersi. - Brandy to nic był dobry wybór. Zbyt mało wyrafinowany. - Wstał i sięgnął po surdut. - Co wybierzesz w

zamian? Opium? A może haszysz? - Uśmiechnął się, szczerząc zęby. – A może jedno i drugie?

Ręcznik na czole był przyjemnie chłodny. Chłodny i mokry. Jordan otworzył oczy i zorientował się, że leży na plecach na trawie, a obok niego klęczy Wing Tsue. Było gorąco, a w powietrzu unosił się dym i gryzący zapach ognia. Choć wciąż była noc, Jordan widział rysy spokojnej twarzy Winga Tsue tak wyraźnie, jakby były skąpane w czerwono-złotym świetle poranka.

Światło raziło go w oczy i przyprawiało o ból głowy. Światło i hałas. Wiatr bezlitośnie smagał drzewa, hucząc potężnie jak maszyna parowa w tunelu. Zastanawiał się, czy to ten hałas tak wystraszył Jilly, że aż zapłakała. Jaff Hogan otoczył ją muskularnym ramieniem, starając się ją pocieszyć. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Hogan trzymał również za rękę dwuletniego George'a. Co oni wszyscy robili o tej porze na zboczu góry?

Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, lecz w tej chwili Jordan nie był w stanie zdobyć się na wysiłek ogarnięcia myślami tego wszystkiego. Odwrócił głowę i zamknął oczy. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał był widok Sireny bladej i smutnej na tle niepokojącego nocnego nieba. Różanopomarańczowy blask

pozwoił mu dostrzec przedmioty, które tuliła do siebie: złocony zegar w stylu Ludwika XVI i portret kobiety o jasnych włosach i oczach błyszczących srebrzyście w świetle ognia.

Umysł Gabrielle odłączył się od jej ciała, pograżyła się we śnie. Biegła gdzieś wśród zimnej nocy. Warstewka lodu na powierzchni śniegu pękała przy każdym jej stąpieniu. Potknęła się, lecz nie przerwała biegu.

Uciekała od mężczyzny, którego demoniczny śmiech i nieprzyjemny głos zdawał się rozbrzmiewać w całym jej ciele. Zadrżała, chociaż nie było jej zimno, lecz ciepło. Ciepło, duszno... musiała walczyć o złapanie tchu. W pokoju panował obrzydliwy słodkawy zapach. Mężczyzna roześmiał się znowu i wiedziała już, że wcale od niego nie ucieka. Miał ją. Była zdana na jego łaskę, a Jordan... Boże, to niemożliwe, że on nie żyje.

Łóżko zaskrzypiało pod ciężarem Douga Slaughtera, który usiadł obok niej. Gabrielle miała ochotę się odsunąć, ale nie było na to miejsca, a poza tym była ociężała, oszołomiona narkotykami, którymi ją odurzył. Mogła tylko leżeć i patrzeć, jak Slaughter przesuwając dłoń wzdłuż jej uda, unosi spódnicę, halkę i zadziera je aż do pasa. Nie potrafiła powstrzymać się od wzdrygnięcia, co przyprawiło go o kolejną salwę śmiechu.

- O co chodzi, Gabrielle? Nie lubisz tego? Może powinnaś zażyć jeszcze trochę opium. - Wsunął palce za pas jej pantalonów i ściągnął je, sycąc rozplómienny wzrok widokiem jej kobiecości. - Ale chyba nie. Wcale nie chcę, żeby ci się to za bardzo podobało.

Jego oczy błyszczały jak w gorączce. Obydwoma rękami zdarł z niej suknię, pozbawiając ją resztek godności. – Wciąż masz na sobie zbyt wiele ubrań, Gabrielle - powiedział, rozpinając jej gorset. Nie mogę cię dokładnie obejrzeć.

Upokorzona, czuła swą bezradność, lecz przede wszystkim potworny strach i żal. Miała ochotę znów pograżyć się w narkotycznym śnie, lecz nawet to nie było jej dane. Zaczęła się więc modlić.

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

Doug Slaughter wstał. Zamknęła oczy, zobaczywszy, że zaczął rozpinąć spodnie.

Central City płonęło.

Jordan miał wrażenie, że Main Street jest tunelem prowadzącym do piekła. Płomienie buchały z dachów budynków, tańczyły wzdłuż drewnianych chodników. Pożłobione koleinami ulice lśniły pomarańczowo w świetle

ognia. Wszędzie roило się od ludzi, krzyczących, płaczących, starających się zdusić jężory ognia kocami, chodnikami i derkami, w obłąkańczym pośpiechu wynoszących dobytek z domostw, które błyskawicznie zmieniały się w śmiertelne pułapki. Hałas był ogłuszający - odgłosy ludzkich krzyków i gorączkowej krzątaniny, ryk ognia, nieustający szum wiatru i bicie dzwonu.

A gdzieś w tej falującej, przerażonej ludzkiej masie była Gabrielle. Gabrielle i Doug Slaughter.

Ulica była tak zatłoczona, a Jordan tak osłabiony z powodu utraty dużej ilości krwi i wdychania dymu, że gdyby nie pomoc Winga Tsue, nigdy by mu się nie udało utorować sobie drogi przez tłum. Lecz potężny, milczący odźwierny wymusił jego zgodę na to, by mu towarzyszyć, i z każdym krokiem Jordan był mu coraz bardziej wdzięczny za jego obecność.

Jednak nawet z pomocą Winga Tsue szansę na odnalezienie Gabrielle były tak nikłe, że Jordan nie postawiłby na nie nawet centa. Doug Slaughter miał dwa domy gry na Main Street i kilka innych na Lawrence Street. Gabrielle mogła być w każdym z nich... albo w żadnym.

Przekonanie się o tym wymagało czasu, a tego właśnie najbardziej brakowało. Jordan znał Slaughter'a i nie miał złudzeń co do tego, co może zrobić z nią w tej chwili. Na myśl o tym

poczuł tak gwałtowne ściskanie w żołądku, że zebrało mu się na wymioty.

Podmuch gorącego powietrza uderzył go w twarz, gdy dach pobliskiego budynku zawalił się z potężnym łoskotem. Jordan uniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że płonący szkielet był wszystkim, co pozostało ze „Srebrnej Ostrogi”. Na ulicy przed budynkiem zgromadziła się grupa ludzi. Wszyscy mieli uniesione twarze, oświetlone strzelającymi w górę czerwonymi płomieniami. Na skraju grupy stał Skeeter McCoy.

Jordan chwycił ramię Winga Tsue. Wymieniwszy szeptem uwagi, zasłi najemnego zbira od tyłu. Skeeter zorientował się, że za nim stoją, dopiero wtedy, gdy Wing Tsue dźgnął go nożem w żebra, a Jordan powiedział mu do ucha:

- Nie ruszaj się.

Skeeter znieruchomiał, poruszył tylko gałkami oczu w prawo i w lewo. Na widok Jordana pobladł na swej pooranej bliznami twarzy.

- Gdzie ona jest? - zapytał Jordan.

Skeeter otworzył usta, ale się nie odezwał. Wing Tsue znów dźgnął go sztyletem. Skeeter zakwiczał jak świnia.

- Gdzie ona jest, do cholery? - wysyczał Jordan.

- Ja... ja nie wiem! - jękał się Skeeter. - Zostawiliśmy ją w burdelu Slaughtera, ale nie wiem, czy ona tam jeszcze jest, ani czy Slaughter jest tam z nią...

Jordan nie czekał już dłużej. Odwrócił się i pędził już w stronę Dostał Alley, kiedy usłyszał westchnienie Skeetera, który cicho osunął się na ziemię.

- Pomyślałem, że może przyjść mu do głowy, że warto by kogoś ostrzec - powiedział Wing Tsue, dogoniwszy Jordana.

Ogień nie rozprzestrzenił się tu jeszcze, ale Dostał Alley była już spowita gęstym szarym dymem. Jordan poczuł pieczenie oczu i zaniósł się gwałtownym kaszlem; musiał oprzeć się na ramieniu Winga Tsue. Nietrudno było znaleźć burdel Slaughtera. Tworzyły go dwie długie linie drzwi położonych naprzeciwko siebie po przeciwległych stronach ulicy; każde z tych drzwi prowadziło do pokoiku tak wąskiego, że z trudem mieściło się w nim łóżko.

- Sprawdź te po tej stronie ulicy - zaproponował Wing Tsue, starając się przekrzyczeć wycie wiatru i szum ognia. - Ja sprawdzę po drugiej stronie.

Jordan przytaknął z ponurą miną. Drzwi do czterech pokoi były otwarte; ich mieszkańcy już uciekli przed pożarem, lecz druga połowa drzwi pozostawała zamknięta i dochodziły zza

nich szaleńcze krzyki kobiet, które, choć bez klientów, były zamknięte jak w pojedynczych celach.

Aż do tej chwili Jordan niezupełnie wierzył słyszonym opowiadaniom o więzionych kobietach odurzanych narkotykami i zmuszanych do nierządu, będących właściwie niewolnicami. Lecz kiedy wyważył drzwi pierwszego z pokoi i zobaczył półnagą i ledwie żywą z głodu kobietę, potykającą się o własne nogi, zdał sobie sprawę, że to wszystko jest straszliwą prawdą.

Drugi pokój był pusty. Kopnięciem otworzył trzecie drzwi, lecz spojrzawszy jedynie na kobietę o dzikim wzroku i skołtunionych ciemnych włosach, która na jego widok skuliła się w kącie, ruszył dalej.

Kręciło mu się w głowie, a powiększająca się mokra plama na koszuli świadczyła o tym, że rana na ramieniu znów krwawi. Musiał dwukrotnie kopnąć zbutwiałe drewno, zanim drzwi stanęły otworem.

Podmuch wiatru zza otwartych drzwi spowodował, że płomień lampy naftowej na komodzie strzelił wysoko. W migoczącym świetle Jordan zobaczył białą skórę kobiety leżącej nago na łóżku. Z głową odrzuconą do tyłu, rozpaczliwie starała się uwolnić z więzów, którymi była przywiązana do żelaznej ramy. Nie musiał patrzeć na jej twarz ani na jedwabiste włosy

rozsypane na materacu, by zyskać pewność, że ma przed sobą Gabrielle.

A na środku pokoju, z nagim torsem, pośpiesznie wciągając spodnie, stał Doug Slaughter.

21

Doug Slaughter nie palił opium. Zbyt dobrze wiedział, co ten narkotyk potrafi zrobić z mężczyzny czy kobiety. Nie gardził jednak haszyszem, który uważał za łagodny afrodyzjak.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do jego oszołomionej narkotykiem głowy, że dzwon alarmowy bije za długo jak na niewielki pożar starej chaty poszukiwaczy złota. Najpierw pomyślał, że ogień musiał się rozprzestrzenić także na dom Celeste, a może nawet na kilka innych domostw w wąwozie. Lecz zaraz potem zorientował się, że słodkawy zapach palonego haszyszu zmieszany jest z cięższym, gryzącym dymem z płonącego drewna, i że potężny szum, który słyszy z oddali, wywoływany jest nie tylko przez wiatr i burzę przetaczającą się nad górami. Był to odgłos pożaru trawiącego całe miasto.

- Sukinsyn - zaklął, niechętnie ześlizgnąwszy się z miękkiego ciała Gabrielle Antoine. Długo z nim walczyła, ale teraz w końcu leżała potulnie, pogodzona z losem. Już miał w nią wejść, kiedy usłyszał trzaskanie ognia.

Sięgnął po spodnie. Zapał je już do połowy, kiedy ktoś zaczął łomotać do drzwi.

- Sukinsyn - zaklął znowu, sięgając do sterty ubrań złożonych na krześle. Nie nosił przy sobie broni palnej, ale nigdzie nie ruszał się bez noża.

Łuna i światło lampy odbiły się w błyszczącym ostrzu, gdy uniósł nóż i roześmiał się. Spodziewał się, że rzuci się na niego jakiś nieszczęsny hazardzista, tymczasem Jordan Hays kopnął go obutą nogą, i nóż upadł na podłogę. Slaughter warknął groźnie, pochylił głowę i zaszarżował.

Siła ataku odrzuciła Jordana do tytu. Uderzył plecami w ścianę i osunął się na ziemię jak omdlały. Na deskach pozostała rozmazana krew, niemal czarna w świetle ognia.

Slaughter uśmiechnął się i zacisnął swe wielkie dłonie na szyi Jordana Haysa.

Przez cały czas, kiedy Doug Slaughter dotykał jej ciała i szeptał do ucha ohydne sprośności, Gabrielle wykręcała dłonie, starając się rozluźnić węzeł chustki, którą została przywiązana do łóżka. Pozwalało jej to skupić się na czymś innym niż to, co Slaughter wyprawiał z jej ciałem.

Lecz kiedy gwałtownie się z niej ześliznął, a po chwili Jordan roztrzaskał drzwi i wbiegł do środka, zaczęła walczyć ze wszystkich sił.

Poczuła ostry zapach dymu z płonącego drewna, a za otwartymi drzwiami zobaczyła płomienie lizące suche ściany budynku po drugiej stronie ulicy, usłyszała huk zbliżającego się pożaru. Udało jej się wyswobodzić jedną rękę i zaczęła rozpaczliwie walczyć o uwolnienie drugiej, kalecząc się własnymi paznokciami.

Węzeł rozluźnił się. Odrzuciła chustkę i zerwała się z materaca. Zamierzała chwycić krzesło i uderzyć nim Slaughtera w głowę. Zauważyła jednak blask czerwonych płomieni na stalowym ostrzu noża leżącego w pobliżu drzwi. Chwyciła go. Masywny trzonek z kości słoniowej wydał jej się bardzo ciężki.

Zauważyła pot połyskujący na plecach Slaughtera i ciemnym owłosieniu gęsto pokrywającym nagie ramiona, którymi coraz mocniej dusił Jordana. Głęboko zaczerpnęła tchu i wbiła ostrze w ciało Slaughtera.

Czuła, że nóż wsuwa się coraz głębiej. Zrobiło jej się niedobrze, lecz zmusiła się do mocniejszego pchnięcia. Nie przechylała noża w dół, jak mogłoby się to zdarzyć dawniej, lecz kierowała go w górę, tak jak nauczyła ją Sirena. Celowała prosto w serce.

- **C**o jej się stało? - zapytała Sirena, gdy Wing Tsue położył Gabrielle w gęstej, miękkiej trawie obok

stodoły. Dziewczyna leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami, zbielełą twarzą, bezwładna i naga, jeśli nie liczyć pereł Celeste i podanej, zakrwawionej koszuli Jordana.

- Zemdląca. - Jordan oparł się o ścianę stodoły. Miał twarz poszarzałą i ściągniętą bólem. - To pewnie na skutek narkotyków, którymi odurzył ją Slaughter.

- Pójdę po lekarza zaproponował Wing Tsue, wstając.

- Niełatwo będzie go znaleźć w tym zamieszaniu – ostrzegła Sirena. - Poprosiłam już jednego z handlarzy, żeby go tu sprowadził. Amy chciała wejść do domu i poważnie się poparzyła.

- Znajdę go. - Wing Tsue popędził wielkimi susami w dół zbocza.

Sirena przyklękła obok nieprzytomnej Gabrielle i ujęła jej dłonie. Patrzyła na nią przez chwilę, po czym spojrzała na Jordana.

- Jest cała umazana zakrzepłą krwią. Nie sądzę, żeby ta krew pochodziła z twojej koszuli.

Jordan dotknął zakrwawionego bandaża na ramieniu.

- Ona go zabiła. Zadźgała go jego własnym nożem.

Sirena doznała niemal fizycznego wstrząsu. Z niedowierzaniem popatrzyła na bladą, nieprzytomną dziewczynę.

- Slaughter? Gabrielle zabiła Douga Slaughter?

Jordan przytaknął. Nogi uginały się pod nim ze zmęczenia i utraty krwi.

- Sam potrzebujesz doktora - zauważyła.

Zacisnął szczęki.

- Nic mi nie będzie.

- Nie bądź głupcem. - Sirena wypowiedziała te szorstkie słowa łagodnym tonem. - Zaopiekuję się nią, Jordan. Myślę, że teraz będzie wolała mieć przy sobie kobietę. Idź odpocząć, zanim zjawi się tu doktor. No idź - ponagliła go, widząc, że się waha. - Czy chcesz być nieprzytomny, kiedy ona w końcu się obudzi? I poproś Youngmi, żeby przyszła mi pomóc - zawołała za nim, kiedy niechętnie ruszył w stronę stajni.

Stajnie, podobnie jak stodoła, nic zostały ogarnięte płomieniami z chaty, gdyż znajdowały się po stronie przeciwnej niż ta, w którą wiał wiatr. Teraz stały się schronieniem nie tylko dla kobiet, mężczyzn i dzieci z Przybytku Celeste, lecz także i dla wielu innych pogorzalców z wąwozu. Sirena słyszała ciche popiskiwanie nowo narodzonego dziecka i suchy kaszel mężczyzny, który nałykał się za dużo dymu. Leżąc obok niej Gabrielle poruszyła się i otworzyła oczy.

Z przerażeniem rozejrzała się dookoła, lecz po chwili odetchnęła z ulgą.

- Och, Sirena. To ty. - Popatrzyła na burzowe nocne niebo i zamruwała, zmieszana. - Dlaczego jestem na dworze?

Sirena wzięła szybki oddech.

- Nie wie pani? Dom spłonął.

- Dom? - Gabrielle odwróciła głowę i popatrzyła na czarne zgliszcza Przybytku Celeste. - O, Boże. - Przełknęła z trudem. - Czy nikomu nic się nie stało?

Sirena rozłożyła ręce.

- Jedna dziewczyna doznała poparzeń, bo próbowała wrócić do domu po suknie. Ale wyjdzie z tego. Większość martwi się raczej o przyszłość niż o to, co stracili. Lubili swoją pracę w Przybytku Celeste. Nie wiedzieli, że planowała pani przekształcenie go w szkołę.

Gabrielle uniosła głowę.

- Skąd o tym wiesz?

- Po prostu wiem.

Gabrielle opadła na trawę i przełknęła ślinę.

- Chcę pomóc dziewczynom w znalezieniu nowej pracy. Pracy budzącej szacunek.

Sirena uśmiechnęła się.

- Myślę, że może pani spróbować.

Gabrielle przez chwilę leżała nieruchomo, wpatrując się w niespokojne niebo.

- Zabiłam go, Sireno.

Sirena mocniej ścisnęła zakrwawioną dłoń Gabrielle.

- Wiem, Jordan mi powiedział.

Gabrielle zacisnęła palce na dłoni Sireny.

- Zabiłam go i wcale nie czuję się winna z tego powodu.

- A dlaczego miałyby pani czuć się winna?

Ich spojrzenia się spotkały. Dookoła nich szalał wiatr, rozliszający popiół i zapach dymu.

- Masz rację - powiedziała powoli Gabrielle. – Dlaczego miałabym czuć się winna? Dlaczego ktokolwiek z nas miałby czuć się winny?

Cichy odgłos kroków sprawił, że Sirena odwróciła głowę. Nadchodziła Youngmi, niosąc coś na ramieniu.

- Kobieta z domu w wężozie mieć przy sobie tobolek z ubraniami. Poprosiłam, żeby mi to pożyczyć - oznajmiła, pokazując prostą bawełnianą suknię i halkę.

Gabrielle zaśmiała się cicho i usiadła, ściskając poły rozdartej koszuli Jordana na wysokości piersi.

- Dzięki Bogu.

Zanim Wing Tsue wrócił z lekarzem, Gabrielle zdążyła umyć się pod pompą na podwórzu i ubrać.

- Nic mi nie jest - upierała się. - Ale pan Hays został postrzelony, a jedna z dziewcząt ma rozległe oparzenia. Są tutaj.
- I wskazała doktorowi drogę do stajni.

Wing Tsue zawahał się; mięśnie jego szyi poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słów.

- Youngmi jest tam, sprawdza, co zostało z domu - powiedziała Sirena. - Myślę, że powinieneś do niej pójść.

Popatrzył na ruiny domu. Czerwone kimono Youngmi stanowiło jaskrawą plamę na tle czarnych zgliszczy. Nietrudno było dostrzec bolesną tęsknotę w jego twarzy, ale pokręcił głową i westchnął.

- Powiedziała mi, żebym trzymał się od niej z daleka.

Sirena poczuła zniecierpliwienie, lecz gdy zauważyła jego szczere zatroskanie, natychmiast zrobiło się jej go żal. Pogroziła mu palcem przed nosem, jakby napominała małe dziecko.

- Posłuchaj, Wingu Tsue. Ten dom przez ponad rok był dla tej dziewczyny czymś w rodzaju świątyni. Miejscem, w którym mogła się schronić, w którym życie płynęło obok niej, a ona nie musiała znajdować w sobie siły, żeby zająć jakieś stanowisko i

powiedzieć: tak, to wszystko mi się zdarzyło, ale zamierzam odciąć się od tego i pomyśleć o przyszłości. Ona nie może już dłużej się ukrywać. Celeste nic żyje, a teraz spłonął jej dom. Ona ciebie potrzebuje, Wingu Tsue.

Wing Tsue pokręcił głową.

- Aleja nie jestem jej wart. Teraz nawet jeszcze bardziej niż dawniej. Teraz, po tym, jak dom się spalił, nie mam już nawet pracy.

- Youngmi też nie. - Sirena przemawiała chłodnym, rzeczowym tonem, więc dla złagodzenia wrażenia dotknęła ręki Winga Tsue. - Idź do niej. I tym razem nie przyjmuj odmowy.

Sirena poczuła się nagle stara i zmęczona. Usiadła na niskim kamiennym murku przy stodole i patrzyła, jak Wing Tsue schodzi ze wzgórza. Youngmi odwróciła się i ze zdumieniem przyglądała się nadchodzącemu. Drobną Chinka uniosła się na palcach stóp, jakby szykowała się do lotu. Nic miała jednak dokąd uciec.

Znajdowali się zbyt daleko od Sireny, by mogła słyszeć ich słowa, widziała jednak, że Youngmi macha rękami i gwałtownie kręci głową. Wing Tsue stał spokojnie, pozwalając jej się wygadać. A kiedy skończyła, wziął ją w ramiona i pocałował.

Obserwująca ich Sirena uśmiechnęła się, wyraźnie wzruszona, jednak po chwili jej uśmiech zbladł. Pomyślała, że

nie tylko Youngmi skrywała się przed światem w tym domu. Tyle że w przeciwieństwie do Youngmi Sirena nie miała łagodnego olbrzyma, który by jej pomógł się ocalić.

Musiała zadbać o siebie sama.

Pień sosny był chłodny i szorstki pod jego plecami.

Jordan oparł się o drzewo, starając się odciążyć swoje świeżo obandażowane ramię. W dole tłące się ruiny spalonego miasta wciąż czerwieniały w słabym świetle wczesnego poranka. W powietrzu unosił się ostry, gryzący zapach zwęglonego drewna, mieszający się z aromatem igieł sosnowych i słodką wonią koniczyny.

- Powinieneś się położyć - powiedziała Gabrielle, która przystanąła obok niego; na jej czole pojawiła się zmarszczka zatroskania. - Możesz sobie myśleć, że twoja rana to nic poważnego, ale doktor Collins powiedział, że utraciłeś mnóstwo krwi i że jeśli wda się jakieś zakażenie...

Uniósł lewą rękę i dotknął palcami jej pełnych warg.

- Za chwilę odpocznę, Gabrielle, więc proszę, nie susz mi już tym głowy. Chcę tylko obejrzeć wschód słońca.

Chwyciła jego rękę w swoje dłonie i przyłożyła do policzka.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała głosem łamiącym się ze wzruszenia. - Nie byłabym w stanie przejść przez to po raz drugi.

Obwiodł palcem owal jej twarzy.

- Ktoś kiedyś mi powiedział, że strach i ból są ceną, jaką płacimy za miłość.

Popatrzyła na niego oczami czystymi i głębokimi jak górskie jezioro. Rozchyliła wargi, ale się nie odezwała.

Wsunął dłoń w gęste złociste włosy, które luźno spływały jej na ramiona i odsunął je do tyłu, by mógł dotknąć jej karku. Czuł, jak miłość do tej kobiety wzbiera mu w piersi niczym gorąca, słodka tęsknota, która nigdy miała się nie skończyć i której wcale nie zamierzał odganiać. Złośliwy los sprawił, że spędził ostatnie dziewięć lat na unikaniu miłości, pragnąc umrzeć, lecz gdy minionej nocy stanął oko w oko ze śmiercią, zdał sobie sprawę, jak bardzo pragnie żyć. Żyć i zestarzeć się, kochając tę kobietę.

Nie miał jednak złudzeń co do swojej osoby, a jego wrodzone poczucie honoru kazało mu ostrzec Gabrielle.

- Czy mówiłem ci kiedyś, że zasługujesz na to, by poślubić jakiegoś miłego, porządnego młodego mężczyznę?

Uniosła kąciki ust w wesołym uśmiechu.

- Chyba nigdy się nie dowiem, dlaczego uważałeś, że zasługuję na tak ponury los... ale tak, mówiłeś mi o tym.

- To dobrze. W takim razie nic muszę się powtarzać i wyć od razu poprosić cię o rękę.

Patrzył, jak uśmiech powoli znika z jej twarzy, i poczuł ukłucie strachu, nie wiedząc, jaką otrzyma odpowiedź.

- I zostaniesz ze mną, Jordanie? - zapytała. - Na zawsze?

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wstrzymał oddech, lecz teraz głośno go wypuścił.

- Na zawsze - odpowiedział chrapliwie. - Boże, na zawsze. - Przyciągnął ją do siebie, aż znalazła się tak blisko, że muskał ją ustami. - *Położ mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość.*

- *Pieśń nad Pieśniami* - powiedziała cicho.

- Tak. Fragment, którego nigdy jeszcze nie cytowałem.

Popatrzyła mu w oczy, po czym przechyliła głowę i go pocałowała.

Przesunął dłonią po jej plecach, aż po talię, i przyciągnął do siebie, a pocałunek stał się gwałtowny i namiętny. Objęła twarz Jordana dłońmi i odsunęła się.

- Twoje ramie - powiedziała zdyszana.

- Do diabła z moim ramieniem - jęknął, starając się znów ją przytulić.

Pokręciła głową.

- Spójrz. Słońce wschodzi.

Poranną ciszę przerwał dźwięczny, rzewny głos skowronka. Zwróciła się w stronę, z której dobiegał śpiew, i znieruchomiła, zobaczywszy czarne, dymiące jeszcze zgliszczka domu matki. Jordan zauważył, że jej ręka bezwiednie powędrowała do sznura pereł na szyi.

- Być może - powiedziała cicho - w pewien sposób dobrze się stało. - Odwróciła się i popatrzyła na Jordana. - Myślałam... chciałabym dać wszystkim dziewczętom niewielki procent zysku z kopalni. Coś, co pozwoliłoby im rozpocząć nowe życie. Margot chciałaby otworzyć restaurację, Vanessa twierdzi, że zawsze marzyła o tym, żeby zostać modystką, a...

- A Crystal zapewne wykorzysta wszystko, co jej dasz, na budowę własnego domu publicznego.

W oczach Gabrielle pojawił się błysk rozbawienia.

- Mówi, że chciałaby otworzyć sklep z sukniami, ale... - Machnęła ręką. - Każdy ma swoje własne życie. Mogę jedynie starać się im pomóc.

Splótł palce z jej palcami.

- A co zrobisz ze swoją częścią zysku? Zbudujesz szkołę dla dziewcząt, o jakiej zawsze marzyłaś?

- Tak - przyznała nieśmiało.

- Gdzie? W Nowym Orleanie?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Nie. Nie teraz. Nie po tym, czego się dowiedziałam.

- W takim razie gdzie?

- Nie wiem. A gdzie chciałbyś wyjechać?

- Ja? - Przyciągnął ją do siebie. Słońce wyłoniło się zza pasma gór, opromieniło pokryte śniegiem szczyty nad miastem, nadając im odcienie różu i cynobru, które zmieniły się w złoto, a w końcu w oślepiającą biel.

- A co ci się nie podoba tutaj, w Kolorado? - zapytał w końcu.

Oparła głowę na jego zdrowym ramieniu.

- Wszystko mi się tu podoba. Naprawdę.

Pocałował ją w usta i razem w milczeniu podziwiali piękno gór skąpanych w słońcu.

- Widok gór o poranku to dar - odezwał się cicho. – Podobnie jak życie i miłość.

Epilog

Rześki wiatr wiejący od gór wdzierał się przez niedomknięte okiennice, przynosząc zapach sosen i traw do ciemnego pokoju. Gabrielle przystanęła w otwartych drzwiach i uśmiechnęła się na widok dwojga śpiących dzieci.

Każde z nich miało swoją sypialnię, jednak Gabrielle często znajdowała je przytulone do siebie. Długo nie spuszczała wzroku z ukochanych twarzyczek. Dwuletnia Alyssa ze złocistymi loczkami i różowymi policzkami była bardzo podobna do Gabrielle, ale trzyletni Matt był wierną kopią ojca, ciemnowłosa, o wyrazistych rysach twarzy i wysokim ciele opalonym na brąz, dzięki wielu godzinom spędzonym przy boku Jordana, gdy uczył się obchodzenia z końmi.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a potem szybkie kroki Jordana w holu na parterze. Odwróciwszy głowę, patrzyła, jak idzie do niej po schodach, w czarnym kapeluszu zasłaniającym urodziwą twarz, z podwiniętymi rękawami białej koszuli, ukazującymi muskularne ramiona. Jej serce radośnie podskoczyło w piersi, a po całym ciele rozeszło się miłe ciepło, przepelniając ją miłością i szczęściem. Mimo że od czasu ich ślubu upłynęły już cztery lata, wciąż reagowała na jego widok takim ożywieniem i miała nadzieję, że tak będzie zawsze.

Uśmiechnął się do niej i otoczył ramieniem w talii, po czym przytulił ją do swego mocnego ciała.

- Ciii... - wyszeptała, przykładając palec do warg. - Zasnęli.

Zauważyła, że rysy jego twarzy złagodniały, gdy popatrzył na dzieci. Dotknął wargami jej palca. Wyjdźmy stąd, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać - powiedział cicho. - Mam dla ciebie niespodziankę.

- Co?

- Zobaczysz.

Splótł palce z jej palcami i poprowadził przez szeroki hol ku drzwiom prowadzącym na ganek na piętrze. Zbudowali dom jej marzeń, jednopiętrowy, z werandami dookoła budynku i – mimo protestów rozbawionej Gabrielle - trzynastoma sypialniami.

Gabrielle oparła się o balustradę werandy i wystawiła twarz na działanie promieni lipcowego słońca. Kochała to miejsce, ten widok i zapach. Postanowili zamieszkać w pobliżu Golden, gdzie rosła gęsta, słodko pachnąca trawa, a araby z hodowli Jordana mogły ścigać się u podnóża gór. Dostrzegła stąd białe ogrodzenie pastwiska i stado liczące dwadzieścia kilka lśniących, brązowych i czarnych kłaczy, pasących się spokojnie obok brykających źrebiąt.

Widziała stąd również, ceglane budynki jej szkoły, opustoszałej teraz w upalnym letnim sezonie. Większość uczniów pochodziła z górniczych miasteczek w Górach Skalistych, z szybko rozwijającego się Denver i innych miejscowości na wschodzie. Lecz Akademia Gabrielle cieszyła się coraz większą sławą i przyciągała uczniów nawet z Wyoming i Nowego Meksyku...

Gabrielle popatrzyła na pokryte śniegiem szczyty na południu i ogarnął ją smutek. Gdzieś tam, w tej dzikiej, pustej, niebezpiecznej krainie znalazła schronienie Sirena. Nic dała znaku życia, nie napisała ani słówka. Gabrielle wiedziała tylko, że wróciła do plemienia ojca i że była zdecydowana wygoić rany, które tak długo skrywała nawet przed sobą.

Nieoczekiwany wybuch kobiecego śmiechu sprawił, że Gabrielle popatrzyła na zwirową ścieżkę przed domem, gdzie około piętnastoletnia dziewczyna o kasztanowych włosach i urodziwej buzi ostentacyjnie wachlowała się słomkowym kapeluszem.

- Kogo ja widzę, Benjamin Franklin! - usłyszała Gabrielle jej głos. - Masz stopy wielkoluda. Coś mi się wydaje, że jak biegasz, to się o nie potykasz.

- Naprawdę tak myślisz, Arabello? - odezwał się Benjamin Franklin, który miał teraz sześć stóp wzrostu i pracował dla Jordana. - To popatrz.

Puścił się pędem. Arabella z radosnym piskiem pobiegła za nim, falbany jej spódnicy unosiły się, ukazując fragmenty intrygującej czerwonej halki z jedwabiu. Biegła niezbyt szybko i zaledwie zniknęli za rogiem budynku jej piski urwały się gwałtownie.

Gabrielle popatrzyła na Jordana pytającym wzrokiem.

- Może mi powiesz, co tutaj robi Arabella, poza tym, że usiłuje uwieść Benjamina Franklina?

Jordan kciukiem odsunął kapelusz z czoła i uśmiechnął się.

- Powiedziałem ci, że mam dla ciebie niespodziankę. – Wyjął z kieszeni białą kopertę. Przyniosła ci to.

- Z Kalifornii? - Gabrielle szybko chwyciła list. – Dziecko Youngmi miało się urodzić w tych dniach.

- To nie od Youngmi i Winga Tsue - powiedział Jordan, a jakaś nutka w jego głosie kazała Gabrielle spojrzeć na adres nadawcy. - Nadszedł z Nowego Orleanu.

- Julia - wyszeptała Gabrielle. - Boże. To od Julii St. Etienne.

Gabrielle usiadła na huśtawce na ganku. Przez cztery lata nieustannie myślała o swojej przyjaciółce, nie przestała czekać

na list. Drżącymi rękami otworzyła kopertę i wyciągnęła gruby plik złożonych kartek.

- O, to nie list, lecz prawdziwa książka - zauważył Jordan. Oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi.

Gabrielle szybko przebiegła wzrokiem stronice.

- Jej ojciec... mój stryj... nie żyje - powiedziała łamiącym się głosem.

Jordan położył dłoń na jej ramieniu. Gabrielle z wdzięcznością oparła policzek o jego rękę. Łzy nabiegły jej do oczu; przełknęła je trudem.

- Aż dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wciąż miałam nadzieję, iż któregoś dnia ustąpi i przyjmie mnie do rodziny.

- A więc to dlatego dopiero teraz napisała do ciebie – odezwał się Jordan. - Bo jej ojciec umarł.

Gabrielle pokiwała głową.

- Julia nigdy by się nie sprzeciwiła woli ojca, taka już jest. Pod pewnymi względami jest bardzo buntownicza, ale jeśli chodzi o rodzinę...

Gabrielle złożyła list i wsunęła go do koperty. Znów uniosła wzrok na szczyty Gór Skalistych.

- Píše, że chciałaby odwiedzić mnie w Kolorado i zobaczyć ten tajemniczy dom i interes, który odziedziczyłam.

Jordan pochylił głowę tak, że kapelusz zasłonił większą część jego twarzy.

- No cóż... Myślę, że w razie czego zawsze będziesz mogła jej pokazać Przybytek Crystal.

- Hmm. -Gabrielle mocno szarpnęła rondo jego kapelusza. - Tylko nic nie mów na ten temat.

- Obiecuję, że cię nie wydam - zapewnił ją Jordan i natychmiast zepsuł efekt swej wypowiedzi szerokim, wszystkimwiedzącym uśmiechem.

Po pożarze Crystal, Margot i Vanessa wykorzystały swoją część pieniędzy z kopalni na kupno jednego z nowych ceglanych budynków na Lawrence Street. Podczas gdy restauracja Margot i sklep modniarski Vanessy doskonale prosperowały, Crystal szybko znudziło się prowadzenie sklepu z sukniami... mimo że nadal odmawiała noszenia czegokolwiek, co nie pochodziło „z samego Paryża we Francji”. Jeszcze przed upływem roku sprzedała sklep Jilly, której mąż, Jeff Hogan, był obecnie nadzorcą Zaginionej Kopalni Letty.

Niedługo potem Crystal otworzyła własny dom publiczny, a wkrótce dołączyła do niej Amy. Przybytek Crystal nie mógł równać się z Przybytkiem Celeste ani pod względem sławy, ani wystroju wnętrz. Gabrielle dowiedziała się jednak, że wszystkie

zatrudnione w nim dziewczyny codziennie piły mleko od krów, które Amy trzymała w oborze za domem.

Znów rozległ się głos Arabelli, tym razem od strony stodoły z sianem. Gabrielle poczuła się tak, jakby przygniótł ją wielki ciężar.

- Chciałabym, żeby Arabella przyjęła to stypendium Akademii, które jej zaproponowałam.

Jordan przesunął ręką wzdłuż jej ramienia i przyciągnął ją do siebie.

- Nie możesz sama uszczęśliwić całego świata, kochanie - powiedział i cicho się zaśmiał z twarzą tuż przy jej uchu.

Uśmiechnięta, przytuliła się do niego. Poglądził ją po włosach. Miał piękne, drobnokościste, wrażliwe ręce, które potrafiły doskonale posługiwać się bronią i wprawnie tasować talię kart, ale umiały także pieścić kobietę, prowadzić małą córeczkę stawiającą swe pierwsze kroki i uczyć synka konnej jazdy.

Słońce opromieniło ich złocistym blaskiem. Gabrielle przytuliła policzek do mocnego torsu męża i westchnęła z zadowoleniem.

- Myślę, że chciałabym wszystkich uszczęśliwić dlatego, że życie dało mi tak wiele... ciebie, dzieci, nasz dom. Czuję, że

powinnam coś teraz dać za to światu. Oczywiście nie w formie spłaty długu. Raczej jako podziękowanie.

- Jesteś szczęśliwa, Gabrielle?

Uniósłszy wzrok, napotkała jego oczy, ciemne i pełne głębokiego, radosnego uczucia, odzwierciedlającego jej miłość.

- Tak - powiedziała z powagą, nie opuszczając wzroku. - Och, tak.

Ujął jej twarz w dłonie i czule pocałował w usta.

- Kocham cię - wyszeptał. Jego głos był miękki i pieszczotliwy jak łagodny górski wiatr. - Kocham cię, kocham cię, kocham...